

CZARNA SERIA  
THRILLER

Lisa  
Hågensen

A jej oczy były  
niebieskie

Co wnosimy w życie innych?  
**Miłość? Nienawiść? Zło?**  
Sami możemy wybrać,  
a później zebrać plon.



# Lisa **Hågensen**

A jej oczy były  
niebieskie

przełożyły  
MAŁGORZATA KŁOS  
i MONIKA CHRUŚCIEL

Wydawnictwo Czarna Owca  
WARSZAWA 2017

Tytuł oryginału:  
*Hennes ögon blå*

Redakcja językowa:  
Agnieszka Niegowska  
Projekt okładki:  
Mariusz Banachowicz  
Zdjęcia na okładce:  
© DFAagaard/Shutterstock  
© tugolukof/Shutterstock  
Korekta:  
Maciej Korbański  
Redaktor prowadzący:  
Małgorzata Głodowska

*Hennes ögon blå* © by Lisa Hågsen, 2014  
By Agreement with Pontas Literary & Film Agency  
Copyright for the Polish edition © by Wydawnictwo Czarna Owca, 2017

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).  
Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku.  
Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

ISBN 978-83-8015-395-0

Wydawnictwo

**CZARNA  
OWCA**

[www.czarnaowca.pl](http://www.czarnaowca.pl)

**Wydawnictwo Czarna Owca Sp. z o.o.**

ul. Alzacka 15a, 03-972 Warszawa

[www.czarnaowca.pl](http://www.czarnaowca.pl)

Redakcja: tel. 22 616 29 20; e-mail: [redakcja@czarnaowca.pl](mailto:redakcja@czarnaowca.pl)

Dział handlowy: tel. 22 616 29 36; e-mail: [handel@czarnaowca.pl](mailto:handel@czarnaowca.pl)

Księgarnia i sklep internetowy: tel. 22 616 12 72; e-mail: [sklep@czarnaowca.pl](mailto:sklep@czarnaowca.pl)

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**.

*Dla Tommy'ego*

# CZEŚĆ I

# 1

Skrecając w drogę prowadzącą do Olofssona, postanowiłam, że nie będę parkować przed domem, żeby nie rzucać się w oczy. W końcu planowałam dokonać włamania. Przypomniałam sobie, że przecież Helge wjeżdżał kiedyś ciągnikami na jedną z leśnych dróg. Znalazłam ją. Była wprawdzie nierówna i błotnista, jednak zjechałam w nią i zatrzymałam samochód za niewielkim zakrętem. Kiedy dotarłam z powrotem do zwirowej szosy, obróciłam się. Samochodu nie było widać. Ruszyłam dalej w stronę domu, ale zanim weszłam na prowadzące do drzwi schodki, dyskretnie się rozejrzałam.

W rękę trzymałam zniszczony, poczerniały klucz. Wzięłam głęboki wdech, włożyłam go do zamka i przekręciłam. Drzwi otworzyły się bez najmniejszego zgrzytu. Najwidoczniej Olofsson je naoliwił. W głowie odnotowałam, żeby przy okazji poszukać puszek z olejem, ponieważ moje drzwi też wymagały nasmarowania. W przedpokoju panował półmrok. Drzwi do pomieszczeń wyglądały jak dziury po zębach w ciemnej jamie. Wszystko wydawało się zupełnie nierealne. Mam pełne prawo wejść do domu, przekonywałam sama siebie. Olofsson dał mi klucz. On nie żyje, dał się słyszeć inny głos. Włamujesz się. Jaka może czekać mnie kara? – pomyślałam. Jak poważnego przestępstwa się dopuszczam?

Uciszyłam głosy w głowie i jednocześnie uświadomiłam sobie, że nie wzięłam latarki. Na szczęście miałam tę funkcję w iPhonie. Nieco spoconymi rękoma wyciągnęłam komórkę i kliknęłam odpowiedni przycisk. Odetchnęłam z ulgą, gdy światełko się zapaliło.

Niczym złodziejka, którą w zasadzie byłam, przemknęłam po cichu do kuchni. Drogę oświetlała mi jedynie komórka. Na nakrytym obrusem stole leżała tylko cukiernica. Nigdzie ani okruszka. Żadnych naczyń, nawet na suszarce. Albo Olofsson przed utonięciem wpadł w szal robienia porządków, albo ktoś tu był i posprzątał. Bardziej

wiarygodne wydawało się to drugie przypuszczenie. Ale kto to był? I dlaczego to zrobił?

Obok kuchennej ławy znajdowały się drzwi prowadzące do jadalni. Świecąc sobie telefonem, weszłam tam. Pomieszczenie było równie wysprzątane i puste co kuchnia. Przeszłam do salonu. Kiedy poświeciłam na regał, zobaczyłam albumy ze zdjęciami ustawione na najniższej półce. Przykucnęłam i zaczęłam je wyciągać. Na wyższej półce stała aksamitna szkatuła oraz porcelanowe figurki dygających kobiet z dziećmi i psami. Chciałam zabrać albumy i szkatułę do kuchni, ale uznałam, że bez porządnego światła nie da się ich dokładnie obejrzeć (poza tym sama w domu Olofssona czułam się bardzo nieswojo), spakowałam je więc do plecaka. Gdzie jednak podziało się to zniszczone pudło? Wiedziałam o jego istnieniu, bo przecież widziałam je na własne oczy, kiedy z Olofssonem jedliśmy naleśniki z piekarnika.

Na tym piętrze znajdowało się jeszcze jedno pomieszczenie, mała łazienka. Obok niej widać było zarys skręcających za róg schodów, które znikwały w mroku. Zapewne prowadziły do sypialni Olofssona. Zaczęłam powoli wchodzić, podskakując za każdym razem, gdy stopień zaskrzypiał. Puls miałam tak szybki, że wydawało mi się, że zaraz dostanę ataku serca.

Poddasze składało się z dwóch ciemnych sypialni oraz łazienki. Jeden pokój należał do Olofssona, stało w nim niezaścielone jednoosobowe łóżko, komoda i krzesło, na którym wisiała zarzucona na oparcie koszula. Rozpoznałam ją. Olofsson często ją nosił. To była chyba jego ulubiona. Podniosłam ją i przyłożyłam do nosa. Pachniała nim. Wcale niebrzydko. Czułam parzoną kawę, krem do golenia i pastylki Läkerol. Mój Boże, co się właściwie stało? Wetknęłam koszulę do plecaka i ruszyłam do drzwi znajdujących się w krótszej ścianie pokoju. Prowadziły do szafy wnękowej. Przejechałam ręką po zawieszonych tam ubraniach, później poświeciłam na podłogę i zaczęłam się rozglądać za pudłem. Nie znalazłam jednak nic poza kotami z kurzu i starą pułapką na myszy, na szczęście pustą. Najwidoczniej tutaj nikt nie posprzątał.

W drugiej sypialni unosił się słabo wyczuwalny zapach jabłek. Czyżby Olofsson zimą przechowywał tu owoce? Łóżka – bo były dwa – stały pod ścianami. Nie było na nich ani pościeli, ani nawet materacy. Między nimi ustawiono stolik, na nim zaś wiekowe radio. Na ścianach wisiały stare fotografie przedstawiające ludzi z minionych

lat oraz kilka makatek z wyhaftowanymi cytatami z Biblii. Był to pokój rodziców Olofssona. W garderobie wisiało pełno ich ubrań. Gniotły się w niej sukienki, garnitury, koszule i buty. Właśnie tam, za rzędem czarnych półbutów, znalazłam pudło ze wszystkimi zdjęciami, których nikt nigdy nie wkleił do albumu. Przeniosłam je do sypialni, zorientowałam się jednak, że jest za duże i nie zmieści się do plecaka. Zebrałam więc zdjęcia luzem i jak najciaśniej ułożyłam je na spakowanej już koszuli Olofssona. Na samym dnie pudła znalazłam to, czego szukałam. Szarą kopertę z negatywami. Ostrożnie umieściłam ją na fotografiach, po czym zasunęłam suwak. Wreszcie mogłam wracać do domu.

Wtedy usłyszałam jakiś dźwięk. Jakby ktoś zamknął drzwi na dole.

To niemożliwe. Nie mogłam w to uwierzyć. We wszystkich horrorach, jakie sobie wówczas przypominałam (a, doprawdy, w moim parującym z gorąca mózgu migawki z filmów przesuwały się jedna za drugą), jeśli w opuszczonym domu znajdowała się bohaterka, to do akcji wkraczał nikt inny jak tylko szalony morderca.

– Bez paniki – powiedziałam sama do siebie. – Zamknę teraz drzwi garderoby, spokojnie zejść i zapytam, co ten ktoś robi w domu Olofssona.

Tak rozmyślając, wślizgnęłam się jednak w głąb wnęki i zamknęłam za sobą drzwi. Wyciągnęłam iPhone'a i, przyświecając nim sobie, wcisnęłam się za rząd butów i zwinięty dywan. Wyłączyłam latarkę i schowałam telefon do kieszeni.

Na chwilę dopadło mnie przerażenie, bo przecież nie wyłączyłam dźwięku. Potem jednak przypominałam sobie, że i tak nie mam zasięgu, więc nikt do mnie nie zadzwoni.

Schody zaskrzypiały. Raz. Ktoś się zatrzymał. Czulałam, jak żołądek zwija się w supeł. Czekanie było nie do zniesienia. Kolejne skrzypnięcie i cisza. Jeszcze chwila i będzie na górze.

A niech to szlag! Plecak!

Został w pokoju.



## 2

Nie mogłam poświęcić plecaka. Kiedy pomyślałam, że ktoś mógłby się zakraść do sypialni, zabrać go i uciec z domku, tak mocno zagryzłam zęby, że aż zabołały mnie szczęki. Nie ma mowy, żebym straciła plecak.

Jak najciszej wyczołgałam się zza dywanu i na czworakach przesunęłam się w stronę progu. Wsłuchiwałam się, ale wokół panowała cisza. Powoli, powolutku nacisnęłam klamkę i uchyliłam drzwi. Z drugiej sypialni dobiegły mnie hałasy. Ktoś chyba wyciągał szuflady z komody Olofssona. Ostrożnie chwyciłam plecak i wciągnęłam go do garderoby. Był naprawdę ciężki, aż zabołało mnie ramię. Nie miałam odwagi, by zamknąć drzwi, przymknęłam je więc tylko i znów na czworakach wróciłam za zwinięty dywan. Starłam się skurczyć, jak tylko się dało.

Usłyszałam zbliżające się kroki. Czyjeś podeszwy szurały po podłodze. Ktokolwiek to był, wszedł już do tej sypialni. Wstrzymałam oddech.

Drzwi garderoby otworzyły się i wiązka światła wdarła się do jej wnętrza. Kuląc się za dywanem, starałam się nie zamknąć oczu. Wpadające światło przysłonił nieco kontur głowy. Ktoś zaglądał do środka.

Minęła wieczność. Umierałam już z braku tlenu. Bolały mnie płuca, a przed oczami tańczyły mroczki.

Drzwi wreszcie się zamknęły. Kroki zaczęły się oddalać. Łapczywie zaczerpnęłam powietrza. Kto to był? Nie dało się zobaczyć. Kobieta czy mężczyzna, nie miałam pojęcia. Może powinnam była poświęcić na tę osobę latarkę z telefonu? Musiał to być zabójca Olofssona. A jeśli tak, to wówczas mnie też by zabił.

Zamknęłam oczy i pomyślałam, że powinnam była posłuchać rady Ylvy i pojechać na urlop na Gran Canarię. Wtedy to wszystko by się nie wydarzyło.

Siedziałam tak zwinięta za dywanem i nie miałam odwagi się ruszyć. Wytężałam

słuch, lecz nie usłyszałam skrzypienia schodów. Czy ten człowiek, on lub ona, wciąż był na poddaszu, czy już zszedł?

– A jeśli to Staffan? – wyszeptałam w ciemności. Oczywiście, że to nie on. Niby dlaczego miałby to być Staffan? – Dlatego, że Olofsson mnie przed nim przestrzegał – ciągnęłam ten cichy dialog z samą sobą. – No i jego żona to prawdziwa wariatka. Żona Kenneta też – przypominałam sobie. Kennet i Staffan byli kolegami z dzieciństwa. Czy wyjaśnienie zagadki kryło się w przeszłości? O co tu chodziło?

Zaczęły mnie piec oczy. Zamrugałam i przetarłam je zaciśniętymi dłońmi, lecz nie pomogło. Najwidoczniej kurz i kulki na mole dawały mi się we znaki. Powoli doczołgałam się do drzwi garderoby i nacisnęłam klamkę. Kiedy tylko je uchyliłam, do środka zaczął cisnąć się dym. Zamknęłam drzwi i złapałam się za twarz. Pali się! Dom Olofssona płonął.

Spłoniesz.

Zginiemy na stosie.

Ponownie otworzyłam drzwi i próbowałam przedrzeć się przez sypialnię. Dym był tak gęsty, że nic nie widziałam. Zakryłam twarz rękawem, to jednak niewiele pomogło. Oczy piekły okropnie. Łzy same spływały po policzkach i ciekło mi z nosa.

– Idź na czworakach! – krzyknęłam w rękaw sama do siebie. – Kiedy się pali, trzeba iść na czworakach. – Rzuciłam się na ziemię. Uświadomiłam sobie, że muszę zostawić plecak. Nie dałabym rady czołgać się, trzymając go jedną ręką, a drugą zakrywając twarz. Nie chciałam jednak poświęcić plecaka.

– Cholera, cholera, jasna cholera! – mamrotałam pod nosem, kiedy ściągałam sweter.

Cenne sekundy uciekały jak szalone. Zawiązałam sweter wokół nosa i ust, chwyciłam plecak i zaczęłam się czołgać. Dłonią wyczułam próg, przeszłam do przedpokoju. Nisko przy podłodze łatwiej się oddychało, nadal jednak widziałam jedynie szarą ścianę dymu. Na dole słychać było trzaski i uderzenia – to ogień trawił wszystko, co napotkał na swojej drodze. Zbliżając się do schodów, z każdym centymetrem czułam coraz wyższą temperaturę. Zrozumiałam, że nie dam rady. Dym był czarny jak smoła, a fala gorąca napierała na mnie niczym groźna, rozpalona lokomotywa. Nie mogłam zejść. Czy powinnam wrócić do sypialni? Próbowałam sobie

przypomnieć, jak wyglądała działka wokół domu. Okna z sypialni rodziców wychodziły na dom Kullmanów, pokryty trawą teren nieco tam opadał. Natomiast za oknami sypialni Olofssona była żwirowa droga. Tam chyba nie było tak wysoko. Na dole rósł żywopłot, duży i rozłożysty. Złagodzi moje lądowanie czy może nadzieję się na niego?

Nagle zobaczyłam czerwone języki ognia, które przedzierały się przez czarny dym w moją stronę. Usunęłam się na bok i rzuciłam plecak przez przedpokój. Człgając się, uderzyłam brodą w próg i krzyknęłam. Zaraz jednak dopadł mnie atak kaszlu i pozwolił zapomnieć o bólu. Jakoś przedostałam się do sypialni Olofssona. Mój najwidoczniej wciąż funkcjonujący umysł nakazał mi zamknąć za sobą drzwi.

Kaszłąc, podniosłam się i niepewnym krokiem ruszyłam do okna. Niełatwo było je otworzyć, ale jakoś dałam radę. Świeże powietrze było jak powiew nowego życia. Zdarłam sweter z twarzy i zaczęłam łapczywie oddychać. Napawałam się powietrzem, zaciągałam się nim. Nagle usłyszałam za sobą dziwny trzask. Obróciłam się. Tlen, który wpuściłam do pomieszczenia, był dla płomieni dodatkową pożywką. Farba na drzwiach zaczęła się wybrzuszać i żółknąć, szczeliny we framudze najpierw poczerniały, a później przedarły się przez nie czerwone płomienie.

Wystawiłam głowę za okno i spojrzałam w dół. Żywopłot wyglądał groźnie. Za moimi plecami ryczały płomienie, nie miałam czasu. Chwyciłam plecak i z całych sił cisnęłam nim przez okno. Wylądował w trawie za krzewami. Łóżko Olofssona stało zaledwie metr ode mnie. Pomyślałam, że materac może ochronić mnie przed ostrymi gałęziami żywopłotu. Jednym ruchem zdjęłam go z łóżka i pociągnęłam do okna.

W pokoju rozległ się okropny huk, kiedy drzwi nie wytrzymały już naporu ognia. Z desperacją próbowałam precyzyjnie przesuwać materac, lecz był za duży i nie mieścił się w otworze okiennym. Spanikowana, chciałam wciągnąć go z powrotem, ale utknął we framudze. Pot leciał mi strużkami po twarzy i całym ciele. W głowie pulsowało, powietrze było tak gryzące, że nie dało się oddychać. Z otwartego okna nie wpływał już tlen. Materac był dla mnie gwoździem do trumny. Z okrzykiem rozpaczony chwyciłam za niego po raz ostatni, wreszcie drgnął. Wciągnęłam go do środka. Spojrzałam na piekło za moimi plecami i wspięłam się na parapet...

### 3

#### Dwa miesiące wcześniej

Wraz z Ylvą spacerowałyśmy Kungsgatan w stronę kawiarni. Świeciło słońce. To był idealny letni dzień, jeden z tych wymarzonych, które tak rzadko się zdarzają.

Kątem oka zobaczyłam, że Ylva dyskretnie mi się przygląda. Robiła to już od rana. Domyślałam się, o co może chodzić.

– Tak? – zapytałam, żeby wreszcie mieć z głowy tę rozmowę.

– Ale co? – odparła Ylva.

– Przyglądasz mi się. O co chodzi?

– Po prostu uważam, że powinnaś to jeszcze przemyśleć. To wszystko. Zdążyłabyś jeszcze znaleźć sobie jakąś wycieczkę. Kanary byłyby dla ciebie idealne. Miłe towarzystwo, wyjścia. Tego ci trzeba.

Był czwartek, dwudziesty pierwszy lipca, od urlopu dzielił mnie dzień. Ylva już od jakiegoś czasu zrzędziła, że powinnam wybrać się na słoneczną plażę i trochę się zabawić. Dzięki, Ylva, nic z tego. Potrzebowałam spokoju, a ponieważ miałam niedużą działkę nad jeziorem leżącą w samym środku niczego, wiedziałam, że właśnie tam znajdę to, czego szukam.

– Ylva, wiesz przecież, że to nie w moim stylu. Spakowałam już ciuchy na deszczowe lato w południowo-zachodniej Szwecji. Mam ciepłe skarpety i spory zapas książek. Na działce będzie mi naprawdę dobrze. Zapomnij o Kanarach.

– Kiedy tam jedziesz? – Ylva otworzyła drzwi kawiarni, zatrzymała się jednak w progu i popatrzyła na mnie.

Domyślałam się, że według niej na działce będzie mi dokuczać samotność.

– Jutro, zaraz po pracy. Nie martw się. To będzie cudowny urlop. Chodź już,

zamówimy sobie coś z mnóstwem bitej śmietany.

Jak już wspominałam, nie miałam racji. Powinnałam oczywiście była znaleźć jakąś wycieczkę na Kanary.

Zamiast tego zapakowałam samochód już rano, żeby móc wyruszyć od razu po pracy. W prostej linii odległość między Valludden i Lövaren nie jest wcale duża, ale kiedy zjedzie się z autostrady, droga robi się kręta i wąska, i potrzeba kilku godzin, żeby się tam dostać. Może rozsądniej byłoby pojechać w sobotę, tyle że pierwszego dnia urlopu chciałam się obudzić już tam. Naprawdę chciałam.

Jadąc moim małym samochodem, słuchałam radia, podśpiewując sobie, jeśli akurat leciał jakiś znany mi kawałek. Słońce chyliło się już ku horyzontowi, nisko zawieszona chmury zaś rzucały cień na krajobraz. Zanosiło się na to, że prognozy zapowiadające wakacyjny deszcz się sprawdzą.

Kiedy w okolicach Dingle zjechałam z E6, podekscytowany spiker radiowy zaczął spieszenie podawać brzmiące surrealistycznie doniesienia. Wpatrywałam się w radio, próbując pojąć, co słyszę. W siedzibie rządu w Oslo wybuchła bomba. W Oslo?

Sięgnęłam po leżącą na siedzeniu pasażera komórkę, ale ku swojemu przerażeniu zobaczyłam, że nie ma zasięgu.

Jadąc zwirową drogą prowadzącą do mojej działki, dostrzegłam światło palące się w domu sąsiadów, starszej pary rolników, Andersa i Sary Hanssonów. Po rozpakowaniu się i zjedzeniu kanapki poszłam więc do nich z wizytą. Hansson miał antenę satelitarną zainstalowaną na wzgórzu i połączoną z domem długim kablem, w ich domu oglądało się więc telewizję, a nie jedynie filmy na DVD.

Sara otworzyła drzwi, wyściskała mnie i zaprowadziła do kuchni.

– Słyszałaś? – wyszeptała. – W Norwegii jakiś szaleniec strzela do dzieci.

Cały wieczór spędziliśmy z kawą przed telewizorem, oglądając doniesienia z Norwegii. Rozmawialiśmy i próbowaliśmy jakoś pojąć tę ogromną tragedię. Choć raz Hanssonowie nie komentowali mojego stanu cywilnego. Bo przecież być singielką w wieku lat czterdziestu to nie do pomyślenia. Zawsze próbują mnie zeswatać ze swoim synem, który ma jakieś trzydzieści pięć lat, jednak tego wieczoru odpuścili temat.

Było już późno, kiedy wróciłam do siebie. Mżyło, a od jeziora czuć było delikatny

wiatr.

Powinłam może napisać, że już wtedy, gdy wracałam do ciemnego domu – bo niestety zapomniałam zapalić światła przed wyjściem do Hanssonów – już wtedy dopadły mnie przecucia i niejasna obawa przed tym, co się stanie. Tak jednak nie było. Zupełnie niewzruszona ciemnościami i pochłonięta rozważaniami jak gdyby nigdy nic szłam sobie ścieżką.

Myślałam o tym, czym jest zło.

Czy ludzie źli są szaleni? *Three gallons of crazy in a two gallon bucket*<sup>1</sup>. A może jest na odwrót? Może tylko zdrowe osoby są złe? Czy może szaleństwo prowadzące do zła jest mimowolne?

Nie umiałam znaleźć odpowiedzi. Nadal nie umiem.

## 4

Następnego ranka obudził mnie deszcz bębniący o blaszany dach. Dla mnie to kojący dźwięk, więc zasnęłam ponownie i spałam do późna. Kiedy wreszcie wstałam, zjadłam śniadanie i z kubkiem kawy poszłam do Hanssonów, żeby obejrzeć najnowsze wiadomości z Norwegii. Był u nich akurat ich syn, Staffan. Wiem, że Hanssonowie mówili mu, że jestem singielką i robię coś związanego z komputerami, na czym sporo zarabiam (choć w rzeczywistości pracuję w bibliotece i nie mam pojęcia, co też sobie ubzdurali). Namawiali go, żeby mnie gdzieś zaprosił. Jednak Staffan to o pięć lat młodszy rozwodnik z dwójką dzieci, do tego szczupły i atrakcyjny, w przeciwieństwie do mnie.

Zdjęłam płaszcz przeciwdeszczowy i usiadłam w kuchni. Sara dołała mi kawy (a pije się u nich taką lurę, że aż boli od niej żołądek), usiedliśmy przy stole i zaczęliśmy rozmawiać. I choć temat był przerażający, było całkiem miło. Czuło się normalność. Poczęstowali mnie babką piaskową, kolejny raz dolali kawy, ja opowiadałam o życiu w mieście, oni o superzdolnym synku Staffana, potem znów zeszliśmy na Breivika.

– Tak mi żal jego matki – powiedziała Sara z przejęciem. – Możecie sobie wyobrazić, jak ona się czuje? Jak może teraz kochać syna? Jak się pokaże ludziom na oczy?

– Ojciec też – dodał Anders. – On czuje się tak samo.

– I jego rodzeństwo – dorzucił Staffan. – Jeśli jakieś ma. Cholera, te wszystkie biedne dzieciaki z wyspy... Co ludziom siedzi w głowach? Niech to szlag.

– Tak, to naprawdę dzień pełen smutku – stwierdziła Sara. – Pół nocy nie spałam. Jak człowiek może zabić dzieci? Tyle dzieci.

Ktoś zapukał do drzwi. Sara aż podskoczyła. Przez chwilę nie wiedziała, co się

dzieje. Staffan pogłaskał ją po ramieniu.

– Spokojnie, mamó. Ja otworzę. – Wstał i ruszył do drzwi kuchennych.

A mnie dopadło dziwne przeczucie, jakby za progiem stał potwór albo policjant z bronią automatyczną.

– Yngve – zawołała Sara. – To tylko ty. Ależ wchodź. Chcesz kawy?

To był Olofsson, starszy pan mieszkający w domu po drugiej stronie jeziora. Kilka razy spotkałam go u Hanssonów, ale nigdy nie rozmawialiśmy. Olofsson powitał mnie skinieniem głowy, uściskał Sarę, po czym usiadł przy stole.

– Dziękuję, chętnie napiję się kawy. I jak tam?

Dalej rozmawialiśmy o Breiviku, choć także o innych sprawach. Dało się zauważyć, że Olofsson darzy Sarę dużą sympatią. No ale kto nie darzy jej sympatią? Jest taka urocza z tymi swoimi dołeczkami w policzkach i zabawnymi komentarzami. I przejmuje się innymi, to się czuje. Jest taką osobą, do której człowiek przychodzi, jeśli coś mu doskwiera na ciele czy duszy.

Później Anders oznajmił, że on i Sara wybierają się na trochę do Göteborga, i zapytał, czy mogłabym karmić kury. Staffan miał przypilnować psów. Miały mieszkać u niego przez tydzień, dopóki rodzice nie wrócą. Oczywiście zgodziłam się, ale było mi smutno, że wyjeżdżają. Tak długo czekałam na spotkania z nimi. Byli moimi najlepszymi sąsiadami. Właściwie, jakby się zastanowić, byli tu jedynymi osobami, z którymi utrzymywałam kontakt. Żeby dojechać do mnie, trzeba zjechać z drogi. Domy pozostałych sąsiadów znajdowały się kilka kilometrów dalej. Ścieżką prowadzącą od mojej działki da się dojść tylko do zagrody Sary i Andersa, ponieważ inni mieszkają po drugiej stronie jeziora. No ale nic to, spróbowałam przekonać samą siebie, trochę spokoju dobrze mi zrobi. Całą wiosnę i lato w pracy było nerwowo. Teraz czekał mnie długi urlop, a Hanssonowie przecież niebawem mieli wrócić.

– Wystarczy, jeśli tylko pozbierasz jajka – powiedziała Sara.

– Przecież wie – wtrącił Anders.

– Przecież wiem – potwierdziłam.

Hanssonowie wyjechali, a ja kręciłam się po ich zagrodzie. Karmiłam kury, co rano jadłam świeże jajka, chodziłam do lasu na kurki, które potem smażyłam i serwowałam sobie z grzankami. Jednego wieczoru nawet wykąpałam się w jeziorze, mimo że boję



się szczupaków.

\* \* \*

Pewnego dnia wczesnym rankiem obudził mnie ból zęba. Łyknęłam pigułkę i starałam się jakoś wytrzymać, lecz następnego dnia wsiadłam w samochód i pojechałam do najbliższego miasteczka, które bynajmniej nie było blisko. Ponieważ nie miałam zasięgu, nie udało mi się dodzwonić do przychodni wcześniej, ale recepcjonistka powiedziała, żebym usiadła w poczekalni i dentysta może zdąży mnie przyjąć w wolniejszej chwili.

Okazało się, że ubytek sięgał aż do miazgi.

– Proszę rwać – powiedziałam.

Zabieg zajął sporo czasu, a po nim byłam obolała. Dentysta był całkiem w porządku, przepisał mi lek przeciwbólowy, treo comp, przy czym kazał go zażyć dopiero wtedy, kiedy będę w domu.

– Jazda samochodem i takie tam, rozumie pani.

Zrobiłam szybkie zakupy i ruszyłam z powrotem. Kiedy tylko przestąpiłam próg, od razu rozpuściłam tabletkę w wodzie. Bolało jak cholera.

Nieco otępiała przez leki, zaczęłam drzemać na sofie, kiedy ktoś zapukał do drzwi. Wystraszyłam się. Przecież do mnie nikt nigdy nie puka. Odwiedzają mnie jedynie Hanssonowie, a oni po prostu wchodzą i wołają na powitanie.

Zgramoliłam się z sofy i poszłam otworzyć. Na progu stał Olofsson.

– I co, drzemiemy sobie? – zapytał.

– Już nie, jak widać – odparłam. – Coś się stało?

– Dzwonił Anders. Pojawiły się komplikacje, więc zostaną w Göteborgu na dłużej. Zastanawiali się, czy z kurami wszystko w porządku i czy mogłabyś ich jeszcze podglądać.

Spojrzałam na niego niepewnym wzrokiem. Komplikacje? Uświadomiłam sobie, że nie mam pojęcia, dlaczego Hanssonowie wyjechali.

– Komplikacje? – zapytałam.

– No tak, z porodem.

– Porodem?

Oloffson popatrzył na mnie jak na idiotkę.

– Ich córka spodziewa się dziecka, to dlatego są w Göteborgu. Chyba wiedziałaś? Kurde, nie wiedziałam nawet, że mają córkę.

– Nie mówili, dlaczego się tam wybierają. Nigdy też nie słyszałam o ich córce.

– Bo wyszła za jakiegoś imigranta. To Arab. Boją się, że on zabierze dziecko i wywiezie je na Bliski Wschód.

– Ależ bez takich... – powiedziałam oschłym tonem. – Hanssonowie nie są rasistami, przecież dopiero co rozmawialiśmy razem o tym szaleńcu Breiviku... Pojechali do Göteborga, żeby nie dopuścić ojca do dziecka, to próbujesz powiedzieć?

Świeciło słońce, ptaki świergotały. Jezioro połyskiwało, rosnące na rogu domu róże zaś kwitły, rozsiewając cudowny, acz ciężkawy zapach. Wszystko to straciło nagle czar. To, co urokliwe, nagle wydało mi się śmieszne. Nie wiedziałam, co się dzieje.

– Podobno jesteś singielką. Jak tam u ciebie z seksem?

Oloffson podrapał się po kroczu.

Zatrzasnęłam drzwi i rzuciłam się na sofę. Wiedziałam, że muszę wrócić do cywilizacji i zadzwonić do Hanssonów, później jednak uświadomiłam sobie, że mam tylko ich domowy numer, a u nich w domu nikt nie odbierze.

– Niech to szlag – wymamrotałam, wpatrując się w okno. Oloffson wciąż stał na podwórku. Przeczesał dłonią kędzierzawe włosy i spoglądał na jezioro. Otworzyłam okno i zawołałam.

– Jakie komplikacje?

– Musieli zrobić cesarkę, ich córka nie jest w najlepszym stanie, ale dziecko się wyliże. Gdyby dzwonili, powiedzieć, że zajmiesz się tymi kurami?

– Tak! Jasne, że się nimi zajmę. A tobie nic do mojego życia seksualnego!

Zatrzasnęłam okno. Widziałam, że idąc do samochodu, uśmiechał się. Obleśny dziad.

Przez resztę dnia byłam jakby w letargu. Z pewnością był to efekt uboczny tego leku. Innymi słowy, byłam naćpana.

## 5

Moi sąsiedzi, czy też dokładniej mówiąc ludzie mieszkający wokół jeziora, stanowili dość dziwną społeczność. Pewnego ranka, kołysząc się na hamaku z kubkiem kawy w rękę, rozmyślałam sobie o nich. Olofsson dobiegał sześćdziesiątki, miał siwobrzęde kręcone włosy, nosił okulary o grubych szklach, a duży brzuch zwisał mu nad paskiem. Mieszkał sam w starym domu, w którym na pewno śmierdziało stęchlizną, pleśnią i męskimi sikami. Za jego działką znajdowały się trzy nieco większe domki letniskowe. Nigdy tam nie byłam, tak więc nie znałam ich mieszkańców, choć widziałam ich z mojego brzegu. W pierwszym mieszkała starsza para, Kullmanowie, wyglądali jak przedstawiciele brytyjskiej klasy średniej i bez przerwy coś robili w ogródku (tak to sobie przynajmniej wyobrażałam). W następnym żyła rodzina z dziećmi, Almkvistowie. Słychać było, jak hałasują nad wodą, często też grillowali. Trzeci domek natomiast należał do małżeństwa Fritjofssonów. Rzadko w nim bywali, lecz Hansson czasem o nich opowiadał. „Fritjofssonowie powinni położyć nowy dach” albo „Najwidoczniej u Fritjofssonów szwankuje kanalizacja. Powinni wymienić stare szambo na trzykomorowe, jak wszyscy tutaj”. Na najbardziej oddalonym skrawku drugiego brzegu jeziora leżała mała zagroda. Mieszkali w niej Anderssonowie, którzy hodowali zwierzęta na ubój, a do tego mieli spory kawałek lasu. Kiedyś Hanssonowie też mieli krowy, tyle że teraz byli już na emeryturze, zostawili więc sobie tylko kury oraz dwa psy myśliwskie. Nie mieli nawet kota.

Pomyślałam o Hanssonach. Moich dobrych, poukładanych Hanssonach. Oboje byli wysocy, wyprostowani i siwi. Sara miała dołeczki w policzkach, Anders zaś spokojne, przyjazne spojrzenie. Za młodu musieli być urodziwą parą. Staffan też był niesamowicie przystojny z tym swoim prostym nosem i dołkiem w brodzie. Dlaczego jednak nigdy nie wspomnieli o córce? Wstydzili się jej związku z imigrantem? Czyżby

kryli się ze swoim rasizmem? A może to ja zawsze tak dużo mówiłam, że nie dopuszczałam ich do głosu? Dziwna historia.

Kołysałam się, sącząc kawę i spoglądając na jezioro. Powinnam pojechać do Olofssona i zapytać, czy ma jakieś nowe wieści. Nigdy wcześniej nie ciągnęło mnie na drugą stronę jeziora, jednak po tygodniu bez Hanssonów i bez zasięgu w telefonie czułam, że potrzebuję kontaktu z ludźmi. I to raczej w związku z moimi potrzebami intelektualnymi, nie zaś problemami dentystycznymi. Pomyśleć to zrobić, stwierdziłam i wsiadłam do samochodu. Po drodze wydawało mi się, że coś miga między drzewami, nie zaprzętałam sobie tym jednak głowy. W każdym razie nie wtedy.

Dom Olofssona był bardzo ładnie położony. Był stary, co rzucało się w oczy, ale otaczały go bzy, jabłonie i inne krzewy oraz kwiaty, których nazw nie znałam, tak że wyglądał jak chatka z bajki.

Drzwi zaskrzypiały, gdy Olofsson je otwierał. Z wnętrza czuć było zapach stęchlizny, ale nie męskich sików.

– Dzień dobry. Chciałam tylko zapytać, czy Hanssonowie się odzywali.

– Nie.

– Aha. Cóż. Ładnie tu u ciebie.

– Ano tak, pięknie tu. Napijesz się kawy?

– Tak, chętnie – powiedziałam szybko.

Właśnie o to mi chodziło. Nie był wprawdzie wymarzonym towarzyszem pogaduszek, lecz poza Hanssonami był jedyną znaną mi tu osobą, nie miałam więc wyboru.

Wystawił kawę, filiżanki ze spodkami i ciastka na biały stół z kutego żeliwa, który stał na trawie wraz z krzesłami od kompletu.

Kawa była smaczna. O wiele lepsza niż ta u Hanssonów. Wzdrygnęłam się, kiedy ciastko podrażniło otwartą ranę po zębie, i uznałam, że muszę je najpierw rozmoczyć.

– Czym się zajmujesz? – zapytałam.

– Niczym. Kiedyś pracowałem w lesie, ale nabawiłem się dyskopatii. Miałem operację, a później przeszedłem na rentę. I tak sobie tu krążę po okolicy. Nie mogę zbyt wiele robić, bo kręgosłup wciąż mnie boli. Zastanawiam się, czy nie kupić sobie psa.

– Cóż, na pewno nie jest to najgorsze miejsce na spędzanie życia rencisty –

powiedziałam, zerkając na jezioro.

– Prawda. Tu mogę sobie pozwolić na psa.

– Myśliwskiego, jak u Hanssonów? Polujesz?

Popatrzył na mnie zbity z tropu.

– Chyba tracę już zmysły. Czasami przypominam sobie pewnego psa, ale przecież żadnego nie miałem.

– Może miałeś jako dziecko. Może należał do twoich rodziców i pamiętasz go jak przez mgłę?

– Być może – wymamrotał, choć bez przekonania. Później wskazał palcem sąsiednie domy i wolno powiedział: – A ci Almkvistowie...

– Ta rodzina z dziećmi, która tyle grilluje?

– Tak, ci. Mieli troje dzieci, a teraz jest dwójka.

– Jak to? Jedno zostało w domu?

– Nie wiem. Na początku lata mieli trójkę. Teraz jest tylko dwójka, dziewczynka i chłopiec.

– Może to trzecie nie było ich? Może był z nimi jakiś kolega albo krewny?

– To było małe dziecko. W wózku.

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Czy on zwariował?

– Chciałbym mieć psa – ciągnął. – Labradora. Andersson ma kilka, piękne psy. Ma dla nich więcej serca niż dla swojej kobity.

– A świadczy to o nim czy raczej o jego kobicie?

– To prawdziwa zołza, ale psy cudne. Chciałbym takiego. Kobita też by się przydała. – Puścił do mnie oko. – Tylko nie żadna zołza, jakaś porządna.

– Na mnie nie patrz – odparowałam. – Aż nadto odpowiada mi życie w pojedynkę. Hanssonowie próbują mnie wyswatać ze Staffanem. Nie pojmuję tego, przecież w okolicy musi być więcej samotnych kobiet?

– Jego byś nie chciała. Bił swoją pierwszą żonę. Dlatego się rozwiedli.

Popatrzyłam na Olofssona.

– Żartujesz?

– Nie. Staffan miewa humory. Ma tak od dziecka.

– Ale przecież Sara i Anders są niesamowicie spokojni... A właśnie, nigdy nie

wspominali o córce. Dlaczego?

– Nie podoba im się, że wyszła za tego czarnucha. Dziwne, że znów pojechali do niej do Göteborga. Nie myślałem, że tak się o nią troszczą.

– Coś tu się nie zgadza. Hanssonowie zawsze sprawiali wrażenie dobrych, miłych ludzi. A ty twierdzisz, że są rasistami i prawdopodobnie chcą mnie wydać za damskiego boksera. Nie pojmuję.

– Ano, panienska wielu spraw nie rozumie – odparł enigmatycznie. – Dla mnie niepojęte jest zniknięcie tego dzieciaka.

W końcu wsiadłam do samochodu i ruszyłam do domu. Na szczęście po drodze nie trafiłam akurat na sarny czy inne zwierzęta, bo z pewnością bym je rozjechała. Po rozmowie z Olofssonem w głowie kłębiły mi się przeróżne myśli. Że aż do teraz nie utrzymywali kontaktów z córką, dlatego że wyszła za imigranta... Że ich syn bił żonę... Może Olofsson to mitoman?

I tak zaczął się sierpień. Czas mijał mi niespodziewanie dobrze.

## 6

Sierpień ma w sobie coś niezwykłego. Pewną magię. Ten sierpniowy księżyc i te ciemności...

Zajadałam właśnie kolejną grzanekę z kurkami i wyczekiwałam zmierzchu. Wciąż było ciepło, choć minęła już dziewiąta. Zastanawiałam się, co zrobić z tyloma jajkami. Może przygotuję naleśniki z piekarnika i zawiozę do Olofssona.

Następnego dnia przed południem stanęłam na schodkach przed jego domem. Ponieważ w obu rękach trzymałam formę, zamiast pukać, musiałam kopnąć w drzwi. Po ciągnącej się bez końca chwili pojawił się Olofsson. Był jeszcze bardziej potargany niż zwykle.

– Dzień dobry! Z jajek od Hanssonów przygotowałam zapiekane naleśniki. Jesteś głodny? Masz może dżem?

– Wejdz – odparł krótko.

Wprowadził mnie do kuchni. Zachował się w niej wystrój z lat pięćdziesiątych: niebieskie szafki i laminowany blat pełen rys i plam. Mimo wszystko, jak na dom takiego faceta jak Olofsson, było tam ładnie.

Wszędzie było pełno zdjęć. Niektóre leżały luzem, inne były poukładane w zdobnym niebieskim pudełku obitym aksamitem, pod stołem zaś dostrzegłam kolejną stertę wciśniętą do sfatygowanego szarego pudła z kartonu. Kawa już się parzyła. Olofsson nalał mi filiżankę. Rozsiadłam się na krześle, na jednym kolanie próbując utrzymać talerzyk z naleśnikiem i dżemem, na drugim filiżankę. Ponieważ nie miałam wolnej ręki, by móc zabrać się do jedzenia, popijałam tylko kawę i przypatrywałam się bałaganowi na stole.

– Zawsze tak tu jest czy akurat katalogujesz?

Olofsson mruknął w odpowiedzi, ale odgarnął część zdjęć na bok, tak że mogliśmy

postawić talerzyki na stole.

– Przeglądałam stare zdjęcia w poszukiwaniu psa. Mówiłaś, że może moi rodzice mieli psa, kiedy byłem mały. Mamy z tego okresu sporo fotek, tyle że na żadnej nie ma psa.

– Ale wspominałaś, że pamiętasz go słabo – odparłam, wkładając odrobinę naleśnika do ust. Drugą ręką przeglądałam od niechcienia zdjęcia. – Może to był pies znajomych, którzy akurat was odwiedzali, a może sen. A to kto?

– Mój ojciec.

– Stoi przed tym domem. To znaczy, że mieszkasz tu całe życie?

– Tak. Zobacz, to moi rodzice i ja. – Pokazał mi stare czarno-białe zdjęcie wysokiego postawnego mężczyzny, całkiem krągłej kobiety w ciemnej sukience i kędzierzawego blondaska. Stali na trawniku przed domem, pozując, jak to się robiło dawno temu. Przy ich boku nie było jednak psa.

W milczeniu jedliśmy naleśniki, piliśmy kawę i przeglądaliśmy fotografie. Miałam okazję obejrzeć podobizny Olofssona od czasów dzieciństwa poprzez okres w wojsku aż do lat, kiedy pracował w lesie.

I pomyśleć, jak inaczej wygląda człowiek jako dziecko. Nagle ujrzałam Olofssona w zupełnie innym świetle. Kiedyś był szkrabem, później chłopcem z podstawówki, nastolatkiem, mężczyzną w średnim wieku. Miał swoje marzenia, bywał szczęśliwy i smutny, wystraszony i silny. Człowiek z przeszłością, a nie jakiś tam dziwak, z którym można wypić kawę, bo akurat nie ma nikogo innego.

– A nie masz zdjęć z późniejszego okresu? – zapytałam, odkładając ostatnie odbitki do aksamitnego pudełka. – Wszystkie mają więcej niż dwadzieścia lat.

– Hmm, może w którymś albumie. Spójrz na podłogę.

Schyliłam się pod stół i zerknęłam. Leżało tam to zniszczone pudło wypełnione zdjęciami oraz stara szara koperta. Zajrzałam do niej, lecz znalazłam tylko negatywy.

– To stare pudło mamy. Nigdy nie wklejała zdjęć do albumów, a te akurat nie były godne, by trafić do jej eleganckiego pudełka. Są bardzo stare. Gdybyśmy mieli psa w tamtym czasie, nie pamiętałbym go. Lepiej przeszukać albumy – zaproponował, wkładając do ust resztki naleśnika.

Znów się schyliłam i rozejrzałam. Pod jednym z krzeseł leżały dwa albumy.



Sięgnęłam po ten ze spodu. Posypały się z niego okruchy, pył i kurz. Sama zastanowiłam się, kiedy ostatnio odkurzałam u siebie w domku, po czym otworzyłam album. Najwidoczniej należał do rodziców Olofssona. Były w nim zdjęcia w sepii ludzi z dawnych lat oraz domków nad jeziorem – Olofssonów, Hanssonów, Fritjofssonów i Anderssonów. W miejscu posiadłości Almkvistów i Kullmanów ciągnął się ogród, a tam, gdzie stał mój domek, rósł las.

Drugi album zapowiadał się bardziej obiecująco. Zdjęcia były ułożone chronologicznie, chyba Olofsson wklejał je tutaj tuż po wywołaniu. Widziałam jego podobizny z ciemniejszymi włosami, bokobrodami i bródką oraz kilka zdjęć z imprez z rozpoczęcia sezonu rakowego, na których siedział z mnóstwem osób z kolorowymi czapczkami na głowach. Były też fotki z urlopu na Gotlandii, tam już widać było jego siwiznę, oraz inne z wigilii i urodzin. Olofsson uzupełniał swój album nie tak porządnie jak jego rodzice, bo serie zdjęć przerywała czasem jakaś stara fotka z okresu szkolnego lub ferii zimowych.

– Dlaczego nigdy się nie ożeniłeś? Na wszystkich zdjęciach wyglądasz na wesołego, towarzyskiego chłopaka.

(Chciałam powiedzieć całkiem normalnego, ale się powstrzymałam).

– Kiedyś miałem sympatię, lecz nic z tego nie wyszło.

– Szkoda. – Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. – Może jednak powinieneś kupić sobie psa. Możesz chyba zapytać Anderssona, czy nie spodziewa się szczeniaków?

– Pewnie tak zrobię.

Mimo woli zaczęłam go darzyć odrobiną sympatii.

## 7

Żyję w zgodzie z dewizą „samotność wzmacnia”. A jednak nie zawsze byłam sama. Innymi słowy, mam swoje powody, by teraz chcieć żyć w taki sposób.

Jestem zużyta. Tak przynajmniej się czuję. Przez siedem lat byłam w związku z niejakim Leifem i niczym dziecko w kołysce tkwiłam w fałszywym poczuciu bezpieczeństwa. Rzecz jasna on spotkał inną, historia stara jak świat. I tak oto nagle cała zmieniłam się w krwawiącą ranę. Ból był dojmujący i nie do ukojenia. Rana wciąż jest, ale już nie pokrywa całego ciała. Jest mała i czasem swędzi, a przez to, że ją rozdrapuję, wciąż nie znika. Staram się nie drapać jej zbyt często, czasem jednak nie mogę się powstrzymać. Bo dzięki niej czuję. Czasem lepiej czuć ból niż nic.

Leif i ja nie mieliśmy dzieci, ale mieliśmy kotkę. Czy raczej Leif miał. Była z nim już wtedy, kiedy się poznaliśmy. Nazywała się Mirra i wyglądała jak zwykły prądkowany kociak, jakiego ma co druga osoba. Kiedy Leif odszedł do tej nowej, szczuplejszej, zostawił Mirrę. Jego nowa kobieta miała najwidoczniej alergię. Mirra miała wtedy około siedemnastu lat i zaczęła już sikać do łóżka, postanowiłam więc ją uśpić. Miałam ochotę poprosić weterynarza, żeby i mnie podłączył do śmiertelnej kroplówki, niestety, tak to nie działa. Człowiek musi walczyć dalej. Dzień po dniu. Idzie do pracy, kupuje jedzenie dla jednej osoby, uświadamia sobie, że nie stać go już na mieszkanie w domu, więc go sprzedaje, wynajmuje dwa pokoje w mieście i z pieniędzy zarobionych na sprzedaży domu kupuje działkę z domkiem, decydując się, że nigdy więcej. Nigdy więcej nie pozwolę się zostawić, nigdy nie pograżę się w takim smutku.

Mimo wszystko czułam się winna z powodu kota.

## 8

Wraz z Olofssonem siedzieliśmy w samochodzie i tłucliśmy się po żwirówce.

– Jak to możliwe, że to droga przejazdowa? – zastanawiałam się. – W ogóle się nie posuwamy, tylko podskakujemy w górę i na boki.

– Ale ta trasa jest o dziesięć kilometrów krótsza – odparł. – W przeciwnym razie trzeba jechać kawał główną drogą, zanim dojedzie się do zjazdu.

Kiedy dotarliśmy do posiadłości Anderssonów, zrozumiałam, co miał na myśli. Ich dom stał nad jeziorem. To była jego tylna część. Z przodu ciągnęły się łąki i pola, a przecinała je szeroka droga prowadząca do szosy, z naszej perspektywy biegnącej zupełnie po drugiej stronie.

Okolica była sielankowa. Brązowe krowy pasły się na intensywnie zielonej trawie, w okolicy pomrukiwał traktor, a na schodach leżały trzy czarne labradory. Zauważyłam, że coś poruszyło się za firanką. Spoglądała na nas kobieta. Myślałam, że podejdzie otworzyć drzwi, ale nie. Psy się obudziły i przypatrywały się nam, choć nie szczekały. Miłe.

Olofsson się rozejrzał.

– Poszukamy Helgego – powiedział. – Z Berit nie jest łatwo.

Znaleźliśmy go na traktorze – to był potężny John Deere. Wiózł akurat wodę dla krów. Patrzyliśmy, jak zrzuca na łąkę ogromny biały zbiornik. Potem podjechał do nas i wyszedł z pojazdu.

– Cześć, Yngve! Kopeę lat. Co to za ślicznotkę przyprowadziłeś?

Szybko wyciągnęłam do niego rękę.

– Dzień dobry, Raili Rydell. Mieszkam w domku po drugiej stronie jeziora, obok Hanssonów.

Popatrzył na mnie osobliwie, po czym zdjął czapkę i się przedstawił.

– Helge. Miło w końcu poznać.

Helge był chyba człowiekiem pełnym przeciwieństw. Miał proste siwe włosy, opaloną i ogorzałą cerę, ale uścisk dłoni słaby i niepewny.

– No – odezwał się, prowadząc nas do czerwonego domku – co też sprowadza do nas tak przemiłych gości? Napijcie się kawy, prawda?

Olofsson się wzdrygnął i posłał mi zastygłe spojrzenie.

– Berit – powiedział bezgłośnie.

Przyznaję, że kusiło mnie, by poznać żonę Berit. Bez przesady, jak groźna może być?

Okazało się, że bardzo.

## 9

Hanssonowie wrócili.

Pewnego ranka, gdy poszłam nakarmić kury, zastałam na podwórku ich samochód. Najwidoczniej przyjechali w nocy. Zastanawiałam się, czy pukać do drzwi, czy może jednak śpią. Ruszyłam do kurnika i zaczęłam hałasować wiadrami, uzupełniając wodę i paszę, a kiedy wychodziłam, widziałam, że ktoś rusza się za firanką. A zatem wstali. Zapukałam do drzwi.

Sara otworzyła ubrana w szlafrok. Nigdy wcześniej się to nie zdarzyło.

– Dzień dobry – powiedziałam z uśmiechem. – Oto dzisiejsze zbiory jajek. – Wyciągnęłam do niej rękę.

– Dzień dobry, Raili, wejdz.

Usiadłam na swoim miejscu przy stole. Na ceracie w biało-czerwoną kratkę leżały długopis i krzyżówka. Zaczęłam wypełniać brakujące hasła. Sara nakrywała do śniadania. Wyciągnęła filiżanki do kawy, szklanki, talerzyki oraz miski. Takie śniadania widzi się tylko w filmach. Gotowane jajka, chleb własnej roboty, duży kawałek sera na środku stołu, talerz ze smażonym bekonem, kawa, mleko w szklankach, domowy dżem i duża miska owsianki. Zastanawiałam się właśnie, czy Sara zawsze serwuje takie śniadania, czy może starała się tak dla mnie, kiedy odezwała się:

– Słyszałam od Yngvego, że byliście u Anderssonów.

Nie opanowałam się i w odpowiedzi wybuchnęłam śmiechem.

– Chodzi o Berit? – zapytała Sara.

– To chyba jakieś żarty. Co jest nie tak z tą kobietą?

Zanim jednak Sara zdążyła odpowiedzieć, do kuchni wszedł Anders. Widząc nakryty stół, zatarł ręce z zadowolenia. Z uśmiechem klepnął Sarę po pupie, pocałował ją w policzek i zasiadł do stołu. Wszystko działo się tak inaczej niż zwykle, że aż

zglupiałam. Nalałam sobie kawy z mlekiem i nałożyłam na talerz kanapkę z serem oraz stertę bekonu. Znów przypomniała mi się wizyta u sąsiadów.

– No proszę, toż to Yngve. – Kiedy już weszliśmy do kuchni, tak powitała nas przysadzista kobieta w trwałej ubrana w liliowy kombinezon. – To napijemy się kawy – nie zapytała, tylko stwierdziła, w dodatku tonem tak suchym i surowym, że człowiekowi odeszła ochota na jakikolwiek poczęstunek.

Wyciągnęłam dłoń, żeby się przywitać, zdążyłam jednak powiedzieć tylko:

– Nazywam się Raili. Miło mi poznać kolejną sąsiadkę...

A wtedy ona obróciła się na pięcie i chwyciła za ekspres. Pomachałam w powietrzu pustą ręką, nie wiedząc, jak się zachować, a potem zawstydzona włożyłam ją do kieszeni. Olofsson posłał mi ukradkowe spojrzenie i dyskretnie wzruszył ramionami.

– Berit, kochanie, to jest Raili, która kupiła działkę po drugiej stronie jeziora – powiedział ostrożnie Helge.

– Też mi zakup – prychnęła Berit. – Bez toalety, bez prysznic. – Obróciła się w moją stronę i potrząsnęła dzbankiem z kawą. – Chyba żadna z pani czyściocha, co?

– Właściwie mam toaletę na zewnątrz, i to całkiem ładną – odparłam, poirytowana. – A w domku jest woda, i zimna, i ciepła. Bez problemu można zachować higienę. No i mogę korzystać z prysznic u Sary i Andersa, kiedy tylko chcę (więc o co ci chodzi, chciałam dodać, ale się powstrzymałam).

– Tak się mówi, jak człowiek wie, że go oszukali. Mleko, cukier?

– Oboje poprosimy czarną gorzką – odparł szybko Olofsson, choć, jak wiedziałam, słodził łyżeczkę lub dwie.

Usiadłam na kuchennej sofie obok Helgego i zerkałam ukradkiem na Olofssona, który usadowił się na krześle jak najdalej od Berit i utkwiał wzrok w stole. Wyglądał na przerażonego, biedak.

– Helge – zaczęłam, kiedy zrozumiałam, że Olofsson nic nie powie. – Yngve rozważa kupno psa, a pańskie labradory bardzo mu się podobają.

– Dzięki – prychnęła Berit i zaczęła nalewać kawę. – Łatwo jest się nimi zachwycać, jeśli samemu nie trzeba dzień w dzień odkurzać sierści.

Zrozumiałam już, dlaczego psy nie czekały, kiedy się zjawiliśmy. Pani w liliowym wdzianku trzymała je krótko.

– No i na co ci pies, Yngve? – ciągnęła, stawiając na stole talerz z sucharkami.

Olofsson i Helge patrzyli na nią w milczeniu.

– Teraz, kiedy Yngve nie pracuje, trochę doskwiera mu samotność – odparłam tak spokojnie, jak tylko mogłam. – Pies to dobry towarzysz, a wasze labradory są przepiękne.

– Towarzysz! Dobrze sobie! Nigdy nie umiałeś znaleźć sobie kobiety, ot co! A pies ma być substytutem. Może jeszcze weźmiesz sobie sukę? Nie ma w tej kwestii żadnych przepisów?

Zezłościłam się.

– Chyba już wystarczy – powiedziałam.

Berit obróciła się w moją stronę. Zmierzyła mnie wzrokiem od stóp do głów, a ja czułam, jak moja złość zaczyna się rozpląwać niczym galareta. Wypiłam łyk kawy, próbując ukryć się za kubkiem.

– A pani też, jak słyszałam, jest sama. Widać nikt pani nie chciał. A może wystarczyłoby zrzucić parę kilo i zadbać jakoś o włosy? Taka nieufarbowana strzecha to chyba nic atrakcyjnego.

Olofsson z miną cierpiénika wgrzył się w sucharka, który, niestety, złamał się w połowie, krusząc się na stół. Berit głośno westchnęła, chwyciła swój kubek i krokiem pawia wymaszerowała do pokoju obok, zamykając za sobą drzwi.

Helge westchnął.

– To silniejsze od niej – powiedział cicho. – Najlepiej nie reagować.

– Dzięki za kawę – odparłam. – Yngve, zbieramy się?

– Dam ci numer do hodowcy – obiecał Helge. – Podrzucę ci go przy okazji, bo mam go w tym pokoju, do którego poszła Berit, rozumiesz...

Nagle poczułam, jak ktoś chwyta mnie za barki, aż podskoczyłam, przestraszona. Po sekundzie wróciłam do rzeczywistości i kuchni Hanssonów. Sara stała przy mnie, przyglądając mi się pytająco.

– Trzymasz ten widelec z bekonem przy ustach już kilka minut. Dobrze się czujesz?

– Tak, tak, tylko myślałam sobie o tej wizycie u Anderssonów. W życiu nie spotkałam kogoś równie antypatycznego jak Berit.

– Ha, ha, trafiła się Helgemu jako kara za grzechy – zaśmiał się Anders.

– Ależ, Anders, ona nie zawsze taka była – wtrąciła Sara, która o ludziach stara się mówić tylko miłe rzeczy.

– Odkąd pamiętam, zadzierała nosa, a to tylko dlatego, że jej ojciec stawiał domy i miał najwięcej pieniędzy we wsi. Jest wściekła jak osa, bo nie udało jej się znaleźć męża z forszą i apartamentem w Göteborgu i musiała wyjść za chłopca mieszkającego na zadupiu – wymamrotał Anders. – Ja tam sto razy wolę ciebie, Sara. Miałem szczęście.

– Prawda, wystarczy spojrzeć na to śniadanie. – Uśmiechnęłam się.

– Dla mnie takie śniadania to coś romantycznego. – Sara się zarumieniła.

Co za cudowna para. Gryząc kanapkę z serem, przypomniałam sobie, co Olofsson mówił o ich córce.

Przełknęłam, przygryzłam niepewnie wargę, ale w końcu ostrożnie zapytałam:

– Sara, Olofsson mówił, że odwiedzaliście córkę, która urodziła dziecko. To prawda?

– Tak, zgadza się. Nie miała łatwego porodu, biedaczka. Dziewczynka miała pępowinę owiniętą wokół szyi, przez co ustała akcja serca. Musieli natychmiast zrobić cesarkę. Wszystko poszło dobrze, dzięki Bogu, ale Anita nie czuła się najlepiej.

– Sara, dlaczego nigdy o niej nie opowiadaliście? Myślałam, że Staffan jest jedynakiem.

Sara westchnęła. Położyła dłonie – pomarszczone dłonie kobiety roli, które wyglądały o wiele starzej niż reszta jej ciała – na stole i spojrzała w dół.

– Mieliśmy z nią kłopoty. Niełatwo jest o niej opowiadać, bo zawsze człowiek myśli o wszystkich tych historiach z przeszłości i sam nie wie, co powiedzieć.

– Nie musisz o niej mówić – wtrąciłam pośpiesznie, lecz Sara ciągnęła.

– Tobie mogę. Dobry z ciebie człowiek i musisz wiedzieć o tym, że cię lubimy. – Popatrzyła mi prosto w oczy.

Gdybyście tylko nie swatali mnie z waszym synem.

– Anitę potrafił autobus szkolny, kiedy miała czternaście lat. Przed wypadkiem była taką spokojną dziewczyną, miała przyjaciół jeszcze z dzieciństwa, dobrze się uczyła.

Przełknęłam ślinę i czekałam na ciąg dalszy.

– Jednak potem – kontynuowała Sara – kiedy już doszła do siebie... Najpierw myśleliśmy, że z tego nie wyjdzie. Miała poważny uraz głowy, wiele miesięcy



przeleżała w szpitalu. Tyle że później była zupełnie inną osobą...

Usłyszałam jakiś dźwięk i podniosłam głowę. To Anders stanął w progu i spoglądał na nas. Miał szkliste oczy. Wziął gwałtowny wdech, po czym wyszedł.

– Andersowi trudno o tym mówić – powiedziała Sara. – Musisz zrozumieć...

– Sara, absolutnie nie chciałam wtykać nosa w wasze sprawy. Naprawdę nie trzeba... Przeze mnie skończyło się to nasze miłe śniadanie – rzekłam smutno.

– Daj spokój. Powiem ci krótko, jak to było. Anita zaczęła się zadawać z nowym towarzystwem, takim, którego wcześniej się bała. Wiele razy uciekała z domu, a kiedy skończyła osiemnaście lat, wyfrunęła stąd na dobre. Najpierw do Göteborga, potem do Kopenhagi. Uzależniła się od heroiny. Żyła na dnie. Miała chłopaka, który ją bił. Był okropny. Przywódca jakiegoś gangu. Pochodził z Bliskiego Wschodu. Nic do nich nie mam, ale on był prawdziwym łajdakiem... Zmuszał ją do... do... sama rozumiesz. Kazał jej tak zarabiać na narkotyki. Wielokrotnie do niej jeździliśmy, staraliśmy się sprowadzić ją do domu, lecz nie chciała... W końcu do akcji wkroczył Staffan. Mieszkał w Kopenhadze przez jakiś miesiąc, jakoś ją do siebie ściągnął, a potem zabrał do domu. Do nas nie chciała przyjść. Po jakimś czasie załatwił jej miejsce w ośrodku odwykowym, ale wtedy omal nie stracił przez to wszystko pracy, no i jego żona miała tego dość, skończył więc jako rozwodnik.

Olofsson, ty draniu, niech cię szlag.

– Ale Anita wyszła z nałogu, a w ośrodku poznała chłopaka, z którym teraz mieszka, i tylko dobry Bóg wie, jak to teraz będzie. Z dzieckiem i w ogóle. Kiedy Anita zadzwoniła i powiedziała, że chce, byśmy byli przy niej podczas porodu, zgodziliśmy się od razu, bo wcześniej w ogóle nas do siebie nie dopuszczała. Rozumiesz, Raili?

– Oczywiście. I bardzo mi przykro.

Sara wstała i przeszła do salonu. Po chwili wróciła ze zdjęciem w ramce. Na nim widać było ładną, blondwłosą nastolatkę z dołeczkami w piegowatych policzkach i błyskiem w oku. Anita sprzed wypadku.

– Często myślałam, że może lepiej by było, gdyby wtedy zginęła. Teraz muszę z tym żyć.

Wróciłam do domu i rozsiadłam się w hamaku. Czułam zbliżający się ból głowy. Co też odbiło Olofssonowi? Najpierw chciałam zapytać Sarę, czy on aby przypadkiem nie

jest stuknięty, ale bałam się, że zacznie się zastanawiać, czemu pytam. A doprawdy nie miałam ochoty opowiadać jej tych okropnych rzeczy, które on nawygadywał o niej i jej rodzinie. Zaczęłam się mocno huścić, zastanawiając się, co z tym począć. Jednak, do licha, przecież byłam na urlopie.

## 10

Idea urlopu jest taka, że się odpoczywa. Przynajmniej ja tak uważam. Nie jestem zwolenniczką wypoczynku spędzanego na robieniu coraz to nowych rzeczy, rozwijaniu się, oglądaniu nieznanymi miejsc i nerwowym ganiu niczym króliczek Duracell. Innymi słowy, sześć tygodni w wiejskim domku z wychodkiem na dworze to dla mnie wymarzone wczasy. Choć byłyby jeszcze bardziej wymarzone, gdyby nie dojmujący ból głowy.

Zajrzałam do szafki w poszukiwaniu tabletek przeciwbólowych, ale żadnych nie znalazłam. Wypiłam więc dużo, na wypadek gdyby przyczyną było odwodnienie, a potem zabrałam słuchawki od iPhone'a i ruszyłam na plażę. Ubrana w podkoszulek i szorty, rozłożyłam się na plecach, spokojna o to, że nikt nie będzie tu oglądał mojego cellulitu, i zapatrzyłam się na chmury, które wyglądały jak ciastka z bitą śmietaną. Ze słuchawek płynął chropawy głos Niny Simone, a ja doszłam do wniosku, że życie jest całkiem w porządku.

Ból głowy jednak się nasilał. Zwinęłam się potem z kocem do domu i zaczęłam rozważać, czy dam radę przyrządzić sałatkę, czy też powinnam raczej pojechać do Hedum po pizzę. Skończyło się na tym, że do zmierzchu przeleżałam skulona na sofie, użalając się nad sobą.

Zwlokłam się przed kolacją, żeby jeszcze raz poszukać tabletek, ale żadnych nie znalazłam. Sięgnęłam więc po treo comp, środek, który dostałam od dentysty, choć wiedziałam dobrze, że zetnie mnie z nóg.

\* \* \*

Było gorąco, duszno i zupełnie cicho. Człowiek nie zauważa, że ptaki śpiewają, dopóki nagle nie przestaną. Obudziłam się owinięta w mokre od potu prześcieradło,

a pierwszą rzeczą, jaka przyszła mi do głowy, był album ze zdjęciami Olofssona – wszystko za sprawą snu.

Śniło mi się, że Olofsson siedział na imprezie z okazji rozpoczęcia sezonu na raki i nagle przybiegł do niego jego pies, czarny labrador. Olofsson schwycił jego obrozę i napisał na niej: „Nie znikaj, nie znikaj, nie znikaj”. Potem podeszła do niego jakaś kobieta i na tym sen się skończył. Rozpłynął się niczym mgła, jak to z reguły bywa ze snami, kiedy próbujemy je sobie przypomnieć.

Zerknęłam na zegarek w komórce. Dopiero wpół do czwartej. Położyłam się na plecach i patrzyłam w sufit. Dziwne, byłam pewna, że po lekach będę spać jak kamień.

Nie było sensu leżeć w przepoconej pościeli. Zeszłam do kuchni i nastawiłam kawę. Przez chwilę nerwowo kręciłam się bez celu, potem przysiadłam na starej skrzyni pod oknem, czekając, aż kawiarka zacznie bulgotać. W albumach Olofssona było coś, co nie dawało mi spokoju, nie mogłam sobie jednak przypomnieć co. Ludzie na przyjęciu z okazji rozpoczęcia sezonu na raki? Nie, to nie to. Nalałam kawy do kubka i poszłam na hamak. Na dworze było ciepło, nie czuło się nocnej wilgoci. Gdzieś w oddali pohukiwała burza. Huśtając się, popijałam kawę. Powoli odzyskiwałam spokój i jaką taką równowagę. Przymknęłam oczy, pomyślałam jednak, że nie mogę zasnąć w hamaku i oblać się kawą.

Nagle się wyprostowałam. Co to?

Coś kryło się w lesie za mną. Bardziej to wyczułam, niż usłyszałam. Łoś? Człowiek? W każdym razie czułam się obserwowana. Włosy stanęły mi dęba, poczułam lodowaty chłód. Nie miałam odwagi się obrócić. Starłam się wychwycić jakiś dźwięk, na przykład zbliżających się kroków, ale nic nie słyszałam. Spływały po mnie strużki potu, czułam, jak mięśnie zaciskają się jakby w skurczu. Chciałam się poderwać i biec, lecz nogi odmówiły mi posłuszeństwa. Objęłam kubek z kawą, jakby był moją ostatnią ostoją bezpieczeństwa.

To coś się zbliżało. Dlaczego nic nie słyszałam? Czułam przecież jego bliskość. Przyglądało mi się coś z duszą. I ze świadomością. Cała się trzęsłam, a jednocześnie nie mogłam się ruszyć. Zamknęłam oczy i zaczęłam mamrotać jedyne, co przyszło mi do głowy – modlitwę, której nauczyła mnie mama, kiedy byłam dzieckiem i bałam się wieczornych ciemności.

– Dobry-Boże-z-wysokości-chroń-mnie-od-zła-ciemności – dalej nie pamiętałam.

W końcu paraliż minął.

Zerwałam się z hamaka i spojrzałam za siebie. Nic. Tylko drzewa, rozświetlone burzą niebo i rozkołysane delikatne białe kwiaty na krawędzi lasu. Rozkołysane? Przecież nie było wiatru. Dość. Wylałam resztkę kawy na trawnik i czmychnęłam do domu, zamykając za sobą drzwi na klucz. Mojej ucieczce towarzyszyło uderzenie pioruna. Co za wycucie chwili. Trach drzwiami i trach na niebie.

W środku, kiedy już zrobiłam sobie nową kawę, zaczęłam się na siebie wściekać.

– Na Boga, Raili, zażywasz silny lek, po którym masz dziwny sen, nawet nie koszmar, a potem wychodzisz do ogrodu i dramatyzujesz. Dziecinada.

To jasne, że nikt mi się nie przyglądał. Przecież to był mój las, moje ukochane miejsce grzybobrania. Jutro znów wybiorę się na kurki, postanowiłam. Żadne dziwne przecucia mnie nie powstrzymają przed chodzeniem do lasu. Wślizgnęłam się pod kołdrę i obiecałam sobie, że już nigdy nie będę brać tych leków.

\* \* \*

Obudziłam się późno. Ból głowy wrócił, a kiedy wyjrzałam przez okno, zobaczyłam ciemne i groźne niebo, nisko zawieszony nad lasem. Włożyłam kalosze, chwyciłam kosz na grzyby i ruszyłam między drzewa. Nade mną rozciągały się burzowe chmury. Gdyby nie mój wczorajszy atak strachu, pewnie zawróciłabym do domu. Teraz jednak nie miałam wyjścia.

– Co ja się staram udowodnić? I komu? – wymamrotałam sama do siebie, maszerując starą drogą dla traktorów.

Nagle las się otwierał, a droga przechodziła w polanę. Uświadomiłam sobie, że nigdy wcześniej nie zaszłam aż tak daleko. Moim oczom ukazała się działka po jakimś starym domu, porośnięta krzewami malin, na których wisiąły dojrzałe owoce. Zadowolona, zaczęłam się przedzierać przez trawę i niski młodniak, gdy nagle pod stopami dostrzegłam dużą dziurę. Stara studnia. Rozejrzałam się i zobaczyłam kilka żerdzi opartych o drzewo. Chwyciłam jedną z nich i zakryłam dziurę, żeby nie wpaść w nią, wracając. Znam się nie od dziś.

Później przysiadłam na starych schodkach i zaczęłam zajadać ciepłe od słońca

maliny. Jeśli tylko nie patrzyło się na burzowe chmury, dzień wydawał się całkiem ładny. Świeciło słońce, słychać było bzyczenie much. Mimo to coś napełniało mnie niepokojem. Odpędziłam jednak tę myśl, chwyciłam koszyk i ruszyłam z powrotem na drogę.

Przejdę się trochę po lesie – pomyślałam – i zobaczę, czy znajdę jakieś kurki. Wystarczy tyle, ile potrzeba na grzanekę, później wrócę.

Chmury piętrzyły się na niebie szybciej, niż się spodziewałam. W lesie zrobiło się nieprzyjemnie ciemno i cicho. W pobliżu dostrzegłam na ziemi coś żółtego i pełna zapału, żeby zebrać grzyby i jak najszybciej uciec do domu, rzuciłam się przed siebie, wpadając wprost w małe bagienko.

– Jasna cholera.

Wyczłapałam jakoś na twarde podłoże, zadowolona, że włożyłam kalosze, i podeszłam do kurek. Zebrałam wszystkie, po czym zawróciłam pewnym krokiem w stronę domu. Tym razem jednak nie przez bagno, bo Bóg jeden raczy wiedzieć, co kryło się w tej mętnej topieli. Znalazłam mało przetartą ścieżkę, która akurat prowadziła w dobrą stronę, dzięki czemu udało mi się przyśpieszyć. Wydawało mi się, że za chwilę dojdę do drogi dla traktorów. Tyle że tak się nie stało. Ścieżka wiła się i wiła, prowadząc coraz głębiej w las, aż w końcu zupełnie straciłam orientację. Nade mną, jakby ku przestrodze, cicho zagrzmiało, a na nos skapnęła mi samotna ciężka kropla deszczu.

Nagle błysnęło. Aż krzyknęłam z przestachu i ruszyłam biegiem. Wymijałam drzewa, przeskakując przy tym borowiny i kępy krzaczków. Niebo znów rozblęzło i tylko dzięki temu udało mi się nie wpaść na samochód.

## 11

Gwałtownie się zatrzymałam. Przedemną stało auto. Toyota, całkiem nowa. Musiałam kilka razy zamrugać, żeby się upewnić, że dobrze widzę. Wyglądało na to, że stała tam już od jakiegoś czasu. Pod podwoziem nic nie rosło, ale jakieś zarośla zaczynały już wspinać się po oponach. Spróbowałam otworzyć drzwi od strony kierowcy, lecz były zamknięte. Pozostałe też. Przycisnęłam twarz do szyby i zajrzałam do środka, nie dostrzegłam jednak niczego specjalnego. Ot, zwykły nowoczesny wystrój. Wyprostowałam się i podrapałam po głowie.

Zaczęło padać.

Czy raczej lać. Po chwili przemokłam do suchej nitki. Zachowałam chyba resztki rozsądku, bo obesłam samochód, dzięki czemu znalazłam szerszą drogę wijącą się między drzewami. Czy dotrę nią do domu? Zaczęłam biec, znów błysnęło, po czym rozległ się potężny grzmot. Ziemia się zatrzęsała. Potknęłam się o korzeń i upuściłam koszyk, z którego kurki posypały się niczym żółte konfetti. Klnąc, jakoś się pozbierałam i dalej ruszyłam biegiem. Miałam wrażenie, jakbym walczyła o życie.

Mimo strug zalewających oczy wreszcie jakoś rozpoznałam okolicę. Dobiegłam do polany, na której kiedyś zbierałam grzyby. Skręciłam w lewo i po chwili dotarłam do ścieżki, która prowadziła wprost do mojego domu. Radość, jaką odczułam, widząc szare ściany i światła przebijające przez okna, była nie do opisania. Przekraczając próg, kichnęłam.

Po chwili siedziałam już na sofie, przebrana, owinięta kocem i z kubkiem gorącej czekolady, ale za to bez grzanki z kurkami. Mimo lęku, który mnie ogarnął w lesie, i mimo zadowolenia z powrotu do domu byłam zła na siebie, że nie pozbierałam rozsypanych grzybów.

Deszcz walił o szyby, wciąż grzmiało. Pokój rozświetlały kolejne błyski. Wtedy

zgasły światła. Wyłączyli prąd. Zapaliłam świeczkę zapachową z Ikei, naciągnęłam koc na głowę i postanowiłam przeczekać burzę. Już od dawna nie czułam się tak samotna.

\* \* \*

– Niesamowite, jaki strach może oblecieć człowieka, kiedy znajdzie się sam w lesie podczas burzy – powiedziałam do Olofssona, nalewając mu kawy.

Był na tyle uprzejmy, że następnego dnia zajrzał do mnie, żeby zobaczyć, co słychać.

– Prawda, wyobraźnia zaczyna wtedy płatać figle. Nic dziwnego, że ludzie kiedyś wierzyli w trolle i elfy.

– Nie przypominam sobie, kiedy ostatnim razem się tak bałam – ciągnęłam. – A czego tam się było bać? Że zjawi się duch albo zabójca z siekierą?

– Może bałaś się, że trafi cię piorun?

– Jasne, tego też. Może nie ma w tym nic dziwnego, ale mimo wszystko...

Popijaliśmy kawę, spoglądając na jezioro. Chciałam zapytać Olofssona o to, co naopowiadał mi o Staffanie i Anicie, nie wiedziałam jednak, jak zacząć.

– Sara opowiadała mi o swojej córce.

– Aha.

– Mówiła, że dziewczyna przeżyła ciężki wypadek.

– No tak.

– I że wpadła w narkotyki, nawet się prostytuowała, o ile dobrze zrozumiałam.

– Ano, tak było.

– Ale wygląda na to, że nie wyszła za Araba. Sara wspominała, że Anita była kiedyś z facetem z Bliskiego Wschodu, który źle ją traktował, lecz teraz jest z chłopakiem z ośrodka odwykowego.

– Tak?

– To Staffan wyciągnął ją z narkotyków i to dlatego rozpadło się jego małżeństwo. – W końcu udało mi się wszystko z siebie wydusić.

– Staffan? Sam ci to mówił?

– Nie, Sara opowiadała.

– Ach tak. – Olofsson sprawiał wrażenie, jakby się nie zgadzał. – Ach ten Staffan...

– dodał pod nosem. – Nie słuchaj go. Sara i Anders są w porządku, żal mi ich



z powodu tej córki i w ogóle, ale ten Staffan... Wydaje mu się, że jest nie wiadomo kim. Zawsze tak było.

Kiedy Olofsson już odjeżdżał i skręcał na drogę, przypomniałam sobie, że nie zapytałam go o tę działkę w lesie. I o samochód.

## 12

– Halo, jest ktoś w domu?

Podniosłam się znad umywalki. Akurat trzymałam głowę pod kranem, a szampon cisnął mi się do oczu.

– Sara?

– Tak, tak. Myjesz włosy? Przecież mogłaś wpaść do nas i skorzystać z prysznic, głuptasku.

– Chciałam się dziś wybrać do miasteczka – powiedziałam, kiedy już owinęłam głowę ręcznikiem. – Kawy?

– Chętnie, poproszę. Do miasteczka, mówisz. Potrzebujesz czegoś?

– Tak, okularów. Chyba... Chciałam się umówić do okulisty. Przez cały urlop dokucza mi ból głowy, muszę to sprawdzić.

– A może to guz mózgu?

– Na pewno nie o to chodzi – odparła Sara. – To stres z ciebie schodzi. Słyszałam, że na urlopie ludziom zaczynają doskwierać przeróżne problemy zdrowotne.

Słyszałam. No tak, Sara była najbardziej odporną na stres osobą, jaką znałam. Na sto procent nie rozchorowywała się podczas urlopu. Z drugiej jednak strony, czy ona w ogóle miewała urlopy? Przecież chyba całe życie była gospodynią domową i pracowała w gospodarstwie.

– Sara, czym się zajmowałaś przed przejściem na emeryturę?

– Byłam wiejską listonoszką.

– Listonoszką? Serio? – Takiej odpowiedzi się nie spodziewałam.

Usiadłyśmy przy kuchennym stole i czekałyśmy, aż kawiarka zacznie pyrkotać.

– Jakim cudem zostałaś listonoszką? – zapytałam.

– Zanim pojawiły się dzieci, pracowałam na poczcie w Hedum. Nie byłam już taką

młódką, kiedy poznałam Andersa, urodziłam dzieci po trzydziestce.

Nie byłam młódką, pomyślałam. Jasne, dobij mnie.

– Przez jakieś dziesięć lat siedziałam w domu, a kiedy miałam wrócić do pracy, akurat zamknęli lokalną pocztę.

– A to niespodzianka – wtrąciłam.

– Proszę?

– Nic, nic. Mów dalej.

– No ale zaproponowali mi posadę listonoszki, bo poprzedni listonosz, Torsten, akurat odchodził na emeryturę. I zgodziłam się.

– Dziwne, jak to ludzie trafiają do tej czy innej pracy – rzekłam po namyśle. – Bo co, czy ktoś jako nastolatek się budzi pewnego ranka i oświeca go: Eureka, będę malować pasy na nowo wyasfaltowanych drogach?

– Raili, czasami zupełnie cię nie pojmuję.

– Chodzi mi o to, że najczęściej decyduje przypadek. Na przykład moja mama pracowała w miejskiej bibliotece. Zaczęłam tam dorabiać w wakacje jako piętnastolatka, a później już wydawało mi się logiczne, że powinnam iść w kierunku bibliotekarstwa, bo przecież tyle już wiedziałam, no i jakoś mi to odpowiadało. Przypadek. A gdyby moja mama była, dajmy na to, asystentką lekarza...

– To ty też wybrałabyś taki zawód? O to ci chodzi?

– No nie do końca, bo przecież tak nie można dorabiać w wakacje. Może jednak wtedy pracowałabym dorywczo jako salowa, a potem poszłabym do szkoły pielęgniarstwa.

– Szczęście, że tego nie zrobiłaś. Te biedne kobiety mają takie niskie pensje.

Kawa się zaparzyła, rozlałam ją więc do filiżanek. Sara dodała do swojej nieco wody, bo według niej moja kawa jest za mocna...

– Właściwie to przyszłam zaprosić cię na przyjęcie – powiedziała między jednym łykiem a drugim.

– Przyjęcie?

– Tak, za dwa tygodnie kończę siedemdziesiąt lat i chcieliśmy coś zorganizować. Zaprosimy tylko sąsiadów. Nie spotkałaś jeszcze wszystkich, mimo że masz tę działkę już od... ile to będzie, ze dwa lata?

– Przyjęcie! – Uśmiech sam pojawił mi się na twarzy.

\* \* \*

Podczas wizyty u okulisty musiałam spojrzeć w urządzenie przypominające lornetkę. Lekarka, surowa kobieta w białym fartuchu, pokazała mi tablicę z rzędami liter różnej wielkości. Śmieszne, ale denerwowałam się, że źle odpowiem na jej pytania. Kiedy byłam uczennicą, tydzień przed badaniami wzroku chodziłam do szkolnej pielęgniarki z byle powodu, by ukradkiem przepisywać litery z tablicy i przećwiczyć ich układ w domu. Teraz oczywiście tak nie robiłam. Wydoroślałam i... zmądrzałam. Przy tym, jak dużo czytałam, nie zdziwiłabym się zresztą, gdyby się okazało, że potrzebuję okularów. No i wolałam, żeby ten ból głowy wiązał się z problemami ze wzrokiem, a nie z czymś innym.

– Z pani wzrokiem wszystko w porządku – stwierdziła okulistka. – Za kilka lat będzie pani potrzebować okularów do czytania, a tymczasem nie powinna mieć pani z tym problemów.

No tak, czyli na pewno to guz mózgu.

– Od kilku tygodni dokucza mi ból głowy. Z czego w takim razie może to wynikać?

– Nie mam pojęcia – odparła, pobierając ode mnie opłatę za wizytę. – Może powinna pani odwiedzić chiropraktyka.

Skoro już i tak byłam w miasteczku i miałam zasięg, przysiadłam w kafejce z kawą i ciastkiem i zaczęłam przeglądać internet, szukając objawów guza mózgu. Wymioty, zawroty głowy, zmiany osobowości, ataki skurczów, napady padaczki, silne bóle głowy, problemy ze wzrokiem i słuchem... Cóż, może w takim razie nie miałam guza mózgu. Może to po prostu stres, jak sugerowała Sara.

Sprawdziłam skrzynkę mailową i Facebooka – głównie po to, by zobaczyć, co Leif i jego szczupła dziewczyna porabiają na urlopie – oraz odpowiedziałam na esemesy od Ylvy. Potem siedziałam jeszcze chwilę, wyglądając przez okno. Zastanawiałam się, jak widzą mnie inni. Jako samotną kobietę z nieufarbowanymi włosami i lekką nadwagą? Czy może świadomą własnej wartości, ciekawą i inteligentną osobę?

Znów sięgnęłam po komórkę i wpisałam w wyszukiwarkę „Anita Hansson”. Mnóstwo trafień. Spróbowałam jeszcze na Facebooku, zaznaczając Göteborg jako

miejsce zamieszkania. Wskoczyło kilka profili, lecz żadne ze zdjęć nie pasowało. Widniejące na nich kobiety były zbyt młode, za stare albo nie wykazywały żadnego podobieństwa z fotografią, którą pokazała mi Sara. Może Anita nie nazywała się już Hansson. Może nie miała profilu na Facebooku, co wydawało mi się nie do pomyślenia, choć wiem, że rzeczywiście niektórzy nie mają. A może znajdę ją na portalu urodzinowym? Ile mogła mieć lat? Staffan miał trzydzieści pięć, nie wiedziałam jednak, czy był od niej młodszy, czy starszy. Sara wspominała, że urodziła po trzydziestce, a teraz miała siedemdziesiąt. Czyli Staffana urodziła w wieku trzydziestu pięciu lat. Może więc był młodszym dzieckiem? Warto więc chyba przeszukać wszystkich między trzydziestym szóstym a czterdziestym rokiem życia? Tak też zrobiłam.

I nic. Nic nie znalazłam. Wśród osób między trzydziestym a trzydziestym czwartym też nie. Może więc trzydzieści pięć, pomyślałam. Nic.

Czyli nie nazywa się już Hansson.

## Wrzesień 1671 roku

Ból był nie do wytrzymania. Kirsti z jękiem osunęła się na kolana, chwytając się rozgrzanej płyty pieca jako podparcia. Powykrzywiane palce zaczerniły się od sadzy, a skóra na nich złuszczyła się od gorąca. Jej matka, Marta, spojrzała na nią przerażona.

– Uważaj, parzysz się.

– Matko, idź stąd. Zostaw mnie. Natychmiast!

To nie był głos Kirsti. Był niski, głuchy, lodowaty.

Starsza kobieta patrzyła bezradnie, jak jej córka zwija się na podłodze. Strugi potu z twarzy spadały na ciemne deski podłogi, powieki miała zaciśnięte, a usta wykrzywiały grymas bólu i strachu.

– Kirsti, rodzisz. Mogę ci pomóc.

– NIKT NIE MOŻE MI POMÓC!

– Uspokój się.

– Idź sobie! No już!

Marta jednak jej nie słuchała. Stała na środku ciemnej izby, przyciskając wykrzywione od reumatyzmu ręce do ust, a jej oczy przepełniały łzy.

\* \* \*

Z kąta obserwował ich czarny kot. Jego przymrużone żółte oczy błyszczały. Kirsti podniosła głowę i dostrzegła jego spojrzenie. Przepełniło ją poczucie nienawiści. Zagłuszyło ból i wszystko inne.

– Nie patrz na mnie – wysyczała. – Jeszcześ nie zdechł?

Kot wciąż wpatrywał się w nią bezlitośnie. Że też żywe stworzenie może być aż tak nieruchome.

Kirsti powoli się uniosła. Klęczała teraz oparta na rękach, a groteskowy krągły brzuch sięgał podłogi. Jej ruchy były zwinne, jakby obłąkańcze. Przy takich gabarytach nikt przecież nie mógłby się tak poruszać.

Marta cofnęła się o krok i przyłgnęła plecami do drzwi. Z szeroko otwartymi oczami zrobiła ręką znak krzyża.

Dał się słyszeć dziwny dźwięk. Jakieś nieludzkie zawodzenie, nie było jednak wątpliwości, skąd się dobywało. Gardło Kirsti wibrowało, wycie to cichło, to przybierało na sile. Kot mruczał. Intensywnie, jakby ostrzegawczo. Kiedy jego mruc zlał się z zawodzeniem Kirsti, Marta poczuła, że coś w niej puszcza. Po udzie pocięła jej strużka ciepłego moczu.

– Matko Boska, uchronń nas od zła wszelkiego – wymamrotała i z przerażeniem patrzyła, jak Kirsti napina się, jakby do skoku.

Kot również to zobaczył, nie zdążył jednak zareagować. Kirsti dopadła go i czarną, pokrytą pęcherzami ręką chwyciła za brzuch, przyciskając go grzbietem do podłogi. Zwierzę zaczęło zaciekle drapać ostrymi pazurami, próbując się wyrwać. Udało mu się ugryźć ją w kciuk, aż do mięsa, lecz Kirsti nie zwolniła uchwytu. Pochyliła się nad kotem, bez grymasu pozwalając drapać się po twarzy. W końcu spojrzenia jej i kota się spotkały.

W pokoju zapadła całkowita cisza. Przez chwilę Marta sądziła, że jej prośby zostały wysłuchane albo że kot po prostu skonał ze strachu. Po chwili usłyszała jednak jego rżenie, kiedy Kirsti drugą ręką ścisnęła go za gardło.

Rycząc, wstała i uderzyła zwierzęciem o ścianę. Kot próbował wydobyć z siebie dźwięk, ale jej ręka wciąż mocno trzymała go za szyję. Kirsti cisnęła go w stronę pieca. Kiedy czarne futro zajęło się płomieniami, rozległ się syk.

– Płoń, diable, płoń! – krzyknęła i rzuciła kota na podłogę.

Płonący kłębek na czterech łapach darł się i biegał wkoło, odbijając się od ścian i mebli. I wył, Boże, jak on wył.

Kirsti się zaśmiała.

Wtem kot wpadł na nią, a jej spódnica zajęła się ogniem. Kirsti spojrzała w dół i zaśmiała się jeszcze głośniej. Wyrzuciła ręce w górę i znów wydała z siebie ten straszny głos.

Marta podbiegła i uklękła przed nią. Z desperacją zaczęła machać rękami. Dłonie mocno uderzały w płomień, lecz ogień prześlizgiwał się między jej palcami i piął się po tkaninie. Zanosząc się od płaczu, chwyciła za spódnicę i zerwała zniszczony materiał z córki.

– Matko Boska, dopomóż. Dziecko drogie, dziecko drogie – jęczała, gdy nagle

córka pociągnęła ją za włosy, zmuszając, by spojrzała w górę.

– Co robisz, kobieto? – powiedziało stworzenie, które kiedyś było jej Kirsti.

Marta popatrzyła w lodowatoniebieskie oczy i poczuła, jak giną w niej resztki nadziei, a cała miłość znika.

– Płoniesz – powiedziała cicho.

– Może i ty chcesz?

Kirsti chwyciła płonąca tkaninę i przycisnęła do twarzy Marty.

Jej skóra zaczęła się topić. Marta czuła to dokładnie.

– Ładnie pachnie – powiedziała Kirsti, oblizując usta. – Robię się głodna.

Powstrzymał ją nagły skurcz. Pchnęła matkę na murowaną ścianę i padła na ziemię, przyciskając brzuch rękami.

Marta cała się trzęsła. Przesunęła dłonią po twarzy i pod palcami poczuła duże otwarte rany w miejscach, gdzie płonąca tkanina wypaliła jej skórę. Z głowy płynęła krew zmieszana z drobinami kości. Zaczęło piec, gdy strużki dotarły do poparzeń. Przez duszący dym trudno było cokolwiek dostrzec. Kot zdechł, leżał teraz pod oknem, a jego resztki jeszcze płonęły wraz ze starą ławą. Podłoga też się zajęła. I ściany. Dach. Wszystko płonęło.

Kirsti turlała się po podłodze, mocno obejmując brzuch. Oczy miała zamknięte, jej twarz na powrót wyglądała jak twarz Kirsti. Marta wstała i, potykając się, ruszyła do drzwi. Opłynęło ją świeże powietrze, było dla niej niczym zbawienie. Na dworze świeciło słońce, ptaki śpiewały.

Ogień ryczał.

Marta obróciła się i weszła z powrotem do chaty. Języki ognia lizały ściany oraz dach. Przyklękła przy córce.

– Chodźmy, moje dziecko, musimy stąd wyjść – powiedziała spokojnie i ostrożnie pociągnęła Kirsti za ramię. – Pomogę ci.

\* \* \*

Nie zaszły daleko. Marta starała się skłonić Kirsti do wejścia na wzgórze, ale nogi odmówiły im posłuszeństwa. Padły na ziemię jak długie. Kiedy Marta obróciła głowę, zobaczyła biedne kozły, które stały stłoczone w swojej małej zagrodzie. Patrzyły



z przerażeniem na chatę.

Płomienie wydostawały się już przez ściany na zewnątrz. Niewielkie okno wybuchło i ogień wylał się z niego niczym woda z dziury. Gdyby ściana się zawaliła, spadłaby na nie.

– Niech się dzieje wola Boga – wymamrotała Marta, obracając się do córki.

Oczy Kirsti odzyskały swój zwykły niebieski kolor. Dziewczyna otworzyła je szeroko, patrząc na matkę.

– Spotkałam zło. Spotkałam diabła.

– Wiem, moje dziecko.

Kirsti jeszcze mocniej chwyciła się za brzuch. Zaczęło się. Marta usiadła ciężko przy udach córki i zobaczyła duże czerwone pęcherze. Pokrywały wewnętrzną stronę nóg, od krocza aż po stopy. Chciała zapytać, co takiego jej się stało, lecz zanim pytanie przybrało formę słów, rozumiała, że przecież wszystko się stało.

Przy pierwszym parciu brzuch jakby się zapadł. Z krocza Kirsti czuć było nieprzyjemny zapach.

– Dobry, litościwy Ojczy na niebie, przez wzgląd na syna Twego, Jezusa Chrystusa, wysłuchaj naszych modlitw – wyszeptała Marta, z przerażeniem obserwując, jak ciemna masa mięsa wysuwa się spomiędzy nóg jej córki.

Odór był nie do opisanego. Jak długo dziecko tkwiło martwe w środku? Biorąc pod uwagę, jak duży był brzuch, można by sądzić, że zmarło niedawno. Jednak ciało było zgniłe. Nie dało się dostrzec w nim człowieka.

– Matko, pomóż mi – zawołała Kirsti, podpierając się na łokciach. Pot ściekał jej po czole i zadrapaniach na twarzy. Brzuch wklęsł się jeszcze bardziej, ale to coś, cokolwiek to było, nadal w nim tkwiło.

– Ja nie chcę. Niiieeee – płakała Kirsti, wymachując głową to w jedną, to w drugą stronę.

Marta zagryzła zęby, chwyciła ciemną lepłą głowę i pociągnęła. Najpierw ostrożnie, Kirsti jednak krzyczała coraz głośniejsze. W końcu Marta poczuła, że opór ustał, a dziecko wyslizgnęło się z jej córki i z płaskim wylądowało na ziemi między jej udami. Kirsti podniosła się i z przerażeniem popatrzyła na sztywne, zgniłe ciało. Można było dostrzec ręce i nogi, lecz dłonie i stopy przypominały ciemne powykręcane

korzenie. Główka leżała twarzą do ziemi. Była ciemnoczerwona jak reszta ciała i pokrywały ją kłaczki włosów przyklejonych do skóry.

– Nie patrz – powiedziała Marta. – Przyj dalej. Musisz urodzić łożysko.

Ciałem Kirsti wstrząsnął dreszcz, jakby miała konwulsje, i z krocza zaczęła cieknąć krew. Najpierw ciemna, niemal czarna, potem coraz jaśniejsza. Marta wiedziała, co to znaczy: z Kirsti ulatywało życie.

Ona, która przeżyła lata wojny i pokoju, głodu i ucisku, patrzyła teraz, jak jej córka umiera, a dom płonie. Wstała i poczłapała do kozłów. Otworzyła zagrodę. Nie wszyscy muszą dziś umrzeć, pomyślała.

Czy ktoś nadejdzie? Czy płomień było widać z Prästgården? Zdjęła fartuch, by okryć ciało córki, i w tym momencie jej wzrok padł na dziecko. Bo było to dziecko, zdążyło się nim stać przed śmiercią. Z westchnieniem przykucnęła i ostrożnie położyła rękę na główce. Była ciepła. Nagle przestała słyszeć cokolwiek, bo oto poczuła, że pod jej ręką małe się poruszyło. Powoli obróciło się na bok, tak że dało się dostrzec mały nosek, a potem usta. Dziecko otworzyło jedno oko i popatrzyło na nią lodowatoniebieską tęczę.

Ściany chaty runęły.

## 13

Skurcz pojawił się niespodziewanie. Zgięłam się wóół, czując, jak pot ścieka mi po plecach. Co jest? Czyżbym się zatrula? We wszystko już byłam w stanie uwierzyć. Doczłapałam się do sofy i położyłam z nogami podkulonymi pod brodę. Miałam wrażenie, że umieram. Czyżby wyrostek? Ale czy atak wyrostka bywa tak gwałtowny?

Kiedy poczułam, że muszę zwymiotować, gorączkowo rozejrzałam się za wiadrem, ale za nic nie mogłam sobie przypomnieć, gdzie je wsadziłam. Zwlokłam się i ruszyłam na dwór, w stronę wychodka, oświeciło mnie jednak, że lepiej iść do krawędzi lasu. Zdażyłam akurat zejść z trawnika, kiedy zaczęłam zwracać. Miałam wrażenie, że wszystkie wnętrzności wychodzą mi przez gardło. Zamknęłam oczy, by nie musieć patrzeć na to, co lądowało na ziemi pod moimi stopami. Nie mogłam przestać. Lało się ze mnie na całego, krztusiłam się już z braku powietrza, bo nie nadążałam łapać tchu między jednym atakiem a drugim. W końcu leciała już tylko żółć... Paliło mnie w gardle i w ustach. Otworzyłam oczy.

Mój Boże, to wyglądało jak poród, tylko bez dziecka. Odwróciłam się od brunatnego bajora na ziemi, mając nadzieję, że nie tonął w nim któryś z moich wewnętrznych organów niezbędnych do życia. Wymiociny rozbryznęły się na paprocie, krzaki, a nawet na stojące obok młode brzożki. Ohyda.

Moje włosy też wyglądały okropnie. Zlepione wymiocinami strąki wisały przy twarzy i opadały na ramiona. Sweter cały był poplamiony, coś ciekło mi też po udach.

Po udach? Drżącą ręką odpięłam dzinsy i ściągnęłam je do kolan. Z przerażeniem zobaczyłam krew gwałtownie spływającą po nogach. Czyżbym umierała? Pojawił się kolejny skurcz, z jękiem powoli uklękłam na trawie. Gdzieś w środku poczułam ból. Okres? Nigdy w życiu mnie tak nie bolało, czy mógł to być po prostu okres?

Ruszyłam do domu, udało mi się jakoś dowlec aż do szafki z lekiem, który dostałam

od dentysty. Spoczone palce ślizgały się po wieczku, które próbowałam otworzyć, zdesperowana włożyłam fiolkę do ust i otworzyłam zębami. Wyjęłam pigułkę i nalałam wody do szklanki. Kiedy lek się rozpuszczał, miałam wrażenie, że mija wieczność. Każdy bąbelek tworzył się przez minutę, pigułka zaczęła mięknąć i obracała się, ale nie robiła się ani trochę mniejsza. W końcu nie wytrzymałam i wypięłam wszystko naraz: wodę, pigułkę i bąbelki. Musująca tabletką utknęła mi w gardle, lecz przełknęłam ślinę kilka razy, napełniłam szklankę jeszcze dwa razy, aż w końcu się udało.

Powoli osunęłam się na podłogę i przysiadłam, wsparta plecami o szafkę kuchenną. Oparłam głowę na kolanach i modliłam się, żeby lek mi pomógł. Gdyby ból nie zelżał, byłam gotowa doczołgać się do jeziora i utopić. Na szczęście zaczął słabnąć. Było mi łatwiej oddychać, mogłam się wyprostować, a nawet wstać.

Najbardziej na świecie marzyłam o tym, by dotrzeć do domu Sary. Gdybym tylko mogła do niej zadzwonić. Brak zasięgu to jednak brak zasięgu. Powoli rozebrałam się do naga. Krew nadal spływała po udach. Oderwałam spory kawałek stojącego na blacie ręcznika papierowego i przycisnęłam do krocza, a potem, ze złączonymi w miarę możliwości kolanami, pokuśtykałam do szafki, w której trzymam wszystkie utensylia. Wyciągnęłam z niej tampon i założyłam go. Ręce natychmiast pokryły się krwią. Chwyciłam kolejną porcję papieru i zaczęłam wycierać ciało, z przerażeniem obserwując stertę rosnącą w koszu na śmieci. Gdybym miała zasięg, wykręciłabym 112.

Ręcznik kąpielowy leżał na kanapie. Wzięłam go, zabrałam też szampon i naga ruszyłam do jeziora. Gdyby ktoś obserwował mnie w tej chwili przez lornetkę, zapewne sam zadzwoniłby pod 112, oszczędzając mi tym samym problemu.

Woda była tak zimna, że niemal uciekłam z powrotem na brzeg. Zmusiłam się jednak i zanurzyłam kilka razy po czubek głowy, po czym wylałam na włosy i na całe ciało pół butelki szamponu, ścierając przy tym resztki krwi, wymiocin i pot. W tamtym momencie oddałabym swoje pierworodne dziecko (gdybym takowe miała) za ciepły prysznic.

Lek od dentysty okazał się cudowny. Kiedy wycierałam się ręcznikiem, prawie już nie czułam bólu. Ulga była tak duża, że z oczu pociekły mi łzy. Nagle uświadomiłam sobie, że wypinam właśnie swój duży, biały tyłek na drugi brzeg jeziora, na którym mieszkają ludzie. Pokrzykując, pobiegłam czym prędzej do domku i zatrzasnęłam za

sobą drzwi. Niech to szlag. Wyjrzałam przez okno, jednak mimo słonecznej pogody na drugim brzegu chyba nikogo nie było. Czyżbym miała aż tyle szczęścia? Mało prawdopodobne.

Moja mała pralka dzielnie pomrukiwała. Kotłowały się w niej wszystkie ubrania, które bez względu na kolor i zalecenia z metek wstawiłam na sześćdziesiąt stopni. Wyszorowałam podłogę w kuchni i przetałam blat, aż wreszcie wszystko wróciło do normy. Założyłam sobie nowy tampon, do tego grubą podpaskę na noc, choć i tak nie byłam pewna, czy to wystarczy. Co pięć minut sprawdzałam ręką, czy majtki są suche. Na razie były.

Położyłam się na sofie i nakryłam kocem, mimo że miałam już na sobie ciepły dres i bluzę. Wtedy uświadomiłam sobie, że mam gorączkę. Lek od dentysty, który nagle stał się moim najlepszym przyjacielem, stał obok na stole wraz ze szklanką oraz pełnym dzbankiem wody. Tak na wszelki wypadek. Wyszukałam też wiadro i ustawiłam przy sofie. Przezorny zawsze ubezpieczony.

\* \* \*

– Źle się czujesz?

Otworzyłam oczy i zobaczyłam nad sobą zatroskane spojrzenie. Nagle się podniosłam, uderzając o coś głową. Położyłam się ponownie i popatrzyłam w górę. Nade mną stała Sara, pocierając ręką czoło.

– Auć – powiedziała.

– Ojej, przepraszam.

– Co ci właściwie jest? Staffan widział, jak wcześniej biegłaś naga z jeziora do domku. Podobno nie wyglądałaś najlepiej.

Cholera, jasna cholera. Ze wszystkich ludzi to akurat on musiał mnie zobaczyć.

– Tak, strasznie się rozchorowałam. Wymiotowałam. A do tego dostałam okresu.

– Bidulka. Masz problemy z żołądkiem? Może coś zjadłaś?

– Nie, chyba nie. To ten okres... To wszystko chyba przez bóle miesięczkowe. – Wskazałam stojący obok lek.

– To silny środek – zauważyła Sara.

– I dzięki Bogu, bo teraz czuję się dużo lepiej. Nawet zgłodniałam – odparłam,

uświadamiając sobie, że właściwie zjadłabym konia z kopytami.

– Świetnie, bo właśnie przyrządziłam jedzenie – uśmiechnęła się Sara. – Wstaniesz sama czy mam cię ściągnąć?

– Staffan jeszcze u was jest? – zapytałam żalonym tonem.

– Nim się nie przejmuj. Zdarzało mu się już wcześniej widywać nagie niewiasty. Jakby to mogło mnie pocieszyć.

– Ale mnie jest całkiem sporo. – Czułam, jak się czerwienię.

– Prędzej czy później będziesz go musiała spotkać, więc czemu nie teraz – odparła Sara rezolutnie i bez ceregieli zaczęła mnie ściągać z sofy. Machnęłam ręką, żeby zaczęła, i wrzuciłam kolejną tabletkę do wody.

– Tak na wszelki wypadek. Nie chcę, żeby znów zaczęło mnie tak boleć, kiedy będę u was.

\* \* \*

– Słyszałaś? – Zatrzymałam się w połowie drogi do domu Hanssonów i chwyciłam Sarę za ramię.

– Nie? Co takiego? – rozejrzała się niepewnie.

– Coś w lesie. Jakby ktoś płakał albo krzyczał.

– To na pewno tylko jakieś zwierzę. Jesteś teraz przewrażliwiona. Chodźmy.

Sara mnie objęła i ruszyła przed siebie. Ja jednak byłam pewna, że coś słyszałam. Niemiłe uczucie. Nagle poczułam, że znów panicznie boję się lasu.

– Niiieeee...

– A teraz słyszałaś?

– Nic nie słyszę. Raili, co się z tobą dzieje?

– Ktoś krzyknął „Nie”, jestem pewna.

Sara popatrzyła na mnie, poważnie zaniepokojona. Szybko pociągnęła mnie za sobą i po chwili, zanim zdołałam coś powiedzieć, już sadzała mnie na krześle w swojej kuchni. Anders i Staffan już tam siedzieli, zobaczyłam też Olofssona, który stał przy kuchence i mieszał coś w garnku.

– Staffan, miałeś rację. Raili źle się dziś czuła, ale już jej lepiej – powiedziała Sara. – Dziękuję ci, Yngve, możesz już usiąść, ja się tym zajmę.

Nie miałam odwagi spojrzeć na Staffana, wpatrywałam się więc wnikliwie w zarysowania na stojącym przede mną talerzu i myślałam sobie, że wyglądają jak swego rodzaju mapa. W głowie wciąż odzywało się echem wołanie z lasu. Nie pojmowałam, jak Sara mogła go nie słyszeć. Może była przygłucha. Ylva opowiadała mi, że jej mężowi bardzo pogorszył się słuch, ale on nie chciał się z tym pogodzić. Twierdził, że słyszy świetnie, tylko ona złośliwie, kiedy mówi, bezgłośnie porusza ustami, zamiast się odezwać jak człowiek. Może Sara też nie potrafiła przyznać, że ma problemy?

Na stole pojawił się garnek z sosem oraz miska parujących ziemniaków. Zaczekałam na swoją kolej i nałożyłam sobie solidną porcję gulaszu mięsno-grzybowego oraz kilka dużych ziemniaków. Wszystko było przepyszne.

– Sara, co to za mięso? – zapytałam, kiedy już zjadłam większość porcji. – Smakuje wspaniale.

– Ależ to tylko łoś, kochana – odparła. – Anders go ustrzelił.

Uśmiechnęłam się i jadłam dalej. Nie pamiętałam już, kiedy ostatnio jadłam coś porównywalnie pysznego. Nie przyszło mi nawet do głowy, że znów się rozchoruję i wszystko zwrócę, zupełnie zapomniałam, jak źle się czułam i jak bardzo bolał mnie brzuch.

Zarówno ziemniaki, jak i sos wyjedliśmy do dna. Chciałam pomóc Sarze zmywać, lecz stanowczo mi nie pozwoliła z powodu mojego stanu. Kazała tylko cierpliwie czekać na kawę.

Kiedy już ją piliśmy, zorientowałam się, że jest bardzo cicho. Nikt się nie odzywał. Podniosłam głowę i nagle poczułam się zupełnie jak mąż Ylvy. Widziałam, że inni poruszają ustami, ale nie słyszałam słów. Wysiłałam się ze wszystkich sił, by coś wychwytać, i wtedy popatrzył na mnie Staffan.

– Dziwka.

Czy on powiedział do mnie „Dziwka”? Spojrzałam na niego ponownie, uśmiechał się.

– Dziwka – powtórzył.

Przełknęłam ślinę i popatrzyłam na innych. Sara rozmawiała z Andersem, ale on nic nie mówił, tylko mi się przyglądał. Odwróciłam się w stronę Olofssona, który zerknął

na mnie znad kubka z kawą.

– Dziwka – powiedział.

Gwałtownie odstawiłam kubek na stół. W środku czułam lodowate zimno.

– Muszę iść do domu – powiedziałam pośpiesznie i wstałam.

– Znów się źle czujesz? – zapytała zaniepokojona Sara. – Może lepiej zostań u nas?

Mogę ci pościelić w gościnnym.

– Muszę iść do domu – powtórzyłam i szybko ruszyłam od stołu do drzwi.

Czułam, że wszyscy na mnie patrzą.

\* \* \*

Przejsie przez las trwało wieczność. Zazwyczaj zajmowało mi kilka minut, ale czas potrafi być naprawdę względny. Szłam i szłam, lecz w ogóle się nie posuwałam. Co rusz się obracałam i patrzyłam na dom Hanssonów, a on wcale się nie oddalał, choć powinien. Spoglądałam więc do przodu, licząc na to, że między brzozaami zacnie przeświecać mój dach, ale nie. Utknęłam gdzieś pomiędzy naszymi domami. Nogi się ruszały, a ja donikąd nie dochodziłam. Zupełnie jakbym była na bieżni elektrycznej. Nie chciałam patrzeć na las, odwracałam zatem głowę w stronę jeziora, które przyjaźnie pobłyskiwało. Dzieci Almkvistów znów bawiły się na dworze. Biegały po plaży na drugim brzegu niczym mrówki. Popatrzyłam na swoje stopy. Poruszały się, a teren pod nimi się zmieniał, co znaczyło, że idę do przodu. Jednak bez skutku.

Nie chciałam patrzeć na las.

A jednak obróciłam się i popatrzyłam właśnie w tę stronę. Czy też raczej to ktoś obrócił mi głowę, żebym właśnie tam spojrzała. A może coś, nie wiem.

Las wydawał się wygaszony. Zupełnie jak pokój, w którym w pochmurny dzień nie pali się lampa. Słońce do niego nie docierało. Coś kryło się tam w środku, byłam pewna. Coś, co napierało.

Znów obróciłam się w stronę jeziora i zmusiłam się, by skierować stopy w tamtym kierunku. Powoli zeszyły ze ścieżki i ruszyły na plażę. Jeśli będę szła brzegiem i będę patrzeć na wodę, na pewno się posunę. Miałam wrażenie, że dzieci-mrówki do mnie machają, więc im odmachałam. A może tylko poruszały rękami, bo ochlapwały się wodą?



W końcu znalazłam się na swojej plaży. Pokonałam ostatni odcinek dzielący mnie od domu, a kiedy już byłam w środku, dokładnie zamknęłam drzwi na klucz. W tej chwili miałam ochotę sprzedać to miejsce i nigdy już tam nie wracać.

## 14

Była dopiero połowa sierpnia, ale miało się wrażenie, że to październik. Deszcz tylko czekał, aż będzie mógł spaść, niebo zaś było szare i ciężkie niczym z ołowiu. Próbowałam właśnie rozpalić w niewielkim kominku, a moje samopoczucie odzwierciedlało pogodę. Co jest ze mną nie tak? – myślałam. Czy naprawdę nie umiem utrzymać przy sobie przyjaciół? Leifa też przecież nie utrzymałam. Co takiego zrobiłam, że odwrócili się ode mnie?

Ogień nie chciał się rozpaść. Zaklęłam i położyłam na palenisku kolejną kulę z papieru, po czym podpaliłam. Rozpałka zasyczała i zajęła się ładnym płomieniem, lecz już po chwili wolno zgasła. Osmalone polana dymiły, ale się nie paliły.

– A niby nie ma dymu bez ognia – wymruczałam pod nosem i podjęłam kolejną próbę. Jak też ludziom się udaje ogrzewać kominkami domy?

Nagle usłyszałam dźwięk silnika samochodowego.

Wstałam i podeszłam do okna. Żwirową drogą nadjeżdżał opel Olofssona. Westchnęłam i zaczęłam na poważnie rozważać, czy nie schować się w szafie i nie przeczekać, dopóki gość nie odjedzie.

Puk-puk-puk.

Dlaczego te gbury znad jeziora nie mogły po prostu zostawić mnie w spokoju? Po chwili wahania otworzyłam jednak drzwi, ale natychmiast obróciłam się na pięcie i wróciłam do pokoju. Olofsson stał na progu, patrząc na moje plecy.

– Raili, co z tobą? Stało się coś?

– Czy coś się stało? To chyba ja powinnam zapytać, co z tobą? – krzyknęłam i wreszcie się do niego odwróciłam.

– Wczoraj wybiegłaś bez powodu od Sary. Wszyscy się zaniepokoiili, bardzo dziwnie się zachowywałaś.

– Dziwnie? A jak miałam się zachować, skoro tak się do mnie odezwaliście? – Nie mogłam się powstrzymać i cały czas na niego wrzeszczałam.

– O czym ty mówisz?

– O tobie i Staffanie. Nazwaliście mnie dziwką. I to kilka razy. – Mimowolnie zaczęłam płakać.

Olofsson patrzył na mnie jak na wariatkę.

– Nie nazwaliśmy cię dziwką. Co ci strzeliło do głowy?

– Przecież tam byłam i słyszałam. Popatrzyliście na mnie i powiedzieliście: „Dziwka”. I ty, i on. I to wyraźnie.

– Nic takiego nie powiedzieliśmy. Coś ci się ubzdurało. Co z tobą?

Nagle przypomniałam sobie tę stronę w internecie, którą przeglądałam w kawiarni. Objawy guza mózgu: ataki skurczów, problemy ze wzrokiem i słuchem, silny ból głowy.

– O Boże – jęknęłam i chwyciłam się za głowę.

– Co jest? – Teraz Olofsson naprawdę się zaniepokoił. Podszedł do mnie i chwycił mnie za ramiona. – Raili, co się dzieje? Przerażasz mnie.

– Mam raka, Yngve. Guza mózgu. Boże, Boże. – Rzuciłam się na sofę i skryłam głowę między poduszkami. – Musisz mnie zawieźć na ostry dyżur.

– Nie słyszę, co mówisz.

Podniosłam głowę i popatrzyłam na niego.

– Yngve, potrzebuję pomocy. Mam guza mózgu. Musisz mnie zawieźć do szpitala. – Staralam się mówić jasno, jak do dziecka. – Nie powinnam prowadzić w tym stanie. – Czułam, że wargi mi drżą.

– Spróbujmy to wyjaśnić – westchnął. – Dlaczego uważasz, że masz guza mózgu?

– Ponieważ tego lata dokuczały mi okropne bóle głowy, a wczoraj miałam atak skurczów i słyszałam rzeczy, których nikt nie powiedział – odparłam rozdygotanym głosem.

– Ból głowy może się wiązać z oczami. Może powinnaś nosić oku...

– Byłam u okulisty – jęknęłam. – Mam świetny wzrok, nie potrzebuję okularów.

– Wczoraj niedobrze się czułaś, może to dlatego źle słyszałaś? Co to były za skurcze? Od gorączki?

– Tak, między innymi.

– To dlatego kąpałaś się nago? – zapytał, zarumieniony.

Ciekawe, pomyślałam. Jednego dnia nazywa mnie dziwką, a następnego czerwieni się przy słowie „nago”.

– Kąpałam się, bo cała byłam brudna od wymiocin i okresu – prychnęłam, patrząc mu prosto w oczy.

Tym razem zrobił się czerwony jak rak i odwrócił wzrok.

– To przez to miałaś skurcze? Przez okres? – zapytał, kiedy już rumieniec zaczął znikać pod kołnierzykiem koszuli.

– Tak – westchnęłam. – Tak sądzę. Przy okresie można mieć bóle, lecz to, co czułam wczoraj, było nie do wyobrażenia.

– Jednak kiedy jedliśmy obiad, nic cię nie bolało?

– Nie, łyknęłam środek przeciwbólowy, treo comp – wyjaśniłam. – W przeciwnym razie już bym nie żyła, uwierz mi. Poza tym... – pomyślałam, że powiedziałam już tak dużo, że mogę zdradzić i resztę. – ...w lesie przytrafiło mi się coś przerażającego. I to nie pierwszy raz, już wcześniej tego doświadczyłam. Tam kryje się coś strasznego. Jakieś zło.

– Zło kryje się w lesie?

– Wczoraj do mnie krzychało.

– Kto krzychał?

– Skąd mogę wiedzieć. – Znow się uniosłam. – W lesie ktoś był i wołał: „Nie”. To było okropne.

– A ten twój lek nie jest przypadkiem bardzo mocny?

– Jest. To ten, który przepisał mi dentysta. Pomaga nawet w najgorszej sytuacji, choć kiedy łyknęłam go przy bólu zęba, to tylko się naćpałam. A co, sądzisz, że to przez lek? To przez niego słyszę te rzeczy?

– Nie wiem. Wcześniej też się tak czułaś po jego zażyciu? To znaczy, czy to po nim przytrafiają się te rzeczy?

Zastanowiłam się. Kiedy po raz pierwszy tak wystraszył mnie las? Dlaczego tak się wtedy bałam? Czułam, że ktoś na pewno na mnie patrzy. W nocy... A dlaczego siedziałam tam w nocy? Nie mogłam spać. Nie mogłam, mimo że wzięłam ten proszek.

– Masz rację – powiedziałam bez tchu. – To wszystko przez ten lek. Mój organizm nie toleruje tego gówna.

– Ależ ty przeklinasz...

– Co tam przekleństwa! Nie jestem wariatką, rozumiesz? I nie mam guza mózgu. Okazuje się, że po prostu źle znoszę treo comp. – Tak się cieszyłam, że ze szczęścia byłam w stanie zrobić gwiazdę przez środek pokoju. Powstrzymała mnie jednak myśl, że niechybnie połamałabym sobie kark. – Chociaż ból głowy pojawił się wcześniej. – Mój entuzjazm opadł. – Cholera.

– I jeszcze jedno... Tylko nie pomyśl, że jestem wariatem...

– O co chodzi? – Czułam, że zaraz usłyszę coś nieprzyjemnego. Nie byłam pewna, czy chcę.

– Myślę, że chyba masz rację.

– Z czym? Że mam guza mózgu?

– Że tu kryje się zło. Nie umiem powiedzieć, co dokładnie, ale coś tu jest.

– Yngve, daj spokój – powiedziałam zdecydowanym tonem. – To wszystko przez treo comp. Bólu głowy nabawiłam się przez stres w pracy, bo naprawdę było nerwowo, uwierz mi. To całkiem naturalne, że człowieka na urlopie zaczyna boleć głowa, jeśli całą wiosnę i lato miał taki młyn w pracy jak ja. To wszystko przez to.

– A to dziecko Almkvistów, które zaginęło?

– Nie zaginęło żadne dziecko, po prostu coś ci się pomyliło.

Widziałam po jego minie, że się ze mną nie zgadza, nic mnie to jednak nie obchodziło. Chciałam po prostu, by wszystko wróciło do normy.

– Yngve – powiedziałam. – Muszę iść do Sary i Andersa i przeprosić za moje wczorajsze zachowanie. Przy okazji wykąpię się u nich w ludzkich warunkach. Idziesz ze mną?

## 15

Wśród rosnących na trawniku koniczyn buszował trzmiel. Leżałam sobie na brzuchu i obserwowałam go. W pełni go rozumiałam. Różowe kwiaty wyglądały tak słodko i soczyście, że sama chętnie bym ich skosztowała. Kiedy byłam dzieckiem, wydawało mi się, że osy to dziewczynki i to one gryzą, a trzmiel, czyli chłopcy, parzą. Pamiętam, jak kiedyś, jako sześć- czy siedmiolatka, podziwiałam wozy strażackie, gdy nagle obok pojawiły się dwie osy. Ciocia powiedziała mi wtedy, że jeśli stoi się nieruchomo, to osa nie ukąsi. Zamarłam więc, a osy z bzykiem krążyły wokół mojej twarzy, aż w końcu mnie oczywiście użądliły... Obie. Wtedy straciłam nieco zaufanie do dorosłych.

Obok, na trawie, leżała dostarczona tego dnia poczta. Dziennik „Land” oraz broszura reklamowa. Rano postanowiłam, że dzień spędzę w ogrodzie, relaksując się i rozwiązując krzyżówkę z „Landu”, ale skończyło się na tym, że rozłożyłam się na trawie i przeglądałam wszystkie ogłoszenia z broszury. W samym środku, wśród anonsów prywatnych, znalazłam coś takiego: „Hektor lat dwa szuka nowego domu (dotychczasowy właściciel ma alergię). Hektor to miły, lubiący dzieci złoty labrador (skrzyżowany z owczarkiem niemieckim). Ma założony chip, posiada książeczkę weterynaryjną. Oddamy za dobrą cenę w dobre ręce”. Poniżej widniało nazwisko i numer telefonu.

Coś dla Olofssona. Przeczesałam dłonią trawę i odszukałam komórkę. Przypomniałam sobie jednak, że nie mam ani zasięgu, ani numeru Olofssona. Obróciłam się na plecy i przez chwilę się zastanawiałam, potem postanowiłam, że podjadę do niego. Szkoda by było, gdyby inny kupiec ubiegł go tylko dlatego, że ja leniłam się w ogrodzie, rozwiązując krzyżówkę.

Zebrałam się energicznie z trawnika i wsiadłam do samochodu. Po chwili jednak

z niego wysiadłam, żeby zabrać z domu kluczyki. W końcu wyruszyłam. Wyturlałam się po mojej nierównej żwirowej drodze na szosę, która może nie jest zbyt szeroka, lecz za to wyasfaltowana, i pomknęłam do Olofssona. Kiedy jednak dojechałam na miejsce, jego samochodu nie było, a drzwi zastałam zamknięte. Wyrwałam z gazetki stronę z ofertą. Niestety, nie miałam szminki, więc musiałam zadowolić się długopisem. Zakreśliłam ogłoszenie o Hektorze i wetknęłam papier w szparę obok klamki.

Gdzieś w pobliżu hałasowały dzieci. Rozejrzałam się i zobaczyłam młodych Almkvistów harczących nad jeziorem. Obok domu biegła ścieżka, która ginęła za rogiem. Ruszyłam nią i po chwili doszłam do plaży. Tutaj warunki do kąpieli były zdecydowanie lepsze niż po mojej stronie jeziora, co tylko utwierdziło mnie w przekonaniu, że to u mnie gromadzą się szczupaki.

Dzieci – chłopiec i dziewczynka – z wrzaskiem i śmiechem ochlapwały się wodą. Przysiadłam kawałek dalej i udawałam, że patrzę na jezioro. Nie musiałam długo czekać, bo już po chwili podeszła do mnie dziewczynka.

– Tova – zawołał ją brat. – Wiesz przecież, że nie możemy rozmawiać z nieznajomymi.

– Cześć – odezwała się do mnie dziewczynka. – Kim jesteś?

– Cześć. Nazywam się Raili. Mieszkam w tamtym domku po drugiej stronie jeziora.

– Wskazałam palcem na mój domek.

– To nie jest nieznajoma – dziewczynka wrzasnęła do brata z taką mocą, że aż podskoczyłam. – To tylko Ralja z drugiego brzegu.

– Raili – spróbowałam ją poprawić.

– Rajliiii – huknęła znów mała w stronę brata.

– A ty jak się nazywasz?

– Tova, oczywiście. A to mój starszy brat. On ma sześć lat, a ja śtery. I już umiem liczyć, chcesz posłuchać? Raz, dwa, trzy, śtery, sześć, osiem, dziewięć.

– Mówi się cztery, nie śtery, a ty w ogóle nie umiesz liczyć, bo przeskakujesz liczby. A poza tym to masz tylko trzy lata. – Starszy brat dziewczynki popatrzył na nią zwycięsko, a na mnie jakby podejrzliwie.

– Mieszkasz tam? – Wskazał na mój domek.

– Tak. A wy gdzie mieszkacie?

– W tym żółtym domu za drzewami. To co robisz tutaj, skoro mieszkasz tam?  
– Przyjechałam odwiedzić Olof... Yngvego, ale nie ma go w domu.  
– A po co odwiedzasz tego grubasa? – bez ceregieli zapytał chłopiec. – To potargany troll.

– To troll – podchwyciła Tova. – Troll, troll, troll – zaśpiewała.  
– Przestańcie, to bardzo miły wujek, a poza tym jest moim przyjacielem – powiedziałam. – A możecie się tutaj bawić bez opieki kogoś dorosłego?

– Przecież ty tu jesteś – zauważyła logicznie Tova.  
– Tak, ale byliście tu, zanim ja przyszłam – odparłam.  
– Nie możemy się kąpać, ale możemy być sami na plaży – odpowiedział z dumą jej brat, wypinając przy tym pierś. – Ja pilnuję Tovy.

No pięknie. Czy to faktycznie posłuszne dzieci, czy po prostu rodzice są naiwni?  
(Czy to dziecko, to, które zaginęło, zmarło? Utopiło się? O ile w ogóle istniało...).

– Wiecie co? Na początku lata wydawało mi się, że widziałam tu małe dziecko – kłamałam jak z nut. – Dzijdusia. – Wstyd mi trochę było, że tak oszukuję dzieci, bo przecież na początku lata wcale mnie tam nie było. Jakby się zastanowić, to nie byłam w Lövaren od jesieni zeszłego roku.

Rodzeństwo popatrzyło na mnie ze zmarszczonymi czołami. Nagle usłyszałam szybkie kroki. Ścieżką biegnącą od domu nadchodził mężczyzna około trzydziestki. Podniosłam się i otrzepałam piasek ze spodni.

– Tatuś – zawołała Tova.

Zaniepokojony ojciec i ja przedstawiliśmy się sobie z uściskiem dłoni. Nazywał się Kennet. Miał na sobie beżowe szorty, białą koszulkę polo i sandały. A do tego... skarpety. Uspokoił się nieco, kiedy dowiedział się, że jestem tylko sąsiadką z drugiej strony jeziora. Rozmawialiśmy jeszcze chwilę, aż w końcu nie miał wyjścia i musiał zaprosić mnie na kawę. Świetna okazja, żeby trochę powęszyc. Nie pamiętałam już, kiedy ostatnio miałam okazję pobawić się w detektywa.

\* \* \*

– My mieszkamy tutaj – powiedział Kennet, wskazując żółty dom z drewna z tarasem zastawionym leżakami, parasolem i plastikowymi zjeżdżalniami. Zagroda przypominała



nico Bullerbyn, ponieważ w zielonym ogrodzie stały dwa niemal identyczne domki. Nie mieszkwały w nich rodziny z dziećmi, więc moje wrażenie nieco przygasło, ale było tam niezwykle malowniczo.

– Jak pięknie mieszkanie – powiedziałam. – Nigdy wcześniej tutaj nie byłam. Znam tylko Olof... Yngvego z domu obok. No i byłam na kawie u Helgego i Berit. – Wzdrygnęłam się na samo wspomnienie.

– Tu obok mieszkają Karl i Freda Kullmanowie – rzekł Kennet, wskazując dom po lewej. Z tyłu było widać zagrodę Olofssona. – A tutaj... – teraz pokazał na dom po prawej – ...mieszkają Sture i Margareta Fritjofssonowie. – Popatrzył na oba domy, potem na swój taras, a na końcu na mnie, i to z grymasem, który mówił więcej niż słowa. Zrozumiałam, że byli tu jedyną rodziną z dziećmi.

– Od dawna tu mieszkanie? – zapytałam.

– I tak, i nie – odparł. – Dom zbudowali moi rodzice, więc od małego bywałam tutaj w wakacje. Kilka lat temu go od nich odkupiliśmy, ale i my przyjeżdżamy tu tylko latem. O, Anna-Maria! – zawołał Kennet. – To Raili z domku po drugiej stronie jeziora. Proszę podejść się przywitać.

Proszę podejść się przywitać? Co za dziwacy mieszkają po tej stronie jeziora?

\* \* \*

Anna-Maria podeszła i przywitała się ze mną. Jej uścisk dłoni mógł śmiało konkurować pod względem bezwładności z tym, który wymienił ze mną Helge. Tyle że ona miała przy tym mokre ręce. Zanim usiadłam przy stole na tarasie, dyskretnie wytarłam dłoń w dżinsowe szorty. Coś pode mną zapiszczało. Podniosłam się i spod pośladka wyciągnęłam gumową kaczkę.

– To moja. Daj mi ją – zawołała Tova, wrywając mi zabawkę z ręki. Kaczka znów zapiszczała.

– Ładna zabawka – powiedziałam. – Macie psa?

– Tova ją znalazła – wyjaśnił jej brat. – Mama też powiedziała, że to psia zabawka, i Tova musiała ją myć bardzo długo wodą i mydłem, zanim mogła się nią bawić. Ale potem wgrzyła się w nią i najadła się mydła, no i krzywiła się cały wieczór.

Kennet przyniósł na taras tacę z kawą, drożdżówkami i sokiem. Anna-Maria

w milczeniu siedziała przy stole i nie patrzyła ani na mnie, ani na swoje dzieci. Co za dziwaczka?

Wgryzając się w bułkę, zaczęłam się zastanawiać, jak by tu skierować rozmowę na temat zaginionego dziecka. Do tej pory sądziłam, że Olofsson plótł bzdury, zarówno jeśli chodzi o psa, którego niby miał, jak i o zniknięcie malucha, teraz jednak zaczęłam się zastanawiać, czy w jego wymysłach nie kryło się przypadkiem ziarno prawdy.

– Zapewne znacie Staffana i Anitę – powiedziałam, kiedy Kennet usiadł z nami.

– No tak – odparł, dolewając mi kawy. – Jako dzieci często się razem bawiliśmy. Budowaliśmy szałas w lesie, łowiliśmy ryby i takie tam. Czasami nocą nadawaliśmy sobie sygnały latarkami. Mieliśmy szyfr. Jeden błysk znaczył „Nie śpisz?”. Pozostałych nie pamiętam, ale jakoś udawało nam się wymieniać w ten sposób wiadomości. Świetna zabawa.

– Macie jeszcze ze sobą kontakt?

– Nie, wiadomo, jak to jest. Drogi się rozchodzą. Anita miała potem ten wypadek...

– Tak, słyszałam. Straszna sprawa – rzekłam i upiłam łyk kawy.

– To się wydarzyło jesienią, na początku szkoły, więc spotkałem ją dopiero w następne wakacje, lecz wtedy była już zupełnie inna. Dziwnie się z nią rozmawiało. Staffan też się zmienił. Zrobił się milczący i zły.

– Na co był zły? – zapytałam.

– Na wszystko. I na nic. Życie. Sam nie wiem. Chyba wtedy przestaliśmy się kolegować.

W ciszy popatrzyliśmy na dom Hanssonów po drugiej stronie jeziora. Zaslaniały go drzewa, ale domyśliłam się, że nie było ich tam, kiedy Kennet i Staffan jako dzieci puszczali sobie sygnały świetlne.

– A gdzie są twoje dzieci? – zapytała nagle Tova.

Anna-Maria gwałtownie podskoczyła i spojrzała na nas. Uśmiechnęła się przeprasząco, ja jednak pokręciłam głową, dając jej znak, że się nie gniewam.

– U Tovy co w myślach, to na języku – wyjaśniła. – Kiedy tylko coś wpadnie jej do głowy, papie bez zastanowienia.

– Nic nie szkodzi, może przecież mnie zapytać – odparłam, choć w głębi duszy byłam zła.

– No to gdzie są? – powtórzyła, dłubiąc przy tym w nosie.

– Nie mam dzieci – odparłam.

Obie zapatrzyłyśmy się na to, co wyciągnęła z nosa.

– Dlaczego nie? Męża też nie masz?

– Nie mam.

– Ale dlaczego? – Tova wydeła usta i popatrzyła na mnie podejrzliwie. – Ja tam na pewno będę miała, jak dorosnę. Dzieci też. Będę miała córeczkę, którą nazwę... – Przerwała i niepewnie popatrzyła na mamę. – Nazwę ją Alma. O tak.

Mama Tovy pobladła, ja jednak przyglądałam się uważniej Towie. Miała taki sam zdezorientowany wyraz twarzy jak Olofsson, kiedy mówił o psie, którego pamiętał.

## 16

Moje odbicie w lustrze patrzyło na mnie z pewnym wyrzutem. Lekka nadwaga, mysli kolor włosów i blada skóra.

– Tak być nie może – powiedziałam sama do siebie. – Przecież idę na siedemdziesiąte urodziny znajomej, muszę się zrobić.

Przypomniałam sobie, jak posklejane strąki włosów zwisały mi przy buzi, kiedy wymiotowałam. Może powinnam je obciąć? Ufarbować? Kupić nowe ciuchy? Tak jak mówiła Berit. Właśnie przez nią niechętnie do tego podchodziłam, ale, jak wspomniałam, wybierałam się przecież na imprezę. Zagryzłam zęby i postanowiłam, że pojedę do Hedum i pochodzę po sklepach. Jeśli akurat fryzjerka będzie miała wolną chwilę, uznam to za znak i obetnę włosy.

Okazało się, że miała. Tego się nie spodziewałam.

– Jak obciąć? – zapytała, przeczesując dłonią włosy i spoglądając w moje odbicie w lustrze.

– A co pani myśli? – odparłam wymijająco. W końcu to ona była wykwalifikowaną fryzjerką i powinna wiedzieć lepiej niż ja, pracowniczka biblioteki.

– Ma pani okrągłą, ładniutką twarz. Powinna pani więcej jej pokazać. Dobrze by pani wyglądała w paziu.

– Aż tak krótko? I z grzywką? – zapytałam przestraszona.

– Nie muszę robić grzywki, mogę przyciąć wszystkie włosy na równą długość.

– A co według pani będzie wyglądać lepiej?

– Według mnie grzywka będzie pani bardzo pasować – odparła spokojnie.

– No dobrze – przystałam, modląc się, żeby to nie była pochopna decyzja. – Robimy grzywkę. Chciałabym też przyciemnić włosy. Może na kasztanowy brąz?

Przyznaję, że fryzjerka znała się na swojej robocie. Kiedy dwie godziny później

wychodziłam z salonu, wyglądałam jak zupełnie inna osoba. Mysia strzecha średniej długości zmieniała się w eleganckiego kasztanowego pazia z grzywką. Czułam się jak nowo narodzona. Dlaczego wcześniej się na to nie zdecydowałam?

Przystanęłam niezdecydowana przed salonem i zaczęłam się zastanawiać, czy powinnam zacząć szukać solarium, w którym mogłabym się pozbyć mojej bibliotekarskiej bladości. Ta myśl mnie jednak zbyt przerażała.

W piwnicach naszej biblioteki też mieści się stare solarium. Jest przedpotopowe i przypomina raczej grill, ale ponieważ jest pod ręką, wszystkie opalamy się w nim parę razy do roku. Nie częściej, bo to ponoć bardzo niezdrowe.

Nie korzystałam z niego od niemal dwóch lat. Ostatnia wizyta skończyła się tak dramatycznie, że nie miałam już odwagi wracać.

Pamiętałam, jak dwa lata wcześniej, nie spodziewając się niczego złego, pewnego deszczowego i wietrznego jesiennego dnia schodziłam do piwnic biblioteki. Bardzo potrzebowałam ciepła i światła, szybko zdjęłam więc ubrania i wpełzłam do maszyny. Użyłam słowa „wpełzłam”, bo tak to właśnie tam wygląda. Kłapa jest zepsuta, więc podtrzymuje ją deska. Takie zrób to sam. Niestety, deska jest na tyle krótka, że kiedy jeden jej koniec jest oparty o podłogę, a drugi trzyma kłapę, otwór ma jedynie pięćdziesiąt centymetrów w najszerszym miejscu. Dobrze, że mam obwisły biust, który rozlewa się na boki, kiedy leżę na plecach... W każdym razie wpełzłam do maszyny i spróbowałam wetknąć żeton oraz założyć okulary ochronne, co jakoś mi się udało. Solarium ruszyło i już po chwili płyta zrobiła się ciepła, a ze mnie pociekły strużki potu.

Zasnąłam.

Obudził mnie okropny dźwięk. Przerażona otworzyłam oczy i wstałam, uderzając z impetem w zawieszoną tuż nade mną lampę. Deska się wysunęła i akurat kiedy opadłam z powrotem, kłapa się zatrzasnęła. Ugrzęzłam niczym parówka w hot dogu. Przysięgam, że słyszałam syk, kiedy rozgrzana kratka paliła spoconą skórę.

Alarm przeciwpożarowy nadal wył.

Wygramoliłam się z solarium i pośpieszyłam na górę. Gdy weszłam na ostatni stopień, zobaczyła mnie Ylva, która wyprowadziła już z biblioteki wszystkich czytelników i właśnie zawróciła po mnie.

Oczywiście nie wytrzymała. Gdyby to był prawdziwy alarm przeciwpożarowy, obie byśmy zginęły, bo Ylva nie była w stanie podnieść się z podłogi. Płakała ze śmiechu, uderzała dłońmi w parkiet i wierzgała piętami. Przez chwilę myślałam, że ma atak padaczki, lecz kiedy sama zobaczyłam się w lustrze, zrozumiałam jej reakcję. Wyglądałam jak rażony prądem szop pracz w rybaczkach.

Od tamtej pory nie byłam w solarium i postanowiłam, że i tym razem nie będę kusić losu.

\* \* \*

W Hedum znajdują się trzy salony fryzjerskie, tyle samo pizzerii oraz dwa sklepy spożywcze. Nie ma za to ani jednego monopolowego czy obuwniczego. Na szczęście jest butik z odzieżą. Weszłam do niego i zaczęłam się zastanawiać, co włożyć na imprezę. Czarny kolor zawsze jest na miejscu. W spódnicach wyglądam jak beczka, postanowiłam więc ich unikać, uznałam jednak, że czarne lniane spodnie oraz tunika w tym samym kolorze ujdą. Jeśli tylko takie znajdę.

Nie znalazłam.

Z westchnieniem zaczęłam kolejne okrążenie po sklepie. W końcu postawiłam na białe lniane spodnie oraz wiśniową tunikę. Na szczęście, wybierając się na urlop, spakowałam tenisówki, tak więc mimo braku sklepów uniknęłam kryzysu na tym froncie.

Przypadkiem w dziale męskim dostrzegłam kędzierzawą głowę.

– Olofsson?

Popatrzył na mnie znad koszul i przywitał się, zdumiony.

– Raili? Nie poznałem cię – powiedział, przyglądając się mojej nowej fryzurze.

– Ty też obkupujesz się na imprezę Sary?

– Tak. Przyda mi się coś nowego.

W jednej ręce trzymał czarne spodnie od garnituru, w drugiej elegancką koszulę.

– Pójdziemy na kawę, jak skończysz? – zapytałam.

\* \* \*

Weszliśmy do pobliskiej kafejki i kupiliśmy ciastka. Byliśmy jedynymi klientami,

zajęliśmy więc najlepszy stolik w głębi sali przy oknie. Wyjrzałam na ulicę, było raczej pusto. Zaledwie paru emerytów z balkonikami i jakaś kobieta w średnim wieku z kijkami do nordic walkingu. Wszędzie ich teraz pełno.

– Zadzwoń w sprawie tego ogłoszenia o psie – powiedział Olofsson i wypił łyk kawy. – Mają już kilku zainteresowanych, ale dopisali mnie do listy.

– Mam nadzieję, że oddzwonią. – Naprawdę miałam. Pies bardzo by mu się przydał. Nagle, nie wiem dlaczego, przypomniała mi się ruina chaty w lesie. I ten opuszczony samochód.

– Chciałam cię o coś zapytać. – Obliziałam palce umazane bitą śmietaną i popatrzyłam na niego. – Ciągle o tym zapominam. Pamiętasz, jak wtedy wybrałam się na grzyby i rozpętała się burza?

– Tak – odparł z uśmiechem. – Wtedy, kiedy tak się najadłaś strachu?

– Aha. Wtedy zdarzyło się coś dziwnego. Weszłam dość głęboko w las, nigdy wcześniej tam nie byłam, i doszłam do działki, na której kiedyś stała chata. Była tam studnia i takie tam. Co to za miejsce?

– Ach, to pewnie tam mieszkała Szalona Anna. Ostatnio byłam tam jako dziecko. Stara Anna była wdową po żołnierzu. Mówiło się, że to dziwaczka. Była stara, już kiedy moja mama była mała. Wszyscy się jej bali. Z tą chatą wiązała się też jakaś inna historia, która miała miejsce, zanim zamieszkała tam Anna. Chyba chodziło o czarownice. Bo wiesz, kiedyś paliło się je na stosach.

– Owszem, ale to było w siedemnastym wieku.

– No tak, dawno, dawno temu, lecz coś takiego słyszałem. Mama o tym opowiadała...

– A potem – ciągnęłam moją historię – kiedy zaczęłam biec i zgubiłam się w lesie, wtedy właśnie natknęłam się na samochód.

– W lesie? Samochód? Czemu wcześniej o tym nie wspomniałaś? – Olofsson popatrzył na mnie dziwnie.

– Zapomniałam, a co? Zginęło ci auto?

– Nie, ale to bardzo dziwne. To był stary wóz? Wrak?

– Otóż nie. Nowy. Chyba toyota.

– I gdzie stał? Przy tej działce z ruinami?

– Nie, nie tam. Na ścieżce pośrodku lasu. Prawie na niego wpadłam.

– Trafiałabyś tam?

– Nie wiem, chyba nie. Chociaż może... – odparłam, zastanawiając się, dlaczego tak się tym przejął. – Yngve, o co chodzi z tym samochodem?

– Ach, o nic. Tak tylko pytam.

Nagle przy naszym stoliku pojawiła się kelnerka.

– Życzą sobie państwo coś jeszcze?

– Nie, dziękujemy – odparłam szybko. – Już idziemy.

Podnieśliśmy się od stolika i wyszliśmy. Postanowiliśmy, że razem poszukamy prezentu dla Sary.



## Wrzesień 1671 roku

Obudziło ją delikatne światło poranka. Leżała pośród mchu i borowin. Wokół rozlegał się szczebiot ptaków i szmery lasu. Przez chwilę nie mogła sobie przypomnieć, gdzie jest ani nawet kim jest. Otworzyła oczy i dostrzegła leżącą obok lampę oliwną. Była pusta. No tak, w nocy lampa zgasła, a ona została w tym miejscu, żeby się nie zgubić. Teraz sobie wszystko przypominała.

Ucieczkę z lochu, wędrówkę z Munkedal, szepty zmarłych ze wzgórza straceń. Ten straszny dźwięk, który rozległ się, kiedy głowa dziewczyny uderzyła w kamienną ścianę. I jej czerwone od krwi włosy klejące się do podłogi, na której leżała, wpatrzona w nią przerażonymi oczami.

Brzuch ciążył jej niemiłosiernie. Jakim cudem dała radę dojść aż tutaj? Jak udało się jej wydostać z lochu i pokonać schody? Było w tym, czy raczej w niej, coś dziwnego, zastanawiającego.

Niespotykanego.

Niechrześcijańskiego?

Czy da radę iść dalej? Mogłaby zostać. W lesie było tak pięknie. Wrześniowe słońce wciąż grzało mocno, promienie przedzierały się przez gałęzie. Wrzosowiska zostawiła za sobą, wokół ciągnął się prawdziwy, gęsty las. Była prawie w domu. Tu mogłaby umrzeć. Może Bóg Ojciec przyjmie ją do siebie?

Niespokojne, wściekłe pomruki rozlegające się wcześniej we wnętrzościach teraz umilkły. Ostrożnie położyła ręce na zaokrąglonym brzuchu i zamknęła oczy. Wokół było tak cicho. Powinna tu zostać czy iść dalej? W końcu poczuła, że musi pójść za potrzebą, podniosła się więc. Powolnie, z racji brzucha, ale nie bez sił. Tych jeszcze jej nie brakło.

Mech za niewielkim świerkiem musiał jej posłużyć za wychodek. Obmyła się też jako tako w strumyku, który płynął obok zagrody matki.

Była gotowa stanąć przed Stworzycielem, najpierw jednak chciała zobaczyć męża i dziecko.

Las się przeredził. Pachniało ładnie, pachniało domem. Po miękkim mchu kroczyło się o wiele przyjemniej niż po błotnistej drodze. Co rusz musiała się powstrzymywać, by nie głaskać pni otaczających ją drzew. Zawahała się chwilę, kiedy doszła do rozstaju. Nagle tak bardzo zapragnęła zboczyć z drogi i ścieżką biegnącą przy domu matki udać się nad jezioro. Tyle już czasu minęło, odkąd ostatnio była przy Bäverdammen. Chęć zobaczenia synka i Björna była jednak zbyt silna. Poszła dalej, prosto, doszłaby do domu z zawiązanymi oczami, całą sobą znała tę drogę. Kroczyła przed siebie, a wokół niej zdawała się unosić aura szczęścia. Może wszystko jakoś się ułoży?

Wreszcie zobaczyła niską stodołę. Podeszła i oparła dłonie o stare szare deski. Były nagrzane od słońca. Miała wrażenie, że jej dłoń topnieje, zupełnie jakby wcześniej była zmrożona.

– Kochana stara stodoła – odezwała się. – Poznajesz mnie? Powiedz, pewnie za mną tęskniłaś?

Zwierzęta na pewno wyszły już na pastwisko. Kto jednak się nimi zajmował, kiedy jej nie było? Niemożliwe, żeby Björn dał radę wypasać zwierzęta i jednocześnie zajmować się polem oraz karczowaniem drzew. Matka mieszkała wprawdzie obok, ale czy naprawdę miała siłę wyprowadzać krowy?

Z niespokojnie zmarszczonym czołem ruszyła w stronę domu. Wcześniej nie zastanawiała się, jak Björn sobie bez niej radzi. A może nie starczało mu na daninę? Może już tu nie mieszkali? Osiem miesięcy to dużo.

Usłyszała czyjś śpiew.

Zdziwiona, przystanąła i spojrzała w stronę domu. Na schodkach siedziała kobieta i śpiewając psalm, rozczesywała wełnę. Obok niej szyszkami bawił się jej synek. Sporo urósł, odkąd go ostatnio widziała.

Kobieta uniosła głowę i zauważyła Kirsti.

– Pokój z tobą – skinęła z politowaniem. – Kim jesteś? Nie chcemy tu włóczęg.

– Oluf, chodź do mamy – zawołała Kirsti i rozłożyła ręce.

Chłopiec się wystraszył i zrobił krok do tyłu, a kobieta wstała tak gwałtownie, że zwitki wełny sturlały się ze schodków aż pod stopy Kirsti.

– Co to za gadanie? Chłopiec jest mój. Kim jesteś?

– Jestem Kirsti. Kirsti Martasdatter, matka Olufa i żona Björna. Gdzie on jest i kim

ty jesteś? Co robisz w moim domu, ty kłamliwa kobieto?

– Wiedźma! – zawołała kobieta. – Oluf, uciekaj do domu, żeby cię nie zabrała.

– Mama? – powiedział niepewnie Oluf i popatrzył na Kirsti. – To naprawdę ty?

– Do domu, powiedziałam! – krzyknęła kobieta i uderzyła chłopca w głowę tak mocno, że omal nie spadł ze schodów. – A ty znikaj stąd, wiedźmo!

W Kirsti jakby coś wstąpiło. Wbiła wzrok w kobietę, z jej czoła zniknęła marsowa mina. Twarz miała kamienną. Oddychała nienawistnie. Wdech, wydech. Wdech, wydech. Oczy jakby zmieniły kolor. Przez chwilę mieniły się lodowatym błękitem, niczym niebo w prawdziwie mroźny zimowy dzień.

Kobieta weszła o schodek wyżej. Ptaki przestały śpiewać, wokół zagrody zrobiło się zupełnie cicho.

Nagle dało się słyszeć czyjeś kroki. Ktoś biegł. Kirsti zwróciła głowę w tę stronę, nie spuszczając jednak wzroku z kobiety. Nie widziała, kto nadszedł, ale czuła to. Björn. Jej ukochany mąż. Ojciec jej dziecka.

Zdrajca?

– Björn – powiedziała cicho.

Kroki ucichły, w końcu Kirsti skierowała wzrok na niego. I zobaczyła siebie jego oczami. Taką, jaka była. Niska, z brudnymi włosami, wychudzona, z bladą twarzą i wielkim brzuchem odstającym od pałkowatego, umęczonego ciała.

I ten smród. Musiała okropnie cuchnąć.

– To ty – odparł Björn. – Mówili, że nigdy nie wrócisz.

Co mogła odpowiedzieć?

– Kto to jest? – Kirsti wskazała skinieniem na stojącą na schodach kobietę.

– To moja żona.

Co mogła odpowiedzieć?

– Pastor dał mi rozwód. Wiesz, co to znaczy być mężem wiedźmy? Czarownicy, która próbowała nakłonić pastora do złego? Jesteś ślubną samego diabła, Kirsti. Mnie też oszukałaś.

Pastor.

– Chcę, żebyś już poszła. Zostaw nas w spokoju. Dobrze nam się tu żyje, mimo całego zła, jakie wyrządziłaś. Idź sobie. I nigdy nie wracaj. Nie chcemy cię więcej

widzieć. Rozumiesz?

Nigdy. Co za straszne słowo.

– Wierzysz zatem w te kłamstwa o mnie? – odezwała się w końcu.

– Przecież udowodnili, że jesteś podopieczną diabła. Oszukałaś nas wszystkich. Idź już, Kirsti.

Żona Björna. Jego nowa żona. Posłała Kirsti chłodne spojrzenie. Miała oczy podobne do mistrza Ulfa. Szydercze i bezlitosne.

(Bierze się mały, suchy, czarny patyk, choćby z tej brzozy rosnącej za wychodkiem, i ostrożnie wkłupa się go w kącik oka. Jednak nie przy nosie, a dokładnie w tym miejscu, gdzie oko dotyka skroni. Trzeba wbić cały patyk, zanim się go dociśnie, bo w ten sposób uda się chwycić całe oko, niczym ugotowane jajko, a potem można je wyłupić. Chyba że patyk się złamie. Zamiast niego można wbić palec).

Kirsti się wzdrygnęła. Popatrzyła z przerażeniem na nabrzmiąły brzuch i zrobiła kilka kroków do tyłu. Czy te myśli w jej głowie naprawdę były jej? Przy uchu usłyszała świst, potem poczuła ostry ból w ramieniu. Zdezorientowana, podniosła wzrok. To Björn rzucał w nią kamieniami.

– Nie rozumiesz, co się do ciebie mówi? Idź stąd. Precz! – krzyknął i zamierzył się po raz kolejny.

Kirsti osłoniła twarz rękoma, obróciła się i ruszyła w stronę lasu. W stronę ścieżki, którą zawsze chadzali w niedzielę.

Ścieżki prowadzącej do kościoła.

Do plebanii.

Do samego pastora.

\* \* \*

Oto był i kościół. Kiedyś wydawał się jej taki duży, ale po tym, jak zobaczyła ten w Munkedal, zrozumiała, że ich lokalny kościół był mały, nic nie znaczący. Równie mały i nic nieznaczący był ich pastor. Musiał zadowolić się drobnicą, a dążył zapewne do rzeczy wielkich.

Kirsti przysiadła na murku i zapatrzyła się na budynek. Kiedyś na widok kościoła czuła ciepło w całym ciele, teraz jednak miała w sobie pustkę. Może inni mieli rację,

może rzeczywiście była oblubienicą diabła, a może to sam pastor sprzedał duszę złemu, by wydać dzieci ze swego zgromadzenia. Czy było inne wyjaśnienie?

Tak czy owak, jej życie już się skończyło. Jeśli pastor naprawdę był wysłannikiem Boga, nie miał się czego obawiać.

Wściekłe pomruki w brzuchu nie ustawały. Kiedy dziecko zmarło, wytworzyła się tam pustka. Dziura, duża czarna dziura, którą trzeba było czymś wypełnić. A czym wypełniamy pustkę w życiu innych?

Miłością?

Nienawiścią?

Złem?

Sami możemy wybrać, a później – zebrać plon.

\* \* \*

Otworzył.

I oto stała przed nim ona. Diablica. Oblubienica. Wampirzyca.

Była brzydka. Jak mógł dać się tak omamić? Szatan rzeczywiście znącił mu wzrok. Wszelkie wątpliwości, jakie miał co do tego, czy Kirsti naprawdę jest czarownicą, zniknęły, kiedy uświadomił sobie, kto zapukał do jego drzwi. Tylko za sprawą diabła można było dostrzec piękno w tym, co stało w progu.

– Przepadnij, szatanie – zawołał i spróbował zatrzaskać drzwi.

Jednak Kirsti wetknęła bosą stopę między drzwi a framugę i mimo że poczuła uderzenie, gdy pastor starał się je zamknąć, nie ruszyła się.

– Teraz to ja przyszedłam do ciebie, pastorze – powiedziała. – Teraz twoja kolej. Spotkasz swojego Boga. Bo nie jest on już moim Bogiem.

– Błędnie.

– Owszem.

\* \* \*

Kirsti pchnęła drzwi i przekroczyła próg. Nigdy wcześniej nie była na plebanii. Wnętrze było ciemne, wypełnione ciężkimi meblami.

– Widzisz, pastorze, przez cały ten czas wierzyłam, że jestem niewinna –

powiedziała i podeszła tak blisko, że jej brzuch niemal na niego naciskał. – Torturowano mnie, gwałcono, oskarżano o uwodzenie mężczyzn, nigdy jednak nie rozumiałam, o co im chodzi. Nie wiedziałam, do czego kazano mi się przyznać.

Pastor rozejrzał się, jakby szukając drogi ucieczki.

– Zajmowałam się zagrodą. Urodziłam dzieci, jedno pochowałam, opiekowałam się tym, które przeżyło. Wypasałam zwierzęta, czesałam wełnę, szykowałam przędzę na ubrania. Zbierałam orzechy, zdierałam korę z drzew na mąkę. Byłam wierna memu ukochanemu mężowi. Miałam ufność w Bogu, Niebie i Jezusie Chrystusie, którego ukrzyżowano za nasze grzechy. – Położyła dłonie na ramionach pastora i przycisnęła go do ściany. – Doglądałam zwierząt, zbierałam drewno, mieszałam ciasto, suszyłam ryby, przyrządzałam solone mięso i ubijałam masło. Wszystko uczciwie sprzedawałam na targu.

Pastor zamknął oczy.

– A potem pojawiłeś się ty. Teraz to zrozumiałam. Ty, pastor, zapragnąłeś cudzej żony. Widziałam, jak na mnie patrzyłeś. Wcześniej inni mężczyźni też posyłali mi takie spojrzenia. Tak to jest. Jeśli jednak pokusa jest zbyt duża, człowiek sięga po to, czego pragnie. Jeśli zaś nie może tego dostać, niszczy to. – Kirsti się uśmiechnęła. – Nigdy nie byłam oblubienicą szatana. Ty jednak zniszczyłeś mnie w imię Boga i teraz jestem kobietą upadłą. Nie ma już we mnie ani krztyny dobra. Nie ma też Boga, który mógłby mi pomóc. Ale rozumiesz chyba, że twój Bóg tobie też nie pomoże? Wykorzystałeś go do złego, pastorze. I to poważniej niż zwykły człowiek, bo przecież jesteś sługą bożym. Ciebie jednak nie zamkną w lochu i nie pohańbią. Ciebie nie wrzucą do wody ze związanymi rękami i stopami. – Nagle puściła go i zrobiła kilka kroków w tył. – Chyba nie ma już we mnie duszy – rzekła cicho, bardziej do siebie niż do niego. – Coś jest we mnie, ale to coś obcego... Przejęło nade mną władzę... Coś ty mi zrobił?

Lodowe światło, oślepiające i nieokiełznane, przepełniło ją całą. Wirowało, śpiewając i krzycząc w jej wnętrzu, a kiedy wreszcie się opamiętała, pastor leżał u jej stóp. Czemu leżał w takiej pozie? Wpatrywał się w nią szeroko otwartymi oczami, które jednak tkwiły nie tam, gdzie powinny.

Jakby ktoś kilkakrotnie obrócił mu głowę. Leżał na brzuchu. Kolana miał wygięte do tyłu, a stopy tkwiły pod udami. Wyrwane z barków ręce rozrzucił, jakby ktoś go

ukrzyżował.

Oczywiście nie żył.

Kirsti przełknęła ślinę. Następnie wbiła kciuki w oczodoły pastora, jak najgłębiej dała radę, po czym ruszyła do chaty matki.

\* \* \*

Czuła ucisk.

Nie miała już tyle sił. Było jej niedobrze. Niepokoiła się. Właściwie nie miała dokąd pójść. Owszem, szła do chaty. Tam mogła zamieszkać, nawet jeśli matki już tam nie było. Co jednak miała począć? Urodzić martwe dziecko? No tak, a co potem? Umrzeć z głodu? Nie miała zwierząt. Kiedyś matka miała inwentarz i swoje poletko, ale przeprowadzając się do niej i do Björna, zabrała zwierzęta ze sobą. W zagrodzie było teraz pusto.

Zresztą mistrz Ulf i tak by tu za nią trafił i wtrąciłby ją z powrotem do lochu. Gwałtownie pokręciła głową. Nigdy. Woląca już umrzeć. Właściwie, jeśli się zastanowić, wcale nie miała ochoty żyć, więc nie miała się czego obawiać. Umrze. Dzisiaj. Pytanie tylko jak? I gdzie?

Nagle poczuła okropne parcie. Zatrzymała się na środku drogi i mocno chwyciła się za brzuch. Czy to już? Dał się słyszeć świst, a powietrze wokół przepełnił najohydniejszy smród, jaki kiedykolwiek czuła. Jakby puściła wiatry, które jednak wydostały się nie z jelit, a z brzucha. Czyżby wypełniało go zgniłe powietrze?

Potem odeszły jej wody.

Nie spłynęły jednak szybko, jak wówczas, kiedy rodziła synka. Ściekały powoli, a było ich bardzo, bardzo dużo. Do tego ten zapach... Ostry, niewiarygodnie cuchnący – zasłoniła nos, próbowała jakoś się od niego uwolnić, wydobywał się jednak z wody, a woda wylatywała z niej samej. Swędziało. Paliło ją krocze, paliły uda. Przyklęła, myśląc, że zaraz zacznie rodzić, lecz nic się nie wydarzyło. Wstała więc na trzęsących się nogach. Zobaczyła, że obok jej stóp wody zebrały się w kałużę, która z sykiem zaczęła wchłaniać się w grunt. Kirsti cofnęła się, zdziwiona, patrząc, jak ziemia buzuje i zaczyna mięknąć, zamienia się w małe bagno...

Kirsti się wzdrygnęła. Oczy znów przybrały ten lodowatoniebieski odcień.

\* \* \*

W porannych promieniach zagroda matki wyglądała spokojnie. Słońce odbijało się w powierzchni wody, a belki pod torfowym dachem swoją powierzchnią przypominały aksamit.

Z komina unosiła się smużka dymu. Drzwi były otwarte. A zatem matka była w chacie. Zza stodoły wyskoczył stary czarny kot. Popatrzył na nią przyjaźnie, po czym wszedł do chaty i zamiauczał.

– Ależ... – rozległ się czyjś głos.

Kirsti podniosła wzrok i zobaczyła matkę stojącą przy grządce z ziołami. Niosła naręcze zwiędniętej arniki, skrzypu i innych roślin leczniczych.

– Witaj, matko – powiedziała Kirsti cicho.

– Drogie dziecko, to ty? To ty, Kirsti? – Matka upuściła zioła.

– Tak, matko, wróciłam do domu.

Matka podeszła do niej powoli i na wpeł mrużąc oczy, popatrzyła na wychudzoną twarz i krótkie brudne włosy. Potem na zaokrąglony brzuch.

– Święta Maryjo, Matko Boża, co oni ci zrobili – wyszeptwała, a po jej policzkach zaczęły spływać łzy.

– Już po wszystkim, matko – odparła Kirsti i ruszyła przed matką do chaty. – Dlaczego tutaj jesteś? Żle ci u Björna?

– Börta nie chciała mnie u siebie. Ma swoją rodzinę. Zarówno braci, jak i siostry. Björn ma teraz wiele gąb do wykarmienia, choć wszyscy są pracownicy. Jakoś dają sobie radę.

– Börta? – zapytała Kirsti.

– Tak.

Kirsti usiadła i w milczeniu oparła ręce na chropowatym stole. Rozejrzała się. To tu dorastała.

– Jesteś głodna?

– Tak.

Matka podała jej kromkę chleba. Był świeżo upieczony, studził się właśnie obok pieca. Kirsti łapczywie wgrzyzła się w chleb. Odrywała zębami duże kawałki, żuła



i połykała.

– To pastor – powiedziała między jednym kęsem a drugim. – To on na mnie doniósł.

– Tak, domyśliłam się – odparła matka. – Wypuścili cię? Na dobre? Dlaczego nikt nas nie powiadomił?

– To nie ma znaczenia. Wszystko mi zabrali. Nic mi nie zostało.

– Jakoś się wszystko ułoży. Na razie możesz mieszkać u mnie, potem zobaczymy. Może powinniśmy iść do sądu. Kto jest ojcem?

– Björn, ale dziecko nie żyje.

Nagle zamilkła. Pośród pęknięć w blacie stołu otworzyło się oko. Zamrugało na nią. Chleb wypadł Kirsti z rąk i poturlał się na podłogę, gdzie od razu wgryzł się w niego kot.

Matka zniknęła, malutka izba też, wszystko wokół zrobiło się jasne i zimne, wszędzie widziała oczy.

oczy oczy oczy oczy

oczy oczy oczy

oczy

Ach, jak ona nienawidziła oczu.

## 17

W piątek pogoda była wspaniała. Najwidoczniej bogowie aury sprzyjali Sarze. Anders, który najwyraźniej tymże bogom nie ufał, na wszelki wypadek wynajął duży namiot ogrodowy. Poszłam do nich wcześniej rano, by pomóc w przygotowaniach, tak jak obiecałam. Dwa zestawione stoły stały już na zewnątrz nakryte białymi wymaglowanymi obrusami.

– Anders, a jak tam sytuacja z krzesłami? – zapytałam. – Wystarczy waszych czy powinniśmy przynieść też moje?

– Nie trzeba, mamy ich dużo, tyle że stoją w szopie i są brudne. Gdybyś więc miała ochotę je przetrzeć, byłoby świetnie.

Poszłam do Sary, która kręciła się po kuchni, i uściskałam ją urodzinowo. Prezent miała dostać później, kiedy przyjedzie Olofsson.

– Wyczyszczę krzesła – powiedziałam. – Masz może wiadro i trochę płynu do mycia? I szmatkę.

W szopie było ciepło i ciemno, dziwnie w niej pachniało. Może krową? Przez okienko w szczycie do środka wpadały promienie słoneczne, układając się w wyraźny kwadrat na drewnianej podłodze. Pod jedną ze ścian stały poustawiane jedno na drugich krzesła. Kiedy je przesunęłam, posypały się jakieś drobiazgi, które najwidoczniej leżały na wierzchu. Schyliłam się i podniosłam stary kapelusz słoneczny, żółty z różowymi kwiatami i szerokim rondem. Przypominał nieco sombrero. Zafascynował mnie na tyle, że wyszłam na dwór i obejrzałam go w świetle dziennym. Kilka razy uderzyłam nim o nogę, żeby strzepnąć kurz, po czym włożyłam kapelusz na głowę i wróciłam do środka, by po kolei wynosić krzesła.

Tak wystrojona, z zadowoleniem ustawiłam się w słońcu z wiadrem, butelką płynu oraz szmatką i zabrałam się do mycia, popijając przy tym kieliszek białego wina, który

dała mi Sara. Było dopiero wczesne przedpołudnie, ale, wiadomo, impreza to impreza. Widząc mnie w kuchni, Sara się uśmiechnęła i wiedziałam, że spodobała jej się moja nowa fryzura; pewnie zastanawiała się, co Staffan powie na mój widok. Wciąż nie porzuciła planu zrobienia ze mnie swojej synowej.

Kiedy już ustawiłam umyte i wytarte krzesła wokół stołu, znów poszłam do Sary. Anders zdążył już nakryć, więc Sara zabrała się do przystrajania tac egzotycznymi owocami. Ja na jej miejscu zamówiłabym catering, ona jednak zrobiła wszystko sama. Na tacach piętrzyły się plastry wędzonego mięsa z łosia i sarny, rostbef i gotowana szynka. Obok studziły się ziemniaki, które zaraz miały wylądować w misce z majonezem, jabłkiem, ogórkiem, czerwoną cebulą, koprem i całą resztą niezbędną do zrobienia sałatki. Wiedziałam też, że w spiżarni czekają torty śmietanowe z truskawkami, domowej roboty bułeczki oraz ciastka, najpewniej w siedmiu smakach.

– Sara, co mogę zrobić? Skroić ziemniaki? Przygotować sałatkę?

– Wszystko mam pod kontrolą – odparła. – Możesz zebrać trochę kwiatów i ustawić je w wazonach na stole. Proszę, tu masz wazon, a tu są nożyczki. Co ty masz na głowie?

– Kapelusz. Znalazłam go w szopie. Tylko pożyczylam – powiedziałam i obróciłam się, żeby mogła zobaczyć to cudo w całej okazałości.

– Raili, ty wariatko. Mój stary kapelusz? Zachowaj go sobie, jeśli chcesz, nie sądzę, żebym kiedyś go jeszcze włożyła.

Obeszłam grządki w ogrodzie, wybrałam się też na skraj lasu, gdzie wciąż jeszcze kwitło wiele kwiatów. Podśpiewywałam przy tym, aż w końcu uświadomiłam sobie, że właściwie to bardzo się cieszę na to przyjęcie. Wciąż czułam się odmieniona dzięki nowej fryzurze, a coś we mnie (choć nie wykluczam, że były to procenty z białego wina) podpowiadało mi, po raz pierwszy od wielu lat, że mam szansę na miłość. Owszem, chodziło o Staffana. Myślałam też jednak o Berit. Chciałam ją spotkać ponownie. Jeszcze jej pokażę! Uśmiechnęłam się w duchu. Ależ to cudowne uczucie, kiedy człowiek jest z siebie zadowolony i dobrze czuje się sam ze sobą.

Kiedy już ładnie poukładałam kwiaty i strategicznie rozmieściłam wazon na stołach, nie miałam już nic więcej do zrobienia. Pokręciłam się trochę po kuchni, wchodząc Sarze w drogę, aż w końcu pomyślałam, że mogę przecież skorzystać z ich

prysznic, a potem wrócić do domu i się przygotować.

– *Oh oh, it's party time* – podśpiewywałam, idąc przez las.

Próbowałam sobie przypomnieć, co właściwie czułam tego okropnego dnia, kiedy szłam tędy do domu po zażyciu *treo compu*. Niewiele pamiętałam. Popatrzyłam na las. Kołysał się przyjaźnie, jakby chciał mnie pozdrowić. Też mu pomachałam i poczułam się jak Mowgli z *Księgi dżungli*. Nagle nasza mnie ochota, żeby wejść do lasu i odnaleźć ruiny chaty. Czy znalazłabym je? Mogłabym też odszukać ten samochód, spisać jego numery rejestracyjne i sprawdzić, do kogo należy. Zerknęłam na zegarek. Była dwunasta. Przyjęcie miało się zacząć o trzeciej, a ja już się przecież wykąpałam.

– Nie potrzebuję trzech godzin, żeby się umalować i przebrać – powiedziałam sama do siebie. – Bez problemu zdążę się przejść po lesie. Miło będzie mieć sprawę tego samochodu z głowy.

Żeby tym razem się nie zgubić, postanowiłam wystartować dokładnie z tego samego miejsca, co tamtego burzowego dnia. Popatrzyłam na stopy. Crocsy nie są chyba najlepszym obuwiem do chodzenia po lesie, gdzie można spotkać żmije i tym podobne stworzenia.

– Dobra, po prostu będę uważać – stwierdziłam, ponieważ nie chciało mi się zachodzić do domu po skarpety i kalosze.

Rzuciłam torbę z ręcznikiem, kapeluszem i innymi drobiazgami na schodki domu, po czym ruszyłam przez trawnik. Mijając miejsce, w którym wtedy wymiotowałam, zrobiłam łuk. Wprawdzie dzień później padało i deszcz zmył zabrudzenia, lecz na trawie zrobiła się pożółkła plama, a rośliny wokół przybrały niezdrowo brązowy kolor. Co też takiego musiało się znajdować w wymiocinach?

– Co mam w brzuchu? – powiedziałam sama do siebie i aż się wzdrygnęłam.

Poszłam dalej i po krótkich poszukiwaniach udało mi się znaleźć drogę dla traktorów. Dobiegała aż do zagrody Hanssonów. Może Anders używał jej, kiedy jeszcze hodował zwierzęta. Podśpiewując, szłam przed siebie, niecierpliwie wyglądając polany. Czyżby ostatnio aż tyle czasu zajęło mi dojście do niej? W końcu jednak się pojawiła. Stara działka po chacie była skąpiana w słońcu. Krzywa szara żerdź, którą zasłoniłam wtedy dziurę po studni, leżała na swoim miejscu. Ostrożnie stawiałam kroki. I kto tu niby mieszkał według Olofssona? Czarownica?

Powoli weszłam po schodkach. Tutaj musiały znajdować się drzwi. Drzwi do domu Szalonej Anny. Dalej widać było tkwiące w ziemi stare kamienie. Gdzieniegdzie się przekrzywiły, gdzieniegdzie osunęły. Chata nie mogła być duża, miała może trzydzieści metrów kwadratowych. Na środku piętrzyła się sterta kamieni, zapewne po piecu. Reszta była zarośnięta trawą i pokrzywami. Trudno było sobie wyobrazić, że ktoś tu kiedyś mieszkał. Przyrządzał jedzenie, spał, śmiał się i płakał. Przysiadłam na schodkach i popatrzyłam na łąkę. Najwidoczniej pasły się tu jakieś zwierzęta. Może krowy? Może kozy? Postanowiłam poszukać jakichś informacji o chacie wdowy po żołnierzu. Może w lokalnym Towarzystwie Historycznym będą coś wiedzieć. Miło się siedziało w słońcu, miałam jednak do załatwienia jeszcze jedną sprawę. Musiałam odnaleźć samochód. Wstałam i zaczęłam się zastanawiać, którą drogą poszłam wtedy.

O tam! To tam w krzakach zółciły się wtedy kurki. Energicznie ruszyłam w tamtą stronę, zatrzymałam się jednak, kiedy doszłam do bagienka, w które wdepnęłam ostatnim razem. Wycofałam się i wytarłam buty w mech. O nie, nie miałam zamiaru wchodzić w to bajoro w crocsach. Choćby dlatego, że dopiero co się wykapałam i wybierałam się na przyjęcie.

Przypomniałam sobie, jak wtedy przebiegłam przez bagno, nie pamiętałam jednak, czy gdzieś było suche przejście. Spojrzałam przed siebie. Jak daleko ciągnie się woda? Postanowiłam, że będę szła dziesięć minut i jeśli nie znajdę przejścia, zawrócę do domu.

Droga dla traktorów kończyła się przy polanie, lecz znalazłam jakąś starą ścieżkę, którą ruszyłam, co rusz spoglądając w lewo, żeby sprawdzić, czy bagno się kończy. W tym miejscu wyglądało jeszcze bardziej obrzydliwie – połyskiwało zgniłą zielenią, a gdzieniegdzie rozlegały się syczące dźwięki. Chwyciłam leżącą na ziemi gałąź i cisnęłam ją do bagna. Kołysząc się powoli, zniknęła w wodzie z chlupotem. Ohyda. Zupełnie jakby bagno nie miało dna, choć przecież mnie wtedy udało się jakoś przez nie przejść. Nie mogło być zbyt głębokie. Złapałam kolejną gałąź i wetknęłam jeden koniec do wody, czekając, aż poczuję opór. W końcu niemal cała zniknęła pod powierzchnią, ale wciąż nie dotykała dna... Może rzeczywiście to było bezdenne bagno? I pomyśleć, że mogłam w nie wpaść, szukając grzybów. Utonęłabym jak nic. Czy w ogóle da się pływać w bagnie? Nie miałam pojęcia i bynajmniej nie

zamierzałam tego sprawdzić.

Rzuciwszy okiem na zegarek w komórce, zrozumiałam, że poszukiwania samochodu muszą poczekać. Musiałam wracać. Szybko przeszłam z powrotem na polanę, a potem ruszyłam drogą dla traktorów. Jak miło było znów być za pan brat z moim lasem.

\* \* \*

Ubrana jedynie w majtki i stanik tańczyłam po domu do Niny Simone. Spodnie leżały wyprasowane, a tunika czekała przygotowana na wieszaku. Przystanęłam przed lustrem i pociągnęłam rzęsy tuszem. Zdecydowanie nie chciałam pokrywać twarzy barwami wojennymi. Trochę czerni na rzęsach musiało wystarczyć.

Sięgnęłam po spodnie, ale kiedy miałam je włożyć, mój wzrok padł na stopy. Ki czort?! Całe były oblepione. A przecież po lesie chodziłam ostrożnie. Chyba nie zmoczyłam crocsów? Postępując, z trudem uniosłam nogę i podstawiłam pod kran w zlewie. Użyłam płynu do mycia, lecz brud trzymał się jak przyklejony. Sięgnęłam więc po szczotkę do szorowania i dopiero wtedy zaczął schodzić. Wyglądało to jak kleisty szlam. Po solidnym czyszczeniu przyjrzałam się dokładnie stopom, żeby sprawdzić, czy wszystko zeszło. Skóra była czysta, ale w wielu miejscach pojawiły się dziwne bąble, zupełnie jakby pogryzły mnie osy. No nic, postanowiłam się tym nie przejmować. Włożyłam spodnie, białe stopki i tenisówki. Tego dnia nie miałam zamiaru poświęcać moim stopom więcej uwagi. Szybko wrzuciłam na siebie tunikę, przejrzałam się w lustrze (włosy wyglądały idealnie, postanowiłam, że już zawsze będę się strzyc u tej fryzjerki) i ruszyłam na przyjęcie.

## 18

Słońce świeciło na dach namiotu, a za sięgającym samego brzegu wody trawnikiem połyskiwało jezioro. Sara, Anders i Staffan krążyli między kuchnią i stołami, donosząc tace z mięsem, miski z sałatką ziemniaczaną i zwykłą sałata. Był to miły widok. Poczułam rozchodzące się po ciele ciepło.

– Witajcie. Przyszłam pierwsza? – zapytałam.

– Dobrze, że jesteś – odparła Sara. – Może chcesz ponalewać drinki na powitanie i poustawiać je na srebrnej tacy w kuchni?

– *Mais oui, madame* – odpowiedziałam i ruszyłam w stronę domu.

W drzwiach zderzyłam się ze Staffanem.

– O, cześć. – Uśmiechnął się.

Boże, ależ z niego był przystojniak.

– Cześć, Staffan – wydusiłam z siebie.

– Raili... bardzo ładnie wyglądasz.

Słyszając to, zapomniałam języka w gębie.

\* \* \*

Na podwórko za domem zajechał wielki chrysler Almkvistów, ustawiając się obok audi Staffana. Za nim pojawił się saab Anderssonów. Z samochodów zaczęli wysiadać goście. Kennet z Anną-Marią, Kullmanowie i Anderssonowie oraz, oczywiście, Olofsson. Nadal nie było jednak Fritjofssonów, jedynych sąsiadów, których dotąd nie widziałam.

– Witajcie. Proszę, poczęstujcie się drinkiem. – Sara stała na trawie i witała się z każdym po kolei, a obok niej ustawił się Anders ze srebrną tacą.

Odwróciłam się do Staffana.

– A Fritjofssonowie nie przyjdą? – zapytałam.

– Nie, niestety. Mamie nie udało się z nimi skontaktować, bardzo żałowała. Tak chciała, żeby wszyscy sąsiedzi znad jeziora byli na przyjęciu.

Szkoda, doprawdy. Przynajmniej pojawili się Kullmanowie, z nimi też nigdy wcześniej nie rozmawiałam. Ciekawie będzie ich poznać, pomyślałam.

Stałam przy Staffanie, jakby wcielając się w rolę jego żony, i witałam się ze wszystkimi gośćmi. W zależności od tego, kto podszedł, wymieniałam uścisk dłoni i mówiłam „Jak miło znów się spotkać” albo „Witam, jestem Raili, mieszkam w sąsiednim domu”. Wydawało mi się, że Berit krzywo spojrzała na moją nową fryzurę, co mnie ucieszyło.

Olofsson ubrał się w nową koszulę i nowe spodnie. Chyba przyczesał też swoje nastroszone włosy, choć z wątpliwym skutkiem. Dyskretnie pokazał mi zawiniątko, które przyniósł. Wskazałam mu stół w namiocie, na którym inni już zostawili swoje prezenty.



## 19

Coś ciężkiego naciskało na moją głowę. Otworzyłam oczy, ale natychmiast je zamknęłam. Blask światła omal mnie nie oślepił. Gdzie ja byłam? Co się stało? Znów otworzyłam oczy, tym razem ostrożniej. Źródłem światła okazało się słońce wpadające przez okno do mojej sypialni. Dlaczego rolety nie były zaciągnięte? I co tak uciskało moją głowę?

Mozolnie przekręciłam się na plecy i od razu poczułam ulgę. Uświadomiłam sobie, że to przyciśnięte włosy tak mnie piły. Wtedy też przypomniałam sobie wczorajsze przyjęcie Sary. Wino i drinki. Obróciłam głowę i zerknęłam na drugą połowę łóżka. Staffana nie było obok. A zatem nie przyszedł ze mną do domu. Może to i dobrze.

Ze stękiem podniosłam się z łóżka, lecz omal nie runęłam na ziemię, kiedy tylko moje stopy dotknęły podłogi. Popatrzyłam na nie ostrożnie, ale szybko musiałam unieść głowę, żeby nie zemdleć. Powoli położyłam się na plecach i uniosłam jedną stopę. Bąble urosły, zmieniły się w czyraki. Były duże, czerwone, piekły. Kiedy ich dotknęłam, okazały się ciepłe. Nie, nie ciepłe, gorące. Włożyłam szlafrok i pokuśtykałam do kuchni. Wiedziałam, że trzeba coś z nimi zrobić, najpierw jednak musiałam iść do łazienki.

Miałam kaca giganta. Nie jestem przyzwyczajona do takich ilości alkoholu. Nie pamiętam już nawet, jak udało mi się dojść do wychodka, ale kiedy wreszcie usiadłam na desce, poczułam niesamowitą ulgę. W środku było miło. Ciemno. Przez chwilę machałam wiszącymi w powietrzu nogami, obserwując słońce przeświecające przez pęknięcia w deskach. W promieniach unosił się kurz, tańcząc wkoło niczym w balecie. Ile wina wypiałam? Dużo. Zamknęłam oczy i starałam się sobie przypomnieć, co takiego się wydarzyło.

Staffan, to on się wydarzył. Wylądowaliśmy obok siebie przy stole i od razu

zaczęliśmy rozmawiać. Im więcej piliśmy, tym intymniej się robiło. Po jakimś czasie siedzieliśmy, przytulając się do siebie głowami, i obmawialiśmy ludzi wokół. Widziałam Olofssona, który rozmawiał z Helgem, i przez chwilę poczułam wyrzuty sumienia. Z drugiej jednak strony niczego mu nie obiecywałam. Owszem, kolegowaliśmy się, ale nie miał mnie na własność. Wydawało mi się, że od czasu do czasu posyłał mi spojrzenia pełne poczucia zawodu, wołałam jednak o tym nie myśleć.

Naprzeciwko nas siedzieli Kullmanowie. Karl i Freda. Okazali się całkiem mili. Byli chyba w wieku Sary i Andersa. Chudzi i z wyglądu nieco zasadniczy.

– On pewnie był dyrektorem szkoły, a ona nauczycielką religii – z chichotem zaszeptałam Staffanowi do ucha.

Kiedy jednak Freda się odezwała, zmieniłam zdanie. Mówiła dokładnie tak jak królowa Sylwia. Poprawną szwedczyzną, choć z wyraźnym niemieckim akcentem.

– Była nauczycielką niemieckiego. Zamęczała uczniów odmianą czasownika i dopełnieniem biernikowym.

– I biła ich wskaźnikiem, kiedy źle odpowiadali – zachichotał Staffan w odpowiedzi. – Zamykała ich w komórcie na węgiel i głodziła na śmierć.

– ...rozmiar domu. – Usłyszałam, jak Freda mówi do Berit. – Starsze zagrody mają bardzo ciekawą historię, wasza również. Gdyby Towarzystwo Historyczne miało dostęp do tego starego dokumentu...

– Nie ma mowy o publikowaniu dokumentów o naszej zagrodzie, koniec i kropka – uniosła się Berit, po czym obróciła się w drugą stronę i zaczęła rozmawiać z Anną-Marią, która omal nie wyszła z siebie ze strachu przed rozmówczynią.

Freda Kullman oniemiała. Uniosła wysoko brwi i w końcu wymruczała pod nosem:

– *Aber Gott, was für ein seltsamer Mensch.*

I choć nie znam niemieckiego, domyśliłam się, co miała na myśli.

– A Berit? – wyszeptałam do Staffana. – Co z nią jest nie tak?

– Nie wiem. Kiedy byliśmy dziećmi, była naszą przedszkolanką.

– Przedszkolanką? Biedne dzieci. – Akurat taka kobieta jak ona byłaby pewnie w stanie zamykać dzieci w komórcie z węglem i smagać je dyscypliną. – Czy doprawdy nikt nie sprawdza takich osób? Byle wariat może pracować w przedszkolu?

Zostawić takiej Berit dziecko na osiem godzin? Strach pomyśleć.

– Właściwie to wtedy nie była taka straszna – odparł Staffan. – Nie wiem, czemu teraz zrobiła się tak złośliwa.

Siedzący po mojej drugiej stronie Kennet pochylił się nad stołem w stronę Andersa i opowiadał mu coś o alternatywnych sposobach leczenia przygnębienia i depresji. Domyśliłam się, że mówi o żonie.

– Pije herbatkę z dziurawca, oczywiście stosujemy też tran.

Musiałam się wtrącić.

– Anna-Maria pije herbatę z tranem? – zapytałam z przerażeniem.

– Nie, nie. Tran jest w kapsułkach – odparł Kennet, zadowolony, że trafił mu się zainteresowany słuchacz. – Terapia kryształowa też działa, jest bardzo skuteczna – oznajmił. – Gorąco wierzymy w tego typu metody. Anna-Maria ma naszyjnik z kwarcu. Otóż jest to najsilniejszy minerał. Już w starożytnym Egipcie...

– Ale co na to zakład ubezpieczeń społecznych? – przerwałam mu. – Myślałam, że nie zgadzają się na tego rodzaju leczenie.

– Fundusz zdrowia! – prychnął Kennet. – Oni nie mają tu nic do gadania. Anna-Maria nie jest na zwolnieniu lekarskim z powodu depresji. Uznaliśmy, że to nie byłoby dobre. Zajmuje się dziećmi w domu. Kiedy się pojawiły, tak postanowiliśmy: że ich mama będzie zajmować się domem do czasu, kiedy skończą dwanaście lat. Uważamy, że to nasz obywatelski obowiązek wobec dzieci, by zajmować się nimi i zapewnić im porządne wychowanie, bezpieczeństwo i domowe jedzenie.

– Nie wszystkich jednak stać na to, żeby siedzieć w domu z dziećmi – zauważył ktoś sucho.

To Karl włączył się do dyskusji.

– O tym może należałoby pomyśleć, zanim człowiek zdecyduje się na dzieci – odparł Kennet przemądrzale.

– Uważasz zatem, że posiadanie dzieci to przywilej ekonomiczny? – zapytał Karl z wyczuwalną nutką ironii. – Ciekawa myśl. Gdyby tak jednak było, nie rodziłoby się ich tyle.

– Zasiłki dla rodzin z dziećmi powinny być wyższe, tak żeby w każdej rodzinie jedno z rodziców mogło zostać w domu – ciągnął Kennet. – Państwo dopłaca do przedszkoli, czy nie lepiej byłoby je zamknąć i przeznaczyć pieniądze na rodziny

z dziećmi? W każdym razie na szwedzkie rodziny z dwójką dzieci, bo według nas one mają największą wartość...

(W tym momencie spojrzenie moje i Olofssona się skrzyżowały).

– ...bo nie możemy zapominać, że dzieci to nasza przyszłość. – Kennet mówił coraz głośniej. – To niesłuchanie ważne.

Przestałam ich słuchać. Przeniosłam wzrok na Annę-Marię. Gdyby chodziło o mnie, to wolałabym zostawić dzieci w przedszkolu niż w domu z nią. Ta kobieta była prawdziwym wrakiem. W jednej chwili spojrzenie miała całkiem puste, a w następnej nerwowo rozbiegane. Potem znów popatrzyła na Kenneta błagalnie niczym pies. Co chwilę dotykała czegoś pod bluzką, zapewne swojego naszyjnika z kwarcu.

– Dlaczego ona ma depresję? – szeptem zapytałam Staffana.

– Chyba po porodzie – odparł i dolał nam wina.

– Ale Tova ma już trzy lata. To tak długo się utrzymuje?

– Nie wiem, ale ciiii, może nas usłyszeć.

Znów popatrzyłam na Annę-Marię. Poporodowa czy nie, jej depresja nie budziła wątpliwości.

Berit próbowała wymóc na niej odpowiedź na pytanie o życie w Vänersborg: ulicę handlową, sklepy, liczbę imigrantów. Anna-Maria przez większość czasu odmrukiwała tylko „Nie wiem”. W końcu Berit się zmęczyła i obróciła do mnie, więc i ja śmiało spojrzałam na nią.

– A ty gdzie mieszkasz? – zapytała w końcu.

– W Valludden – odparłam.

– Ach tak, znam trochę tę okolicę – powiedziała łaskawie. – Oczywiście najbardziej kojarzę rejon wokół Kolerna.

Kolerna była rzecz jasna „najlepsza”.

– Ja mieszkam w centrum – wyjaśniłam. – Mam całkiem przytulne dwupokojowe mieszkanie w starym budownictwie.

– Kolerna – zapiszczała Anna-Maria. – Co za dziwna nazwa.

– Bardzo ładna dzielnica – oznajmiła uroczyście Berit. – Moja siostra i jej mąż mieszkali tam w latach osiemdziesiątych, zanim przenieśli się do Göteborga (w tym miejscu spojrzała kątem oka na Helwego). Chcieli mieszkać bliżej dzieci. On, to znaczy

mój szwagier, był dyrektorem (kolejne spojrzenie w stronę Helgego).

– Kolerna to faktycznie dziwna nazwa – powiedziałam do Anny-Marii. – Tam znajdował się dawniej cmentarz ofiar cholery; to od niego nazwano dzielnicę.

– Nie wierzę w to ani trochę – prychnęła Berit. – Cmentarz ofiar cholery, też coś. Znajdowało się tam coś zupełnie innego, moja droga.

– Owszem, był tam też cmentarz dla ubogich – powiedziałam wyzywająco. – Dobrze więc, że dzielnica nie nazywa się Biedota lub jakoś tak.

– Jakaś ty mądra. – Popatrzyła na mnie ze złością. – Jak rozumiem, jesteś zazdrosna. Staffan z uśmiechem dał mi kuksańca.

– Wyjdziemy na chwilę? – zapytał.

Wstałam od stołu, nie chcąc się dołować przez Berit, i ruszyłam za Staffanem na dwór.

– Słuchaj. – Delikatnie pociągnęłam Staffana za koszulę. – Czym właściwie zajmuje się Kennet. Jest dyktatorem czy co?

– Z ciebie to jednak wariatka – zaśmiał się. – Jest audytorem.

– Nie przypominam sobie, żebym go często widywała latem zeszłego roku. – Dyskretnie czknęłam.

Staffan popatrzył na mnie.

– Pewnie wtedy więcej pracował. Jednak teraz Anna-Maria ma takie problemy i... – Umilkł.

– A gdzie zostawili dzieci na wieczór?

– Pewnie u rodziców Kenneta.

– A Karl i Freda Kullmanowie? Jacy są?

– Nie wiem. Przeprowadzili się tu, kiedy ja już nie mieszkałem z rodzicami. Skąd te wszystkie pytania?

– Po prostu jestem ciekawa. – Uśmiechnęłam się, świadoma, że trochę bełkoczę i się chwieję. – Przejdziemy się nad jezioro?

\* \* \*

Woda była spokojna, a tafla jeziora gładka. Nie jak lustro, raczej jak metal. Połyskliwy czarny metal. Po drugiej stronie widać było pięć domów. W trzech świeciło się

światło. U Almkvistów i Fritjofssonów było ciemno. Za plecami słyszeliśmy śmiechy i rozmowy gości, nad wodą zaś unosiło się ciche muczenie krów Anderssonów.

Było tak pięknie, aż chciało mi się płakać.

Staffan nalał wino do kieliszków i wręczył mi jeden z nich.

– Na zdrowie, piękna Raili.

Stuknęłam swoim kieliszkiem w jego i napiłam się. Wino było pyszne.

– Staffan, właśnie teraz czuję się szczęśliwa – powiedziałam, spoglądając na niego.

– Tak się cieszę, że cię poznałam. Wcześniej się ciebie bałam.

Po pijaku człowiek mówi tyle głupot. I uświadamia to sobie dopiero następnego dnia.

Staffan przyciągnął mnie do siebie i mocno przytulił. Wtedy ja uniosłam jedną dłoń i przesunęłam nią po jego blond czuprynie. Nasze usta się spotkały. Poczułam, jak jego dłoń wędruje w dół po moich plecach, a potem wsuwa się pod tunikę. Potem w głowie miałam czarną dziurę.

\* \* \*

Nadal siedziałam w wychodku, rozmyślając o poprzednim wieczorze, ale pragnienie okazało się silniejsze. Pokuśtykałam do domu i wyciągnęłam fantę z lodówki. Mój żołądek domagał się ciepłej, ociekającej tłuszczem pizzy.

Chwyciłam butelkę z fantą, najostrzejszy nóż oraz rolkę papierowego ręcznika i usiadłam na podłodze w kuchni, żeby obejrzyć stopy. Nigdy wcześniej nie miałam wrzodów, jednak wydawało mi się, że powstają dniami, jeśli nie miesiącami. Nacisnęłam jeden z nich, a ból niczym sztylet przeszył stopę i całą nogę. Czyrak wydawał się miękki, przypominał przejrzałą pomarańczę. Wściekła czerwień przechodziła w szarość na czubku wrzodu.

Dla kurażu wypiłam łyk fanty, przystawiłam nóż do czyraka i nacisnęłam. Zabolalo jak diabli, szybko odłożyłam więc nóż i przyjrzałam się miejscu po ukłuciu. Ani kropli krwi. Czuję ślinę nabiegającą do ust, lecz zacisnęłam tylko zęby i kolejny raz wbiłam nóż, tym razem mocniej. Z płaskim czyrak się otworzył i popłynęła z niego żółtobrudna ropa. Z przerażeniem patrzyłam na to, co wydobywało się z mojej stopy. Ciecz śmierdziała. Nie sądziłam, że ropa cuchnie, ale ta cuchnęła. Uderzył mnie

przyprawiający o mdłości zapach zatęchłych raków. Gwałtownie odchyliłam się na bok, otworzyłam drzwi od szafki i zwymiotowałam do kosza.

Kiedy osuszyłam ranę kawałkiem ręcznika, okazało się, że wygląda o wiele lepiej. Już mnie prawie nie bolało.

– Jeden z głowy, zostało siedem – wymamrotałam i przyłożyłam nóż do kolejnego czyraka. A potem następnego. I następnego...

Niemal godzinę zajęło mi oczyszczenie czyraków z ropy i umycie stóp, ale było warto. Znów mogłam chodzić jak człowiek, a stopy wyglądały prawie normalnie. Po czyrakach zostały ślady jak po ugryzieniach komarów, z czymś takim mogłam żyć. Na bosaka wyszłam do kontenera ze śmieciami i wyrzuciłam worek z tą mało przyjemną zawartością. Potem spróbowałam sobie przypomnieć, co jeszcze wydarzyło się poprzedniego wieczoru.

Całowaliśmy się nad jeziorem, tyle pamiętałam. Ale co było potem? Czarna plama. Miałam nadzieję, że się nie wygłupiłam w żaden sposób. Że nie próbowałam go uwieść (zgwałcić) ani nic w tym stylu. Westchnęłam po raz kolejny i weszłam do domu, żeby zarzucić na siebie coś wygodnego. Kiedy zdjęłam z siebie szlafrok, zorientowałam się, że pod spodem nic nie mam...

Z przerażeniem popatrzyłam najpierw na siebie, potem na łóżko. Jednak tylko moja połowa łóżka wyglądała, jakby ktoś na niej leżał. Poduszka i kołdra po drugiej stronie były nietknięte. Mój wzrok powędrował dalej w stronę stojącego pod oknem krzesła. Moje ubrania leżały na nim elegancko złożone. Spodnie, tunika, stanik, majtki, a na wierzchu białe stopki. Niemożliwe, żebym ja to zrobiła. Po pierwsze, nigdy nie śpię nago, po drugie, nie składam ubrań nawet na trzeźwo, czemu więc miałabym to robić zalana w trupa?

Postanowiłam już o tym nie rozmyślać. Włożyłam dres oraz bluzę i ruszyłam na inwentaryzację lodówki. Znalazłam całe opakowanie mrożonej pizzy, więc śniadanie miałam zapewnione.

Po jedzeniu ułożyłam się na kanapie z kocem i książką, nie miałam jednak siły czytać. Zaczęłam więc rozmyślać o ludziach, których spotkałam na przyjęciu. O sąsiadach znad jeziora. Specyficzne towarzystwo, doprawdy. Olofsson – wiadomo, teraz już jednak nie wydawał mi się dziwakiem, polubiłam go. Karla i Fredę

właściwie też, wydawali się surowi, lecz mieli poczucie humoru. Jednak Kennet i Anna-Maria? Co za para! On dominujący, z na wpół zwariowanymi poglądami, ona całkiem szalona i posłuszna, zupełnie niemająca własnego zdania. A Helge i Berit... On był całkiem w porządku, choć pantoflarz, Berit zaś to idiotka. Złośliwa i zgorzkniała. Do tego Fritjofssonowie, którzy się nie pojawili... Sara wspominała, że rzadko bywają w Lövaren. Najwidoczniej mieszkali w Göteborgu i podróżowali po świecie, zajęci swoimi sprawami.

Zastanawiałam się, co inni myśleli o mnie.

– Halo! Jest ktoś w domu?!

Aż podskoczyłam.

– Sara?

– No tak. I Staffan.

O Matko Boska. A ja nawet nie umyłam zębów. Zerwałam się z sofy i spotkałam ich w przedpokoju.

– Witajcie! Wchodźcie – powiedziałam, przerażona. – Może kawy?

– Chętnie – odparł Staffan i krocząc przed matką, wszedł do dużego pokoju. – I jak się dziś czuje nasza dama?

Szybko zniknęłam w kuchni, gdzie nastawiłam kawiarkę, jednocześnie szorując zęby. Schowana za drzwiczkami szafki szybko przeciągnęłam też dezodorantem pod pachami.

– Jako tako – odparłam niepewnie. – Teraz już jest w porządku, choć nie byłam w najlepszej formie, kiedy się obudziłam... zresztą goła.

– Ha, ha, ha – zaśmiał się Staffan. – Padłaś w moich ramionach nad jeziorem.

– O nie – jęknęłam.

– Razem z tatą musieliśmy cię przynieść do domu.

To się nie mogło dziać naprawdę. Zamknęłam oczy i oparłam czoło o lodówkę.

– Śpiewałaś całą drogę – ciągnął Staffan bezlitośnie. – Coś o miłości, porzuceniu i kolejnej miłości.

– Jak miło – wydusiłam z siebie.

– Ja też z wami przyszłam – dodała Sara uspokajająco. – To ja cię rozebrałam i położyłam do łóżka.



– Hm. Dobrze wiedzieć. Zaniepokoiłam się rano, kiedy zorientowałam się, że jestem naga.

– A nie sypiasz nago? – zapytała Sara. – Ja tak. Ale co ci się stało w stopy? Wyglądały na zainfekowane?

– Wiem – odparłam i pomyślałam, że na szczęście nie przyszli wcześniej, kiedy cięłam sobie skórę ostrym nożem i cuchnęłam jak zepsute skorupiaki. – Wczoraj, spacerując po lesie, nabawiłam się bąbli. Musiałam wejść w coś trującego, ale już jest lepiej. – Uniosłam jedną stopę i pomachałam nią w powietrzu. – A jak potoczyło się przyjęcie po moim niechlubnym zejściu?

– Trwało do trzeciej rano – powiedział Staffan. – Niech mnie, ci ludzie naprawdę potrafią imprezować. Anna-Maria też się upiła. Przysiadła na kamieniu i płakała przez kilka godzin.

– Cóż – wtrąciła Sara. – To smutne. Ona naprawdę nie jest do końca zdrowa.

Nie jest do końca zdrowa. Toż to eufemizm roku.

– Za to tata zaczął grać na skrzypcach, a mama i Berit tańczyły.

Popatrzyłam na Sarę, robiąc przy tym oczy jak spodki.

– No owszem. – Uśmiechnęła się. – Po tych paru kieliszkach Berit znów była jakby sobą sprzed lat.

– Cholera, chciałabym to zobaczyć.

Nalałam nam kawy i usiedliśmy przy stole w kuchni.

– Sara, a czym zajmują się Karl i Freda?

– W jakim sensie?

– Są zupełnie inni od reszty.

– Freda pochodzi z Niemiec, przyjechała tu chyba w latach siedemdziesiątych. Zdaje się, że jest profesorką historii na uniwersytecie w Göteborgu. Teraz już na emeryturze, ale wydaje mi się, że nadal pracuje. Karl był wojskowym. Miał jakiś wysoki stopień, może nawet był pułkownikiem.

– Proszę, proszę. – Zrobiło to na mnie wrażenie. – Mają dzieci?

Tak już miałam, że czasami szukałam sobie potencjalnych rodziców zastępczych. Moi już nie żyli. Tata zmarł, gdy byłam dzieckiem, a mama dziesięć lat temu. Sara i Anders stali się dla mnie jak rodzice, odkąd się tu sprowadziłam, teraz jednak, skoro

widziałam ich w roli przyszłych teściów, potrzebowałam nowej mamy i nowego taty. Pułkownik i profesorka historii – to brzmiało nie najgorzej.

– Tak, mają – odpowiedziała Sara. – Choć one rzadko tu przyjeżdżają. Dwie dziewczyny, zresztą w twoim wieku, Raili.

Niech to, spora konkurencja.

– Ale, ale, przyszliśmy tu nie tylko po to, żeby sprawdzić, jak się czujesz – dodała Sara z uśmiechem. – Chciałam też podziękować za wczoraj i za ten piękny prezent. Ty i Yngve nie musieliście się tak wykosztowywać.

Kupiliśmy jej nowy robot kuchenny. Ze starego często korzystała i wciąż odpadała od niego jakaś część, a przyciski były popękane.

– Ale chcieliśmy. – Uśmiechnęłam się.

Wkrótce potem poszli. Staffan nie pocałował mnie na pożegnanie.

Niepotrzebnie myłam zęby.

## Wrzesień 1671 roku

Drzwi, nie grubsze niż złożone do modlitwy dłonie, wpatrywały się w nią twarde i zimne. Tych kilka złączonych desek stanowiło granicę między jej wolnością a śmiercią.

– Gdybym tylko mogła odejść do Ojca w niebie.

Wiedziała, że to bezbożna myśl. Nie wolno życzyć śmierci ani sobie, ani nikomu innemu. Jaki jednak miała wybór? Cóż, zapewne wszystko rozstrzygnie się poza nią. Wiedziała, że nie przeżyje kolejnej zimy w tym lodowatym lochu. Nie miała jednak zamiaru przyznać się do winy. Nie zrobiła nic złego. Nic, co zarzucali jej mistrz Ulf i sąd.

Pastor, pomyślała. To przez jego kłamstwa. Za co to? Co ja mu zrobiłam?

Rozmyślanie o pastorze nie miało jednak sensu. Robiła to codziennie, odkąd ją schwytano, i nie doszła do tego, dlaczego ją wydał.

Z westchnieniem zmieniła pozycję. Siedziała na zarzuconej słomą zimnej piwnicznej podłodze. Cała była obolała, do tego jednak zdążyła już przywyknąć. Do bólu można się przyzwyczaić. Nie zliczyłaby już, ile razy wrywali jej ręce ze stawów, palce zaś miała spłaszczone i powykrzywiane od kleszczy. Żal jej było tylko dziecka. Już od dawna nie czuła w sobie żadnego ruchu, brzuch jednak nadal rósł. Teraz był duży i głuchy. Nie było w nim życia, tylko śmierć i... nie wiadomo co.

– Piekło was pochłonie! – krzyknęła w stronę drzwi. – Niech was diabli wezmą za to, co zrobiliście mnie i dziecku!

A może mistrz Ulf sam był diabłem? Mówił, że zachowali ją przy życiu ze względu na dziecko, że miała móc je wydać na świat, skoro już się poczęło. Później jednak gwałcił ją za każdym razem, gdy schodził do lochu. Kopał ją w brzuch, wieszał ją za ramiona i kazał przyznać się do układów z szatanem. Teraz w jej brzuchu nie zostało się już nic żywego.

Chciała móc zapłakać, lecz łzy skończyły się dawno temu.

\* \* \*

– Odezwiiesz się, suko?

Kirsti próbowała z całych sił, ale cios w brzuch pozbawił ją tchu. Zawisła bezwładnie. Sznur, którym związano jej ręce, był umocowany na haku w suficie.

– Iiihhh... – zaświszczała, wdychając powietrze. – Iiihh...

– Chcesz więcej? Nie czujesz bólu? Jesteś oblubienicą szatana, a on chroni swoich.

– Boże, miej litość nad moją duszą – wystękała Kirsti, w odpowiedzi dostając cios po nerkach.

W zasadzie nie czuła już bólu. Obróciła głowę, żeby popatrzeć na mistrza Ulfa, zabrakło jej jednak odwagi. W takie oczy człowiek nie chce spoglądać.

Mistrz Ulf. Jakże ona nienawidziła tego człowieka. Jego przenikliwego wzroku i cienkich ust. Brał ją, kiedy chciał. Wciąż czuła jego nasienie spływające po udach pod spódnicą.

– Wystarczy – powiedział nagle do młodego pomocnika o kamiennej twarzy. – Odetnij sznur i odprowadź ją do lochu.

Wiedziała, co ją czeka. Teraz mistrz odejdzie, a młody skorzysta ze swojej szansy i dopiero wtedy wepchnie ją do celi. Mistrza Ulfa brzydził jej wielki brzuch. Kiedy ją brał, kazał jej stać twarzą do ściany, ale młodego jej wygląd nie obchodził.

Była pewna, że dziecko nie żyje. I dobrze. Na taki świat lepiej nie przychodzić.

\* \* \*

W lochu panował chłód, mimo że była dopiero wczesna jesień. Kirsti ułożyła się na ziemi, starając się w miarę możliwości zanurzyć w słomie, i ciasniej owinęła się dziurawym szalem. Wtedy ból uderzył z całą mocą. Często tak się działo, była więc przygotowana.

– Co oni ci zrobili? – zapytała stara kobieta, którą przyprowadzili do celi dzień wcześniej. – Bili cię?

– Tak – odparła.

– Jesteś kochanicą szatana, jak mówią?

– Nie, nic nie zrobiłam.

– Ja też nie. Mówią, że zabiłam sąsiadkę, tyle że to nie ja. I nie kradłam mleka. Jak długo cię tu trzymają?

– Nie wiem. Schwytali mnie w styczniu, chyba... Teraz trudno coś sobie przypomnieć.

– Osiem miesięcy? Matko Boska, miej mnie w opiece – powiedziała kobieta z przerażeniem i usiadła pod drugą ścianą.

\* \* \*

Kirsti już od wielu dni miała trochę spokoju. Mistrza Ulfa i młodego chyba nie było na miejscu. Czy to kolejny podstęp, czy może coś im się stało? Czy tych przeklętych mężczyzn trafił szlag?

Raz na dzień służka o przestraszonym spojrzeniu wrzucała im przez otwór w drzwiach jedzenie, o Kirsti i staruszce nie zapomniano więc zupełnie.

– Kim jesteś? – zapytała Kirsti. – Dlaczego nie chcesz powiedzieć? Skąd pochodzisz? Ja jestem Kirsti Martasdotter z Lövaren.

– Nie masz ojca? Jesteś bękartem? – pytała ostro kobieta.

– Oczywiście, że mam ojca – odpowiedziała Kirsti ze spokojem. – Każdy ma. Mój był duńskim żołnierzem. Wiesz, jak to bywa.

– Tak. Ciężko być kobietą. Cierpimy za nasze grzechy.

– Kim jesteś?

– Nie podam ci swojego imienia, wiédźmo – wysyczała kobieta. – Kto wie, co mogłabyś z nim zrobić, gdybyś je poznała.

– Taka ze mnie wiédźma, jak i z ciebie – odparła Kirsti zmęczonym tonem. – Ja też nie krađłam mleka i nikogo nie zabiłam.

– Mówią, że latałam na Blåkulla <sup>2</sup> z dziećmi – powiedziała kobieta, zagubiona. – A przecież coś takiego bym pamiętała.

– Kłamią. O mnie mówili, że namawiam mężczyzn do grzechu, że jestem oblubienicą szatana i staram się namieszać w głowie chrześcijanom, żeby odeszli od wiary i wylądowali w piekle. – Kirsti ostrożnie ułożyła się na plecach i popatrzyła w sufit. – Jedyne, czego teraz chcę, to umrzeć. Gdyby zostawili tu sznur, powiesiłabym się.

– Błuznisz – odparła kobieta niepewnym głosem.

– Owszem, ale spalą mnie. I nie dostanę przed śmiercią komunii, więc i tak jestem

potępiona.

W jej brzuchu znów rozległy się pomruki. Wystraszyła się. Z jękiem się podniosła. Staruszka wcisnęła się w dalszy kąt i popatrzyła na nią przerażona.

– Co chcesz zrobić? – zapytała.

– Nie dam już rady. – Kirsti popatrzyła na niewielki otwór okienny pod sufitem. Na zewnątrz świeciło słońce. – Nie przetrwam kolejnego przesłuchania. Przyznam się, byle tylko pozwolili mi umrzeć. A nie chcę się przyznawać do czegoś, czego nie zrobiłam.

Oparła głowę o zimną ścianę i zaczęła się zastanawiać, czy udałoby jej się zabić, gdyby z całych sił uderzyła głową w wielki, nierówny kamienny blok.

Rozległ się szcęk zamka. Kirsti spojrzała na drzwi. Już pora posiłku? Nie czuła nawet głodu.

I znów wściekle burczenie, jakby z wnętrza brzucha, jej wielkiego, nabrzmiałego, martwego brzucha. Powoli zrobiła kilka kroków w stronę drzwi, a kiedy te się uchyliły, w Kirsti jakby coś wstąpiło. Z siłą, jakiej nie miała już od miesiący, otworzyła drzwi i spojrzała prosto w przestraszone oczy służki. Biedna dziewczyna nie miała przy sobie nawet strażnika. Choć biorąc pod uwagę stan, w jakim były Kirsti i staruszka, straż nie była tu chyba potrzebna.

Tak im się przynajmniej wydawało.

– Wychodzę – powiedziała spokojnie, chwytając służkę za fartuch i wciągając do celi. Taca z chlebem i wodnistą zupą z hukiem poleciały na ziemię. Dziewczyna ze strachu dostała zadyszki. – Idziesz ze mną? – zapytała, obracając się w stronę kąta.

Staruszka pokręciła głową i schowała twarz w dłoniach. Kirsti czuła, jak dziewczyna drży w jej rękach. Jakby zupełnie od niechcienia cisnęła nią o ścianę. Jej głowa odbiła się od kamieni z niemiłym plaskiem. Kirsti zamknęła za sobą drzwi i przekręciła klucz.

\* \* \*

Schody były ciasne i ciemne. Pchali ją i ściągali po nich tyle razy, że właściwie znała każdy stopień. Ostrożnie postawiła stopę na pierwszym schodku i zaczęła nasłuchiwać. Na górze panowała cisza. Zrobiła krok, chwilę się zawahała, ale ruszyła w górę.

W izbach było pusto. Nie spotkała ani mistrza Ulfa, ani młodego. Żałowała. Chciałaby się na nich natknąć.

Naprawdę.

Zastać ich we śnie.

Bezbronnych.

Jej wzrok padł na stojącą na stole lampę olejną. Nie paliła się, lecz obok leżało krzesiwo. Kirsti po omacku zaczęła przy nim gmerać i po chwili w lampce knot się zatlił. Kirsti zapaliła lampę i uniosła przed siebie. Zasycało, tran się zapalił.

Miło było patrzeć na tańczący żółty płomień. Z lampą w ręku zeszła z powrotem do piwnicy i otworzyła drzwi. Staruszka nadal siedziała w rogu z twarzą ukrytą w dłoniach. Dziewczyna leżała na podłodze. Jej jasne włosy zrobiły się ciemnoczerwone od krwi.

– Gdzie jest mistrz Ulf? – zapytała ją Kirsti. – Kiedy wróci?

– Jest w Göteborgu – wyjęczała dziewczyna. – Wezwano go tam pilnie cztery dni temu. Nie wiem, kiedy wróci.

– Zostawię drzwi otwarte. Jak będziesz chciała, wyjdiesz – rzuciła Kirsti do staruszki, po czym wyszła z budynku.

\* \* \*

Słońce wisiało nisko. Kirsti ruszyła na północ. Na wzgórzu groźnie czerniła się szubienica. Przechodząc obok niej, zamknęła oczy. W wyobraźni słyszała głosy samobójców i przestępców wołających do niej z ukrytych we wzgórzu grobów. Ze smutkiem zaczęła się modlić za dusze ich oraz własną. Skończyła, kiedy szubienica zniknęła z zasięgu wzroku.

Z Munkedal do Lövaren było daleko. Miała nadzieję, że zabierze się z kimś, kto będzie jechał wozem w tamtą stronę. Jednak zważywszy na jej wygląd, nie było co się ludzić, że ktoś przystanie. Pomyślała, że jest włóczęgą lub Cyganką, i smagną ją tylko batem.

Wściekłe burczenie w brzuchu ucichło, lecz pozostała nowo odzyskana moc. Czy doprawdy cisnęła tę biedną dziewczynę o ścianę? Kirsti pokręciła głową, wszystko przypominała sobie jak przez mgłę. Nie pamiętała dokładnie. Uznała, że musiała śnić.

Że to był zły sen. Może tak naprawdę nie było żadnej staruszki, może mistrz Ulf ją wypuścił, oznajmiając, że popełnili błąd.

Może oszalała.

Kroczyła dalej nierówną drogą, zastanawiając się, kiedy zacznie rozpoznawać okolicę. Jak daleko mogło być do Lövaren? Może będzie musiała iść całą noc. Teraz pożałowała, że nie zjadła posiłku, który przyniosła im dziewczyna (ten okropny dźwięk, z jakim jej głowa uderzyła w ścianę...). Jaka dziewczyna? Przecież nie było żadnej dziewczyny.

Kiedy zapadła noc, znów użyła hubki i rozpałała lampę. Jasna łuna rozświetliła ziemię pod jej stopami i pozwoliła jej trzymać się drogi. Jednocześnie jednak napędziła jej prawdziwego stracha, tworząc migotliwe cienie na wrzosowisku. Kirsti dostrzegła nieforemne kamienie i szczeliny skalne, w których mogło się kryć cokolwiek.

Stawiała nagie brudne stopy jedna za drugą i starała się nie odrywać wzroku od szerokiego błotnistego traktu. Szła dalej, do domu.

Zapowiadała się długa noc.



Nadszedł ostatni tydzień mojego urlopu. Staffan wrócił już do domu i do pracy (był nauczycielem WF-u w liceum w Trollhättan). Olofsson się nie pokazywał. Zapewne obraził się za to, że zupełnie zignorowałam go podczas przyjęcia. Nie mogłam go za to winić. Nie miałam pojęcia, jak to będzie ze Staffanem, choć w głębi duszy czułam, że się zakochałam. W rzeczywistości miłość nie wygląda tak różowo jak w filmach. Człowiek czuje niepewność, niepokój, zamęcza się. O wiele lepiej jest pominąć cały etap zakochania i przejść od razu do poczucia bezpieczeństwa, jakie daje bycie parą. Choć w przypadku mnie i Leifa wcale nie wyszło to na dobre.

Nosiło mnie, więc wskoczyłam w crocсы i ruszyłam ścieżką prowadzącą do zagrody Sary i Andersa. Kiedy zbliżyłam się do domu, zobaczyłam wszystkie dywaniki przewieszane przez trzepak. Domyśliłam się, że robią generalne porządki. Z westchnieniem zawróciłam, nie było sensu im przeszkadzać. Popatrzyłam na jezioro i postanowiłam chwycić byka za rogi, czyli pojechać do Olofssona i przeprosić go za moje zachowanie na przyjęciu.

Kwadrans później pukałam do jego drzwi i szarpałam za klamkę. Bezskutecznie. Jego samochodu nie było na podwórku. Co zrobić? – pomyślałam. Odwiedzić Almkvistów? Nie. Może Kullmanowie byli w domu? Mogłam przecież do nich wpaść, mimo że mieli dwie córki w moim wieku... Freda była historyczką, może wiedziała coś o tej działce w lesie?

Ledwie zdążyłam zapukać, Karl już otworzył.

– Ależ dzień dobry, Raili – powiedział. – Wejdz.

Mieli naprawdę stylowo urządzone dom. Białe ściany były niemalże wytapetowane zawieszonymi symetrycznie obrazami. W jednym pokoju dominowała na nich żółć, w drugim zieleń, dalej niebieski i tak dalej. Szafki kuchenne były białe, pozostałe

meble też. Właściwie wszystko, oprócz podłogi wyłożonej ciemnobrązowym parkietem. W głębi salonu Freda siedziała za dużym biurkiem, także białym, otoczona stertami papierów i książek, stał tam też komputer.

– Dzień dobry, Raili – przywitała się. – Jak miło, że odważyłaś się do nas zajrzeć.

Ona naprawdę mówiła dokładnie jak królowa Sylwia.

– Witaj – odparłam. – Powinnam przeprosić... Wtedy na przyjęciu... nie miałam kiedy się pożegnać.

Oboje uśmiechnęli się grzecznie.

– Freda – ciągnęłam – zanim... to znaczy kiedy jedliśmy, słyszałam, że rozmawiałaś z Berit o Towarzystwie Historycznym.

– Tak, lokalna grupa z Lövaren jest bardzo aktywna. Kiedy tu jestem, staram się im pomóc. To wspaniałe, że ludzie tutaj tak działają.

Znów się uśmiechnęła.

– Tak się składa – wyjaśniłam – że w lesie, niedaleko mojego domu, znalazłam ruiny chaty. Nie są oznakowane. Chodzi mi o to, że lokalne towarzystwa historyczne prowadzą dokumentację takich miejsc i oznaczają je tabliczkami, ale tam niczego takiego nie znalazłam. Zaciekawilo mnie to.

– Ach, tak – rzekła Freda z entuzjazmem i zaczęła przeszukiwać książki. – Towarzystwo opublikowało pismo o starych zagrodach i chatach w tej okolicy. Niech no sprawdzę... – Przekartkowała kilka zeszytów, pomrukując przy tym, co chwilę śliniła palec i szukała dalej. – Chyba chodzi o tę działkę – oznajmiła w końcu. – Zagroda należąca do żołnierza, prawdopodobnie zbudowana na ruinie starego domu z siedemnastego wieku. Od roku tysiąc osiemset siedemdziesiątego drugiego do tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego dziewiątego mieszkał tam żołnierz Arvid Rask i jego żona, Anna Jonsdotter. Mieli dwójkę dzieci, ale zmarły w młodym wieku. Po śmierci męża Anna mieszkała w chacie do końca życia, czyli do roku tysiąc dziewięćset trzydziestego trzeciego. Mieli dwa akry pola, krowę i dwie kozy. Popatrz. – I Freda pokazała mi stronę w książeczce.

Spojrzałam na niewyraźne czarno-białe zdjęcie znanej mi polanki w lesie. Stała na niej chata, a przed nią staruszka ubrana w długą czarną spódnicę, fartuch i szal. Według podpisu fotografię zrobiono dwa lata przed śmiercią Anny Jonsdotter.

– Olof... Yngve – powiedziałam, wskazując palcem na dom Olofssona – mówił, że jego mama pamiętała Annę z dzieciństwa.

– Świetnie! – zakrzyknęła Freda. – Muszę z nim koniecznie porozmawiać.

(Wybacz, Olofsson).

– Wspominał, że mówili na nią Szalona Anna i wszyscy się jej bali.

– A to dlaczego? – Im bardziej się ekscytowała, tym bardziej do głosu dochodził jej niemiecki akcent.

– Nie mam pojęcia. – Wzruszyłam ramionami. – Jest tu coś napisane o tej działce z siedemnastego wieku, na której żołnierz zbudował swój dom? Ol... Yngve wspominał, że być może mieszkała tam czarownica, którą spalono.

– Co? To niesamowite. Naprawdę muszę z tym mężczyzną porozmawiać. Słyszysz, Karl?

Karl, który dopiero co wrócił z kuchni, gdzie zajmował się przyrządzaniem przekąsek, pokiwał tylko głową i postawił tacę na stoliku.

– Ciekawe, bardzo ciekawe – powiedział. – Moje panie, możecie się rozsiąść, a ja zaserwuję wam herbatę oraz poczęstunek.

– Słyszałaś o procesach czarownic w regionie Bohuslän, prawda? – zapytała mnie Freda.

– Cóż... – odparłam. – Co nieco o nich wiem, oczywiście. W Szwecji w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych siedemnastego wieku spalono około dwustu pięćdziesięciu do trzystu czarownic. Pewien chłopiec, bodajże niejaki Johan Grijs, zeznawał przeciwko wielu kobietom, w tym swojej matce.

– To jednak działo się w północnej Szwecji, a później w Sztokholmie, moja droga – sprostowała Freda. – W Bohuslän było nieco inaczej. Wówczas obowiązywało tu jeszcze prawo duńskie, mimo że Bohuslän stało się częścią Szwecji na mocy pokoju z Roskilde z roku tysiąc sześćset pięćdziesiątego ósmego. Według prawa duńskiego w procesach o czary można było stosować tortury. Oczywiście korzystano z tego zapisu. Skrupulatnie wykonywano próbę wody. Podejrzanym o czary związywano z tyłu ręce i nogi, po czym wrzucano ich do wody. Słyszałam, że wbrew pozorom dzięki tej pozycji łatwiej było się utrzymać na powierzchni. Poza tym wełniane spódnice działały trochę jak kamizelki ratunkowe, choć nie zostało to potwierdzone historycznie. Wiesz

chyba, że jeśli kobieta uniosła się na wodzie, wierzono, że to diabeł powstrzymuje ją przed zatonięciem.

– Tak – odparłam, zafascynowana entuzjazmem Fredy.

Mówiła tak ciekawie, a jednocześnie po profesorsku. Poszczyło mi się, że mogłam jej posłuchać, nie musząc na to brać kredytu studenckiego...

– W Bohuslän dokonano dwudziestu ośmiu egzekucji. W trzech przypadkach byli to mężczyźni. Poza tym wiele osób zmarło w więzieniu lub popełniło samobójstwo. Okrutne czasy, doprawdy. Ludzie byli tak przerażeni wizją wiecznego potępienia, że przyznawali się do przestępstw i wyrażali skruchę, byle tylko otrzymać komunię przed ścięciem lub spaleniem. Szalone czasy. Torturowano ich, więc się przyznawali i donosili na innych, którzy podczas tortur wydawali kolejnych, i tak dalej. Sama rozumiesz.

– Wiesz, jak to wyglądało tutaj, w północnym Bohuslän? – zapytałam. – Ile osób skazano?

– Wydaje mi się, że skazano i zabito jakieś dziesięć, jedenaście kobiet. Kilka z nich odmówiło przyznania się i w końcu je uwolniono. W ogóle nie przypominało to procesu. Nie mogły odczytać protokołów z zeznań, nie miały obrońców. Torturowano je, dopóki się nie przyznały. Były całkiem bezbronne; zresztą uznawano je za winne, jeszcze zanim je wsadzono do więzienia. Tego samego dnia, kiedy kogoś wytknięto i nazwano czarownicą, kończyło się jego życie.

Kiedy w końcu wieczorem wyszłam od Kullmanów, zobaczyłam, że samochód Olofssona stoi przed jego domem. Bez większego namysłu weszłam po schodkach i zapukałam.

– Proszę – zawołał.

Otworzyłam drzwi, które przyjacielsko zaskrzypiały.

– Cześć, Olofsson, to ja – rzekłam zupełnie niepotrzebnie, bo stał w przedpokoju i mnie widział.

Bez słowa przeszedł do kuchni i usiadł przy stole. Ruszyłam za nim i usiadłam naprzeciwko. Wyjrzałam przez okno na ciemny las.

– Byłam z wizytą u Kullmanów – powiedziałam pośpiesznie. – Przy herbacie Freda udzieliła mi krótkiej lekcji historii. Opowiadała o procesach czarownic.

– Aha – odparł krótko.

– Właśnie – przypomniało mi się. – Wpadnie do ciebie porozmawiać o Szalonej Annie. I o tym, skąd wiesz, że w tamtej chacie mieszkała wiedźma. – Przygryzłam dolną wargę i, skrepowana, popatrzyłam na niego. Oloffson wpatrywał się we mnie bez słowa.

– No a ty? – spytałam, żeby wreszcie przerwać milczenie. – Co dzisiaj porabiałeś?

– Byłem w Hedum i opłaciłem rachunki.

– Aha.

– Ty też powinnaś. Zaraz koniec miesiąca.

– Nie muszę. Mam zlecenia stałe.

Wtedy przypomniałam sobie, jak to Ylva uratowała mnie, kiedy omal nie ściągnęłam na siebie komornika. Po tym jak Leif mnie zostawił, zupełnie się załamalam. Nie jadłam, nie myłam się, nie sprzątałam, nie płaciłam rachunków. Szłam do pracy i wracałam, nic więcej. Ylva próbowała przemówić mi do rozsądku, ale niewiele to dało. Chciałam umrzeć. W końcu posprzątała mi cały dom i zrobiła pranie. Zaciągnęła mnie też pod prysznic i całą mnie wyszorowała, a potem zmusiła do zjedzenia obiadu i do rozmowy.

– Chcesz umrzeć? Dobrze, umrzesz. To mogę ci obiecać. Wszyscy kiedyś umrzemy. Możesz chyba jednak dopilnować, by zrobić to godnie. W czystych ubraniach i bez komornika na karku?

Po tym kazaniu pomogła mi się skontaktować z doradcą z banku, zapłacić zaległe rachunki oraz zamówić zlecenia stałe. Poszła też ze mną na zakupy. Surowo oznajmiła, że od tej pory mam się stawiać w pracy umyta i w czystych ubraniach.

Na to wspomnienie uśmiechnęłam się do siebie i popatrzyłam na Olofssona, który z ponurą miną wpatrywał się w stół.

– Posłuchaj – powiedziałam. – Przykro mi, że tak to wyszło na przyjęciu. Wybaczysz mi?

– Nie rozumiałaś, co powiedziałem? – zapytał. – W ogóle nie słuchałaś czy co?

– O co ci chodzi? – Przecież odkąd przyszłam, prawie nie odezwał się słowem.

– Mówiłem, że masz się trzymać z dala od tego Staffana.

Popatrzyłam na niego przerażona. Był naprawdę wściekły. Nie chciałam rozmawiać

o Staffanie. Wolałam, żeby nie wiedział, że się zakochałam.

– A jak się udało z Hektorem? Tym psem? – Zmieniłam temat.

– Nic z tego nie wyszło – westchnął. – Jakaś rodzina z dzieckiem go chciała, więc wybrali ich. Może to i lepiej. – Zrobił smutną minę.

– Dlaczego tak mówisz?

– Bo i on by zniknął. Dzieje się tu coś złego, Raili. Możesz mnie nazwać wariatem, ale tak jest. Coś nadciąga z lasu.

– Od zawsze to czułeś? – zapytałam ostrożnie. Wciąż nie byłam pewna, czy Olofsson nie jest trochę szalony. – Przecież mieszkasz tu całe życie. Zawsze czułeś to zło kryjące się w lesie?

– Nie. – Zmarszczył czoło. – Nie wiem, kiedy się to zaczęło tym razem. Może zeszłego lata.

Może przez moje wyrzuty sumienia w związku ze Staffanem, a może przez to, że współczułam Olofssonowi z powodu historii z Hektorem, nagle zrozumiałam, co powinien zrobić. Dla swojego dobra. Chciałam mu też pokazać, że mu wierzę (choć nie do końca tak było...).

– No dobra, Olofsson – powiedziałam i żeby się nie rozmyślić, dodałam: – Musimy przeprowadzić eksperyment.

– Jaki znów eksperyment?

– Mówiłeś, że ja dostrzegam zło przez treo comp, pamiętasz? To ty wykryłeś związek między nim a moim zachowaniem. To ty zauważyłeś, że po każdym zażyciu leku bałam się lasu.

– I co chcesz w związku z tym zrobić? Łyknąć kolejną tabletkę i zobaczyć, co się stanie?

– Tak. Taki właśnie mam zamiar.

## 21

Stałam nad kuchennym zlewem z nieotwartą fiolką treo compu. Powoli zdjęłam szklankę z suszarki, napełniłam ją wodą i postawiłam obok. Wyjrzałam przez okno, zastanawiając się, czy naprawdę chcę to zrobić.

Olofsson miał rację. Za każdym razem, gdy odczuwałam działanie złych mocy z lasu, byłam pod wpływem leku. Wyłuskałam tabletkę i wrzuciłam do szklanki. Nic mnie nie bolało, więc czułam opór przed zażyciem tej mikstury. To trochę jak brać narkotyki, na przykład heroinę. Wcześniej łykałam jedną tabletkę. Tym razem dorzuciłam jeszcze dwie i zaczęłam się przyglądać, jak rozpuszczają się w wodzie. No to chlup, pomyślałam i wlałam w siebie zawartość szklanki. Położyłam się na sofie i czekałam, aż lek zacznie działać.

Zaczął. Jakby ktoś wymierzył mi policzek. Nie byłam otepiąta, jak poprzednio, poczułam się jak w wirówce. Kręciła mi się głowa oraz całe ciało. Musiałam coś zrobić, żeby nie zemdleć.

Zabrałam taboret z kuchni i ustawiłam go na krańcu trawnika, tuż na skraju lasu. Słońce świeciło, trzmiiele brzęczały, na niebie nie było ani jednej chmurki. Drażniło mnie nieco, że pogoda jest taka ładna. Trochę nie pasowała do mojego planu.

Kapelusz słomkowy miał mnie chronić przed udarem słonecznym, którego mogłam się nabawić, czekając tam i wpatrując się w drzewa. Gdyby coś się w nich kryło, wyczułabym to, bez względu na warunki pogodowe. Z drugiej strony, gdyby wiało i lało, pewnie nie odważyłabym się tam siedzieć, nawet jeśli taka aura byłaby bardziej nastrojowa.

Nigdy wcześniej o tym nie myślałam, ale w zasadzie byłam tchórzem. Wszystkiego się bałam. Jeśli na przykład w sklepie kasjerka wydała mi za mało, nie odzywałam się. Pakowałam zakupy i zzymałam się całą drogę do domu, ale nigdy nie upomniałam się

o resztę. Kiedy Berit mnie obraziła, nazywając mnie grubą i nieatrakcyjną, mogłam się odciąć, lecz nie, wzięłam tylko jej słowa do siebie, uznałam, że ma rację, i przemilczałam to. Kiedy Leif zostawił mnie dla tej szczupłej laski, zagryzłam zęby i bez gadania zgodziłam się na rozstanie. Nie mieliśmy dzieci, mimo że przez wiele lat się staraliśmy. Nawet to mi nie wychodziło. Jeśli Leif doczeka się potomka w nowym związku, będzie wiadomo, że wina leżała po mojej stronie. Że to ja nie mogłam mieć dzieci, nie on. Niech mnie diabli. Niech go diabli. Niech wszystko diabli.

Dobrze. Właściwie to mogłam tam sobie umrzeć. Na tym taborecie pod lasem. Co tam. I tak niewielu by mnie opłakiwało. Rodzice nie żyli, rodzeństwa nie miałam. Narzeczonego też nie. Ani nawet kota (zapewne dlatego, że go uśmierciłam). Ylwie z pracy by mnie brakowało. A może też nie. Gdybym zniknęła, mogłaby przecież dostać moją posadę i wspiać się nieco po drabinie kariery. Jednak Olofsson, Sara i Anders by mnie opłakiwali. A Staffan? Pewnie nie.

Byłam sama jak palec. Gruba. I strachliwa. W dodatku bez formy. Jakby się zastanowić, cerę też miałam nie najlepszą. Z porami.

Zaczęły mnie boleć plecy, pożałowałam więc, że zamiast taboretu nie wzięłam krzesła z oparciem. Rozmyślałam o bezsensie wszystkiego. W lesie nie kryło się nic dziwnego, to ja i Olofsson byliśmy dziwakami. Traciłam tylko czas. Zsunęłam się z taboretu i rozłożyłam na plecach na trawie, spoglądając na niebo spod runda kapelusza. Właściwie nic nie miało większego znaczenia. Stwierdziłam, że zostanę tam, nie przejmując się niczym, dopóki ktoś nie odkopie mnie za kilka lat, kiedy to już postanowią wyciąć las i zrobić stację benzynową na mojej działce.

Leżałam więc, nie reagując na to, że insekty chodzą mi po twarzy. Drzewa nade mną kołysały się delikatnie, przyjaźnie, jakby się o mnie troszczyły i chciały mnie chronić.

Zasnęłam.

Coś mnie obudziło. Jakieś zimne, obślizgłe ciało poruszało się przy moim ramieniu. Wąż. Zerwałam się jak oparzona i cofnęłam o kilka kroków. To żmija? Czy zaskroniec? Nie miałam pojęcia, nie umiałam ich rozróżnić.

Z zastygniętymi na twarzy łzami chwyciłam taboret i wróciłam do domu. Treo comp chyba przestał działać, bo znów czułam się normalnie. Słońce wisiało już o wiele niżej, musiałam spać całkiem długo. Sądząc po ilości łez, śniłam pewnie o moich



niedostatkach.

\* \* \*

Łup, łup, łup!

Usiadłam na łóżku, zastanawiając się, co też się u licha dzieje.

Łup, łup, ŁUP, ŁUP!

Ktoś próbował otworzyć kopniakami moje drzwi.

Nałożyłam szlafrok i wyszłam do przedpokoju. To Olofsson. Kiedy mu otwierałam, patrzył na mnie z niedowierzaniem.

– Wiesz, która godzina? Pierwsza.

– Pukaj, Olofsson. Pukaj, a nie kop – wymamrotałam.

– Pukać? Pukałem przez kwadrans, a kopałem przez kolejny.

Z westchnieniem przeszłam do kuchni i nastawiłam kawę. Potem przysiadłam na skrzyni pod oknem i ukryłam twarz w rękach. Czułam się podle.

– Jak poszło wczoraj? – zapytał Olofsson, rozsiadając się przy stole.

– Do dupy – odparłam rzeczowo. – Nic się nie wydarzyło. Nic. A wcześniej dosłownie naćpałam się treo compem. Na próżno.

– Wyglądasz na chorą.

– Czuję się okropnie. Cholera.

Kawa się zaparzyła. Nalałam sobie i Olofssonowi, po czym sięgnęłam po cukier. Siedzieliśmy w milczeniu, nie patrząc na siebie. Nagle westchnęłam, jakby całą sobą. Miałam wrażenie, że dopiero w tym momencie się obudziłam.

– Olofsson...

– Mhm?

– Właściwie to coś się wydarzyło.

– Jak to?

– Kiedy poszłam do lasu, to znaczy na jego skraj, bo nie miałam odwagi wejść dalej... wtedy... sama nie wiem, złapałam doła. Poczułam się całkiem bezwartościowa. Rozmyślałam o wszystkim, co mi nie wyszło w życiu. Nigdy wcześniej tak mnie to nie przygnębiało, bo właściwie akceptuję swoją sytuację życiową. Wczoraj jednak naprawdę miałam ochotę umrzeć.

Olofsson popatrzył na mnie.

– Chociaż – ciągnęłam – mogło to być skutkiem tego, że przedawkowałam treo comp. Sama nie wiem.

– A masz ulotkę? – zapytał. – Możemy sprawdzić, czy wspominają tam o skutkach ubocznych w postaci depresji i takich tam.

Wyciągnęłam fiolkę z lekiem z szafki i wyłuskałam ulotkę.

– Najczęstsze skutki uboczne – zaczęłam czytać – mogą wystąpić u dwóch do siedmiu pacjentów na sto. Ich występowanie jest uzależnione od dawki oraz długości trwania terapii. Najczęściej występują: dolegliwości brzucha, zgaga, mdłości i zatwardzenie (wiedziałam!). Zwiększone ryzyko krwawień, zwłaszcza błony śluzowej układu pokarmowego. Hm... szum w uszach? – Wyliczałam dalej kolejne przypadłości, które mogły mnie spotkać, ale żadne nie wydawały się pasować.

– Czyli nie piszą nic o depresji? – zapytał Olofsson.

– Nie, nic takiego tu nie ma. Zresztą słyszałam, że niektórzy łykają treo comp jako narkotyk. Chyba nikt nie brałby czegoś, po czym nie poczułby się lepiej? Chyba cała idea ćpania jest taka, że człowiek ma się poczuć szczęśliwy, czyż nie?

Popatrzyliśmy na siebie.

– To co teraz robimy? – zapytałam.

## 22

– I zaczął się wrzesień – oznajmiłam Sarze i Andersowi.

Siedziałam właśnie u nich w ogrodzie i patrzyłam na jezioro.

– Miejmy nadzieję, że to będzie długa i ciepła jesień – odparł Anders. – Choć nie brak nam drewna, więc w zimę nie będziemy marznąć, prawda Sara? – I popatrzyli na siebie z uśmiechem.

– A Raili, kochana, musi wrócić do miasta i do pracy. – Sara pogłaskała mnie po kolanie. – Biedaczka.

– No właśnie! – zawołałam. – Chciałabym już być na emeryturze.

Mój Boże, jakże mi się nie chciało wracać do Valludden, do mojego mieszkania, do biblioteki. Śmieszne, ale w porównaniu z wsią to w mieście, pośród tłumu, człowiek czuje się o wiele bardziej samotny.

– Co ty właściwie tam robisz? – zapytał Anders.

– Pracuję w bibliotece, wiesz przecież.

– No tak, tak, ale poza pracą?

– Aha. – Zaczęłam się zastanawiać. – Hm, chadzam do kina i do teatru, staram się być na bieżąco z kulturą, że tak powiem. Muzea i tym podobne. Czasami jeżdżę do Göteborga. – Taką w każdym razie miałam ambicję, choć, Bogiem a prawdą, jak każdy przeciętny człowiek czas spędzałam najczęściej na kanapie przed telewizorem.

– Kiedy wyjeżdżasz? – zapytała Sara.

– Jutro albo w sobotę – odparłam. – Najpierw muszę posprzątać dom, skosić trawę...

\* \* \*

Okazało się, że nie miałam zbyt wiele sprzątanego, udało mi się więc ogarnąć dom

i ogród do drugiej po południu. Kiedy skończyłam, z westchnieniem rozłożyłam się na hamaku. Uznałam, że mogę już wyruszyć do miasta i przygotować się mentalnie przed poniedziałkowym powrotem do pracy.

Spakowałam ostatnie manele, po czym ruszyłam do Sary i Andersa, żeby się pożegnać. Potem, na szosie, zamiast w lewo, na Valludden, skręciłam w prawo. Chciałam jeszcze zajrzeć do Olofssona.

Kiedy przyszłam, akurat popijał kawę przy swoim żeliwnym stoliku.

– Widziałem, że wyjeżdżasz – przywitał mnie. – Dobrze, że zajechałaś.

– Wiadomo przecież, że nie zniknęłabym bez pożegnania – powiedziałam i wręczyłam mu złożoną karteczkę z numerem mojej komórki. – Dzwon, jakby co – dodałam.

Olofsson pokiwał głową, a potem wstał i wszedł do domu. Po chwili wrócił z białą kopertą w ręku.

– Co to? – zapytałam.

– Klucz do mojego domu. Chciałbym, żebyś go miała na wypadek, gdyby coś się stało.

– Co masz na myśli? Co miałoby się stać? – zaniepokoiłam się.

– Pewnie nic. – Uśmiechnął się dyskretnie. – Też zapisałem ci mój numer.

Odebrałam od niego kopertę.

– Raili – dodał. – Naprawdę miło było cię poznać.

– Ciebie też, Olofsson. Niedługo znów przyjadę. Zobaczymy się za kilka tygodni.

\* \* \*

Weekend minął jak z bicza strzelił. Ani się obejrzałam, a już nadszedł poniedziałkowy poranek. Stałam przed wejściem głównym do Biblioteki Miejskiej w Valludden i spoglądałam na swoje odbicie w szklanych drzwiach. Widziałam, że w środku już ktoś jest. Zapewne Ylva, ona zawsze przychodzi pierwsza. Z westchnieniem otworzyłam drzwi i weszłam. Światła paliły się tylko w głębi, reszta biblioteki skąpana była w ciemnościach. Czuć było kurz i książki, cudowny zapach. Pamiętam go z czasów dzieciństwa, kiedy to skulona przesiadywałam na parapecie w starej bibliotece szkolnej, zaczytując się książkami przygodowymi. To najpiękniejszy zapach

na świecie.

– Ylva – zawołałam, lecz nikt nie odpowiedział.

Postawiłam torbę na biurku i między rzędami regałów ruszyłam do naszej zastawionej okrągłymi stolikami czytelniami.

– Halo? – krzyknęłam, choć niezbyt głośno.

Wciąż cisza.

Nigdy wcześniej, będąc w bibliotece, nie odczuwałam strachu, teraz jednak zaczęłam się bać.

Tutaj też? O nie, pomyślałam. Wtedy jednak dostrzegłam Arnolda, naszego sprzątacza i złotą rączkę. W uszach miał słuchawki, a w ręku trzymał mopa i wiadro. Arnold pracował u nas od czasów mojej młodości. Nigdy nie lubił ludzi. Książek właściwie też nie. Zawsze kiedy mył podłogi, słuchał pierwszego programu radia. Wydawał się zadowolony ze swojej pracy.

Zabrałam torebkę i poszłam do mojego biura. Na powrót wylądowałam w zaganianej rzeczywistości. Przejrzałam kalendarz i zorientowałam się, że już na następny dzień mam umówione spotkanie z przedstawicielami gminy w sprawie budżetu. Włączyłam komputer. Zamigotał i zaszumiał, a ja przez kilka sekund wpatrywałam się w ekran, po czym z jękiem oparłam się czołem o blat.

– Raili. – Usłyszałam obok zaniepokojony głos Ylvy. – Co z tobą?

Podniosłam głowę. Ylva stała w progu ubrana w dzinsową sukienkę, converse'y i берет.

– Ylva, potrzebuję urlopu – powiedziałam smutnym głosem.

– Odezwała się ta, co to właśnie miała sześć tygodni wolnego – skomentowała Ylva, siadając na krześle po drugiej stronie biurka.

– Tym razem nie miałam poczucia, że to był urlop – wyjęczałam. Przez chwilę myślałam, po czym znów stuknęłam głową o blat. – Potrzeba mi seksu.

– Owszem – odparła sucho. – Co do tego nie mam wątpliwości. Ale ślicznie wyglądasz, naprawdę ładnie wyszło.

– Co?

– No ta fryzura. Ładnie ci w niej.

– Ylva, muszę zacząć nowe życie – oznajmiłam. – Schudnę dziesięć kilo, zacznę

biegać i robić peeling twarzy (czymkolwiek by on nie był) i... i uprawiać jogę. Niech mnie szlag, jeśli nie włączę jogi do planu dnia.

– Czyżby kolejny kryzys w twoim życiu? – Ylva zmarszczyła czoło.

Na pewno przestraszyła się, że znów będzie musiała mnie karmić i kąpać.

– Podczas urlopu ktoś mi bez ceregieli uświadomił, że mam nadwagę i mysie włosy – prychnęłam. – Włosami się już zajęłam, teraz czas na resztę.

– Nie powinnaś słuchać idiotów – odparła Ylva, po czym stanęła przede mną i zmierzyła mnie bezlitosnym wzrokiem od stóp do głów.

– Jesteś ładna taka, jaka jesteś. Tych kilka dodatkowych kilogramów sprawia, że człowiek chętnie by cię przytulił. Przestań tak myśleć.

– Ylva, ożenisz się ze mną?

– Oczywiście. No dobrze, co dziś mamy w planie? Czy tuż po powrocie z urlopu nie miałaś zadzwonić do Związku Literackiego, żeby porozmawiać o wysokości licencji e-booków?

Miałam ochotę krzyknąć.

\* \* \*

Poza urlopem życie składa się z poniedziałków i piątków. Poniedziałek i piątek, poniedziałek i piątek, poniedziałek i piątek. Właściwie człowiek powinien dopilnować, żeby w poniedziałek i piątek zrobić coś naprawdę fajnego, bo dzięki temu cały czas jest fajnie.

Drzewa za moim oknem wciąż się zieleniły, powietrze było letnie. Lato się utrzymywało. Spałam w mojej wspaniałej sypialni przy otwartym oknie i trzepoczących firankach, jadałam posiłki w urządzonej w stylu lat trzydziestych kuchni, nie przed telewizorem, i naprawdę starałam się uczestniczyć w życiu kulturalnym, tak jak to wcześniej przedstawiłam Andersowi. Na tablicy korkowej w przedpokoju zawiesiłam informacje o wystawach muzealnych oraz przedstawieniach teatralnych i wart pięćdziesiąt koron kupon do nowej artystycznej kawiarni, którą otwarto w Tullarna, najstarszej części Valludden.

Jedyny zgrzyt był taki, że Staffan nie dzwonił. Jak jednak miał to zrobić, skoro nie miał mojego numeru telefonu? Chociaż mógłby sprawdzić w książce telefonicznej, nic

proszę, podpowiadał mi złośliwy głos. Po prostu nie jest tobą zainteresowany. Mój Boże, a ja miałam taką ochotę chwycić go za rękę, zaprowadzić do sypialni, zdjęć z niego ubrania, jedno po drugim, i pchnąć go na łóżko.

Tysiące razy wpisywałam „Staffan Hansson Trollhättan” w internetową wyszukiwarkę kontaktów i wpatrywałam się w jego numer i adres (z załączoną mapką). Wielokrotnie kusilo mnie, by zadzwonić, coś jednak mnie powstrzymywało. Absolutnie nie jestem zdania, że to mężczyzna musi zrobić pierwszy krok; blokowało mnie coś innego. Próbowałam udawać sama przed sobą, że to przez słowa Olofssona, ale oczywiście nie. Chodziło o to, co zawsze: Staffan był przystojny, wysportowany, do tego pięć lat młodszy. Co ja sobie wyobrażałam? Że taki Staffan mnie zechce? Małe szanse. Pewnie w tym liceum ma mnóstwo ładnych, słodkich i samotnych koleżanek. Nic tylko przebierać. Z drugiej strony to ja jestem faworytką Sary, podpowiadał miły głos w głowie. Mam więc szanse. Mężczyźni z reguły robią to, co każą im matki.

Czasami zastanawiam się, czy przypadkiem nie mam osobowości wielorakiej. A może to normalne, że w mózgu rozmowę toczą różne jednostki.

## 23

– Myślałam o tym, co mówiłaś – powiedziała Ylva, wybierając sushi z pudełka. – I sprawdziłam, co się dzieje w poniedziałki i piątki.

– Mhmm – odparłam z ustami pełnymi maki. – I?

– Więc tak: w poniedziałki jest chór...

– Wykluczone – oznajmiłam, kiedy tylko zdołałam przełknąć. – Zupełnie nie mam słuchu.

– Nie dałaś mi skończyć. Zacznę jeszcze raz: w poniedziałki jest chór, kurs ekologicznej uprawy roślin oraz warsztaty fotografowania aparatem systemowym.

– O Boże, co za nudy. Nie ma nic innego?

– Owszem, parę rzeczy, lecz nie mam odwagi ich wymienić, skoro to uznajesz za nudy. W piątki można zapisać się na Rewię Valludden...

– Błagam cię.

– Albo dołączyć do Koła Badaczy Genealogii lub też zająć się scrapbookingiem.

Westchnęłam. Wybór nie był powalający.

– Cóż – powiedziałam w końcu. – To może ta genealogia? Tylko to wydaje mi się znośne.

– Jeśli mam być szczerą, to nie jestem pewna, czy chcę marnować piątki na genealogię – odparła Ylva. – Nie możemy po prostu raz na jakiś czas pójść do kina, jak kiedyś? Mój mąż będzie zły, jeśli będę znikać w piątkowe wieczory na zbyt długo.

– Nie zapominaj, że ze mną też jesteś w związku – powiedziałam szorstko, po czym wytarłam usta i wstałam.

– A ty dokąd? – Ylva na mnie popatrzyła.

– Na spotkanie budżetowe z przedstawicielami gminy. Zaczynam za dwadzieścia minut, więc muszę iść.



– Ach, prawda. Chcesz, żebym zrobiła coś konkretnego, czy mam się zająć listami wypożyczeń?

– Listami. Możesz też sprawdzić statystyki. A jeśli zadzwoni Sten Ivarsson ze Związku Literackiego, powiedz, że będę jutro. To spotkanie zajmie mi resztę dnia.

– Baw się dobrze. I nie rób nic, czego ja bym nie zrobiła. – Ylva się uśmiechnęła, włożyła na głowę swój niebieski beret i pomachała mi na pożegnanie.

\* \* \*

Miałam wrażenie, że wchodzę do jaskini. Tapety na ścianach były ciemnoliliowe, a na podłodze leżały grube, wzorzyste dywany. Wszystkie fotele obite były pluszem w różnych odcieniach czerwieni, a stoły miały kolor teku. Zamówiłam filiżankę herbaty oraz dużego cynamonowo-imbrowego muffina za mój kupon wart pięćdziesiąt koron, po czym usadowiłam się przy stoliku.

Czekając, aż kelnerka przyniesie moje ciastko, rozglądałam się po lokalu. Na wszystkich ścianach, z wyjątkiem tej przy ladzie z lodami, wisały grafiki – nieco na ukos i na różnych wysokościach. W większości przedstawiały targane wiatrem krajobrazy z jednorożcami, leśnymi gęstwinami, magicznymi wodospadami oraz powyginanymi w różnych pozach ludźmi. Gdzieś wisiły podłużne obrazy z czarnymi japońskimi znakami na czerwonym tle. Zastanawiałam się, czy ktoś w kawiarni wie, co tak naprawdę oznaczają. Zabawnie byłoby zrobić grafikę, na której na przykład byłoby napisane „Tu zalewamy stare fusy herbaciane”, i zawiesić ją ukradkiem. Ja i Ylva lubiłyśmy wyszukiwać łacińskie sentencje i uczyłyśmy się ich na pamięć. Ostatnio trafiłyśmy na *Odi profanum vulgus et arceo*, co w tłumaczeniu znaczy „Nienawidzę nieoświeconego tłumu i unikam go”. Teraz, w dobie Google Translate, nikt by się nie odważył umieścić takiego napisu na ścianie, przecież każdy może sprawdzić, co to znaczy. Z japońskim nie poszłoby tak łatwo.

Kelnerka skończyła wreszcie przygotowywać moje zamówienie i przyniosła mi muffina na małej tacy. Wgryzłam się w niego powoli, obserwując, jak dziewczyna obsługuje kolejnych klientów. Za nią, na ciągnących się aż pod sufit półkach z ciemnego drewna, ustawionych było co najmniej pięćdziesiąt dużych puszek z różnymi gatunkami herbat.

W lokalu dominowali młodzi ludzie z dreadami, ubrani w workowate spodnie oraz flanelowe koszule w kratę. Wydawało mi się, że gdybym tylko zaszeleściła odpowiednim banknotem, większość z nich mogłaby zaoferować odrobinę marihuany do herbaty. Jednak po moich urlopowych przygodach z treo compem nie miałam na to najmniejszej ochoty.

– Mógłbym się przysiąc?

Popatrzyłam w górę i obok mojego stolika zobaczyłam chłopaka w czarnych spodniach, czarnych stojących na baczność włosach, z eyelinerem na powiekach. W rękach niósł tacę. Rozejrzałam się dookoła – wszędzie było pełno wolnych stolików.

– Naprawdę lubię starsze kobiety – powiedział, przyglądając mi się z zainteresowaniem.

Kiedy jestem na urlopie w Lövaren, noszę dzinsy, szorty albo dres i bluzę, ale w mieście wyglądam zupełnie inaczej. Ubieram się w lniane spodnie i marynarkę lub, jak tego dnia, jakiś kolorowy ciuch z dopasowanymi trzema szalami. Innymi słowy, całkiem nieźle wpasowałam się w atmosferę kawiarni.

Ponownie spojrzałam na chłopaka. Gdyby choć trochę przypominał Johnny’ego Deppa, może bym się zastanowiła, lecz on wyglądał po prostu śmiesznie.

– Ach, tak – odparłam. – Tylko że ta starsza kobieta nie przepada za chłopczykami, może więc rozsiąść się z tą tacą gdzieś indziej.

– Nie wiesz, co tracisz – odparł, naburmuszony, i obrócił się na pięcie.

To ty nie wiesz, co tracisz, pomyślałam.

Zaczęłam popijać herbatę i zastanawiać się, czego właściwie chciałam, jeśli chodzi o Staffana. Przede wszystkim chciałam iść z nim do łóżka, absolutnie się tego nie wypierałam. Chętnie również przespacerowałabym się z nim pod rękę gdzieś, gdzie mógłby nas zobaczyć Leif. Ale poza tym? Wyobraziłam sobie nas jedzących śniadanie, robiących zakupy, idących do kina, przygotowujących jedzenie. Owszem, przyjemna wizja pełna miłości. Czy jednak tak byłoby naprawdę? Czy może musiałabym się przeprowadzić do niego i jego dwójki dzieci? Czy one w ogóle by mnie zaakceptowały? Czy kiedykolwiek moglibyśmy zjeść śniadanie lub wybrać się do kina sami? Pewnie nie. Prawdopodobnie skończyłoby się na praniu przepoconych skarpet

piłkarskich, sprzątanii, robieniu zakupów i zrządzeniu. Zamiast chodzić do pracy na piechotę, musiałabym dojeżdżać. Może zniecierliłabym życie?

Dlaczego nic nie jest proste?

\* \* \*

– Wczoraj wieczorem poszłam do tego nowego lokalu – pochwaliłam się Ylwie następnego ranka.

– Którego?

– No wiesz, do tej artystycznej kawiarni.

– Tej na Tullarna? I jak?

– Cóż, gęste opary trawy w powietrzu. No i próbował mnie podrywać jakiś młodzik.

– Żartujesz? Ja też chcę iść. W co byłaś ubrana? I co to znaczy „podrywać”?

– W moje najbardziej kolorowe z kolorowych ciuchów. No i żartuję z tym podrywem. Niestety.

– No to jak tam było?

– Ciemny wystrój, dobra herbata i jakiś cholerny gówniarz, który lubi starsze kobiety, więc próbował skorzystać z okazji.

– Ach, mały żigolo – odparła na to Ylva z uśmiechem. – Trzeba było się zgodzić, dobrze by ci to zrobiło.

Rozdzwoniła się moja komórka. Na wyświetlaczu pojawił się nieznany numer.

– Raili Rydell, słucham – przedstawiłam się i machnęłam ręką na Ylvę, która przede mną udawała, że obściskuje się z małym żigolo.

– Cześć, to ja – odezwał się znany mi głos.

– Olofsson? Cześć! Co tam? Coś się stało?

Ylva skończyła odstawianie zaawansowanych amatorów i zamknęła usta. Popatrzyła na mnie z zaciekawieniem. Zakryłam słuchawkę dłonią i wyszeptałam do niej:

– Jeśli ktoś nas zobaczy przez okno, doniosą na nas.

Ona jednak tylko się zaśmiała, po czym usiadła na krześle obok, nadstawiając uszu.

– Na coś trafiłem.

– Na co? Chodzi ci o złe moce?

Ylva uniosła brwi ze zdziwienia.

– Chodzi o... Kiedy znów przyjedziesz?

– Planowałam się wybrać do Lövaren w przyszły weekend. Chcesz, żebym przyjechała już w tę sobotę?

– Mhmm...

– Jutro nie mogę, pracuję do siódmej. Przyjadę w sobotę. Co się stało?

– Sprawdziłem jedną rzecz. – W słuchawce rozległ się trzask. – Poczekaj, chyba ktoś przyszedł.

Zrobiło się cicho. Czułam, że zaczynam się pocić. Po chwili jednak Olofsson wrócił.

– Mam gościa, nie mogę teraz rozmawiać. Zadzwoń później.

Ylva złapała się pod boki i popatrzyła na mnie surowo.

– Co to za historia? O czym to mi nie opowiedziałaś? I kim jest Olofsson?

Zrelacjonowałam więc jej całą sprawę.

– Nie dziwię się, że znów chciałabyś mieć urlop – powiedziała, gdy skończyłam. – Co zamierzasz zrobić?

\* \* \*

Przez resztę dnia co chwilę spoglądałam na komórkę, lecz Olofsson nie zadzwonił. Próbowałam się z nim skontaktować, ale nie odbierał. Miał jedynie telefon stacjonarny, więc mógł oczywiście być poza domem, a jednak miałam złe przeczucia.

– Odezwał się? – zapytała Ylva, kiedy mijala mnie z wózkiem na książki.

Pokręciłam głową.

– To zadzwoń do niego.

– Próbowałam – odparłam smutno. – Nie odbiera. Myślisz...?

– Pewnie pojechał na zakupy albo zajął się czymś innym i zupełnie zapomniał. To facet, Raili – oświadczyła Ylva, której mąż miał pamięć jak słoń. Nigdy o niczym nie zapominał. To znaczy, o ile najpierw coś dosłyszał...

Olofsson nie zadzwonił. Po przyjściu do domu usiadłam na balkonie. Wyglądałam na rzekę, w jednym ręku trzymając kieliszek wina, w drugim komórkę. Co pół godziny próbowałam się do niego dodzwonić. Na darmo. Naprawdę zaczynałam się niepokoić.

Może zepsuł mu się telefon?

Zapadał zmierzch. Popatrzyłam na kilka łabędzi, które z gracją sunęły po powierzchni wody. Nad ich głowami skrzeczały mewy, lecz one się tym nie przejmowały, tylko kontynuowały swoją wdzięczną podróż, aż w końcu stały się punkcikami bielącymi się pod mostem przy fiordzie.

Moja komórka zawibrowała. Esemes od Ylvy. „Zadzwoił?”.

Odpisałam „Nie” i poszłam się położyć.

\* \* \*

– Tu Sara Hansson.

– Cześć, tu Raili.

– O, cześć! Dlaczego dzwonisz?

– Próbuję się skontaktować z Olofssonem, ale nie odpowiada. Wiesz, gdzie jest?

– Chyba w domu. Czemu go szukasz?

Dlaczego ją to interesowało? Dziwne, że zapytała. A może wcale nie? Co miałam powiedzieć? Prawdę?

– Rozmawialiśmy wczoraj i miał do mnie oddzwonić, lecz się nie odezwał. Próbowałam go złapać wiele razy, ale nie odbiera. No i zaczęłam się niepokoić.

– Mogę poprosić Andersa, żeby podjechał do niego i sprawdził, jeśli chcesz. A co ty i Yngve właściwie kombinujecie?

Co kombinujemy? Czy Sara myślała, że jesteśmy parą? O co jej chodziło? Nagle zrobiłam się podejrzliwa.

– Olofsson chciał kupić psa – skłamałam. – Akurat tu jednego znalazłam, ale właściciele już dziś muszą wiedzieć, czy go chce, czy nie.

Sara obiecała, że da znać, kiedy tylko Anders wróci. Nic więcej nie mogłam zrobić.

Mijały godziny. Krążyłam między biurem a wypożyczalnią niczym niespokojny duch.

Powinłam była uaktualnić naszą stronę internetową, ale zamiast tego kołysałam się na krześle wgapiona w ekran komputera. Ścisnęło mnie w żołądku, zupełnie jakby to tam skumulowała się energia z całego ciała, głowa, ręce i nogi zaś były jakby puste.

Zadzwoiła komórka. To Sara. Anders nie znalazł Olofssona. Jego samochód stał w ogrodzie, lecz dom był zamknięty, a jego nie było nigdzie w pobliżu.

- Pytaliście Kullmanów i Almkvistów, czy go widzieli?
- Nie wiem nawet, czy oni jeszcze tu są – odparła Sara.
- Kiedy wczoraj rozmawialiśmy, ktoś przyszedł do niego z wizytą. To wy go odwiedziliście?
- Nie, nie byliśmy u niego.
- Z kim jeszcze, poza Hanssonami i mną, Olofsson utrzymywał kontakty?
- Sara, kto to mógł być w takim razie?
- Nie wiem, Raili. Ale może po prostu wybrał się na spacer. Na pewno nic się nie stało.
- Przyjeżdżam jutro – oznajmiłam.

\* \* \*

W końcu wybiła siódma wieczorem. Wyłączyłam komputer, obeszłam bibliotekę, żeby sprawdzić, czy nikt nie został w budynku, po czym zgasiłam światła i zamknęłam drzwi.

Moja droga do domu zazwyczaj jest przyjemna (no może nie w listopadzie i nie w marcu, ale wtedy nic nie jest przyjemne). Pod stopami połyskiwał mokry bruk, a powietrze wciąż było ciepłe i pachniało nagrzanym kamieniem i zielenią. Jednak tym razem, wracając do siebie, nie spoglądałam na wystawy i nie podziwiałam zarysu wieży zegarowej wychylającej się zza wzgórza. Patrzyłam przed siebie i mechanicznie stawiałam kroki. Wiedziałam, że do Lövaren muszę jechać od razu, że nie wytrzymam do następnego dnia.

## 24

Było już po dziesiątej, kiedy zajęczałam pod dom Olofssona. Zaparkowałam za jego oplem i podeszłam zapukać do drzwi. Nikt nie otworzył. Ostrożnie nacisnęłam kłamekę, ale było zamknięte.

– Olofsson! – zawołałam.

Cisza.

Kopnęłam w drzwi.

Nic.

Popatrzyłam na zamek i pomyślałam, że ja swój zapasowy klucz ukryłam za wiszącym w wychodku obrazem króla i królowej Sylwii. Może i Olofsson gdzieś schował swój? Rozejrzałam się. Sprawdziłam za doniczką, pod kamieniem. Szukałam potencjalnej kryjówki. I nic. Wtedy sobie przypominałam, że kiedy się ostatnio żegnaliśmy, dostałam od niego klucz w białej kopercie. Gdzie ja go włożyłam?

Wróciłam do samochodu i sprawdziłam w schowku, tam jednak nie znalazłam żadnej koperty. Za osłonką przeciwsłoneczną też nie. Przejrzałam także torbę, chociaż wiedziałam, że nie miałam jej tu wtedy ze sobą. Zamknęłam oczy i spróbowałam przypomnieć sobie tę scenę: Olofsson wręcza mi kopertę, a ja chowam ją do... do...

– Do kieszeni swetra!

Tyle że sweter wisiał w szafie w Valludden.

Dziwnie było stać tak po ciemku przed jego domem. Uświadomiłam sobie, że nigdy nie byłam tam po zmroku. Zaczęłam nasłuchiwać. Ciszę przerwał jakiś odgłos. Dochodził zza domów. Czyżby mi się wydawało? Nie, słyszałam coś. Zawodzenie? Czyżby ktoś potrzebował pomocy? Może Olofsson?

W oknie Kullmanów się świeciło, czyli nie spali. Cichaczem zakradłam się na ich działkę. Okno było za wysoko, bym mogła do niego zajrzeć, ale obok, przy rozkopanej

grządce z warzywami, zauważyłam taczkę. Ostrożnie przeciągnęłam ją po trawniku i zaparkowałam pod ścianą. Z wysiłkiem podniosłam nogę i ustawiłam stopę na krawędzi. Taczka przewróciła się na mnie. Z tąpnięciem wylądowałam na trawie. Zakłęłam, zdenerwowana, wstałam i tym razem stanęłam na samym środku. Taczka utrzymała równowagę. Chwyciłam parapet i podciągnęłam się. Stojąc na palcach, mogłam zajrzeć do środka.

Przed sobą miałam całą masę doniczek z kwiatami, lecz między dwoma liśćmi dostrzegłam białą kanapę oraz cztery kolana. Przekręciłam nieco głowę i zobaczyłam Fredę i Karla. Czytali. Na stoliku przed nimi stały dwie filiżanki. Zapewne z herbatą. Z pokoju nie dobiegały żadne dźwięki. Schyliłam się i wyszłam z taczki. Czyżby Kullmanowie trzymali kogoś (na przykład Olofssona) w piwnicy? Okrążyłam ogród, zatrzymując się i nasłuchując przy każdym piwnicznym okienku i wylocie wentylacyjnym. Lecz usłyszałam jedynie szum, żadnego zawodzenia.

Wstałam, obeszłam dom i ruszyłam na działkę Almkvistów. Znów usłyszałam ten dźwięk. Kiedy przedarłam się przez żywopłot, zobaczyłam, że u nich okna są równie wysoko jak u Kullmanów. Czy starczy mi odwagi, żeby podejść na taras? Stanęłam na trawniku i spróbowałam zajrzeć do pokoju przy tarasie, ale nie widziałam ludzi, jedynie cienie poruszające się po suficie. Ktoś był w środku. Poszłam dalej, przeciskając się przez kolejny żywopłot na działkę Fritjofssonów. Może Olofsson tam się zapuścił, przewrócił i leżał teraz unieruchomiony? Nikt by go tam nie szukał, a Fritjofssonowie mieli wrócić za parę miesięcy, może nawet rok. Podbiegłam po schodkach do wejścia i nacisnęłam klamkę. Zamknięte, oczywiście. Przyłożyłam ucho do drzwi, ale w środku było całkiem cicho.

Znów usłyszałam zawodzenie.

Powtórzyłam całą procedurę z okrażaniem domu, lecz u Fritjofssonów w piwnicy nie było okien. Nieładnie tam pachniało, ale było cicho jak w grobie.

W takim razie dźwięk musiał pochodzić z domu Almkvistów.

Zakradłam się z powrotem na ich działkę i przylgnęłam do ściany szczytowej pod jednym z okien. Tak, kolejne zawodzenie zdawało się dochodzić z tego pokoju. Musiałam wejść na taras. Podeszłam do niego od strony jeziora i powoli stanęłam na pierwszym schodku. Kucając, weszłam na kolejny. Za chwilę mogli mnie zobaczyć. Na



czworakach pokonałam schodki i powoli wślizgnęłam się pod stół. Starłam się coś dostrzec, jednak z tego miejsca nie widziałam nawet okna. Oparłam się na łokciach i wijąc się, dopełzałam do drzwi tarasowych. Na szczęście nie były w całości oszklone. Powolutku wyjrzałam ponad kantem. Tak się przestraszyłam tego, co zobaczyłam, że natychmiast opuściłam głowę i pokręciłam nią, żeby otrzeźwieć. Musiało mi się przywidzieć. Zajrzałam więc jeszcze raz i widok bynajmniej się nie zmienił...

Zagłędałam do salonu, w którym stały stół i sofa, a w rogu telewizor, w którym leciała jakaś debata. W fotelu siedział Kennet z głową obwiązaną szalikiem. Tkanina zakrywała mu usta i była zasupłana na karku. Kennet kołysał się w przód i w tył i najwidoczniej to on tak zawodził. Za nim stała Anna-Maria, która targała się za włosy, wyginając przy tym tułów niby w groteskowym tańcu brzucha. Kennet nogi i ręce miał wolne, nie rozumiałam więc, dlaczego po prostu się nie podniósł, nie zdjął szalika i nie przyłożył Annie-Marii.

Jak powinnam zareagować? I co ona zrobiła z dziećmi?

Wycofałam się, pełzając, pod stół i zesłam z tarasu. Czy cały świat oszalał? Szybko obesłam dom i zapukałam do drzwi. Usłyszałam kroki i w progu pojawił się Kennet. Spoglądał na mnie, już nie miał ust zawiązanych szalem.

– Tak? – zapytał.

– Cześć – przywitałam się, patrząc na niego z przerażeniem. Czyżby to ze mną było coś nie tak? – Próbuję znaleźć Yngvego i zastanawiałam się, czy go przypadkiem nie widzieliście?

– Już od paru dni nie – odparł Kennet, marszcząc czoło. – Chcesz wejść? – zapytał, cofając się o kilka kroków.

– Nie, nie. Absolutnie nie. Pójdę do Kullmanów i zapytam, czy oni go nie widzieli.

Pożegnaliśmy się, a ja wróciłam na drogę. Czy widziałam to, co widziałam? Czy może postradałam już zmysły?

\* \* \*

Jechałam już samochodem w stronę szosy. Kullmanowie też nie widzieli Olofssona od kilku dni. Zaprosili mnie na herbatę, ale odmówiłam. Potrzebowałam chwili samotności. Kiedy wyjechałam na asfaltówkę, uświadomiłam sobie, że w domu nie

mam nic do jedzenia. Z westchnieniem skręciłam więc w prawo, na Hedum. Na stacji Shella był sklep otwarty do późna, tam miałam szansę dostać kawę, chleb, masło i ser.

Czułam się tak bezpiecznie, krążąc między półkami z filmami DVD i środkami odłuszczejacymi, że aż miałam ochotę tam zostać. Kupiłam trochę jedzenia, zamówiłam też kawę z drożdżówką i usiadłam przy nieco brudnym stoliku. Zastanawiałam się, czy mogę o tak późnej porze dzwonić do Ylvy. Spojrzałam na telefon, a on akurat wtedy zaczął wibrować. Znałam ten numer bardzo dobrze. Widziałam go tysiące razy na stronie kontaktowej w internecie. To Staffan. Serce mi zabiło szybciej. Staffan? Staffan!

– Cześć – powiedziałam bez tchu.

– Raili? Cześć, tu Staffan.

– Witaj – odparłam, udając zaskoczoną.

– Śpisz? Przepraszam, że dzwonię tak późno.

– Nie, nie. Nie ma sprawy. Coś się stało?

– Tak tylko się zastanawiałem... Chłopcy jutro jadą z kolegami do wesołego miasteczka w Göteborgu, więc mam wolne. Pomyślałem, że może moglibyśmy się spotkać. Mogłabyś mi pokazać Valludden, może zjedlibyśmy coś dobrego, a potem poszlibyśmy do kina?

– Staffan, jestem w Lövaren – odparłam, zbity z tropu.

– W Lövaren? Teraz? – zdziwił się. – A myślałem...

No właśnie, co myślał? Że nie wyjadę z miasta przed jutrem? Czy Sara do niego zadzwoniła i kazała mnie zatrzymać?

– Myślałem, że zaczęłaś pracę – dokończył.

– Tak, ale Olofsson zaginął. Mam zamiar go odszukać.

– Zaginął? Co masz na myśli?

Wyjaśniłam.

Staffan uroczyście obiecał, że jutro, w swój dzień wolny od dzieci, przyjedzie do Lövaren i mi pomoże. Wyruszyłam do domu z pełnym mętlikiem w głowie. Nawet nie miałam siły cieszyć się z tego, że Staffan mnie odwiedzi i będzie szukać ze mną.

## 25

Nadszedł ranek. Poprzedniego wieczoru położyłam się na sofie w ubraniach, przekonana, że nie zasnę. Ale obudził mnie dopiero bezlitosny blask świtu. A więc jednak się przespałam... Wypiłam kawę i wmusiłam w siebie gotową kanapkę z szynką i serem, którą kupiłam na stacji. Miałam wrażenie, że żuję styropian, choć tak naprawdę nie miało dla mnie znaczenia, co jem.

Pokryty rosą trawnik przed domem połyskiwał niczym srebro, a szara tafla jeziora była całkowicie gładka. Na drugim brzegu za drzewami i krzewami widać było zarys domu Olofssona. Krowy Anderssonów chodziły po pastwisku, które opadało w stronę wody, pośrodku zaś stały trzy domki, spoglądając na mnie swoimi dużymi szprosowanymi oknami. Dochodziła dopiero piąta rano, byłam więc jedyną osobą na ziemi.

Kiedy jechałam do Olofssona, czas mi się dłużył. Bałam się. Tego, co mogę znaleźć, ale też tego, że niczego nie znajdę. Miałam zamiar przeszukać okolicę domu Olofssona. Jeśli i tym razem niczego nie znajdę, wrócę do Valludden po klucz, który mi dał, tak postanowiłam. Pomyśleć tylko, że on mógł leżeć w środku... Może po prostu powinienam wybić szybę i wejść?

Nie dojechałam do samego domu, tylko zaparkowałam samochód za stosem sosnowych bali na poboczu. Nie chciałam pobudzić sąsiadów. Ruszyłam po ścieżce, żwir zgrzytał mi pod butami. Rozglądałam się po lesie, ale między drzewami widać było jedynie jagody, borowiny i mech. Czy Olofsson gdzieś tam jest? Dlaczego miałby się tam zapuszczać?

Kiedy doszłam na jego działkę, zatrzymałam się i przyjrzałam domowi. Co się tutaj stało? Miejsce wyglądało na opuszczone. Weszłam do ogrodu i powoli okrążyłam dom. Okazało się, że Olofsson bynajmniej nie był amatorem przyciętych trawników,

cieszyłam się więc, że włożyłam kalosze. Jego żywopłot był duży i rósł sobie samopas, długie gałęzie odstawały na wszystkie strony. Po zbadaniu terenu uznałam, że to zwykła działka z domkiem bez piwnicy (jedno miejsce mniej do przeszukania). Westchnęłam i ruszyłam w stronę plaży. Tafla jeziora była całkiem nieruchoma, nie słychać było ani jednego pluśnięcia. Weszłam do wody i poruszyłam nogą dno. Muł się uniósł, zasłaniając moje kalosze. Spojrzałam na drugą stronę jeziora, zatrzymując wzrok na domu Hanssonów. Wszystko było nieruchome, najwidoczniej jeszcze spali.

Mój wzrok prześlizgnął się też po czymś na jeziorze. Jednak dopiero po kilku sekundach uświadomiłam sobie, że nie powinno tego tam być. Zamarłam, nie mając odwagi kolejny raz spojrzeć w tamtą stronę.

– To pewnie tylko pień drzewa – próbowałam przekonać samą siebie. – Popatrz i przestań się wygłupiać.

Popatrzyłam.

Nie dało się dostrzec, co to było. Może pień, może nie. Rozejrzałam się za łódką, którą mogłabym pożyczyć. Zauważyłam, że niedaleko z trzcin wystaje dziób jakiejś łajby. Jednak kiedy podeszłam i przyjrzałam się jej z bliska, uznałam, że równie dobrze mogę popłynąć wpław – tak była zbutwiała i popękana. Tak czy owak, wyładowałabym w wodzie. Wróciłam na plażę i zaczęłam się zastanawiać.

– A co tam – wymamrotałam i zdjęłam kalosze oraz kurtkę, w której miałam komórkę i portfel, po czym wróciłam do wody.

Była zimniejsza, niż sądziłam. Weszłam głębiej, spodnie ślizgały mi się po nogach, pod materiałem czułam gęsią skórkę. Kiedy woda zaczęła mi sięgać do uda, zatrzymałam się, żeby sprawdzić, czy z tej odległości da się zidentyfikować, co zobaczyłam. Dostrzegłam jedynie nieforemny kształt unoszący się na wodzie. Jego część wystawała ponad powierzchnię, co chwilę zanurzając się nieco mocniej. Zaczęłam płynąć.

Im bardziej się zbliżałam, tym trudniej było się poruszać. Woda stawiała opór. Zatrzymałam się i wymachując nogami i rękami, żeby się utrzymać, rozejrzałam się. Nic jednak nie zobaczyłam. Odczułam ogromną ulgę, lecz wtedy zahaczyłam o coś stopą. Moje wymachy poruszyły wodę i oto na powierzchnię wypłynęło coś z włosami. Mokrymi, przylizanymi włosami, które zawsze były tak kędzierzawe. Krzyknęłam,

łykając przy tym wodę. Krztusząc się i piszcząc, zaczęłam płynąć do brzegu, jednak w połowie drogi zawróciłam. To był Olofsson, musiałam przecież zabrać go na ląd. Oczy zalały mi łzy, tak że prawie nic nie widziałam, kiedy jednak przede mną zamajaczył ciemny kształt, wyciągnęłam rękę i chwyciłam za włosy. Kiedyś na kursie ratowniczym uczono mnie, że w takiej sytuacji należy obrócić się na plecy. A jednak nie mogłam. Ruszyłam więc kraulem na brzuchu z jedną ręką boleśnie wygiętą do tyłu – w ten sposób mogłam trzymać ciało, nie patrząc na nie.

Kiedy dopłynęłam do brzegu, płakałam tak bardzo, że przed oczami miałam czerni. Wyciągnęłam Olofssona, czując przy tym, jak śmierdzi. Miałam ochotę stamtąd uciec, tyle że zabrakło mi sił. Nie dałabym nawet rady się podnieść. Kątem oka popatrzyłam na zwłoki. Leżały na plecach, biały podkoszulek podciągnął się aż do wysokości pach. Brzuch był siny, pod pępkiem widać było rzadkie ciemne włosy przyklejone do skóry. Jedno oko miał całkiem otwarte, utknęło w nim długie zielone źdźbło trzciny. Drugie spoglądało w stronę domu, całkiem przekrwione.

Nie wiem, jak długo tam leżałam, kiedy w końcu uświadomiłam sobie, że wokół mnie pojawili się ludzie. Usłyszałam kroki i głosy, i w pewnym momencie jakaś kobieta zaczęła krzyczeć jak szalona.

– Iiiiiiiiiiiiiieeeeeeee! – Jej pisk mroził krew w żyłach. Zamierał, po czym powracał.

Zamknęłam oczy, starając się od niego odciąć.

– Kennet, musisz zabrać stąd żonę i ją uspokoić. Weź ją jak najszybciej do domu.

– A kto zadzwoni po karetkę?

– Pobiegnę zadzwonić.

– IiiiiiiiiiiiiieeeeeeeeEEEEEEEEEE!

– *Aber beruhigen*, kobieto.

Plask! I pisk ustał. Popatrzyłam w górę i zobaczyłam Annę-Marię, która zszokowana, z zaczerwienionym policzkiem, wpatrywała się we Fredę.

– Uderzyłaś mnie – powiedziała z pretensją.

– Tak – odparła Freda krótko i spojrzała na mnie. – Raili, co z tobą?

– On nie żyje – zakwiliłam. – Leżał w wodzie.

Kolejne pośpieszne kroki.

- Zadzwoiłam już po karetkę. Po Sarę i Andersa też. Są już w drodze.
- Karl, wezwij policję – chciałam krzyknąć, ale udało mi się tylko wyszeptać.
- Wezwij policję, Olofssona zamordowano.

\* \* \*

Sara i Anders przyjechali swoim starym volvo i zabrali mnie do siebie. Przez całą powrotną drogę Sara płakała. Ja byłam jak w letargu. Nie było mnie stać na żadną reakcję. Musieli mnie wyciągnąć z samochodu i wprowadzić do domu. Sara posadziła mnie na sedesie i zaczęła nalewać do wanny gorącą wodę. Kiedy już całe lustro pokryło się parą, zakreśliła kran i zaczęła ściągać ze mnie mokre, ubrudzone piachem ubrania. Stałam tak przed nią, naga i roztrzęsiona, aż w końcu Sara chwyciła mnie za rękę, doprowadziła do wanny i pomogła mi do niej wejść.

Woda niemal parzyła. Złapałam oddech i powoli zanurzyłam się tak, że ponad powierzchnię wystawała mi tylko twarz.

– Moja Raili – powiedziała Sara, zrozpaczona. – Myślałam, że coś sobie wymyśliłaś. Nie sądziłam, że coś się naprawdę stało. I sama musiałaś go znaleźć. Och, Yngve... – Znow zanosła się płaczem. Pozbierała z podłogi moje mokre ubrania i wyszła.

Czy strasznie jest utonąć? Czy to boli? Jak długo trwa?

Sara wróciła.

– Proszę. – Podała mi szklankę z jakimś mocnym trunkiem. Uniosłam się, ale ostrożnie, żeby nie wylać wody z wanny.

– Co to?

– Koniak. Pij. Potrzebujesz czegoś na wzmocnienie.

– Równie dobrze mogłabyś mi dać szklankę oleju napędowego. Nie mogę tego wypić. – Zacisnęłam usta.

– Po prostu wypij – powiedziała głosem tak znużonym, że wzięłam od niej szklankę i wychyliłam jej zawartość jednym haustem. Paliło mnie w ustach i w gardle, jednak przyjemnie było poczuć ciepło, które się we mnie rozeszło.

– Dziękuję – wyszeptałam i ponownie zanurzyłam się w wodzie.

Żal jest egoistycznym uczuciem. Zrozumiałam to, gdy zmarła moja mama. Miałam wtedy trzydzieści lat, ona pięćdziesiąt pięć. Tak, egoistycznym – nawet teraz najpierw wspominam swój wiek, dopiero potem jej. Mnie jej brakuje. A ona nie żyje. Jej niczego nie brak. Tak sędzę.

Nikt nie wie, jak to jest po śmierci. Myślę, że nie żyć to tak jakby głęboko spać. Tak głęboko, jak śpimy, kiedy budzik dzwoni bladym świtem, a my niczego nie pragniemy bardziej, jak tylko obrócić się na drugi bok i zasnąć na nowo. Zniknąć w ciemnościach. Jeśli tak to wygląda, to śmierć wydaje się przyjemna.

Mój tata zmarł, kiedy byłam mała. Wypadek w miejscu pracy. Zupełnie nieprawdopodobny. Tata był strażakiem. Wezwano go do krów, które weszły na tory i zostały przejechane. Kiedy się nimi zajmował, nadjechała drezyna. I go przejechała. Kilkoro nastolatków znalazło grata i go zreperowało, a potem postanowili przetestować, czy działa. Sprawdzili rozkład pociągów, żeby z żadnym się nie zderzyć, ale zderzyli się z moim tatą. Najechali na niego od tyłu, a on przewrócił się i uderzył głową w szynę. Do dziś nie wiem, od czego dokładnie zginął. Mama nigdy nie chciała o tym rozmawiać, co właściwie mogę zrozumieć. Niemal ironia losu, bo ocaliło to życie tym nastolatkom. W swoich wyliczeniach nie uwzględnili pociągów towarowych i zapewne gdyby pojeździli dłużej, pół godziny później zderzyliby się z jednym z nich.

Mama zmarła od nagłego zatrzymania krążenia spowodowanego migotaniem komór, które dopadło ją w złym miejscu i złym czasie. Gdyby obok był ktoś, kto zna się na udzielaniu pomocy w przypadkach wstrzymania czynności płuc czy serca, może by przeżyła. Kiedy myślę o jej śmierci, najgorsze wydaje mi się chyba to, że nie zdążyłam się z nią pożegnać. Zmarła w drodze z pracy, a kiedy się ze mną skontaktowano, było już po wszystkim. Odeszła, zanim przyjechała karetka. I tak zostałam sierotą.

To było po tym, jak ja i Leif zaczęliśmy się spotykać na poważnie. On był moim ratunkiem w żałobie. Teraz leżałam w wannie, rozpaczając po stracie przyjaciela. Byłam załamana. Zostałam sama, w dodatku zostawił mnie ze swoimi tajemniczymi aluzjami i mrocznymi fantazjami.



## Styczeń 1671 roku

Po mszy czekali pod kościołem. Stali pod ścianą. Wszyscy wierni rzucali ukradkowe spojrzenia w stronę oczekujących mężczyzn oraz ich powozu. Tej niedzieli nikt się nie zatrzymał na rozmowę przed świątynią, wszyscy ruszyli do domów. Jakby rozumieli, że ma się stać coś wyjątkowego i nieprzyjemnego.

Ericus Hernodius patrzył, jak Björn, chłopiec, stara Marta oraz Kirsti idą ścieżką prowadzącą wzdłuż kościelnego muru do lasu. Nagle zatrzymał ich podążający za nimi mężczyzna.

– Kirsti Martasdotter? – zapytał, spoglądając na Kirsti.

– Tak?

– Pójdiesz z nami.

– O co chodzi? – zapytał Björn, stając przed Kirsti. – Kto wy? Czego chcecie od Kirsti?

– Pojawiły się pewne okoliczności dotyczące twojej żony – odparł mężczyzna. – Działam z ramienia Nilsa Fehmana, mamy sprawdzić, czy kryje się w tym prawda...

– Jakie okoliczności? – dopytywał dalej Björn. – Co to za historia? Kirsti nic złego nie zrobiła.

– Twoją żonę oskarżono o czary i związek z diabłem – rzekł mężczyzna spokojnie. – Musi iść z nami.

Teraz podeszło do nich trzech mężczyzn. Jeden z nich złapał Kirsti za ramię, a dwaj pozostali schwytali Björna, który próbował ich powstrzymać. Ericus Hernodius przełknął ciężko ślinę i próbował odwrócić wzrok od sceny pod murem, a jednak zobaczył zagubione, pełne strachu spojrzenie Kirsti, którą ciągnięto do wozu. Słyszał rozdzierający płacz chłopca i chrapliwe wołanie Björna.

– Pomogę ci, Kirsti! Nie pozwolę, żeby spotkało cię coś złego! Pomogę ci! – krzyczał, dopóki mężczyźni nie zniknęli w oddali.

Po chwili jedynym śladem po ich wizycie było parujące końskie łajno.

\* \* \*

Podczas procesu nie miała pojęcia, co się dzieje. Wszyscy ci ważni mężczyźni siedzący w ławach oskarżali ją o czary i szerzenie zarazy. Mówili, że jest oblubienicą szatana i zwodzi mężczyzn, synów bożych, nakłaniając ich do grzechu. Jakich znów mężczyzn? Jakiego grzechu? Powiedzieli, że jej występki wobec Ericusa Hernodiusa, pastora z Lövareń, został ujawniony. Powinna się przyznać, a potem spłonąć na stosie. Był tam Björn. Płakał. Ona też. Do niczego się nie przyznała.

Posłali po mistrza Ulfa.

\* \* \*

(Podszedł do niej jakiś mężczyzna, niski, ale bardzo barczysty. Włosy miał długie, brodę zmierzwioną. Nigdy w życiu nie widziała u nikogo tak zimnego spojrzenia. Jego oczy mieniły się na zielono, niebiesko i lodowatobiało. Właśnie wtedy zrozumiała, że to wszystko kłamstwo. Boga nie ma).

Mistrz Ulf miał ambicje. Uczył go sam mistrz Håkan, który jeździł po Europie. Mistrz Håkan zmuszał do przyznania się nawet najbardziej zatwardziałe czarownice, a Ulf miał mocne postanowienie mu dorównać.

Ulf Karlsson był w samym Jönköping. Służył wtedy jeszcze pod mistrzem małodobrym Håkanem i sam widział, że nawet biskupi i możni odwracali wzrok, gdy Håkan na nich spoglądał. Dawali mu wolną rękę, gdy się tego domagał, i żaden, żaden z nich nie podważał jego decyzji. Krzyki i płacz kobiet, oczywista przewaga i władza mistrza Håkana, władza nad życiem i śmiercią, bólem i strachem – wszystko to było upajające. O to w tym wszystkim chodziło. To było coś więcej niż Bóg. Ulf chciał być jak mistrz Håkan. Chciał być mistrzem Håkanem.

Teraz wreszcie dostał posadę w Göteborgu. Wysłano go stamtąd do Kvistrum w Munkedal, by zbadał, czy jakaś kobieta rzeczywiście jest czarownicą próbującą zawrócić w głowie szanowanemu pastorowi. Nie mógł się doczekać wykonania zadania. Tę Kirsti Martasdotter złamie w kilka dni. Obiecał to uroczyście.

Jednak Kirsti Martasdotter była twarda. I piękna. Mistrz Ulf wiedział, że to sam diabeł przez nią działa. Przez nią i z nią. Nie mógł się jednak oprzeć. Przesunął palcami po jej kręconych włosach i widział, jak Kirsti zaciska oczy ze strachu. Powinien być mocny. Nie mógł ulegać jej pokusom. To ona miała powód, by się go

bać. Sam diabeł miał się go bać.

Próba wody się powiodła. Ze związanymi rękami i nogami Kirsti unosiła się na powierzchni jak gęś. Jej mąż był przy tym i wszystko widział. Ericus Hernodius, pastor, również. Cały czas zamykał oczy.

Jednak Kirsti się nie przyznała.

Krzyczała, kiedy ją ogolił i zalał głowę gorzałką. Krzyczała jeszcze głośniejsze, gdy przykładał do skóry rozpaloną hubkę i wypalał resztki włosów. Pokusa, jaką odczuł, przywiązując ją do haka pod sufitem i powoli ją rozbierając, była silniejsza od niego.

Nie oparł się jej.

Potem krzyczał na Kirsti, przeklinając diabła, który go zwiódł.

Ona się jednak nie przyznała.

Kiedy oblał jej plecy gorzałką i podpalił i kiedy miażdżył jej palce szczypcami, też nie.

Nie przyznała się.

\* \* \*

Kiedyś o tym słyszała. Na kościelnym wzgórzu cichaczem plotkowano o kobietach, które zawarły pakt z diabłem i płonęły za to na stosie. Groźnie, ale i ciekawie było o tym rozmawiać. Zawrzeć pakt z diabłem? Mieć odwagę, by sprzeciwić się Bogu. Co to były za kobiety?

Takie jak ona, jak się okazało.

Leżała na słomie w lochu. Wokół siebie miała cztery ściany z chropowatego kamienia, a pod sufitem, zbyt wysoko, małe okienko.

Drzwi były zamknięte na klucz.

Było jej zimno. Zima była łagodna, ale ona w lochu aż się trzęsła. Jeśli nadejdzie prawdziwy mróz, nie przeżyje.

W głowie miała pustkę. Na wpół przymkniętymi oczami wpatrywała się w nicość. Na początku walczyła. Krzyczała, płakała i kopała. Później jednak mistrz Ulf związał jej ręce za plecami i zawiesił ją na sznurze uciepionym na haku pod sufitem. Ból był okropny.

Jego oczy... połyskiwały. Mistrz Ulf był szczęśliwy.

Powiedział, że znajdzie na jej ciele diabelskie znamię. Dowód na to, że zawarła pakt z szatanem. Powoli zdjął z niej ubranie. To, czego nie mógł zdjąć przez jej związane ręce, po prostu zerwał.

Nie miała już siły krzyczeć. Milczała, a łzy spływały jej po policzkach i po szyi.

Czuła jego podniecenie. Jego dłonie na swoim ciele.

W końcu nie mógł się jej oprzeć. Rozpiął spodnie i przyłgnął do niej. Wściekł się, bo nie mógł dosięgnąć. Był niski, a ona wisała wysoko.

Odciął sznur tak gwałtownie, że uderzyła o ziemię, nie mogąc się osłonić. Rzucił się na nią. Ból, o który przyprawiały ją związane z tyłu ręce przygniecione do twardej podłogi, niemal zniknął, gdy mistrz Ulf w nią wszedł. Czuła, jakby ktoś rozcinał ją aż po macicę, rozcinał nożem z lodu.

Kiedy skończył, chwycił ją za ręce i podniósł z podłogi. Mruczał niczym kot, kiedy pchał ją do stołu przy drzwiach, a potem przycisnął jej tułów do blatu.

I zaczął na nowo.

Przy każdym jego pchnięciu uderzała czołem w stół, a kant wbijał się jej w brzuch.

– Moje dziecko – próbowała krzyknąć, ale to tylko dodatkowo go rozwścieczyło.

Po wszystkim przeklinał ją i wyzywał, że go uwiodła. W końcu ściągnął ją po schodach i zamknął w lochu.

Mistrz Ulf.

Jeszcze z nią nie skończył. Wiedziała.

Czy był diabłem?

Po kąpeli dostałam do ubrania stary dres Staffana. Siedziałam więc w pokoju wizytowym Sary i Andersa odziana w bluzę z czerwonym napisem „Ukończyłem Bieg Wazy” na plecach i opatulona kocem. Pokojem wizytowym Hanssonowie nazywają salon, w którym mają sofę, regał, telewizor oraz rodzinne zdjęcia.

Popijałam kawę i starałam się zapomnieć o przekrwionym oku Olofssona. Sara siedziała obok i głaskała mnie po plecach. Oddychała jakoś tak smutno.

Otworzyły się kuchenne drzwi i do domu wszedł Staffan.

– Co się stało? – zawołał. – Dlaczego na drugim brzegu jest policja i karetka?

– Jesteśmy tutaj – powiedziała Sara głośno.

Staffan stanął w progu i popatrzył na mnie.

– Co się stało? – powtórzył.

– Raili znalazła Yngvego – westchnęła Sara. – W jeziorze. Utonął. – Objęła mnie ramieniem i mocno przytuliła. – A ta szalona dziewczyna sama wypłynęła na jezioro, żeby go wyłowić. Całkiem sama. Mogła się przecież też utopić.

– A niech mnie. – Chyba zrobiło to wrażenie na Staffanie (tak mi się przynajmniej wydawało). – Jak się czujesz? – zapytał.

Pokiwałam tylko głową. Nie miałam siły mówić. Zresztą Olofsson ostrzegał mnie przed Staffanem. Czy miał trochę racji?

– Posiedź trochę z Raili, Staffan – powiedziała Sara. – Ja pójdę do kuchni zrobić nam coś ciepłego do jedzenia. Zamartwianie się na pusty żołądek tylko pogarsza sprawę.

Staffan zajął miejsce Sary. Raz po raz pocierał dłońmi o kolana. Popatrzyłam na niego. Czas wyjaśnić kilka spraw, pomyślałam.

– Staffan, gdzie jest twoja żona?

- Nie mam żony – odparł krótko. – Rozwiodłem się.
  - Twoje dzieci cały czas są z tobą – wymamrotałam. – Dlatego się zastanawiam...
  - Tylko ja dostałem prawo do opieki – przerwał mi.
  - A jak nazywa się twoja żona? Twoja była żona – poprawiłam się.
  - Dlaczego pytasz? – Obrócił się i spojrzał mi prosto w oczy.
  - Chcę się więcej o tobie dowiedzieć.
  - Nazywa się Louise.
  - Louise Hansson?
  - Tak – odparł i znów odwrócił się w drugą stronę. – Gdzie tata?
  - Nie wiem.
- Nie poszło mi najlepiej. Westchnęłam.
- Staffan, zawieziesz mnie na drugi brzeg? Muszę odebrać swój samochód.

\* \* \*

Był wieczór. Sara nalegała, żebym spała u nich w gościnnym, ale się uparłam. Chciałam wrócić do domu. Do Valludden. Kiedy jechałam przez pustą, rozświetloną jedynie przez moje reflektory drogę, czułam się bardzo zdenerwowana. Chciałam mieć samochody za sobą i przed sobą, a najlepiej też minąć jakiegoś pieszego, lecz wszędzie było bezludnie.

Wcześniej, kiedy odbierałam wóz, próbowałam porozmawiać z jednym z policjantów. Tłumaczyłam mu, że muszą wyjaśnić, co się stało, bo to na pewno zabójstwo, ale chyba nie wzięli tego na serio. Ot, mężczyzna utonął w jeziorze przy swoim domu. Zdarza się. Na pewno zbadają poziom alkoholu we krwi. Zastanawiałam się, czy przeprowadzą sekcję. Jeśli tak, jak dowiem się, do czego doszli?

Staralam się przeanalizować wszystko, co mówił Olofsson. Wydawało mu się, że traci zmysły, bo pamiętał psa, którego nigdy nie miał. Był pewien, że u Almkvistów zniknęło małe dziecko, i twierdził, że Staffan był agresywnym, nieodpowiedzialnym typem bijącym żonę. Potem dziwnie zareagował, kiedy wspomniałam mu o samochodzie w lesie. Czy wiedział coś o zaginionym wozie? Czy było coś, o czym mi nie opowiedział? Coś na pewno udało mu się sprawdzić, tyle że zanim dowiedziałam się, co to takiego, ktoś przyszedł do niego z wizytą, a potem Olofsson już

nie żył. I jak teraz miałam odkryć, o co chodziło?

Czy mogłam pójść tropem zaginionego dziecka? Gdyby małych Almkvistów było więcej, ktoś jeszcze zauważyłby zniknięcie i dziwiłby się temu. I jak mogli o tym nie wiedzieć rodzice? A może wiedzieli? Czy dziecko zmarło? Może zbyt trudno było im o tym mówić? Jednak starsze dzieci chyba też nie wspominały o rodzeństwie.

Mogłam się także zająć tym, czy Staffan bił żonę. Louise Hansson. Zastanawiałam się, czy mieszka w Trollhättan jak on, i złościłam się na siebie za to, że nie zapytałam go o to.

Chciałam zadzwonić do policjanta zajmującego się „wypadkiem” Olofssona, zdawałam sobie jednak sprawę, że nic mi nie da zarzucanie go bezpodstawnymi twierdzeniami i oskarżeniami. Potrzebowałam dowodów.

Policja zapewne też nie doceniłaby moich opowieści o tym, co widziałam i słyszałam pod wpływem treo compu.

– To co zrobisz? – zapytała Ylva.

Jak zwykle wyszliśmy na lunch na miasto. Teraz siedzieliśmy już nad kawą, trawiąc to, co zjadliśmy. Opowiedziałam jej o Olofssonie i moich ponurych przeczuciach.

– Zaczęłabym od Louise Hansson – powiedziałam. – Postaram się ją odszukać i porozmawiać z nią. Sprawdzę, czy to, co sugerował Olofsson, to prawda. Albo czy jest w tym choć ziarno prawdy. Bo jeśli to zupełnie sobie zmyślił, to może i z resztą było podobnie.

– Kiedy pogrzeb?

– Jezu, nie mam pojęcia. Kto się tym zajmuje? O ile wiem, nie miał krewnych. Myślisz, że to mój obowiązek?

– A niby dlaczego miałby być twój? Wiem, że jesteś mistrzem całej Skandynawii, jeśli chodzi o branie na siebie obowiązków, ale nie jest tak, że wszystko musisz robić ty.

– Muszę zadzwonić do Sary.

Tak właśnie zrobiłam. Kiedy tylko wróciliśmy do biura, zatelefonowałam do Sary i zapytałam, kto zajmie się pogrzebem.

– Skontaktowałam się z jego rodzinnym adwokatem – odparła. – Nazywa się Hjälmsström. Zastąpił swojego ojca, który pomagał Yngvemu po śmierci rodziców. Jest dobry. Dowie się, czy istnieje jakiś daleki krewny, kuzyn albo ktoś. Jeśli nie, my musimy się tym zająć. Anders i ja. Yngve zasłużył na piękny pogrzeb. Dam znać, jak czegoś się dowiem.

Ktoś zapukał do moich drzwi, musiałam więc skończyć rozmowę. W progu stała Solveig z przedziałkiem. Zawsze tak o niej myślę. Kiedyś mieliśmy w pracy dwie Solveig i jakoś musieliśmy je odróżniać. Ta Solveig przez lata nosiła przedziałek na



boku, stąd przydomek.

– Muszę z tobą porozmawiać o Carmen – powiedziała, siadając po drugiej stronie biurka.

– Co z nią? – zainteresowałam się.

W bibliotece pracowało nas cztery, nie licząc Arnolda. Carmen, Ylva, Solveig i ja. Carmen, moja rówieśnica, pochodziła z Hiszpanii i była urocza. O ile wiedziałam, nasi czytelnicy bardzo ją lubili.

– Otóż już wiele razy widziałam, jak ona tańczy. Między regałami. Widziałam. – Solveig z przedziałkiem popatrzyła na mnie znacząco i pokiwała głową.

– To miło – odparłam.

– Miło? – Solveig z przedziałkiem się rozemocjonowała. – Ona pewnie ćpa. Przecież to nie jest normalne. Jakieś dziwactwo, ot co. Tańczyć w pracy? Jeśli ktoś pracuje w balecie, to rozumiem, ale tu, w bibliotece miejskiej? Kto to słyszał?

– Co według ciebie powinnam zrobić? Skierować ją na badanie krwi na zawartość narkotyków? Tylko dlatego, że w miejscu pracy towarzyszy jej dobry humor?

– To byłby niegłupi pomysł – przytaknęła Solveig z przedziałkiem, nie wyłapując mojej ironii.

– Tego nie zrobię. Dobrze jednak, że mi o tym powiedziałaś. Zapiszę to Carmen na plus, kiedy dojdzie do podwyżek.

Solveig z przedziałkiem wyszła, głośno zatraskując za sobą drzwi. Z westchnieniem rozparłam się w moim biurowym krześle. Louise Hansson. Wyprostowałam się i weszłam na portal z danymi teleadresowymi. Wpisałam „Louise Hansson, Trollhöttan” i kliknęłam enter.

Wyskoczyły dwa trafienia. Wpisałam też „Louise Hansson” na portalu urodzinowym. Pojawiły się trzy osoby, w tym dwie identyczne z tymi, które wyszukałam wcześniej. Z tej trójki tylko jedna kobieta była w odpowiednim wieku, pozostałe miały ponad siedemdziesiąt lat. Czyżbym miała aż takie szczęście?

Wybiegłam z biura i zaczęłam się rozglądać za Ylvą. Obsługiwała akurat jakiegoś czytelnika, który zadawał jedno pytanie za drugim i nie miał zamiaru skończyć. Podczas gdy Ylva tłumaczyła mu coś, pokazując przy tym ekran komputera, ja trwałam tam o krok od załamania nerwowego. Wreszcie mężczyzna dał jej spokój. Ylva obróciła się

w moją stronę.

– Co znowu? – zapytała. – Trafiałaś na coś?

– Znalazłam Louise Hansson z Trollhättan. Jest w odpowiednim wieku – oznajmiłam bez tchu. – Mam zamiar tam pojechać i ją odwiedzić. Dziś.

– Gdybyś jechała jutro, to mogę ci towarzyszyć. Dziś obiecałam mamie, że wybiorę się z nią na zakupy, ale jutro po pracy jestem wolna.

– Dzięki, Ylva.

Wycieraczki szorowały po szybie tam i z powrotem, nie dawały sobie jednak rady z ulewą. Siedziałam pochylona do przodu i z całych sił starałam się coś dostrzec, ale widziałam jedynie kawałek drogi przede mną. Czasami, kiedy akurat mijałyśmy jakieś auto, wnętrze samochodu na sekundę rozbłyskało.

– Jakoś tak groźnie – powiedziała Ylva i podkreśliła grzanie. – Jakby pogoda wiedziała o naszych planach. – Zdawało się, że to ją bawi.

– Mam tylko nadzieję, że ta groza nie dopadnie nas na całego – wymamrotałam pod nosem i zaczęłam żałować tego pomysłu. – Ylva, masz adres?

– Spokojnie. Wpisałam go w Google Maps. Powiem ci, kiedy trzeba będzie skrócić.

Zaledwie trzy razy pojechałyśmy źle, zanim wreszcie trafiłyśmy na właściwą ulicę. Zaczęłyśmy kluczyć między domami w poszukiwaniu numeru 39.

– Tam – zawołała Ylva, odpinając pas. – Po prawej, widzisz? No już, zatrzymaj się.

– Zamknij drzwi, na Boga. Oszalałaś? – krzyknęłam, skręcając na parking.

Znalazłam wolne miejsce i zignorowałam fakt, że było prywatne. Niestraszni mi są zdenerwowani lokatorzy, boję się tylko straży miejskiej.

Wejście do kamienicy otaczały duże, mokre od deszczu krzaki, które w świetle okrągłej lampy zawieszanej nad drzwiami wyglądały jak skurczone trolle. Oczywiście obok kłamki umieszczony był domofon z brudnymi, niewyraźnymi cyframi.

– Trzeba wstukać kod – westchnęłam, ocierając się o mokry krzak.

– Wiem, co robić – odparła Ylva. – Wystarczy sprawdzić, które cyfry są najbardziej wytarte.

Pochylone, zaczęłyśmy przyglądać się przyciskom. Wszystkie były równie zamazane.

– Ciekawe, swoją drogą, ile bakterii coli kryje się na tych przyciskach –

powiedziałam z obrzydzeniem.

– Tylko znów z tym nie zaczynaj – ucięła Ylva i wcisnęła 1111.

Żadnego kliknięcia czy szmeru, który oznaczałby otwarcie zamka.

Wypróbowała też 2222, 3333 i tak dalej, aż do 9999. Nie zadziało. Zaczęła wybierać kolejne kombinacje, niektóre logiczne, inne całkiem od czapy. I nic.

– Ylva, to nic nie da – rzekłam, mnąc w rękach kartkę z adresem. – Mam do niej zadzwonić i poprosić, żeby otworzyła?

– Jest to jakaś opcja. Właściwie dlaczego od razu tak nie zrobiłaś?

– Nie chciałam, żeby mi odmówiła. – Popatrzyłam na nią, zdziwiona. – Nigdy nie pytam, jeśli można tego uniknąć.

Zauważyłam zbliżającą się do nas kołyszącym krokiem korpulentną staruszkę z równie korpulentnym mopsem. Podejrzliwie zmierzyła nas wzrokiem od stóp do głów.

– Chcą tu panie coś załatwić? – zapytała.

– Tak – odpowiedziała Ylva. – Jesteśmy w Trollhättan na szkoleniu i chcieliśmy zrobić niespodziankę naszej dawnej koleżance z klasy. Nazywa się Louise Hansson. Mieszka tu, ale nie mamy, niestety, jej numeru telefonu.

Przytaknęłam. Miałam szczerą nadzieję, że staruszka nie ma smartphone'a z aplikacją do wyszukiwania danych teleadresowych, bo byłybyśmy spalone.

– No dobrze, to niech panie wejdą. – Rzuciła nam ostatnie podejrzliwe spojrzenie. –

Pewnie mieszka na którymś z wyższych pięter. Ja i Putte znamy się tylko z mieszkańcami z parteru. Prawda, Putte, nie chcemy się zadawać z tymi tam, na górze – zagruchała do mopsa, który zdawał się z nią zgadzać.

Weszliśmy za staruszką do budynku i zaczęliśmy się rozglądać. Żółte ściany, troje brązowych drzwi do mieszkań, jedno, z napisem „Piwnica”, szare. W głębi mieściły się schody, które niczym spirala korkociągu wiły się do góry. Obok nich wisiała niebieska tablica z napisami ułożonymi z białych literek. Zaczęliśmy je przeglądać, aż wreszcie znaleźliśmy Louise Hansson.

– Trzecie piętro – wyszeptła Ylva. – Chodź.

Schody były koszarne. Musiał je zaprojektować jakiś architekt sadysta. Stopnie

były za wysokie, więc już na drugim piętrze czuło się ból w mięśniach. Pocięchę stanowił dla mnie fakt, że Ylva stękała nie mniej niż ja.

Wreszcie dotarliśmy na górę. Oparliśmy się dłońmi o kolana i spróbowałyśmy złapać oddech, dopiero potem się wyprostowałyśmy i podeszłyśmy do drzwi. I tu, na skrzynce na listy, wisiała niebieska tablica, choć zdecydowanie mniejsza. Widniało na niej nazwisko Louise. Na środku drzwi przyklejono karton z napisem: „Nie zostawiać reklam”.

– Mogliby przynajmniej dodać „proszę” – stwierdziła Ylva. – Od odrobiny grzeczności jeszcze nikt nie umarł.

– Cicho – wyszeptałam, naciskając dzwonek.

Jego sygnał rozległ się w mieszkaniu. Ding-dong. Nie było słychać kroków, tylko odbijające się echo oraz szum wentylacji.

– Zadzwoń jeszcze raz – powiedziała Ylva, lecz wtedy otworzyły się drzwi obok.

Stanął w nich niziutki facet o chytrym wyrazie twarzy. Przyjrzał się nam, mrużąc oczy. Miał potargane brązowe włosy, okulary oraz ogromną brodę przypominającą szczotkę.

– Tak? – zapytał.

– Szukamy Louise Hansson – wyjaśniałam.

– Nie mieszka tu.

– Jej nazwisko widnieje przecież na drzwiach. – Popatrzyłam na tabliczkę.

– Czego panie od niej chcą? – ciągnął. – Kim panie właściwie są?

– Jesteśmy w Trollhättan na szkoleniu...

– Tak czy owak, jej tu nie ma – przerwał facecik. – Chyba dawno się panie z nią nie widziały, co?

– Prawda – przytaknęłam. – Od lat. Chciałyśmy zrobić jej małą niespodziankę.

– Ona nie jest całkiem zdrowa. Przebywa teraz w ośrodku Greta hemmet.

– Kiedy tam pojechała? – zapytałam, pełna złych przeczuć.

– Niedługo minie pół roku. Szkoda dziewczyny. – Facecik zamknął drzwi, zostawiając mnie i Ylvę ze zdziwionymi minami.

– Co to za ośrodek? – zapytała mnie Ylva szeptem.

– Nie wiem. Coś mi się kojarzy, ale nie pamiętam. Mam nadzieję, że leży niedaleko

stąd.

Wyszliśmy z budynku i wsiadliśmy do samochodu. Wyciągnęłam iPhone'a i wpisałam w Google'u „ośrodek Gretahemmet”. Nie było trudno go znaleźć. Trafiłam na ich stronę, gdzie widniało zdjęcie dużego żółtego domu z drewna, a pod spodem można było wejść na kolejne podstrony. Kliknęłam na jedną z nich.

- O Boże – powiedziałam.
- Co tam piszą?
- Gretahemmet to ośrodek terapeutyczny dla osób z problemami psychicznymi.
- Cholera. Co to oznacza według ciebie?
- Nie mam pojęcia.
- Gdzie leży ten ośrodek?
- Za Lilla Edet. Sprawdzimy to jutro. Teraz jedziemy do domu.

Pytanie tylko, czy uda się nałgać w tym ośrodku na tyle, żeby dopuścili mnie do Louise? Może jej lekarz musi wyrazić zgodę na spotkanie? Gdyby tylko Staffan się o tym dowiedział... byłabym spalona. Jeśli Olofsson mylił się co do Staffana, chciałam dać naszemu związkowi szansę. Ten facet był darem niebios, nie dało się temu zaprzeczyć. Przystojny, ze stałą pracą, w formie, do tego dobry ojciec i syn. Czego chcieć więcej? Musiałam spotkać się z nią i dowiedzieć, czy to przez niego wylądowała w ośrodku.

Z Ylvą przedyskutowaliśmy tę sprawę podczas lunchu.

– Przeanalizowałam różne scenariusze – zakomunikowałam. – Najpierw pomyślałam, że mogłabym tam pojechać, niby szukając dobrego ośrodka dla mojej przyjaciółki, to jest ciebie, z problemami psychicznymi.

– Tak! – zawołała Ylva. – Mogę się tam wprowadzić i szpiegować. Udawałabym niezrównoważoną, a uczestnicząc w spotkaniach grupowych i terapii lepienia z gliny, dowiedziałabym się wszystkiego. Raili, musisz mi dać wolne.

– Terapii lepienia z gliny? – zdziwiłam się.

– Tak. No wiesz, siedzi się i tworzy się różne rzeczy, żeby lepiej się poczuć. Maluje się kule ze styropianu, pracuje się z kołem garncarskim, takie tam.

– Zapomnij o tym – ucięłam stanowczo. – Uświadomiłam sobie, że aby trafić do takiego ośrodka, trzeba przecież mieć skierowanie od lekarza. Może nawet trzeba zaliczyć pobyt w szpitalu psychiatrycznym, a jeśli zamkniemy cię w psychiatryku, potem możemy cię już stamtąd nie wyciągnąć... – nie omieszkałam zaznaczyć.

– Szkoda. Byłoby naprawdę zabawnie. To co chcesz zrobić?

– Zastosuję stary numer. Nie wiem, czy zadziała, ale będę udawać dziennikarkę, która na zlecenie przygotowuje reportaż o ośrodkach terapeutycznych, albo studentkę

polityki społecznej, która pisze licencjat o tego typu placówkach. Co myślisz?

– Spisz kilka zagadnień i powiedz, że w licencjacie będziesz opisywać pięć takich ośrodków, tak będzie najlepiej. Czy to czasem nie znaczy, że nie mogę jechać z tobą?

– Ylva, muszę odjechać w stronę zachodzącego słońca w pojedynkę, niczym samotny kowboj – odpowiedziałam. – Teraz zadzwonię na policję.

– Na policję?

– Tak, chcę podpytać, czy zrobili Olofssonowi sekcję zwłok i co wykazała.

\* \* \*

Moje mieszkanie jest całkiem stare. Kamienicę wybudowano w latach trzydziestych dwudziestego wieku i za bardzo jej nie odnawiano. A to oznacza, że od wszystkich okien strasznie ciągnie, szafki w kuchni są oryginalne, blat jest za nisko, farba zaś łuszczy się na listwach i drzwiach. Mam za to wysokie pokoje, piec kaflowy oraz podłogę z prawdziwego drewna. Z przedpokoju można wejść do kuchni, stamtąd do salonu, a z niego z powrotem do przedpokoju. Jeśli człowieka coś trapi, miło zrobić sobie taką rundkę.

Ja, rozmyślając o Olofssonie, krążyłam i krążyłam, aż dywany się pozawijały. Policja twierdziła, że przeprowadzono sekcję zwłok. Bez problemów udzielili mi tej informacji, kiedy już sprawdzili mój numer telefonu. Najwidoczniej wiedzieli, że to ja szukałam Olofssona i że to ja go znalazłam. Może uznali, że mam prawo wiedzieć. Tak czy owak, Olofsson nie miał alkoholu we krwi, a na jego ciele nie znaleziono śladów przemocy. W płucach miał wodę z jeziora, nie było więc wątpliwości, że utonął. Według protokołu z sekcji zmarł w miniony czwartek. Nie podano godziny, poinformował mnie jeszcze policjant, po czym skończył rozmowę.

Nadal nie wierzyłam, że to był wypadek. Po raz kolejny przeanalizowałam naszą ostatnią rozmowę. Zadzwonił do mnie w czwartek wcześniej rano, dopiero co przyszedłam do pracy.

– Nie miał na sobie koszuli – mówiłam sama do siebie, a przed oczami stanął mi ten mokry podkoszulek, który zadarł się, odsłaniając brzuch. – Przecież Olofsson nigdy nie wychodził bez koszuli.

Nie, ktoś go odwiedził (dziwna pora na odwiedziny) i z powodu tej wizyty wyszedł



z domu i poszedł nad jezioro, gdzie jakimś cudem utonął. Na ciele nie było jednak śladów walki. Nie, to nie trzymało się kupy. Kto pozwala się utopić bez słowa? Jeśli jednak Olofsson trafił na jakiś ślad, dlaczego miałby wychodzić ze swoim gościem? Jego wcześniejsze odkrycie, cokolwiek to było, nie wzbudziło w nim podejrzeń wobec kogokolwiek. O jakie jednak podejrzania miałoby chodzić? Dotyczące psa? Porwania dziecka?

Przystanęłam w salonie i zerknęłam na leżącą na ławie komórkę. Potrzebowałam pomocy.

– Jak można kogoś utopić, ale tak, żeby ta osoba się nie broniła? – zapytałam, kiedy Ylva odebrała.

– Cóż, jeśli mówimy o wannie, to można na przykład wrzucić do wody podłączony do prądu toster. Czy może chodzi o suszarkę? Nie pamiętam. Prostownica pewnie też by się sprawdziła.

– A w jeziorze? W pobliżu ciała nie znaleziono tostera ani suszarki, zresztą na pewno nie ma tak długich przedłużaczy, by dało się je dociągnąć z domu Olofssona do jeziora.

– Ależ z ciebie sceptyczka – odcięła się Ylva. – W jeziorze... Wiesz co, znam inny sposób na uśmiercenie kogoś w wannie, bo przecież w dzisiejszych czasach każdy ma w domu uziemiacz...

– Ylva – przerwałam jej, nieco zaniepokojona. – Skąd ty to wszystko wiesz?

– Czytam książki. Choć nie wiem, z której to wzięłam. Wystarczy jednak chwycić za nogi i podnieść, wtedy ta osoba w wannie może sobie wymachiwać, ile chce, a i tak nie wydobędzie się na powierzchnię. I *voilà*, ofiara utopiona.

W zasadzie coś w tym było. Jeśli Olofssona udało się zwabić nad jezioro, to morderca potrzebował tylko pchnąć go, chwycić za nogi i podnieść. Wówczas Olofsson byłby bez szans. Zwłaszcza gdyby wpadł do wody twarzą w dół.

– Myślisz, że to trudne? Czy kobieta mogłaby temu podołać? – zapytałam.

– Nie mam pojęcia. Mogę jednak przetestować na facecie w wannie. Conny – zawołała. – Wieczorem bierzesz kąpiel.

– Tylko go nie uśmierć.

– Nie ma sprawy. Zadzwońę potem i opowiem, jak poszło – pożegnała się Ylva,

jakby nazbyt entuzjastycznie.

\* \* \*

Niestety, krążenia po mieszkaniu nie dało się pogodzić z leżeniem. Usiadłam więc i wpatrzona w komórkę czekałam na telefon od Ylvy. Po chwili sięgnęłam po notes z długopisem i zaczęłam zapisywać pytania, które powinnam zadać w ośrodku opieki. Co mogłoby interesować studentkę polityki społecznej? Przyniosłam sobie jeszcze tablet z sypialni, rozsiadłam się z nim na sofie i przygryzłam długopis. Jeśli znajdę jakieś badania o problemach psychicznych, może będzie to jakiś punkt wyjścia? Przez dłuższą chwilę przeszukiwałam internet, aż w końcu natrafiłam na artykuł mówiący o tym, że pacjenci zakładów psychiatrycznych w Szwecji żyją krócej niż ci w Finlandii i Danii. Całkiem ciekawy tekst. Wykazywano w nim, że zwłaszcza szwedzcy mężczyźni częściej popełniają samobójstwa niż podopieczni podobnych ośrodków w pozostałych krajach skandynawskich. Z jakiegoś powodu w analizie nie uwzględniono Norwegii.

– Zapytam, w jaki sposób starają się zapobiegać samobójstwom – powiedziałam do swojego tabletu. – Całkiem niezły pomysł.

Nie miałam już siły na dalsze rozważania. Zresztą nie byłam wcale pewna, czy w ośrodku Greta hemmet przebywa moja Louise Hansson.

Ylva nie oddzwoniła. Przez chwilę zastanawiałam się, czy to dlatego, że naprawdę utopiła Conny'ego, ale uznałam, że nawet ona nie jest aż taką wariatką.

Gretahemmet leżało pośrodku niczego. Zanim się tam wybrałam, dokładnie przestudiowałam wskazówki dojazdu, które przekazała mi kierowniczka ośrodka. Mimo wszystko trudno było trafić. Może powinnam kupić sobie GPS? Próbowałam śledzić czarną kropkę sunącą po mapie w moim iPhone, jednak telefon co rusz wygasał, a poza tym droga była tak wąska i kręta, że bałam się odrywać od niej wzrok choćby na kilka sekund.

W końcu z lewej strony pojawiła się aleja. Skręciłam w nią i ujechałam kolejny kilometr, gdy nagle obrastające ją gęsto drzewa skończyły się i moim oczom ukazał się żółty drewniany dom. Wyglądał jak dworek. Przed wejściem głównym ciągnął się żwirowy podjazd z okrągłym trawnikiem, w którym tkwił maszt z flagą.

Kiedy wysiadłam z samochodu, ktoś otworzył drzwi. W progu pojawiła się siwa, krótko obcięta kobieta, ubrana w spódnicę i bluzkę, i zaprosiła mnie do środka. Ciekawe, czy przejrzy moje zamiary?

– Zamówiłam kawę, zaraz będzie gotowa – poinformowała. – Może pani wejść do mojego gabinetu. Przyznam, że nie do końca zrozumiałam, o czym ma być ta pani praca.

Ja też nie, pomyślałam i weszłam za nią do dużego, jasnego pokoju z meblami zrobionymi z jakiegoś skandynawskiego gatunku drewna. Może brzozy karłowatej?

– Nazywam się Kristina Bengtsson – przedstawiła się, wyciągając do mnie rękę.

– Vera Landell. – Też podałam jej rękę.

Uścisnęła ją w przyjemny, nie nazbyt mocny sposób. To mi się podoba. Pierwszej oceny nowo poznanych osób dokonuję po wymienieniu uścisku dłoni. Jeśli ktoś robi to w zdecydowany sposób, zapowiada się całkiem niezłą znajomość. Przez ułamek sekundy zastanawiałam się, czy nie powiedzieć jej prawdy o mojej wizycie.

– O co zatem chodzi? Bada pani kwestię samobójstw wśród osób chorych

psychicznie?

– Tak – skłamałam, lekko zawstydzona. – Zapoznałam się z raportem, według którego Szwecja gorzej wypada w statystykach, jeśli chodzi o liczbę samobójstw wśród pacjentów wypisanych z psychiatrycznych ośrodków terapeutycznych. – Miałam nadzieję, że Kristina Bengtsson nie czytała tego artykułu, bo trochę nagięłam jego treść.

– Wypada gorzej w porównaniu z czym? Z poprzednimi latami?

– Nie, w porównaniu z Danią i Finlandią. Moja praca ma jednak dotyczyć nie tego, dlaczego tak jest, a raczej tego, jak ośrodki terapeutyczne starają się zapobiegać samobójstwom. Szukam w tym zakresie różnic między ośrodkami oraz stosowanymi przez nie metodami terapii.

– Oczywiście, takie różnice występują – powiedziała Kristina Bengtsson, siadając na krześle.

Natychmiast wyjęłam notes, długopis i zaczęłam pisać. Miałam szczęście. Moja rozmówczyni wolała monolog od dialogu i rozgadała się na temat różnych metod, począwszy od terapii poznawczo-behawioralnej poprzez psychodynamiczną po leczenie farmakologiczne, najczęściej stosowane w przypadkach schizofrenii, ciężkiej depresji oraz w stanach lękowych. Notowałam tyle, że aż skrzyło się spod długopisu, i choć wiedziałam, że nigdy do niczego nie wykorzystam tych informacji, to wydawały mi się one bardzo ciekawe. Może w następnym życiu zostanę jednak psychologiem, nie adwokatem, jak planowałam dotychczas.

– Aż mi zaschło w gardle od tego mówienia. – Kristina Bengtsson uśmiechnęła się.

– Na pewno chętnie napije się pani tej kawy.

Przeszliśmy do świetlicy, w której stały okrągłe stoły zrobione z tego samego gatunku drewna co meble w jej gabinecie. Na białych ścianach wisiły obrazy przedstawiające kwiaty i dzieci. Tego dnia słońce świeciło mocno, więc cienkie zasłonki były zaciągnięte i wpuszczały do środka jedynie stłumioną poświatę. Wszystko to sprawiało magiczne wręcz wrażenie.

Usiadłam przy stole, który był nakryty. Dostałyśmy kawę i kanapki z serem oraz plastrami zielonej papryki.

– Nie mamy już dużo czasu na rozmowę. Zajęcia kończą się za dziesięć minut, później robi się tu tłoczno.

– Mają państwo terapię lepienia z gliny? – zapytałam, wgrzyzając się w kanapkę. Była świeżutka i pyszna.

– Terapię lepienia z gliny? A co to takiego?

Niech cię, Ylva!

– Mogłaby pani krótko opowiedzieć, jakie zajęcia państwo prowadzą? – szybko zmieniłam temat.

– Oczywiście. Kulinarne, gimnastykę, malarskie, ale mamy też warsztaty pisarskie oraz takie, na których pracuje się z wełną i skórą. Wszystkie bardzo się podobają naszym pacjentom.

– Czy każdy chodzi na jakieś zajęcia?

– Najczęściej tak. Każdy może się zapisać na to, czego najchętniej by spróbował, choć nie wszyscy mają na to siłę. Kiedy już ktoś uczestniczy w kilku zajęciach każdego dnia i sobie radzi, to znaczy, że jest bliski wypisania. Najczęściej, ale nie zawsze.

Do pokoju wszedł jakiś mężczyzna. Popatrzył nieśmiało w naszą stronę, po czym podszedł do wózka z kawą i kanapkami. Mijając nas, skinął przyjaźnie głową. Odpowiedziałam tym samym. Nagle puls mi przyśpieszył. Czy Louise też tu zaraz przyjdzie? Czy to ta właściwa Louise? I czy ją poznam? Nigdy jej nie spotkałam, nie widziałam nawet zdjęcia. Wyglądem synów Staffana nie było się co kierować, mieli niebieskie oczy i blond loki, zupełnie jak ojciec.

W progu pojawiła się grupka roześmianych kobiet. Przywitwały się z nami oraz mężczyzną siedzącym przy stole pod oknem. Nie sprawiały bynajmniej wrażenia chorych psychicznie, może należały do personelu? Niepewnie popatrzyłam na Kristinę Bengtsson.

– To pacjentki?

– Tak.

No proszę. Tak właśnie znałam się na osobach z problemami psychicznymi.

Nagle przy wózku z poczęstunkiem zrobił się harmider. Kilka osób rozmawiało głośno, aż ubrana w fartuch kobieta wyszła z kuchni, żeby je uspokoić.

– Ktoś powinien, do cholery, porozmawiać z tą Louise – powiedział czyjś głos. – Nie umie się zachować, a przecież obowiązują tu jakieś reguły.

– Louise, ustaw się w kolejce i poczekaj, zaraz będziesz mogła wziąć swoją porcję

– kobieta w fartuchu zganiła filigranową trzydziestolatkę.

Louise (moja Louise?) popatrzyła na nią zdezorientowana i coś wyszeptała. Może przeprosiła. Sprawiała wrażenie nieobecnej, może była jedną z tych pacjentek, które brały leki. Czyżby cierpiała na schizofrenię?

– Co jej jest? – zapytałam moją rozmówczynię. – Wygląda, jakby była pod wpływem leków.

– Nie mogę omawiać z panią problemów poszczególnych pacjentów – Kristina Bengtsson odparła grzecznie, choć stanowczo.

– Oczywiście, przepraszam – wymamrotałam, zerkając ukradkiem na Louise.

Miała brązowe włosy i niebieskie oczy. Była blada jak ściana, a ręce, w których trzymała tacę, trzęsły się. Kiedy nas mijiała, podniosłam wzrok i z uśmiechem skinęłam głową. Chyba jednak mnie nie widziała. Jak miałam nawiązać z nią kontakt? Miałam nadzieję, że Kristina Bengtsson będzie musiała pójść do toalety i zostawi mnie samą. Nie wyglądała jednak, jakby miała problemy z pęcherzem.

Wokół stolików robiło się coraz tłoczniej, w końcu wszyscy usiedli ze swoimi kanapkami i kawami. Rozmawiali i śmiali się, jedynie mężczyzna, który pierwszy wszedł do sali, oraz Louise jedli w milczeniu.

– Co robią po przerwie śniadaniowej?

– Wracają do swoich zajęć i są na nich do lunchu. Potem wszyscy mają wolne do drugiej. Następnie idą na terapie grupowe lub indywidualne spotkania z opiekunami albo na gimnastykę korekcyjną. Po obiedzie, który jest o piątej, niektórzy mają jeszcze zajęcia, inni są wolni. Kiedy skończymy kawę, oprowadzę panią, żeby mogła pani obejrzeć poszczególne sale zajęciowe.

– Bardzo chętnie – odparłam i pomyślałam, że może wtedy będę miała szansę zapytać Louise o Staffana.

Bo cóż innego mogłam zrobić? Dowiedzieć się, gdzie leży jej pokój, i zapukać wieczorem do okna?

Po przerwie wszyscy zniknęli jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Zewsząd słychać było trzask zamykanych drzwi. Zostałyśmy same.

– Proszę tędy – rzekła Kristina Bengtsson. – Pójdziemy zobaczyć zajęcia kulinarne. Teraz przygotowują lunch.

Weszliśmy do mieszczącej się obok kuchni. Pięć osób obierało ziemniaki i marchew, ktoś inny wyrabiał ciasto w wielkiej misce. Nie było wśród nich Louise. Trudno było odróżnić pacjentów od personelu. Do momentu, w którym jeden z obierających, klnąc, rzucił marchewką o ścianę. Wtedy drugi natychmiast do niego podszedł i zaczął uspokajać.

– Całkiem nieźle to wygląda. Panuje tu taka harmonia – powiedziałam. – No, z wyjątkiem tego małego wybuchu.

– Wszystkie zajęcia w Gretaahemmet charakteryzują się harmonią – odparła Kristina Bengtsson.

Ciekawe, czemu to dodała. Przecież nie byłam zainteresowana kupnem tego miejsca.

Następnie przeszliśmy na warsztaty pracy z wełną i skórą. W sali śmierdziało, najprawdopodobniej owcami. Wokół stołu siedziało osiem osób. Dziergali czapki i jakieś szmatki. W rogu przygrywało radio, atmosfera była naprawdę przyjazna. Zrozumiałam, że w takiej grupie człowiek może poczuć się lepiej. Niestety i tu nie było Louise.

– Teraz odbywają się jeszcze jedno zajęcia. Malarskie. Gimnastyka oraz warsztaty z pisania są w poniedziałki i wtorki. Gotowanie jest codziennie.

– W weekendy również?

– Tak, nasi pacjenci są tu także w weekendy, a muszą przecież jeść. W weekendy urządzamy też wycieczki, na przykład do muzeów albo po prostu na zakupy. Cieszą się zainteresowaniem, zwłaszcza tych, którzy są tu od dłuższego czasu. Na początku może być im trudno opuszczać Gretaahemmet. – Kristina Bengtsson otworzyła kolejne drzwi i zaprosiła mnie do środka.

Zobaczyłam duży pokój pełen sztalug oraz opartych o ścianę płócien. Było tam też kilka starych dębowych szafek – stały z pootwieranymi drzwiczkami, a na półkach gęsto było od farb akrylowych i olejnych oraz pędzli i puszek w różnych rozmiarach.

W środku były tylko cztery osoby. Trzy malowały przy sztalugach, a jedna – kobieta w ubraniach ubrudzonych farbą – krążyła między nimi, udzielając porad. Przy sztaludze w głębi pokoju siedziała Louise. Nie widziałam, co maluje, ale robiła to energicznie i z zacięciem.

– Mogę ich zapytać, co malują? – zwróciłam się do Kristiny Bengtsson.

– Oczywiście, może pani z nimi rozmawiać. To nie więźniowie. – Uśmiechnęła się.

Podeszłam do mężczyzny, który siedział najbliżej drzwi. Był to ten, który wcześniej, na świetlicy, w samotności pił kawę. Malował krowy na łące. Chyba. Bo owce raczej nie bywają brązowe...

– Cześć – zagadałam niepewnie. – Ładnie malujesz.

Popatrzył na mnie krzywo. Zrozumiałam. Jego wzrok mówił „Nie jestem dzieckiem”.

– Ja nie bardzo potrafię – wymamrotałam, zawstydzona, i poszłam dalej.

Siedząca obok niego kobieta malowała naprawdę ładnie.

– Ojej – tylko tyle wydusiłam, widząc jej płótno.

Używała farb olejnych i właśnie wykańczała czerwony nos klauna, który stał na cyrkowej arenie ze stopami zanurzonymi w trocinach. Reflektory oświetlały go bezlitośnie, a wokół widać było czarne sylwetki widzów siedzących w półkolu. Mimo to klaun sprawiał wrażenie niesłychanie osamotnionego.

Kobieta spojrzała na mnie z niezwykłym skupieniem w oczach.

– Jestem artystką – oznajmiła. – Nawet artyści mają problemy z głową.

– Nie wiem, jak tam u ciebie z głową, ale co do tego, że jesteś artystką, nie mam wątpliwości – odparłam z uśmiechem.

Potem ruszyłam w stronę Louise. Zbliżając się do niej, zauważyłam, że jest całkiem pochłonięta pracą. Jej obraz mienił się na czerwono, pomarańczowo i żółto. W dolnym rogu malowała właśnie oczy jakiejś małej czarnej postaci, używając do tego najcieńszego pędzla. Ostrożnie go docisnęła i wtedy figura z płótna popatrzyła na mnie lodowatoniebieską kropką.

– Cześć, Louise – wyszeptałam.

Na chwilę obróciła się w moją stronę i zerknęła bez zainteresowania. Miała ciemnoniebieskie oczy z czarnymi obwódkami. Bardzo ładne.

– Byłaś żoną Staffana? – ciągnęłam szeptem. – Był dla ciebie dobry?

W tym momencie poczułam się naprawdę podle. Pożałowałam, że w ogóle tam przyjechałam. Czy raczej tego, że od początku nie zagrałam w otwarte karty.

– Staffana? – odparła Louise przeciągle, zawieszając pędzel w powietrzu. – Chłopcy...



Wstała, ale nie odrywała wzroku od płótna. Lodowatoniebieskie oko odwzajemniało jej spojrzenie. Co ja narobiłam? Przerazona, popatrzyłam na Kristinę Bengtsson, żeby sprawdzić, czy idzie już w moją stronę, wściekła. Ona jednak rozmawiała z nauczycielką i zdawała się niczego nie zauważać.

– Viktor i... – odpowiedziałam.

– Viktor i Anton – dokończyła Louise. – Moi chłopcy.

Tak, to była właściwa Louise.

– Czy Staffan jest dla nich dobry? – zapytałam cicho.

– Staffan jest w porządku. Jest dobrym ojcem. Opiekuje się nimi – odparła beznamyślnie, a potem obróciła się w moją stronę.

Poczułam się nieprzyjemnie. Jej ciało ani drgnęło, poruszyła się tylko szyja i głowa. Zastanowiłam się, co by było, gdybym stała za nią. Obróciłaby głowę o sto osiemdziesiąt stopni? Stałam jednak obok, więc Louise zatrzymała ją z lekkim drgnięciem i popatrzyła mi prosto w oczy.

– Ty – powiedziała zaskoczona. – To przecież ty.

Popatrzyłam na nią, zdziwiona. Czyżby mnie rozpoznała? Ale przecież nigdy się nie spotkałyśmy.

– Spłoniesz – oznajmiła, a jej głos powoli przybierał na sile. – Ogień. OGIENÍ! Słyszysz? POCHŁONĄ CIĘ PŁOMIENIE!

Oddychała teraz ustami, a spojrzenie miała tak przerażone, że białka były większe od tęczówek. Źrenice to się zwężały, to poszerzały, przypominając bijące serce. Cofnęłam się, przestraszona.

– Louise – zawołała Kristina Bengtsson, która już do nas biegła. – Co się stało? Co ty wygadujesz?

– ONA SPŁONIE! – krzyczała Louise, wskazując na mnie cienkim pędzelkiem. Z kącika ust pociekła jej ślina. Oblizwała ją.

Na trzęsących się nogach wycofałam się do drzwi i do świetlicy.

Kristina wyszła za mną, obejmując roztrzęsioną Louise, która zamknęła oczy, kiedy mnie mijały. Co ja narobiłam?

Nadbiegł jakiś mężczyzna, który chwycił ją za rękę i ostrożnie odprowadził do jednego z pokoi w głębi korytarza.

– Bardzo przepraszam – powiedziałam, gdy podeszła do mnie Kristina Bengtsson. – Jak ona się czuje?

– Myślę, że na tym skończy się pani wizyta – oznajmiła tylko. – Muszę zająć się Louise. Gdyby miała pani jeszcze jakieś pytania, możemy je chyba omówić przez telefon?

Z radością czym prędzej wyszłam z Gretahemmet.

\* \* \*

Droga była kręta, więc musiałam jechać powoli, choć najchętniej docisnęłabym pedał, zostawiając Gretahemmet jak najdalej za sobą. Pociłam się i chciało mi się siku. Zastanawiałam się, czy uciekałam bardziej ze wstydu, czy ze strachu. Zadzwoiła komórka, a ja, prawdziwie przerażona, omal nie zjechałam z drogi.

– Halo?!

– Raili? Co się stało? Masz taki roztrzęsiony głos.

– Ylva? Boże, nawet nie masz pojęcia... To była ona, żona Staffana. – Skręciłam w lewo, a potem w prawo, wykonując niemal niewykonalny manewr. – Była żona – poprawiłam się. – Co za okropność. Wywołałam u niej jakiś straszny atak.

– Co tam się wydarzyło? – zapytała Ylva bez tchu.

– Była całkiem apatyczna, ale kiedy zapytałam o Staffana, oszalała, krzyczała, że spłonę... To było straszne. Musieli ją wyprowadzić. Nie mogłam tam dłużej zostać, i dzięki Bogu. Myślałam, że... – Chciałam zmienić bieg, więc wcisnęłam telefon między policzek i ramię, ale wyslizgnął się i spadł.

– Halo? Raili, co jest, do cholery? – z podłogi rozległ się krzyk Ylvy.

– Upuściłam telefon – zawołałam. – Gdyby nie to, że Louise siedzi w Gretahemmet, pomyślałabym, że to ona utopiła Olofssona.

– Może w takim razie powinnaś sprawdzić, czy nie była na przepustce – krzyknęła Ylva.

Następnie zdała mi szczegółową relację z testu topienia Conny'ego, który przeprowadziła dwa dni wcześniej. Uznała, że nie było wcale tak trudno trzymać go za nogi, choć zdążył się już namydlić, więc kilka razy się jej wyslizgnął. Gdyby miał na sobie spodnie, jak Olofsson, byłoby o wiele łatwiej. Ylva oraz łazienka też były całe

mokre, no i skończyło się na tym, że Ylva wskoczyła do wanny do Conny'ego. To, co wydarzyło się później, brzmiało bardzo interesująco...

– Będę w bibliotece za godzinę – zawołałam w stronę podłogi, mając nadzieję, że Ylva się rozłączy, skoro ja nie mogłam.

Padało. Zamknęłam oczy i wsłuchałam się w krople uderzające o okno mojej sypialni. Tego dnia miał się odbyć pogrzeb Olofssona. Pogoda zdawała się w pełni pasować. Oto nadeszła równonoc jesienna oraz ostatnie pożegnanie Olofssona. Chwyciłam poduszkę i przytuliłam się do niej. Opłakiwałam przyjaciela. Po raz pierwszy nie płakałam z lęku czy niepokoju, lecz z żalu.

\* \* \*

Odśpiewaliśmy psalm pogrzebowy *Zaledwie jeden dzień, jedna chwila*. Zalałam się łzami. Przypomniałam sobie pogrzeb mamy i wszystkie pogrzeby, na jakich byłam. Zawsze, zawsze odśpiewywano ten psalm. Gardło tak mnie bolało, że nie mogłam wykrztusić słów. Sara pochyliła się nade mną i podała mi zwój chusteczek, które z wdzięcznością przyjąłem i przyłożyłam do oczu. Dyskretnie wydmuchałam nos i popatrzyłam na nią. Śpiewała pięknie, ale i jej łzy spływały po policzkach. Co za straszny pogrzeb.

Kościół był mały i stary, o czym świadczyły choćby twarde, wąskie ławy, na których siedzieliśmy. Przyszło sporo osób, na co zareagowałam z ulgą. Bałam się, że pojawimy się tylko my, sąsiedzi znad jeziora, bo Olofsson nie miał innych znajomych.

Drżąc, w kieszeni wymacałam klucz do domu Olofssona. To była moja jedyna pamiątka po nim. Mocno zacisnęłam na nim palce. Żałowałam, że w kościele nie działa jeszcze ogrzewanie, choć była dopiero wczesna jesień.

Nie musieliśmy iść w deszczu na cmentarz i, stojąc wokół grobu, obserwować, jak spuszcza go do ziemi. Słabłam na samą myśl o tym. Nie, na szczęście pożegnanie zaplanowano w kościele. Olofsson miał zostać skremowany, a jego prochy miały być pogrzebane w lesie pamięci <sup>3</sup>. Sara wspominała, że Olofsson uważał, iż opuszczone

groby, których nikt nie odwiedza, to smutny widok. Biedny Olofsson... Znow zalałam się łzami.

Kiedy nadeszła nasza kolej, by podejść do trumny, ja i Sara podpierałyśmy się nawzajem. Za nami szedł Anders, trzymając jedną rękę na ramieniu Sary, drugą na moim.

– No tak, no tak – powiedział smutnym głosem.

Obok niego, w całkowitym milczeniu i nie okazując żadnych uczuć, kroczył Staffan. Położyłam moją różę na wieku i delikatnie pogłaskałam trumnę.

– Na razie, Olofsson – powiedziałam cicho. – Dowiem się, kto to zrobił. Na razie.

\* \* \*

Mój domek na skraju lasu czekał na mnie. Zjechałam z drogi i zaparkowałam tam, gdzie zwykle, jednak nie od razu wysiadłam z samochodu. Popatrzyłam na jezioro. Było szare i pomarszczone, a mżawka tworzyła małe kraterki na całej jego powierzchni. Brązowy domek Olofssona wyglądał na opuszczony. Okna przypominały puste oczodoły.

Zaburczało mi w brzuchu. Kawa po pogrzebie bynajmniej nie wyszła mi na dobre. Idąc do domku, uświadomiłam sobie, że ostatni raz byłam tutaj, kiedy znalazłam Olofssona martwego. Na sofie pełno było poduszek i koców, a na stole leżały dwutygodniowe resztki kanapek i kawy. Wrzuciłam śmieci do worka i postawiłam go przy drzwiach, a sztućce i kubki wstawiłam do zlewu, do którego zaczęłam napuszczać wody. Mój wzrok powędrował w stronę nieba za oknem. Nagle coś usłyszałam. Krzyk dziecka? Śmiech? Zakręciłam kran i wystawiłam głowę za drzwi. Faktycznie coś słyszałam. Ktoś był w lesie. Wydawało mi się, że dziecko.

Rozejrzałam się po przedpokoju za kaloszami, lecz gdzieś przepadły. Przy drzwiach stały crocysy. Nadal jednak świeżo w pamięci miałam pęcherze, jakich się wtedy nabawiłam, nie odważyłabym się więc wyprawić w nich do lasu. W końcu zdecydowałam się na parę starych tenisówek, które dokładnie zasnuowałam. Ruszyłam w las.

Trafiłam na drogę dla traktorów i poszłam w kierunku ruiny. Z jakiegoś powodu oczywiste wydawało mi się, że to stamtąd dobiega krzyk dziecka. Znow zresztą rozległ

się pisk, tym razem jakby bliżej. Byłam już niedaleko polanki. Deszcz się nasilił. Zapomniałam włożyć kurtkę, a sweter przemókł już na ramionach i plecach. Włosy przykleiły mi się do policzków. Przed sobą coś zobaczyłam. Zdziwiona, weszłam na polanę.

– Tova? – Popatrzyłam na małą postać w czerwonej pelerynie, która siedziała w kucki przy ruinie.

– Cześć, Raili – odpowiedziała wesoło. – Chcesz też pozbierać kwiaty?

– To właśnie robisz? Ale chyba nie jesteś tu sama?

– Oczywiście, że nie. Mama, tata i Emil też tu są – odparła i sięgnęła gołymi rękami po pokrzywę. Kiedy poczuła oparzenie, buzię wykrzywił grymas bólu. – Naprawdę nie lubię zbierać kwiatów – oznajmiła.

Nie płakała. Twarde dziecko, pomyślałam. Spomiędzy drzew wyszli Kennet i Anna-Maria. Kennet miał w ręku kosz, z którego wystawały gałęzie czarnego bzu oraz jakieś żółte kwiaty, których nie znałam.

Anna-Maria miała wzrok wlepiony w ziemię. Podeszła do Tovy i obejrzała poparzenie na jej ręku. Zupełnie mnie ignorowała.

– Co zbieracie? – zapytałam Kenneta.

– Czarny bez. Mieliśmy szczęście, bo znaleźliśmy też dziurawiec, który jeszcze nie zakwitł. – Z dumą podał mi kosz, bym zobaczyła jego zawartość. – Często zbieramy tu rośliny lecznicze. To prawdziwa kopalnia.

Popatrzyłam na nich. Jakim cudem zdążyli po pogrzebie przyjechać do domu, przebrać się w stroje przeciwdeszczowe i jeszcze tu przyjechać?

– Nie byliście na pogrzebie Olofssona? – zapytałam.

– Nie. – Kennet się trochę zaczerwienił. – Jesteśmy przeciwni pogrzebom.

– Ach tak – odparłam, nieco skonfundowana.

– Tak, tak – ciągnął. – Na pogrzebach panuje taka negatywna atmosfera, sama wiesz. Zamiast tego cieszymy się życiem.

– Zginiemy na stosie – powiedziała Tova swoim czystym głosem.

Popatrzyłam na nią, zastanawiając się, czy dobrze słyszałam.

– Tova, co ty wygadujesz? – zaniepokoiła się Anna-Maria. Popatrzyła na mnie, a jej spojrzenie bardzo mi coś przypominało. Wzrok Louise.

Na wszelki wypadek cofnęłam się o kilka kroków i zerknęłam na Kenneta.

– A gdzie macie Emila?

– W samochodzie. Nie lubi lasu – odparł Kennet. – Ubzdurał coś sobie. W lesie jest przecież miło, prawda Tova? – zawołał i wziął Tovę na rękę.

– Las nie jest miły, tato. Las parzy – odburknęła i zaczęła się wywijać tak długo, aż w końcu ją puścił.

– Jedziemy do domu. Wszystkiego dobrego – pożegnał się i pociągnął za sobą Annę-Marię, która przysiadła na kolanach na trawie i wpatrywała się w coś.

– Wam też. I wesołych świąt – powiedziałam, choć ostatnie słowa po cichu.

Podeszłam do miejsca, w którym klęczała Anna-Maria. Trawa była w nim uschnięta i brązowo-żółta. Ciekawe.

Kennet poprowadził swoją rodzinę wzdłuż drogi dla traktorów, a potem w stronę zagrody Hanssonów. Pewnie u nich zaparkowali. Ja ruszyłam z powrotem do mojego szarego, przyjaznego domku, po drodze zastanawiając się, co to za dziwna rodzina.

\* \* \*

Niestety, podczas mojej nieobecności nikt za mnie nie pozmywał. Z westchnieniem zakasałam więc rękawy. Teraz, po odejściu Olofssona, przebywanie tutaj nie było już takie samo. Zrobiło się jakby pusto, a przecież wcale nie znałam go długo, ledwie kilka tygodni.

Mówił często dziwne rzeczy, lecz był dobrym człowiekiem i naprawdę go polubiłam. Uśmiechnęłam się do siebie na wspomnienie tego, jak przeglądał wszystkie zdjęcia, jakie miał w domu, bo wydawało mu się, że jako dziecko miał psa. A wszystko dlatego, że ja mu tę myśl podsunęłam mimochodem.

Usiadłam ciężko na skrzyni, ze szczotką do zmywania w jednej ręce i brudnym kubkiem w drugiej. Albumy. Olofsson wspominał psa, którego nigdy nie miał. Odłożyłam szczotkę i kubek na blat i pobiegłam do samochodu.

– Olofsson, zaraz to wyjaśnię – powiedziałam, spoglądając w niebo.

## Listopad 1670 roku

Przez całą drogę do domu Ericus Hernodius milczał. Co go napadło? Doniósł na Kirsti radzie. Naciskali.

– Ani jednej wiedźmy w całej okolicy? – powtarzali. – Ani jednej w twoim zgromadzeniu? Jak to możliwe? One są wszędzie.

Opowiedział im więc o Kirsti, w końcu o niej opowiedział. I wszyscy byli zgodni. Była czarownicą. Najgorszego sortu.

Czy nie mógł tego powiedzieć od razu? Dlaczego z tym zwlekał? Z pewnością podejrzewał to już od jakiegoś czasu, czyż nie? Szlachetnie z jego strony, że starał się ochronić baranka ze swojego stada, kiedy jednak baranek jest wilkiem, nie tylko głupotą, ale i grzechem jest go chronić.

Ich ostre słowa wciąż pobrzmiwały w jego głowie. Przycisnął dłonie do uszu, by je zagłuszyć (głosy i słowa), tkwiły jednak w środku, brzęcząc bez przerwy i zapadając mu w duszę.

Była oblubienicą szatana, dobrze, że się zorientował. Teraz sprawa nie należała już do niego. Komisja do spraw czarów się tym zajmie.

Czekały go miesiące męczarni, miały go zżerać wątpliwości i niepokój. O tym jednak jeszcze nie wiedział. W każdym razie na sam koniec miał się przekonać, że nie działał niesłusznie. W chwili śmierci ten dobry pastor miał się upewnić co do swych racji.



# CZĘŚĆ II

Skrecając w drogę prowadzącą do Olofssona, postanowiłam, że nie będę parkować przed domem, żeby nie rzucać się w oczy. W końcu planowałam dokonać włamania. Przypomniałam sobie, że przecież Helge wjeżdżał kiedyś ciągnikami na jedną z leśnych dróg. Znalazłam ją. Była wprawdzie nierówna i błotnista, jednak zjechałam w nią i zatrzymałam samochód za niewielkim zakrętem. Kiedy dotarłam z powrotem do zwirowej szosy, obróciłam się. Samochodu nie było widać. Ruszyłam dalej w stronę domu, ale zanim weszłam na prowadzące do drzwi schodki, dyskretnie się rozejrzałam.

W rękę trzymałam zniszczony, poczerniały klucz. Wzięłam głęboki wdech, włożyłam go do zamka i przekręciłam. Drzwi otworzyły się bez najmniejszego zgrzytu. Najwidoczniej Olofsson je naoliwił. W głowie odnotowałam, żeby przy okazji poszukać puszek z olejem, ponieważ moje drzwi też wymagały nasmarowania. W przedpokoju panował półmrok. Drzwi do pomieszczeń wyglądały jak dziury po zębach w ciemnej jamie. Wszystko wydawało się zupełnie nierealne. Mam pełne prawo wejść do domu, przekonywałam sama siebie. Olofsson dał mi klucz. On nie żyje, dał się słyszeć inny głos. Włamujesz się. Jaka może czekać mnie kara? – pomyślałam. Jak poważnego przestępstwa się dopuszczam?

Uciszyłam głosy w głowie i jednocześnie uświadomiłam sobie, że nie wzięłam latarki. Na szczęście miałam tę funkcję w iPhonie. Nieco spoconymi rękami wyciągnęłam komórkę i kliknęłam odpowiedni przycisk. Odetchnęłam z ulgą, gdy światelko się zapaliło.

Niczym złodziejka, którą w zasadzie byłam, przemknęłam po cichu do kuchni. Drogę oświetlała mi jedynie komórka. Na nakrytym obrusem stole leżała tylko cukiernica. Nigdzie ani okruszka. Żadnych naczyń, nawet na suszarce. Albo Olofsson przed utonięciem wpadł w szal robienia porządków, albo ktoś tu był i posprzątał. Bardziej

wiarygodne wydawało się to drugie przypuszczenie. Ale kto to był? I dlaczego to zrobił?

Obok kuchennej ławy znajdowały się drzwi prowadzące do jadalni. Świecąc sobie telefonem, weszłam tam. Pomieszczenie było równie wysprzątane i puste co kuchnia. Przeszłam do salonu. Kiedy poświeciłam na regał, zobaczyłam albumy ze zdjęciami ustawione na najniższej półce. Przykucnęłam i zaczęłam je wyciągać. Na wyższej półce stała aksamitna szkatuła oraz porcelanowe figurki dygających kobiet z dziećmi i psami. Chciałam zabrać albumy i szkatułę do kuchni, ale uznałam, że bez porządnego światła nie da się ich dokładnie obejrzeć (poza tym sama w domu Olofssona czułam się bardzo nieswojo), spakowałam je więc do plecaka. Gdzie jednak podziało się to zniszczone pudło? Wiedziałam o jego istnieniu, bo przecież widziałam je na własne oczy, kiedy z Olofssonem jedliśmy naleśniki z piekarnika.

Na tym piętrze znajdowało się jeszcze jedno pomieszczenie, mała łazienka. Obok niej widać było zarys skręcających za róg schodów, które znikwały w mroku. Zapewne prowadziły do sypialni Olofssona. Zaczęłam powoli wchodzić, podskakując za każdym razem, gdy stopień zaskrzypiał. Puls miałam tak szybki, że wydawało mi się, że zaraz dostanę ataku serca.

Poddasze składało się z dwóch ciemnych sypialni oraz łazienki. Jeden pokój należał do Olofssona, stało w nim niezaścielone jednoosobowe łóżko, komoda i krzesło, na którym wisiała zarzucona na oparcie koszula. Rozpoznałam ją. Olofsson często ją nosił. To była chyba jego ulubiona. Podniosłam ją i przyłożyłam do nosa. Pachniała nim. Wcale niebrzydko. Czułam parzoną kawę, krem do golenia i pastylki Läkerol. Mój Boże, co się właściwie stało? Wetknęłam koszulę do plecaka i ruszyłam do drzwi znajdujących się w krótszej ścianie pokoju. Prowadziły do szafy wnękowej. Przejechałam ręką po zawieszonych tam ubraniach, później poświeciłam na podłogę i zaczęłam się rozglądać za pudłem. Nie znalazłam jednak nic poza kotami z kurzu i starą pułapką na myszy, na szczęście pustą. Najwidoczniej tutaj nikt nie posprzątał.

W drugiej sypialni unosił się słabo wyczuwalny zapach jabłek. Czyżby Olofsson zimą przechowywał tu owoce? Łóżka – bo były dwa – stały pod ścianami. Nie było na nich ani pościeli, ani nawet materacy. Między nimi ustawiono stolik, na nim zaś wiekowe radio. Na ścianach wisiały stare fotografie przedstawiające ludzi z minionych

lat oraz kilka makatek z wyhaftowanymi cytatami z Biblii. Był to pokój rodziców Olofssona. W garderobie wisiało pełno ich ubrań. Gniotły się w niej sukienki, garnitury, koszule i buty. Właśnie tam, za rzędem czarnych półbutów, znalazłam pudło ze wszystkimi zdjęciami, których nikt nigdy nie wkleił do albumu. Przeniosłam je do sypialni, zorientowałam się jednak, że jest za duże i nie zmieści się do plecaka. Zebrałam więc zdjęcia luzem i jak najciaśniej ułożyłam je na spakowanej już koszuli Olofssona. Na samym dnie pudła znalazłam to, czego szukałam. Szarą kopertę z negatywami. Ostrożnie umieściłam ją na fotografiach, po czym zasunęłam suwak. Wreszcie mogłam wracać do domu.

Wtedy usłyszałam jakiś dźwięk. Jakby ktoś zamknął drzwi na dole.

To niemożliwe. Nie mogłam w to uwierzyć. We wszystkich horrorach, jakie sobie wówczas przypominałam (a, doprawdy, w moim parującym z gorąca mózgu migawki z filmów przesuwały się jedna za drugą), jeśli w opuszczonym domu znajdowała się bohaterka, to do akcji wkraczał nikt inny jak tylko szalony morderca.

– Bez paniki – powiedziałam sama do siebie. – Zamknę teraz drzwi garderoby, spokojnie zejść i zapytam, co ten ktoś robi w domu Olofssona.

Tak rozmyślając, wślizgnęłam się jednak w głąb wnęki i zamknęłam za sobą drzwi. Wyciągnęłam iPhone'a i, przyświecając nim sobie, wcisnęłam się za rząd butów i zwinięty dywan. Wyłączyłam latarkę i schowałam telefon do kieszeni.

Na chwilę dopadło mnie przerażenie, bo przecież nie wyłączyłam dźwięku. Potem jednak przypominałam sobie, że i tak nie mam zasięgu, więc nikt do mnie nie zadzwoni.

Schody zaskrzypiały. Raz. Ktoś się zatrzymał. Czulałam, jak żołądek zwija się w supeł. Czekanie było nie do zniesienia. Kolejne skrzypnięcie i cisza. Jeszcze chwila i będzie na górze.

A niech to szlag! Plecak!

Został w pokoju.

Nie mogłam poświęcić plecaka. Kiedy pomyślałam, że ktoś mógłby się zakraść do sypialni, zabrać go i uciec z domku, tak mocno zagryzłam zęby, że aż zabołały mnie szczęki. Nie ma mowy, żebym straciła plecak.

Jak najciszej wyczołgałam się zza dywanu i na czworakach przesunęłam się w stronę progu. Wsłuchiwałam się, ale wokół panowała cisza. Powoli, powolutku nacisnęłam klamkę i uchyliłam drzwi. Z drugiej sypialni dobiegły mnie hałasy. Ktoś chyba wyciągał szuflady z komody Olofssona. Ostrożnie chwyciłam plecak i wciągnęłam go do garderoby. Był naprawdę ciężki, aż zabołało mnie ramię. Nie miałam odwagi, by zamknąć drzwi, przymknęłam je więc tylko i znów na czworakach wróciłam za zwinięty dywan. Starłam się skurczyć, jak tylko się dało.

Usłyszałam zbliżające się kroki. Czyjeś podeszwy szurały po podłodze. Ktokolwiek to był, wszedł już do tej sypialni. Wstrzymałam oddech.

Drzwi garderoby otworzyły się i wiązka światła wdarła się do jej wnętrza. Kuląc się za dywanem, starałam się nie zamknąć oczu. Wpadające światło przysłonił nieco kontur głowy. Ktoś zaglądał do środka.

Minęła wieczność. Umierałam już z braku tlenu. Bolały mnie płuca, a przed oczami tańczyły mroczki.

Drzwi wreszcie się zamknęły. Kroki zaczęły się oddalać. Łapczywie zaczerpnęłam powietrza. Kto to był? Nie dało się zobaczyć. Kobieta czy mężczyzna, nie miałam pojęcia. Może powinnam była poświęcić na tę osobę latarkę z telefonu? Musiał to być zabójca Olofssona. A jeśli tak, to wówczas mnie też by zabił.

Zamknęłam oczy i pomyślałam, że powinnam była posłuchać rady Ylvy i pojechać na urlop na Gran Canarię. Wtedy to wszystko by się nie wydarzyło.

Siedziałam tak zwinięta za dywanem i nie miałam odwagi się ruszyć. Wytężałam

słuch, lecz nie usłyszałam skrzypienia schodów. Czy ten człowiek, on lub ona, wciąż był na poddaszu, czy już zszedł?

– A jeśli to Staffan? – wyszeptalam w ciemności. Oczywiście, że to nie on. Niby dlaczego miałby to być Staffan? – Dlatego, że Olofsson mnie przed nim przestrzegął – ciągnęłam ten cichy dialog z samą sobą. – No i jego żona to prawdziwa wariatka. Żona Kenneta też – przypomniałam sobie. Kennet i Staffan byli kolegami z dzieciństwa. Czy wyjaśnienie zagadki kryło się w przeszłości? O co tu chodziło?

Zaczęły mnie piec oczy. Zamrugałam i przetarłam je zaciśniętymi dłońmi, lecz nie pomogło. Najwidoczniej kurz i kulki na mole dawały mi się we znaki. Powoli doczołgałam się do drzwi garderoby i nacisnęłam klamkę. Kiedy tylko je uchyliłam, do środka zaczął cisnąć się dym. Zamknęłam drzwi i złapałam się za twarz. Pali się! Dom Olofssona płonął.

Spłoniesz. Zginiemy na stosie.

Ponownie otworzyłam drzwi i próbowałam przedrzeć się przez sypialnię. Dym był tak gęsty, że nic nie widziałam. Zakryłam twarz rękawem, to jednak niewiele pomogło. Oczy piekły okropnie. Łzy same spływały po policzkach i ciekło mi z nosa.

– Idź na czworakach! – krzyknęłam w rękaw sama do siebie. – Kiedy się pali, trzeba iść na czworakach. – Rzuciłam się na ziemię. Uświadomiłam sobie, że muszę zostawić plecak. Nie dałabym rady czołgać się, trzymając go jedną ręką, a drugą zakrywając twarz. Nie chciałam jednak poświęcić plecaka.

– Cholera, cholera, jasna cholera! – mamrotałam pod nosem, kiedy ściągałam sweter.

Cenne sekundy uciekały jak szalone. Zawiązałam sweter wokół nosa i ust, chwyciłam plecak i zaczęłam się czołgać. Dłonią wyczułam próg, przeszłam do przedpokoju. Nisko przy podłodze łatwiej się oddychało, nadal jednak widziałam jedynie szarą ścianę dymu. Na dole słychać było trzaski i uderzenia – to ogień trawił wszystko, co napotkał na swojej drodze. Zbliżając się do schodów, z każdym centymetrem czułam coraz wyższą temperaturę. Zrozumiałam, że nie dam rady. Dym był czarny jak smoła, a fala gorąca napierała na mnie niczym groźna, rozpalona lokomotywa. Nie mogłam zejść. Czy powinnam wrócić do sypialni? Próbowałam sobie przypomnieć, jak wyglądała działka wokół domu. Okna z sypialni rodziców

wychodziły na dom Kullmanów, pokryty trawą teren nieco tam opadał. Natomiast za oknami sypialni Olofssona była żwirowa droga. Tam chyba nie było tak wysoko. Na dole rósł żywopłot, duży i rozłożysty. Złagodzi moje lądowanie czy może nadzieję się na niego?

Nagle zobaczyłam czerwone języki ognia, które przedzierały się przez czarny dym w moją stronę. Usunęłam się na bok i rzuciłam plecak przez przedpokój. Czołgając się, uderzyłam brodą w próg i krzyknęłam. Zaraz jednak dopadł mnie atak kaszlu i pozwolił zapomnieć o bólu. Jakoś przedostałam się do sypialni Olofssona. Mój najwidoczniej wciąż funkcjonujący umysł nakazał mi zamknąć za sobą drzwi.

Kaszląc, podniosłam się i niepewnym krokiem ruszyłam do okna. Niełatwo było je otworzyć, ale jakoś dałam radę. Świeże powietrze było jak powiew nowego życia. Zdarłam sweter z twarzy i zaczęłam łapczywie oddychać. Napawałam się powietrzem, zaciągałam się nim. Nagle usłyszałam za sobą dziwny trzask. Obróciłam się. Tlen, który wpuściłam do pomieszczenia, był dla płomieni dodatkową pożywką. Farba na drzwiach zaczęła się wybrzuszać i żółknąć, szczeliny we framudze najpierw poczerniały, a później przedarły się przez nie czerwone płomienie.

Wystawiłam głowę za okno i spojrzałam w dół. Żywopłot wyglądał groźnie. Za moimi plecami ryczały płomienie, nie miałam czasu. Chwyciłam plecak i z całych sił cisnęłam nim przez okno. Wylądował w trawie za krzewami. Łóżko Olofssona stało zaledwie metr ode mnie. Pomyślałam, że materac może ochronić mnie przed ostrymi gałęziami żywopłotu. Jednym ruchem zdjęłam go z łóżka i pociągnęłam do okna.

W pokoju rozległ się okropny huk, kiedy drzwi nie wytrzymały już naporu ognia. Z desperacją próbowałam precyzyjnie przesuwać materac, lecz był za duży i nie mieścił się w otworze okiennym. Spanikowana, chciałam wciągnąć go z powrotem, ale utknął we framudze. Pot leciał mi strużkami po twarzy i całym ciele. W głowie pulsowało, powietrze było tak gryzące, że nie dało się oddychać. Z otwartego okna nie wpływał już tlen. Materac był dla mnie gwoździem do trumny. Z okrzykiem rozpaczony chwyciłam za niego po raz ostatni, wreszcie drgnął. Wciągnęłam go do środka. Spojrzałam na piekło za moimi plecami i wspięłam się na parapet...

Gdy ogniste języki zaczęły dosłownie smagać mnie po plecach, wybiłam się i skoczyłam w dół. Wymachiwałam rękami jak postrzelony kruk i krzyczałam. Jakaś

odległa część mnie wierzyła prawdopodobnie, że uda mi się w ten sposób stłumić upadek albo zwyczajnie unieść się i stamtąd odlecieć, jednak wylądowałam pośrodku żywopłotu z głośnym hukiem. Ostre gałęzie raniły moje gołe plecy, choć nie czułam bólu. Siła upadku sprawiła, że przedarłam się przez żywopłot i spadłam na ziemię. Moc uderzenia rozeszła się od pośladków w górę kręgosłupa i na chwilę odebrało mi resztkę powietrza, którą miałam w płucach. Pokaszując, wygrzebałam się z żywopłotu i spojrzałam w stronę domu. Płomienie buchały z okna, z którego właśnie wyskoczyłam. Czarny dym przedostawał się przez najmniejszą nawet szczelinę niczym tłusty olej. Z wnętrza dobiegały trzaski i huki, jakby w środku uwięzione zostało jakieś dzikie zwierzę.

Zbawienny deszcz obmywał moje plecy i kark, gdy czołgając się, szukałam po omacku plecaka. Kiedy dłoń natrafiła w końcu na gruby materiał, złapałam go mocno i wstałam, ledwo trzymając się na nogach. Gdzieś słyszałam głosy. Dobiegały z drugiej strony budynku. Nie odważyłam się okrążyć domu i sprawdzić, kto to był, ciągnęłam jedynie za sobą plecak, aż doszłam do drogi. Wciąż nie odczuwałam bólu i dotarło do mnie, że muszę być w szoku, ale przynajmniej byłam w stanie iść. To chyba znaczyło, że nie złamałam ani kręgosłupa, ani nogi...

Zanim ujrzałam maskę swojego samochodu, kilka razy musiałam robić przystanki, by odpocząć. Ledwo udało mi się do niego dotrzeć. Zastanawiałam się, jak w takim stanie dojadę do domu?

\* \* \*

Usiadłam i patrzyłam na drogę dojazdową do swojego domku. Zakręcała między drzewami. Niebo pociemniało, z wyjątkiem obszaru po drugiej stronie jeziora, gdzie wciąż roztaczała się pomarańczowa luna. Nie chciałam wracać na działkę, wolałam dodać gazu i jechać do Valludden. Ale moja kurtka i torba zostały w domku. Portfel, prawo jazdy. Klucze do mieszkania... Kiedy dotarło do mnie, że mam na sobie tylko spodnie i stanik, westchnęłam i skręciłam w małą dróżkę.

Zastanawiałam się, czy osoba, która podpaliła dom Olofssona, zamierzała coś ukryć, czy może wiedziała, że jestem w środku i chciała mnie zabić. Niezależnie od przesłanek chyba dobrze się stało, że zabójca nie wiedział, że udało mi się przeżyć i że



wciąż jestem w Lövaren. Zgasiałam reflektory, nim minęłam ostatni zakręt prowadzący na działkę.

Gdy dotarłam na miejsce, wokół domu Olofssona zobaczyłam kilka wozów strażackich. Stały z włączonymi niebieskimi światłami i tryskały na żarzący się krajobraz. Jezioro lśniło różnymi barwami – czarną, niebieską, czerwoną i żółtą. Strażacy opuścili dom Olofssona i skierowali węże na posesję Kullmanów. Ratujmy, co się da, pomyślałam i weszłam do domku, nie zapalając światła. Po krótkich poszukiwaniach znalazłam torbę. Spróbowałam też włożyć kurtkę, ale moje poharatane plecy ostro się temu sprzeciwiły, musiałam więc wracać do domu w staniku.

– Przynajmniej udało mi się przeżyć – wymamrotałam, wsiałam ostrożnie do samochodu i odjechałam.

Zdawało mi się, że podróż do Valludden trwała ze dwadzieścia godzin. A może kilka dni... Próbowałam prowadzić przy otwartych oknach, lecz mżawka ograniczała mi widoczność. Cały samochód był przesiąknięty dymem. Zastanawiałam się, czy powinnam pójść do lekarza. Z pewnością nawdychałam się zbyt dużo czadu. Kiedy wjeżdżałam do Valludden, zerknęłam na duży czerwony szpital, jednak minęłam go. Nie miałam już siły.

Była sobota. Obudził mnie ból pleców i płuc. Był tak silny i rozległy, że trudno było stwierdzić, która część ciała doskwiera najbardziej. Na szczęście udało mi się wziąć prysznic poprzedniego wieczoru, więc miałam nadzieję, że w ranę na plecach nie wdało się zakażenie. Podniosłam się i ledwo doczłapałam do łazienki. Wyglądałam jak zjawa. Miałam czarne sińce pod oczami i każdy włos w inną stronę, jakbym spała pod wiatr. Odwróciłam się i z pewnym niepokojem spojrzałam w lustro. Plecy wyglądały strasznie, choć nie tak tragicznie, jak się spodziewałam. W końcu wyskoczyłam z drugiego piętra i to cud, że nie skręciłam sobie karku czy nie połamalam rąk albo nóg.

Kawa bulgotała w ekspresie i tylko zapach ciemnych zmielonych ziaren dodawał mi energii. Poszłam po plecak. A co, jeśli negatywy się uszkodziły? Mogły stopić się z gorąca. Kiedy otworzyłam suwak, ze środka wydobył się zapach dymu, lecz fotografie i brązowa koperta wydawały się nienaruszone. Otworzyłam kopertę i zajrzałam do środka, negatywy wyglądały jak należy. Odetchnęłam z ulgą i usiadłam przy stole z kubkiem kawy i listkiem tabletek przeciwbólowych. Nagle dotarło do mnie, że zdjęcia i koszula to jedyne, co zostało po Olofssonie.

Zastanawiałam się, co spowodowało pożar. Nie miałam wątpliwości, że było to celowe działanie, ale w jaki sposób podpalacz uzyskał tak szybki efekt? Od zamknięcia drzwi szafy do momentu, kiedy je otworzyłam i wpuściłam dym do środka, nie mogło minąć więcej niż pięć minut. Byłam przekonana, że przy każdym pożarze domu prowadzone jest dochodzenie. Jeśliby je rozpoczęli, napisaliby pewnie o tym w gazetach.

Wyjęłam albumy i przerzucałam kartki, zatrzymując się na zdjęciach z przyjęcia rozpoczynającego sezon na raki. Na każdej stronie znajdowało się miejsce na trzy fotografie. Zdjęcie na samej górze przedstawiało Olofssona z dwoma innymi facetami.

Każdy z nich trzymał przed sobą kieliszek wódki, wznosili toast. Na kolejnej fotografii widać było półmisek wypełniony rakami, a na ostatniej – okrągłe, żółte lampiony z podobiznami księżycy, zawieszane na linie przeciągniętej między domem a drzewem. W oddali dostrzegłam jezioro, przyjęcie odbywało się w domu Olofssona. Na górze prawej strony znajdowało się zdjęcie dwóch kobiet i mężczyzn z papierowymi czapczkami na głowach i kieliszkami wódki w dłoniach, następnie widniała fotografia przedstawiająca nastoletniego Olofssona w jakimś wesołym miasteczku, a na samym dole znowu zdjęcie z przyjęcia zrobione z pewnej odległości. W oddali widać było dom, a na pierwszym planie stał długi nakryty stół, przy którym siedzieli wszyscy goście. Patrzyli w obiektyw i się uśmiechali.

To mnie zastanowiło. Cała seria zdjęć, która została przerwana dużo starszą fotografią. Coś tu było nie tak. Ostrożnie wyjęłam negatywy z koperty i podniosłam je do światła. Najprościej byłoby po prostu oddać je do ponownego wywołania, nie chciałam jednak czekać.

Chciałam wiedzieć od razu.

Zmrużyłam oczy i wpatrywałam się w kliszę, ale trudno było określić, co przedstawiała. Żeby zlokalizować zdjęcia z rakowej uczyty, musiałam odnaleźć kadr z lampionami. Przejrzenie kolejnego negatywu również nie przyniosło efektu, lecz kiedy przyłożyłam do lampy trzecią kliszę, w końcu dojrzałam okrągłe lampiony. Na negatywie były prawie czarne. Rozpoznałam zdjęcie obok. Przedstawiało mężczyzn i kobiety w tych śmiesznych czapczkach na głowach.

Przyłożyłam twarz do kliszy tak blisko, że mój nos niemal jej dotykał. Było tam zdjęcie osoby, która się schylała, i wyglądało to tak, jakby głąskała jakieś zwierzę. Psa? Kota? Trudno stwierdzić, co to było, tyle że na pewno miało ogon.

Zaczęłam niecierpliwie przerzucać kartki albumu, szukając kolejnych przerwanych serii zdjęć. Tym razem znalazłam fotografie domu Olofssona zimą. Było na nich strasznie dużo śniegu. Nie przedstawiały żadnych ludzi, a jedynie ogromne zasy przy drodze, grubą pokrywę śniegu na trawniku i dachu. Cztery zdjęcia zimowego krajobrazu, a następnie dwa z jakiejś szkolnej wycieczki. Co prawda kolorowe, ale były to kolory jak na fotografiach z lat siedemdziesiątych. Prawdopodobnie zrobił je Olofsson, bo nie było go na zdjęciach. Przedstawiały dwóch chłopaków w żółtych

koszulkach polo i dzinsowych dzwonach. Stali i patrzyli w górę na jakiś kamienny mur, wyglądało to na zamek. Może twierdza w Bohus albo w Marstrand. Szybko chwyciłam za kopertę z negatywami i zaczęłam ponownie je przeglądać.

To tu. Dom, a wokół pełno śniegu. Trzymałam kliszę przy lampie i wpatrywałam się w nią. Nagle zobaczyłam zdjęcie jeziora. Musiało być skute lodem, ponieważ biegał po nim... pies. Tym razem nie miałam najmniejszych wątpliwości. Mogłam nawet stwierdzić, jaka to rasa. To był jamnik.

Odchyliłam się i kiedy plecy dotknęły oparcia, aż krzyknęłam z bólu. Ostrożnie poprawiłam się na krześle i wciąż patrzyłam w negatyw. Olofsson sfotografował psa. Zdjęcia zostały zrobione w jego domu. Upamiętnił psa, chociaż niby nigdy nie miał żadnego. Oczywiście pies mógł już nie żyć, dlaczego jednak wszystkie fotografie, które go przedstawiały, były podmienione? Jeśli ktoś zabił lub zabrał mu psa i nie chciał się do tego przyznać, to mógł, oczywiście przy pewnym nakładzie pracy, wymazać go z pamięci Olofssona. Ta osoba musiałaby tylko znaleźć się w jego domu i pozbyć się misek, posłania i zabawek (zabawki, którą znalazła Tova?) oraz usunąć wszystkie zdjęcia z psem i je podmienić. Oczywiście byłoby to zupełnie pozbawione sensu, ale dałoby się to zrobić. Tylko w jaki sposób wymazuje się wspomnienie z ludzkiej głowy? I dlaczego?

Nalałam sobie kolejny kubek kawy i wypiłam odrobinę, łykając przy tym następną tabletkę przeciwbólową. Nie mogłam usiedzieć w miejscu, zaczęłam więc chodzić po mieszkaniu. Olofsson miał rację w kwestii psa. Czy miał również rację co do dziecka? I co do Staffana? Zdaniem Louise Staffan był miły i dobrze opiekował się dziećmi. Czy powiedziałaaby tak, gdyby to on sprawił, że stała się psychicznym wrakiem i przez niego wylądowała w Gretahemmet? Czy mówiła, że ją bił? W zasadzie nic nie wspomniała. Olofsson musiał się mylić co do Staffana. Ale miał rację w kwestii psa i zadzwonił do mnie, by mi powiedzieć, że na coś natrafił. Niedługo później utonął. To były fakty. Olofsson mówił też, że w lesie kryje się coś złego. To również jego fantazje czy może coś było na rzeczy?

Nigdy nie zapomnę strachu, jakim napawał mnie las za każdym razem, gdy byłam pod wpływem treo compu. W ulotce nie było nic o urojeniach, więc coś innego musiało podziałać na mnie tak mocno.

A co, jeśli za wszystkim stoi Louise? Mogła być na przepustce, tak przecież mówiła Ylva, kiedy rozmawiałam z nią w drodze z Gretaahemmet. Louise była najstraszniejszą osobą, jaką kiedykolwiek spotkałam. Nie byłabym zdziwiona, słysząc, że już wcześniej podpaliła jakiś dom. Ale jeśli to ona utopiła Olofssona, będąc na przepustce, mogła również podpalić wczoraj jego dom.

Dają im tak często przepustki? I puszczają samych? Będę musiała tam zadzwonić i sprawdzić. Ale to będzie musiało poczekać do poniedziałku, bo trudno mi uwierzyć, że Kristina Bengtsson pracuje też w weekendy.

– Okej – powiedziałam sama do siebie i znowu usiadłam przy kuchennym stole. – Zastanów się, czy jesteś w stanie sprawdzić, kiedy pies zniknął?

Wyjęłam zdjęcie z albumu i spojrzałam na drugą stronę. Tak, na odwrocie wydrukowana była data, dokładnie tak jak myślałam. Przysunęłam do siebie album i zaczęłam kartkować od tyłu. Prawie na samym końcu znalazłam ostatnią podmienioną fotografię z serii. Zdjęcia zostały zrobione na Wielkanoc albo w noc Walpurgii<sup>4</sup>, ponieważ nad jeziorem paliło się wielkie ognisko i obecni byli Sara i Anders, Tova, Emil i Kennet, Freda i Karl, Berit i Helge oraz jakiś mężczyzna z kobietą, których nie rozpoznałam. Nie widziałam Anny-Marii. Ta nieznamy para to może Fritjofssonowie? Przyjrzałam się bliżej fotografii. Byli po sześćdziesiątce. Wyglądali dość zwyczajnie, nie przyciągali uwagi.

Współczułam Towie i Emilowi, byli jedynymi dziećmi wśród tych wszystkich staruchów nad jeziorem.

Wyjęłam zdjęcie i odwróciłam je. Widniała na nim data 2011-05-13. Oznaczało to, że tego dnia zostało wywołane. Znowu je odwróciłam i przyjrzałam się uważnie rogom, gdzie czasami jest nadrukowane, kiedy zdjęcie zostało zrobione, niestety, tym razem nie miałam szczęścia. Maj 2011, czyli tej wiosny. Pojawiłam się na działce dopiero pod koniec lipca, nie miałam pojęcia, że na wiosnę palili jakieś ognisko. Tak, to musiało być na Wielkanoc lub w noc Walpurgii. Spojrzałam na dzieci, czy były przebrane za wielkanocne czarownice<sup>5</sup>. Próbowałam dostrzec, czy drzewa puściły już liście, lecz jedynymi drzewami, jakie widziałam, były świerki, a one mają igły przez cały rok.

– Założmy, że to ognisko z okazji Walpurgii – rzekłam sama do siebie. – Z maja tej

wiosny. – Zdałam sobie jednak sprawę, że zdjęcie mogło być przecież starsze, a jedynie wywołane w tym roku.

– Nie, to musiało być tej wiosny, bo Emil i Tova wyglądają mniej więcej tak jak teraz, nie wydają się o rok młodszy.

Ponownie wyjęłam negatyw, żeby wszystko zbadać jak należy. Byłam niemal pewna, że w tym miejscu powinno znaleźć się zdjęcie jamnika (zamiast Olofssona, który wraz z kolegą grillował kiełbasę na kempingu), ale chciałam się przekonać na własne oczy. Chciałam mieć pewność. I tak było, zdjęcie ogniska, a kawałek dalej Freda głaszcząca małego jamnika.

– Jeszcze tej wiosny Olofsson miał jamnika. Na początku lata widział u Almkvistów dziecięcy wózek. Zobaczył też dziecko? Jeśli był to tylko wózek, równie dobrze mógł to być stary wózek dla lalek Tovy, który po prostu stał na zewnątrz. Może Tova wozila w nim lalkę? – Żałowałam, że mogę porozmawiać tylko z samą sobą. – Podsumowując, fakty są takie, że pies Olofssona zniknął, a on nie pamiętał, czy w ogóle miał jakiegoś psa, tak mu się jedynie zdawało. Takich rzeczy się nie zapomina w pół roku.

Zrozumiałam, że kwestię dziecka będę musiała skonfrontować z Almkvistami. Byli jeszcze w Lövaren? Czy Kennet nie chodził do pracy?

Zadzwonił telefon.

– Słyszałaś, co się stało? – potrzebowałam chwili, by zorientować się, że ten rozemocjonowany głos należał do Staffana.

– Nie – odpowiedziałam wyczekująco.

– Dom Yngvego spłonął wczoraj.

– Co ty mówisz? – próbowałam udać zszokowaną. – Jak do tego doszło? Stał przecież pusty.

– Nie mam pojęcia. Po pogrzebie pojechałem z rodzicami do domu i nagle po drugiej stronie zobaczyłem ogień. To był potężny pożar.

– Spłonął doszczętnie? – zapytałam, a przed oczami miałam buchające płomienie. Nie zdziwiłoby mnie to.

– Tak, nic po nim nie zostało. Zupełnie nic. Sam szkielet i fundamenty, nic poza tym. Tylko popiół i spalone resztki. Nawet samochód spłonął.

Opel Olofssona, pomyślałam, zasmucona.

– Ale przeprowadzą chyba jakieś dochodzenie? – spytałam po chwili. – Zawsze udaje im się odkryć, co spowodowało ogień i dlaczego.

– Tyle że przecież nic nie zostało – odparł Staffan niepewnie. – Jak mieliby to zrobić?

– Zawsze tak robią – upierałam się. Ale czy faktycznie tak było? – Czy ktoś został ranny? – wydawało mi się, że powinnam o to spytać. – Co z sąsiadami?

– Dom Kullmanów znajdował się w strefie zagrożenia. Strażacy musieli skupić się na tym, by ogień się nie rozprzestrzenił, lecz na szczęście nikomu nic się nie stało.

– Byli wtedy w domu?

– Tak. Wszyscy byli przecież na pogrzebie – odpowiedział Staffan.

Nie wszyscy, pomyślałam. Może nie chcieli iść na pogrzeb swojej ofiary?

– Ale – ciągnął – pojechali do domu wczoraj wieczorem, kiedy upewnili się, że pożar się nie rozniesie. Wszędzie czuć dym, nie dało się tam wytrzymać. Strażacy pracowali całą noc. Byli na miejscu, kiedy wyjeżdżałem. Zdaje się, że muszą mieć stuprocentową pewność, że nic już się nie tli.

– Ty też tam byłeś tej nocy, Staffan? – zapytałam. A co z dziećmi?

– Tak, zostałem. Mama była taka niespokojna.

– A chłopcy?

– Są u drugich dziadków – odparł krótko. – Jestem w drodze do domu. Pomyślałem, że może moglibyśmy się spotkać. Mogę wpaść?

Tutaj? Nie mogłam przecież przyjąć tu Staffana. Mieszkanie też pachniało dymem. Ubranie leżało śmierdzące na podłodze w łazience, a plecak cuchnął jak zdetonowana bomba. Ponieważ według oficjalnej wersji nie było mnie w Lövaren podczas pożaru, musiałam zatrzeć za sobą ślady.

– Nie zdążyłam posprzątać – powiedziałam. – Mam straszny bałagan. Ale możemy się spotkać gdzieś na mieście.

– Nie przeszkadza mi, że nie jest posprzątane – odparł Staffan i słyszałam, jak się uśmiechnął.

– Cóż – wykrztusiłam nerwowo. – Nie potrafię zapraszać do siebie gości, kiedy mieszkanie jest w takim stanie. Jednak chętnie się z tobą zobaczę. Możemy chyba spotkać się na mieście? Przy budynku parkingu?

– Jak chcesz. Będę tam za trzy kwadranse.

Trzy kwadranse?

Pobiegłam do łazienki i spojrzałam w lustro. Wciąż miałam sińce pod oczami, a włosy sterczały dęba po jednej stronie. Przeklełam, włożyłam ubrania do pralki, a plecak wystawiłam na balkon. Otworzyłam okna we wszystkich pomieszczeniach, mając nadzieję, że uda mi się pozbyć tego okropnego zapachu.

Kiedy wzięłam prysznic i podreperowałam twarz makijażem, poszłam na parking. Staffan już tam czekał, wysiadł z samochodu i stał przy wejściu.

– Śliczna jak zawsze – uśmiechnął się, złapał mnie za dłonie i pocałował w czoło.

Podziękowałam.



## 36

Usiadłam na małym krzeselku i pochyliłam się do przodu, żeby plecy nie dotykały oparcia. Teraz naprawdę odczuwałam ból. Zdawało mi się, że mam też gorączkę. Ylva siedziała naprzeciwko mnie z dłonią przy dolnej wardze, przyglądając mi się ze zmarszczonym czołem.

– To nie może tak dłużej trwać – wyrzuciła w końcu.

– Co mam teraz zrobić? – zastanawiałam się. Czułam się zupełnie bezsilna. – Rzucić to wszystko?

– To już nie jest śmieszne, Raili. To po prostu niebezpieczne – westchnęła i pokiwała głową.

Zdenerwowałam się.

– Nie jest już śmieszne? Chyba nigdy nie było. Z początku było nieprzyjemnie, a teraz, kiedy Olofsson został zamordowany... – Nie miałam siły dokończyć.

– Przepraszam. Masz rację. To prawda, że to nie było śmieszne, ale przynajmniej trzymające w napięciu. A ja tak naprawdę nigdy nie wierzyłam w to, że on został zamordowany. Ale teraz ktoś próbował zabić ciebie. Raili, do cholery, wyskoczyłaś przecież z płonącego domu. To cud, że nie zginęłaś.

Przysunęłam kilka książeczek dla dzieci, które leżały zostawione na małym stoliku między nami. Z jakiegoś powodu usiadłyśmy na miniaturowych krzeselkach w dziale dziecięcym. Byłam wdzięczna, że nie miały podłokietników, ponieważ pewnie nie mogłabym się z tego krzesła wydostać i chodziłabym tak przez cały dzień.

– Co mam zrobić, Ylva? – ponowiłam pytanie.

– Przede wszystkim powinnaś iść do lekarza. Ty wariatko, chciałaś chodzić z takimi plecami, nie konsultując tego z żadnym lekarzem?

– Ale nie mogę. Zapyta mnie, co się stało, a przecież włamałam się do cudzego

domu, do cholery! Jeszcze pomyśla, że to ja go podpaliłam.

– Możesz chyba powiedzieć, że spadłaś ze zbocza w lesie albo coś w tym stylu – odparła i chwyciła mnie za dłonie. – Najważniejsze, żeby ktoś obejrzał twoje plecy. Poza tym wcale nie jestem przekonana, że biorą pod uwagę podpalenie. Domy się palą. Nieszczęścia się zdarzają, Raili.

– Żaden dom nie spłonąłby tak szybko, gdyby to był zwykły wypadek – powiedziałam niepewnie. – Znajdą przyczynę pożaru.

– Na przykład jaką?

– Nie wiem. Kanister z benzyną lub coś takiego – zaczynałam odczuwać desperację.

– Słyszałaś jakiś wybuch, to masz na myśli?

– Nie. Mówiłam już, że drzwi garderoby były zamknięte – westchnęłam.

– Raili, uwierz mi, jak coś wybucha, człowiek słyszy nawet przez zamknięte drzwi garderoby. – Teraz to Ylva westchnęła. – Dom sąsiada mojego kuzyna spłonął w ten sposób – kontynuowała. – To wszystko stało się tak szybko, że sąsiadowi ledwie udało się wydostać, ale w środku zginął jego kot. Z domu został tylko komin i nigdy nie odkryli, co spowodowało pożar.

– Więc teraz nie wierzysz też w to, że ktoś podpalił dom? – Skrzyżowałam ręce. – Sądziś, że spłonął sam, a ja to wszystko wymyśliłam?

– Nie – odparła Ylva. – Oczywiście, że nie. Jak duże jest prawdopodobieństwo, że dom zaczyna się palić dokładnie wtedy, kiedy ktoś chwilę wcześniej po nim chodził, a ty chowasz się w garderobie?

Oparłam łokcie na stole i schowałam twarz w dłoniach. Ale pokręcona historia! Po czym nagle nie mogłam powstrzymać śmiechu.

– Byłam przedwczoraj na randce. Ze Staffanem – zachichotałam.

– Gdzie byłaś?

– Na randce! Poszliśmy do knajpy przy placu Dahlströms. Nie sądzę, że spodobałoby mu się w tej artystycznej kawiarni w Tullarna... W każdym razie dostałam buziaka, kiedy się spotkaliśmy, potem zjedliśmy i opowiedział mi o pożarze, ponieważ myślał, że pojechałam do domu, zanim wybuchł – oznajmiłam, uśmiechając się na myśl o tym spotkaniu. – Chciał najpierw przyjść do mnie, ale wciąż pachnie tam dymem, więc nie mogłam... Ylva! – krzyknęłam nagle. – Zapomniałam ci powiedzieć!

Znalazłam psa Olofssona. Widać go na negatywach, które znajdowały się w kopercie.

– Żartujesz – szepnęła. – Znalazłaś zdjęcie psa?

– Nawet kilka. To był mały jamnik. Za każdym razem, gdy układ chronologiczny zdjęć w albumie przestawał się zgadzać, okazywało się, że ktoś wyjął zdjęcie z psem i zamiast niego włożył jakąś starą fotografię z aksamitnej szkatuły.

– Ale dlaczego nie zabrał negatywów?

– Nie wiem. Leżały w kartonie ze zdjęciami z lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, z czasów dzieciństwa Olofssona, a pudełko stało na samym wierzchu jednej z garderób. Ktokolwiek to był, myślał pewnie, że wszystkie zdjęcia znajdowały się na regale w salonie. Ja po prostu już wcześniej widziałam tę kopertę z negatywami.

W przeciwnym razie pewnie też bym o tym nie pomyślała, lecz tego Ylva już nie musiała wiedzieć.

– Ale co ze Staffanem? – zastanawiała się. – No mów, Raili. Co było śmiesznego w tym całym nieszczęściu?

– Ach, tak. Zjedliśmy kolację. Były świece i w ogóle bardzo romantycznie – zaczęłam i przypomniałam sobie o tym białym obrusie, pięknej porcelanie i winie, które rozgrzało moją duszę. – Długo rozmawialiśmy. Opowiadałam o Leifie, bo myślałam, że on wtedy zacznie mówić o Louise, co się z nią stało i takie tam, a jednak tego nie zrobił. W każdym razie wydaje mi się, że trochę między nami zaiskrzyło.

– Naprawdę?

– Tak, a kiedy później mieliśmy się pożegnać, objął mnie i pocałował.

– Żartujesz?

– Nie, niestety nie. Złapał mnie za plecy, więc głośno krzyknęłam i zaczęłam płakać. To tak cholernie bolało. I wtedy on powiedział... – Znowu zaczęłam chichotać.

– Co powiedział?

– Powiedział, że rozumie, iż musiałam się mocno sparzyć.

Śmiałyśmy się tak, że pospadałyśmy z krzesel. Stałam na czworakach i płakałam ze śmiechu, a z nosa zwisał mi wielki glut.

– Ha, ha, ha! – Pociągała nosem Ylva i ocierała łzy. – Chodź już. Zawiozę cię do przychodni. Musimy powiedzieć Przedziałkowi z Solveig, że będzie musiała zostać tu przez chwilę sama.

– Przedziałkowi z Solveig? – Śmiałam się tak bardzo, że aż uderzyłam głową o podłogę.

\* \* \*

Ylva siedziała w poczekalni i przeglądała gazetę, kiedy wróciłam z zabandażowanymi plecami i receptą na antybiotyk i maść przeciwbólową.

– Udało się? – zapytała i zamknęła gazetę, po czym odłożyła ją na stojak.

– Pytasz, czy to kupili? – odparłam i skinęłam głową. – Tak, spadłam ze zbocza, kiedy spacerowałam po lesie. Lekarz nie wyglądał nawet na zdziwionego. Ciekawe, czy to się często zdarza?

– To co? Z powrotem do biblioteki – upewniła się i wyszła przede mną na parking.

– Czy jesteś na zwolnieniu?

– Nie, pracuję normalnie. Ale muszę na chwilę zamknąć się w biurze i zadzwonić do Gretahemmet.

– Chcesz sprawdzić, czy Louise była na przepustce?

– Dokładnie to zamierzam zrobić – odparłam ponuro.

Po drodze zboczyłyśmy jeszcze na chwilę do apteki. Potem usiadłam w biurze z kubkiem kawy i antybiotykiem. Plecy bolały dużo mniej po tym, jak Ylva nasmarowała mnie maścią przeciwbólową. Zastanawiałam się, jak sobie z tym poradzę, gdy będę sama, nie bardzo chciałam zapraszać Ylvę do domu.

Wyjęłam telefon, zmieniłam opcję w ustawieniach na „brak identyfikacji numeru”, a następnie dodzwoniłam się do Gretahemmet i poprosiłam o rozmowę z Kristiną Bengtsson.

– Dzień dobry, mówi Raili Rydell – wypaliłam i ugryzłam się w język.

– Kto mówi? – usłyszałam pytanie Kristiny.

– Vera Landell, pamięta mnie pani? Byłam u was w zeszły piątek – odparłam, mając nadzieję, że nie zrozumiała pierwszego zdania.

– Ach tak, Vera, nie dosłyszałam – powiedziała miłym głosem, co mnie trochę uspokoiło.

– Jak się miewa Louise? – zapytałam. – Tak się wtedy uniosła.

– Było dość nieprzyjemnie – oznajmiła Kristina – ale teraz znowu czuje się lepiej.

Powiedziałaś jej coś szczególnego?

– Nie – skłamałam. – Co mogło wywołać taki stan? – Miałam nadzieję, że Louise nie zdradziła, że wypytywałam ją o Staffana.

– Nie mam pojęcia – odparła. – Nigdy wcześniej się tak nie zachowywała. A z jaką to sprawą dzwonicz?

Wypaliłam, że zapomniałam zapytać, w jaki sposób nadzorują podopiecznych, kiedy ci są na przepustce. Skąd mają pewność, że nie zdarzy się żadna próba samobójcza?

– Weźmy na przykład Louise – powiedziałam. – Nigdy wcześniej nie wybuchła w ten sposób, gdy była w ośrodku. A co, jeśli przytrafiłoby się coś takiego na przepustce?

– Cóż – zaczęła Kristina – przepustka przepustką, ale jeżdżą przecież z nami na wycieczki, później możemy czasem sami im towarzyszyć, chodzić do kina lub do restauracji, lecz prawdziwe przepustki dostają tylko wtedy, kiedy naprawdę widzimy, że są gotowi, by ich wypisać. Louise jeszcze nie jest na tym etapie. Coś takiego nie ma prawa się zdarzyć, kiedy będzie sama na zewnątrz.

Odniosłam inne wrażenie, kiedy ją poznałam, ale mogłam się mylić. Może wkrótce całkiem wyzdrowieje. Najważniejsze, że Louise nie była jedną z tych osób, które dostają przepustki bez nadzoru. To nie ona utopiła Olofssona i spaliła jego dom i mnie... no prawie.

Kontynuowałam rozmowę jeszcze przez chwilę i drażyłam temat samobójstw na przepustkach, później podziękowałam, że poświęciła mi czas, i rozłączyłam się.

Ylva musiała chyba czaić się pod drzwiami, bo gdy tylko skończyłam rozmowę, zapukała i zajrzała do środka.

– No i?

– Nic – odparłam. – Louise nie była na przepustce i obawiam się, że upłynie jeszcze trochę czasu, nim ją w ogóle dostanie.

Wyjęłam kartkę z drukarki i przedzieliłam ją kreską. Po jednej stronie napisałam FAKTY, a po drugiej PODEJRZENIA.

Ylva pochyliła się nade mną i czytała na głos to, co wypisywałam na kartce.

– Fakty: pies Olofssona zaginął, Olofsson został zamordowany, dom Olofssona spłonął... Ale czy to naprawdę fakt, że Olofsson został zamordowany?

– Tak – powiedziałam krótko i zaczęłam spisywać swoje podejrzenia.

– Podejrzenia: najmłodsze dziecko Almkvistów zniknęło, Staffan bije żonę – czytała Ylva. – Nie możesz usunąć tego ze Staffanem, skoro już udało ci się porozmawiać z Louise?

– No, w zasadzie mogę – odparłam i przekreśliłam to zdanie, po czym pisałam dalej.

– Staffan jest agresywny? – zapytała Ylva.

– Tak powiedział Olofsson – oznajmiłam i postanowiłam dopisać dwa nowe fakty.

– Co dodajesz?

– Anna-Maria jest psychicznym wrakiem i Louise jest psychicznym wrakiem. To chyba nie przypadek, że dwaj koledzy z dzieciństwa mają psychicznie niestabilne żony, jak sądzisz?

– Może. Ale skoro Anna-Maria straciła dziecko, trudno się jej dziwić i nie ma to nic wspólnego z powodem, dla którego Louise jest, jaka jest. Nie widzę tu żadnego związku.

– Chcę znowu pojechać do Lövaren, Ylva. Muszę porozmawiać tam ze wszystkimi.

– Ale o czym? – zapytała z niepokojem. – Pomyśl, że jeśli masz rację, to nad jeziorem prawdopodobnie jest ktoś, kto to wszystko spowodował.

– Zapytam, czy inni widzieli małe dziecko u Almkvistów. Powiem, że Olofsson wspominał o tym przed śmiercią. – To chyba nie było zbyt mądre. – Sama nie wiem, Ylva. – Westchnęłam. – Co mam zrobić?

Pokiwała głową i rozłożyła ręce.

– Zapomnieć o wszystkim?

Nie potrafiłam. Byłam pewna, że doszło do zabójstwa, i nie zamierzałam odpuszczać. Nie powinnam natomiast narażać się znowu na niebezpieczeństwo. Nie miałam przecież skłonności samobójczych.

– W każdym razie nie zamierzam nic robić, dopóki nie wygoję pleców – postanowiłam.

Październik zakradł się niespodziewanie, zanim zdążyłam się zorientować, jak czas szybko zleciał. Dni stały się krótsze, a liście pożółkły. Wieczorami siedziałam w mieszkaniu i patrzyłam na samotnych ludzi lub pary idące chodnikiem w ciepłym świetle latarni. Część z nich trzymała się za ręce.

Staffan nie dzwonił. Zastanawiałam się, czy to z szacunku do mnie, czy może czekał, aż ja zadzwonię, czy też po prostu zmęczyło go to moje niezdecydowanie.

W każdym razie plecy się zagoiły, mogłam więc zarówno się całować, jak i kontynuować swoje dochodzenie w sprawie śmierci Olofssona. Wyjęłam listę i spojrzałam na nią.

| FAKTY   | PODEJRZENIA                            |
|---|--|
| pies Olofssona zaginął                        | najmłodsze dziecko Almkvistów zniknęło |
| Olofsson został zamordowany                   | <del>Staffan bije żonę</del>           |
| dom Olofssona spłonął, bo ktoś podłożył ogień | Staffan jest agresywny                 |
| Anna-Maria jest psychicznym wrakiem           |  |
| Louise jest psychicznym wrakiem               |  |

Przeczytałam imiona Anny-Marii i Louise raz jeszcze i zastanowiłam się, czy to przypadek, jakiś zbieg okoliczności, że obie są psychicznie chore. Gdy czyta się kryminały, komisarz policji zawsze mówi, że „nie wierzy w przypadek”. A może to Sherlock Holmes? Nie pamiętam. Lecz jeśli to nie był przypadek, to w takim razie co? Nagle przypomniałam sobie, że nad jeziorem mieszkała jeszcze jedna kobieta

w podobnym wieku. Anita. Została potrącona przez autobus, po czym przeszła całkowitą zmianę osobowości. W tej sytuacji nie wydawało się to nawet dziwne. Uraz mózgu może oczywiście zmienić człowieka, ale co, jeśli to nie było spowodowane urazem? Albo jeśli była przygnębiona przed wypadkiem i rzuciła się pod autobus, bo próbowała odebrać sobie życie?

– Anita – powiedziałam sama do siebie – kim jesteś?

Usiadłam przy stole kuchennym i rozważałam różne możliwości. Poruszenie tematu Anity z Sarą i Andersem w ogóle nie wchodziło w grę i wyglądało na to, że Staffan również nie garnał się do rozmowy o czymkolwiek, co dotyczyło przeszłości. Czy powinnam odnaleźć Kenneta i Annę-Marię i poprosić ich, żeby opowiedzieli, a przynajmniej Kennet, jaka była Anita w przeszłości?

Trzymałam swój niebieski ceramiczny kubek i popijałam gorącą herbatę Yogi, przyglądając się zawieszce przymocowanej do torebki. Znajdował się na niej napis: *Better to slip with your feet than with your tongue*<sup>6</sup>. Czy to nie był czasem znak, że nie powinnam zbyt dużo mówić o swoich podejrzaniach? Może powinnam trochę poczekać z wypytywaniem Kenneta o Anitę?

Pewna myśl powoli ogarniała mój umysł. W zasadzie to istniał sposób na zdobycie informacji o wypadku autobusowym bez rozpytywania się.

Odsunęłam kubek z herbatą i otworzyłam laptop. Moje śledztwo nabrało nagle nowego wymiaru. Skoncentrowało się na celu. Zrozumiałam, że jestem na polowaniu. Ścigałam mordercę.

W Valludden było archiwum czasopism, gdzie można było odnaleźć stare artykuły, między innymi z gazety „Bohustänningen”. Początkowo miało mieścić się w bibliotece miejskiej, ale u nas, niestety, nie było miejsca. Pieczę nad nim przejęło Archiwum Towarzystwa Przyjaciół Bohustän i zdawało mi się, że znajdowało się w budynku muzeum, lecz na wszelki wypadek wpisałam tę frazę w Google’u i od razu wyświetlił się link do ich strony. Archiwum Towarzystwa mieściło się w pomieszczeniach Muzeum Bohustän, jednak by uzyskać dostęp do czytnika mikrofilmów, trzeba było dokonać wcześniejszej rezerwacji.

Przeglądałam stronę dalej i przeczytałam straszny artykuł z tygodnika „Valluddens Weckoblad” z 1829 roku, w którym opisano, jak mężczyzna zabił wilka, który wtargnął



do sypialni, „poprzez uderzenia siekierą, tak że wilk nie miał szans na ocalenie życia”. Kilka kliknięć myszką i znalazłam stronę, gdzie można było wpisać wyszukiwane słowo i znaleźć artykuły prasowe sprzed 1908 roku. Dla żartów wpisałam „Valludden”, a ekran zapełnił się nagłówkami, z których najstarszy pochodził z 1657 roku. Nie dało się w nie kliknąć, choć to było tak naprawdę bez znaczenia, to, czego szukałam, wydarzyło się bowiem dużo później.

Będę musiała zarezerwować jakiś termin, by uzyskać dostęp do czytnika mikrofilmów. Kiedy mógł zdarzyć się ten wypadek? Pewnie w latach osiemdziesiątych. Pewnie trzeba będzie przejrzeć kilka metrów filmu, ale może nie ma znów tak dużo materiału z Lövaren. Wpisałam nazwę wioski w pole „Wyszukaj”, żeby sprawdzić, czy w ogóle się coś pojawia.

Pojawiło się kilka artykułów, chociaż nie zapełniły całego ekranu, tak jak wówczas, gdy wpisałam „Valludden”. Pochyliłam się i zaczęłam czytać:

Bohusläningen 1886-09-23 Lövaren. Amerykański spadek po Johnie Swensonie. Majątek.

Bohusläningen 1887-06-05 Lövaren. Z dawnego Bohuslän. Rodzina zamordowana przez parobka. Opowiadanie.

Bohusläningen 1888-03-03 Lövaren. Ryty skalne. Kultura.

Bohusläningen 1889-10-13 Lövaren. Cygańskie dzieci poćwiartowane w lesie. Policja.

Bohusläningen 1900-02-13 Lövaren. To i owo z Lövaren. Opowiadanie.

Bohusläningen 1902-09-11 Lövaren. Ryty skalne. Kultura.

Bohusläningen 1905-01-12 Lövaren. Z dawnego Bohuslän. Potwór z jeziora Lövaren. Opowiadanie.

Potwór z jeziora Lövaren? Mieliśmy w Lövaren własnego potwora, niczym ten z Loch Ness? W każdym razie nie mieli chyba na myśli mojego jeziora, było zbyt małe, żeby mieć jakąś nazwę.

Ponownie przeczytałam nagłówki. „Rodzina zabita przez parobka”. To musiało się zdarzyć przed datą widniejącą przy nagłówku, ponieważ wcześniej pojawiła się adnotacja: „Z dawnego Bohuslän”. Ale później dojrzałam „Cygańskie dzieci poćwiartowane w lesie”. Jakim lesie? Moim?

– Trzynasty października tysiąc osiemset osiemdziesiątego dziewiątego roku –

wymamrotałam. – Lövaren jest ogromne. Jest tu pełno lasów.

Czy w tych artykułach nie było zbyt dużo okropieństwa? Wśród siedmiu pozycji znalazła się zamordowana rodzina, poćwiartowane dzieci i potwór. Wpisałam ponownie „Valludden” i przejrzałam pięćdziesiąt nagłówków, które wyświetliły się jako pierwsze. Był jeden przypadek śmiertelny, ale wydawał się całkiem normalny, poza tym oferty nieruchomości, darowizny, rozwody i coś o handlu bimbrem. Znalazłam dwa dziwne przypadki, kradzież i jakieś osobliwe zjawisko na niebie. Dwa na pięćdziesiąt brzmi lepiej niż trzy na siedem.

– Mhm... – powiedziałam do komputera. – Ciekawe, czy Freda wie coś o tej zamordowanej rodzinie i cygańskich dzieciach.

Koniecznienie muszę zarezerwować ten czytnik w archiwum. Poza tym powinnam zadzwonić do Fredy.

Wyjęłam komórkę i kilka razy przejechałam palcem po ekranie. Głupio mi było do niej dzwonić, choć nie wiem dlaczego. Ale jeśli faktycznie miałam się tym zająć, musiałam wziąć się w garść i przestać być tak cholernie dziecinna. Wpisałam „Freda Kullman” w internetową książkę teleadresową. Jeden wynik w całym kraju. Przy nazwisku znajdował się numer komórkowy i domowy z kierunkowym 031. To musiała być ona. Wzięłam głęboki oddech i zadzwoniłam na komórkę.

Poczta głosowa.

Zamiast się nagrać, zadzwoniłam pod numer domowy. Odebrał Karl.

– Cześć, Karl – powitałam go ożywionym głosem. – Mówi Raili Rydell, sąsiadka z domku letniskowego w Lövaren.

– Cześć, Raili – odpowiedział, nie potrafiąc ukryć zdziwienia.

– Cóż – kontynuowałam – myślałam o tym, o czym opowiadała Freda, mam na myśli te procesy czarownic z Bohuslän, i chciałabym dowiedzieć się więcej o historii Lövaren. Freda działa chyba w tym lokalnym Towarzystwie Historycznym?

– Tak, tak – odparł Karl niepewnie – ale to nie jest najlepszy moment.

– Och, jesteście zajęci? – zapytałam. – Mogę zadzwonić kiedy indziej.

– Nie o to chodzi – przerwał mi. – Freda z największą przyjemnością porozmawiałaby z tobą o historii Lövaren, lecz problem w tym, że nie miewa się zbyt dobrze.

Gdzie ja to wcześniej słyszałam? Była chora? Psychicznie? Freda? Z jakiegoś powodu trudno mi było w to uwierzyć.

– Porozmawiam więc z nią innym razem – zdecydowałam.

– Tak – odparł z ulgą. – Tak będzie najlepiej. Chyba będę musiał zawieźć ją na ostry dyżur. Ona co prawda się sprzeciwia, tyle że nie przechodzi jej ból głowy i zaczynam się niepokoić. Może to tylko migrena...

Brzmiał, jakby pragnął, by go uspokoić.

– Pewnie tak – odpowiedziałam. – Ja również cierpiałam na potworny ból głowy w zeszłe lato. Przez chwilę myślałam nawet, że mam guza mózgu. Okazało się, że było to związane ze stresem. Teraz już jest wszystko w porządku.

– Naprawdę? Pewnie z Fredą jest podobnie. Mówiłem jej, żeby odpoczywała, lecz pracuje równie ciężko jak przed emeryturą. Do tego jeszcze to wszystko, co wydarzyło się w Lövaren... Najpierw utonął Yngve, potem spłonął jego dom, sami nie wiemy, co o tym myśleć...

– Karl – zapytałam – wiesz może, czy las w Lövaren ma jakąś nazwę?

– Tak, coś tam jeszcze zachowałem w pamięci – odparł i zdawało się, że się zastanawia. – Las niedaleko ciebie i Hanssonów nazywa się Prässboskogen<sup>7</sup>, jeśli dobrze pamiętam. Kiedyś znajdowała się tam zagroda pastora i las do niej przynależał, to pewnie od tego. Teraz jest w posiadaniu fundacji, tak mi się zdaje. Anders i Sara też chyba są właścicielami jakiejś części. Las po naszej stronie jeziora jest w całości własnością Anderssona. I ten jest częścią lasu Lövaren, który ma prawie tysiąc hektarów. Andersson ma może ze dwieście. Jego część ciągnie się wzdłuż całej drogi nad jeziorem Lövaren.

– Jezioro Lövaren... – Zastanawiałam się, czy powinnam wspominać o potworze. Dlaczego nie? – Karl, słyszałam coś o potworze z jeziora Lövaren, wiesz coś na ten temat?

– Potwór z jeziora Lövaren? Nigdy o czymś takim nie słyszałem. Musisz zapytać Fredę, kiedy poczuje się lepiej.

– A nasze jezioro? – ciągnęłam – Ma jakąś nazwę?

– Tak, w przeszłości nazywało się Bäverdammen<sup>8</sup>.

– Bäverdammen?

– Obawiam się, że nie była to zbyt wyrafinowana nazwa i dlatego nikt już jej nie używa.

Podziękowałam mu za wszelkie informacje i rozłączyłam się, zamyślona. Bäverdammen? Prässboskogen? Ból głowy?

Następnego ranka, gdy odkładałyśmy oddane książki na regały, przekazałam Ylwie, czego się dowiedziałam.

– Czy to nie jest trochę dziwne? – zapytałam i podałam jej grubą książkę o ziołach.  
– Trzy na siedem. Zamordowana rodzina, cygańskie dzieci i ten cały potwór.

– Tak, to wygląda na podejrzone miejsce. Podaj mi też tę książkę – poprosiła i wskazała na wózek.

Wzięłam kolejną pozycję o roślinach i wręczyłam ją Ylwie.

– Poczekaj chwilę – powiedziałam, wzięłam z powrotem książkę i spojrzałam na nią.

Na okładce było napisane *Zdrowie z natury*. Przekartkowałam do spisu treści.

– Czarny bez, strona dwieście sześć – wymamrotałam i odszukałam w książce.

– Co ty wyprawiasz? – zastanawiała się Ylva, spoglądając na mnie z uniesioną brwią.

– Kennet i Anna-Maria byli w lesie za moim domkiem i zbierali kwiaty lub coś podobnego, kiedy chowano Olofssona. Czarny bez i dziurawiec. Spójrz tutaj. –

I wskazałam na tekst. – „W przeszłości wierzono, że czarny bez pomaga przy odczarowywaniu zaklęć i walce z chorobą – czytałam. – Napar z czarnego bzu wykorzystywany był przy dolegliwościach na tle nerwowym, stanach niepokoju i problemach ze snem”. – Ponownie przewertowałam książkę, aż znalazłam dziurawiec.

– Dziurawiec używany jest przy gojeniu ran, chorobach płuc i nerek, jak również przy depresji i problemach ze snem. Kurczę! Przy tej działce można znaleźć całą florę wykorzystywaną w medycynie.

– Powiedziałaś, że zbierali w dniu, gdy pochowano Olofssona? – zapytała Ylva.

– Tak, a dokładnie w trakcie samego pogrzebu – odpowiedziałam. – Nie poszli do kościoła.

– Dziurawiec i czarny bez chyba tracą swoje właściwości, kiedy zbiera się je na jesieni?

– Nie wiem – odparłam i przeleciałam tekst wzrokiem. – Nie jest tu napisane.

– No to całe szczęście, że jesteśmy w bibliotece – stwierdziła Ylva i zdjęła z regału opasłą księgę zatytułowaną *Flora*. – Ha, czarny bez kwitnie w czerwcu i lipcu, a... – szukała dalej w grubej, białej książce – ...dziurawiec od lipca do września.

– W koszu mieli coś żółtego – powiedziałam niepewnie. – Kennet mówił, że to czarny bez i dziurawiec.

– To był pewnie przekwitły dziurawiec – oznajmiła Ylva i parsknęła śmiechem. – W każdym razie nie miał już chyba żadnych właściwości leczniczych. Ale głupki!

– Tak, to dość zdumiewająca para – odparłam. – Powinnam chyba dowiedzieć się czegoś więcej o tym dziecku.

– Nie miałaś sprawdzić wypadku autobusowego Anity?

– Tak, tak, ale udało mi się zarezerwować dostęp do czytnika dopiero na środę. Mam zatem dwa dni, żeby wy badać Almkvistów.

– Nie zapominaj, moja droga, że pracujesz na etacie – skwitowała Ylva.

Oczywiście, że o tym pamiętałam. Faktycznie, praca stanowiła teraz pewną przeszkodę. Na szczęście wieczory miałam wolne.

Przez resztę dnia zastanawiałam się, jak przejść do tematu zaginionego dziecka Almkvistów. Najprościej byłoby pojechać do ich domu w Vänersborg i po prostu zapytać, ale coś mi podpowiadało, że to nie jest zbyt mądre posunięcie. Mogłam tam pojechać, by porozmawiać o Anicie i przelotnie wspomnieć coś o dziecku, lecz to również nie było zbyt rozsądne. Dlaczego miałabym aż tak bardzo interesować się Anitą, by przyjeżdżać do nich do domu tylko po to, by o niej porozmawiać? To na pewno by ich zastanowiło. A jeśli to oni są odpowiedzialni za zniknięcie psa Olofssona, jego śmierć i pożar domu, wtedy byłoby po mnie.

Żałóśmy, że Anna-Maria w stanie psychozy zabiła swoje najmłodsze dziecko i dlatego była, jaka była. Być może Olofsson to odkrył. Ale po co mieliby spalić jego dom? Czy gdzieś w środku ukryte były dowody? A jamnik? Jak on wpisywał się w cały

ten obraz?

Nie mogłam sobie tego wszystkiego poukładać.

Wciąż nieświadoma niemiłej niespodzianki, jaka czekała mnie tego wieczoru, pracowałam, jakby żadne podstępne myśli nie zaprzętały mi głowy. Ylva, Carmen i ja poszłyśmy razem na lunch. Z jednej strony chciałam być sama z Ylvą, żeby móc omówić z nią swoje przypuszczenia, choć z drugiej miło było posiedzieć i porozmawiać o wszystkim tym, co nie wiązało się z Lövaren.

– Co robisz dziś wieczorem, Raili? – zapytała Ylva, kiedy wróciłyśmy do biblioteki. – Wybierasz się do Vänersborg?

– Tak – odpowiedziałam. – Chciałabym. Ale nie wiem, jak to wszystko zorganizować.

– Szkoda, że nie mogę jechać z tobą. Dziś wieczorem nie dam rady. Nie mogłabyś tego przełożyć?

– Zobaczę – odparłam krótko.

Okazało się, że tego wieczoru nie wybrałam się do Vänersborg. Kiedy wróciłam do domu, nieszczególnie zmęczona czy głodna, w skrzynce znalazłam awizo. Pochodziło z supermarketu Willys, gdzie miałam odebrać paczkę. Spoglądałam na nie dość skonsternowana. Przecież nic nie zamawiałam. Planowałam zjeść banana, wsiąść do samochodu i ruszyć do Vänersborg. Niestety, plan wziął w łeb. Wciąż nie wymyśliłam, co miałabym powiedzieć Kennetowi i Annie-Marii po dotarciu na miejsce. Może powinnam pójść do supermarketu, kupić coś do jedzenia, odebrać przesyłkę i przygotować dobrą kolację, zamiast tak siedzieć cały wieczór na sofie. Jutro omówiłabym swój plan z Ylvą i może pomogłaby mi wpaść na jakiś dobry pretekst mojej wyprawy do Vänersborg. To chyba lepsze rozwiązanie. A przynajmniej rozsądniejsze. Zarzuciłam kurtkę, wzięłam torbę i awizo i ponownie wyszłam z domu w deszczowo-mżystą pogodę.

\* \* \*

Paczka była duża. Spojrzałam z przerażeniem, kiedy ekspedientka przywiozła ją na małym wózku, i pożałowałam, że nie przyjechałam do sklepu samochodem. Co też sobie myślałam? I jak w ogóle doniosę ją do domu? Na szczęście nie była zbyt ciężka,

tylko dość nieporęczna. Przekląłam cicho i chwyciłam ją obiema dłońmi, jednocześnie trzymając swoją torbę i siatkę z zakupami. Najszybciej, jak mogłam, szłam wzdłuż Göteborgsvägen, a następnie w górę Norra Hamngatan. Jak się okazało, do mżawki przyłączył się nieprzyjemny wiatr, który wiał z naprzeciwka i sprawiał, że ręce bolały mnie jeszcze bardziej. I kiedy w końcu otworzyłam furtkę i weszłam po schodach, byłam zupełnie wyczerpana. Oparłam paczkę o ścianę i rozluźniłam ramiona, zanim otworzyłam drzwi do mieszkania.

A co, jeśli w paczce jest bomba? Albo węglik? Choć to wysyła się chyba w małych kopertach? Pakunek był duży, czworokątny i dość płaski. Wniosłam go do salonu i położyłam na ławie, po czym wypakowałam produkty spożywcze, które kupiłam.

\* \* \*

Paczka leżała w salonie i czekała na mnie. Stałam w drzwiach i patrzyłam na nią. Zmrok za oknem nie poprawiał panującej atmosfery. Zapaliłam górne światło i planowałam otworzyć pakunek, ale coś mnie powstrzymywało. Może nie powinnam odbierać przesyłki? Gdybym udała, że nic nie przyszło, pewnie odesłaliby ją nadawcy. A w zasadzie to kim był nadawca? Podeszłam i przyjrzałam się bliżej. Moje imię i nazwisko oraz adres napisane były czarnym tuszem dużymi krzywymi literami. Rząd znaczków przyklejony był do prawego górnego rogu z mocno odciśniętym na nich stemplem. To by było na tyle. Odwróciłam paczkę i spojrzałam z drugiej strony, ale zobaczyłam tylko pusty szary karton. Żadnego imienia i nazwiska. Żadnej naklejki z adresem. Podejrzane.

Zagryzałam kciuk i zorientowałam się, że jestem już teraz zbyt głodna na zajmowanie się paczką. Włączyłam radio, ugotowałam makaron i szparagi, a potem starłam ser. Lekko pokropiłam szparagi oliwą cytrynową i nalałam sobie kieliszek wina (teraz z pewnością nie mogłam ruszyć w drogę do Vänersborg). Zwykle jem wieczorami przed telewizorem, lecz tym razem usiadłam przy stole i przeleciałam kilka kanałów radiowych oraz przejrzałam gazetę. Wyglądało to tak, jakbym miała mnóstwo czasu i przeciągała swój posiłek w nieskończoność, aż w końcu zaczęło się to wydawać wręcz śmieszne. Obecność paczki była tak wyczuwalna.

Okej, otworzę ją. Przestanę zachowywać się jak dziecko i otworzę tę cholerną



paczkę. Zostawiłam naczynia w kuchni, weszłam do salonu i stanęłam przy ławie. W zasadzie przydałby mi się nóż. Paczka była dobrze zaklejona, choć udało mi się zedrzeć wystarczająco dużo taśmy, by móc otworzyć karton. Spory kawałek puścił i w końcu mogłam zajrzeć do środka. Zawartość paczki owinięta była w papier. Po chwili mocowania się z kartonem wyjęłam tajemniczą przesyłkę, rozerwałam sztywny szary papier i zorientowałam się, że trzymam w dłoniach obraz. Obróciłam go.

Mały smutny klaun stał samotnie na wyłożonej trocinami arenie cyrkowej. Reflektory świeciły wprost na niego, pozostawiając resztę areny w ciemności. Jeszcze ciemniejsze sylwetki ludzi znajdowały się na drugim planie, gdzie siedziała widownia. Wszyscy go obserwowali. Wszyscy, z jednym wyjątkiem. Ktoś namalował dwie niebieskie kropki na głowie jednej z postaci, co wyglądało, jakby osoba na widowni odwróciła się i patrzyła prosto na mnie.

Wypuściłam z rąk obraz, jakby mnie palił. Upadł na sofę, a potem zsunął się na podłogę. To było dzieło artystki, artystki z Gretchemmet. Jednak gdy widziałam je ostatnio, nie było tam tych lodowatoniebieskich oczu. Dostrzegłam je za to na obrazie Louise z ogniem i tym małym człowieczkiem w rogu.

Usiadłam na sofie, jakby ogłuszona. Co to miało znaczyć? Osobą, która wysłała mi obraz, nie mógł być nikt inny jak właśnie Louise. Skąd mogła wiedzieć, jak się nazywam i gdzie mieszkam? Przecież kiedy odwiedziłam ośrodek, przedstawiłam się jako Vera Landell. Owszem, wypowiedziałam swoje prawdziwe imię i nazwisko, gdy zadzwoniłam do Kristiny Bengtsson, ale czy faktycznie je zanotowała? Nie wydaje mi się.

Louise?

Co oznacza ten obraz i co powinnam zrobić?

Znowu zaczęłam chodzić po mieszkaniu. Chyba ostatnio często mi się to zdarzało. Salon, kuchnia, przedpokój i z powrotem do salonu. I tak w koło. Nie mogłam pojechać do Gretchemmet i spytać, dlaczego Louise wysłała mi obraz, bo wtedy odkryliby, że jestem oszustką.

Czy mogłam zadzwonić do Louise? Stanęłam nagle i spojrzałam na siebie w dużym lustrze w przedpokoju. Ja, ta, która spoglądała na mnie z lustra, miała mocno zaciśniętą szczękę i przestraszone oczy. Czy mogłam zadzwonić do Louise? W każdym razie tak

postanowiłam.

Chwilę zajęło mi znalezienie numeru do Greta Hemmet. Wykręciłam go po dokładnym upewnieniu się, że to nie ten sam numer, pod który dzwoniłam, gdy odebrała Kristina. Miałam nadzieję, że uda mi się dodzwonić na świetlicę lub też do jakiegoś pokoju personelu. Gdyby słuchawkę podniosła Kristina, planowałam się rozłączyć i spróbować innym razem.

Ale Kristina nie odebrała, natomiast włączyła się automatyczna sekretarka. Poinformowano mnie uprzejmie, że mogę dzwonić między dziewiątą a szesnastą w dni powszednie. I tyle. A zatem muszę spróbować jutro.

Otworzyłam drzwi łokciem, w rękach trzymając obraz. Ylva dojrzała mnie ze swojego pokoju i przybiegła z pomocą.

– Co ty tu masz? Obraz? – zapytała i wyprzedziła mnie, żeby przytrzymać drzwi do mojego biura.

– Dzięki! – powiedziałam i postawiłam obraz na podłodze, opierając go o ścianę.

Zrobiłam kilka kroków w tył i przyjrzałam mu się uważnie. Ylva stanęła koło mnie.

– Ładny – skwitowała. – Skąd go masz? Powiesz go tutaj? Nie jest trochę straszny? Te niebieskie oczy skierowane w drugą stronę niż reszta widowni psują cały obraz. To trochę niepotrzebne. Wręcz odstraszaające.

– Kiedy widziałam obraz ostatnim razem, nie było tych oczu – oznajmiłam. – Jestem niemal w stu procentach pewna, że nie namalowała ich autorka.

– Co masz na myśli?

– Pamiętasz, jak opowiadałam ci o różnych pacjentach z Gretahemmet? O artystce, która jest tam pacjentką, tej, która tak pięknie malowała? Pracowała nad tym obrazem, kiedy tam byłam. Tyle że wtedy nie było na nim tych lodowatoniebieskich oczu.

– Ale co ty zrobiłaś? Ukradłaś ten obraz? – Ylva patrzyła na mnie, jakbym była obłąkana.

– Oczywiście, że nie – odburknęłam, poirytowana. – Ktoś mi go przysłał. Przyszedł wczoraj.

– Ale... dlaczego ktoś miałby...?

– Nie wiem, Ylva. Ktoś domalował te oczy, a później wysłał mi obraz. Takie same pojawiły się na obrazie Louise. Jej przedstawiał ogień, z tego, co pamiętam, a w rogu stał mały czarny człowieczek z lodowatoniebieskimi oczami. A raczej jednym – poprawiłam się. – Drugiego nie zdążyła namalować, bo miała ten atak.

– Myślisz, że to Louise wysłała ci ten obraz?

– Tak – odparłam. – Kto inny mógłby to być? Ale nie mam pojęcia, skąd wzięła moje prawdziwe nazwisko. Przedstawiłam się jako Vera Landell i nie wydaje mi się, żeby ona w ogóle to słyszała. Nigdy się sobie nie przedstawiałyśmy.

– Robi się coraz ciekawiej – podsumowała Ylva. – Co zamierzasz?

– Wiesz, Ylva, jestem już cholernie zmęczona twoimi ciągłymi pytaniami o to, co zamierzam.

– W takim razie bardzo przepraszam – prychnęła, urażona. – Co twoim zdaniem powinnam powiedzieć? A może chcesz, żebym się po prostu zamknęła?

– Przepraszam – westchnęłam. – Naprawdę mi przykro. Po prostu czuję się ostatnio bardzo samotna.

Ylva przytuliła mnie mocno. Objęłam ją i wcisnęłam twarz w jej ramię.

– Nie jesteś przecież sama – wymamrotała wtulona w moje włosy. – Ale tak w zasadzie, to co zamierzasz teraz zrobić?

Nie mogłam powstrzymać śmiechu.

– Zadzwoń do Gretahemmet i poproszę do telefonu Louise – oznajmiłam i puściłam ją. – A jak odbiorą, tym razem nie podam im swojego prawdziwego nazwiska ani tego zmyślonego. Powiem, że nazywam się Ylva Nicklasson. Co ty na to?

Z brwią uniesioną prawie do nasady włosów Ylva patrzyła na mnie, jak wykręcam numer, pod który dzwoniłam poprzedniego wieczoru. Ktoś odebrał po drugim sygnale.

– Gretahemmet, Peter przy telefonie.

– Cześć, Peter – powiedziałam i próbowałam brzmieć jak Ylva. – Nazywam się Ylva Nicklasson i dzwonię, żeby... Cóż, słyszałam, że moja dawna znajoma, Louise Hansson, jest waszą pacjentką. Zastanawiałam się, czy mogłabym z nią porozmawiać. Przez dłuższy czas przebywałam za granicą i nie miałam pojęcia, że jest z nią aż tak źle...

– Pójdę po nią – odparł krótko.

Myślałam, że będzie trudniej.

W tle słyszałam kroki i donośny głos Petera, który mówił, że dzwoni jakaś Ylva i chce rozmawiać z Louise. Wstrzymałam oddech, spodziewając się raczej, że ze słuchawki ponownie dobiegnie głos Petera, który powie mi, że Louise nie chce z nikim

rozmawiać, a poza tym nie zna żadnej Ylvy. Zamiast tego usłyszałam jakiś trzask, a później czyjś oddech.

– Louise? – zapytałam.

– Tak – usłyszałam cienki głos po drugiej stronie.

– Louise, mówi Raili. Wiesz, kim jestem?

– Tak. Byłaś tu i oglądałaś mój obraz.

– Louise, jesteś sama w pokoju? Jest tam jeszcze Peter? Lub ktoś inny?

– Jestem sama.

Dzięki Bogu!

– Louise, skąd wiedziałaś, że mam na imię Raili?

Ylva ścisnęła moje ramię tak mocno, aż poczułam ból. Nie czułam się już ani trochę samotna.

– Widziałam cię wcześniej. Wiele razy.

– Ale gdzie? – Zaczęło się robić nieprzyjemnie.

– W Lövaren.

– W Lövaren? Kiedy?

– Mieszkasz w małym domku obok Sary i Andersa.

Przez chwilę zastanawiałam się, skąd mogła ich znać, ale wtedy zorientowałam się, że przecież byli jej teściami. Musiała być w Lövaren wiele razy, kiedy mieszkała jeszcze ze Staffanem. Poczułam nagłe ukłucie zazdrości. Przełknęłam ślinę i próbowałam je zignorować.

– Skąd wiesz, że tam mieszkam?

– Widziałam cię. Siedziałaś w hamaku i piłaś kawę.

Czułam, jak podskoczyło mi serce.

– Byłaś w Lövaren zeszłego lata, Louise?

– Tak.

– Ale nie dostałaś jeszcze przepustki.

– Nie zamykają nas tutaj. Często wymykam się nocą. Jeżdżę czasem do Lövaren.

– Jak się tam dostajesz? – Nie sądziłam, że mówi prawdę.

– Swoim samochodem, oczywiście. Stoi tutaj, na parkingu.

– Gdzie jeszcze jeździsz oprócz Lövaren? – Obawiałam się tego, co mogłam

usłyszeć.

– Do domu. Do Staffana i chłopców i patrzę na nich przez okno – odpowiedziała bezdźwięcznie.

Przynajmniej nie jeździła do mnie, do Valludden, a to już coś.

– A co robisz, kiedy jesteś w Lövaren?

– Chodzę po lesie. Ona tam jest.

– Kto?

– No ona. To jej wina, że zabrano mi chłopców. Powiedziała, że już nigdy ich nie odzyskam.

– Ale kto? – krzyknęłam głośno, aż Ylva podskoczyła obok.

Louise oddychała teraz głośno do słuchawki. Bałam się, że ją przestraszyłam.

– Przepraszam, Louise – powiedziałam na tyle spokojnym głosem, na ile umiałam. – Kim ona jest? – Wciąż milczała. Przez chwilę myślałam nawet, że się rozłączyła, ale wtedy usłyszałam, jak pociągnęła nosem. – Dlaczego przysłałaś mi obraz?

– Ona również odezwie się do ciebie – odparła. – Nie pozwoli, żebyś miała Staffana i chłopców. Chce ich mieć dla siebie.

– Ale dlaczego przysłałaś ten obraz?

– Żeby cię widziała. Ona cię obserwuje. Teraz już wiesz.

– Czy ona ma niebieskie oczy?

– Lodowatoniebieskie oczy – powiedziała Louise i słyszałam, jak stopniowo unosi głos, jak wtedy, podczas ataku.

– Czy to ty utopiłaś Olofssona, Louise? Wciągnęłaś Yngvego do jeziora? Wiesz dobrze, kim był Yngve.

Ze słuchawki dobiegł odgłos przerwane połączenia. Louise rozłączyła się.

– Słyszałaś? – zwróciłam się do Ylvy.

– Wszystko – odparła. – Cholera, Raili, myślisz, że ona to zrobiła?

– Nie wiem – powiedziałam powoli. – Mówiła, że wymyka się nocą. Olofsson został zamordowany nad ranem, a dom spłonął po południu. Zauważyliby, gdyby nie było jej wtedy w ośrodku.

– Może tak było – wtrąciła Ylva. – Może zauważyli, że jej nie ma, ale kiedy wróciła, nie chcieli robić afery. Tego nie wiemy.

– Kim, do cholery, jest ta ona? – zastanawiałam się.

– Prawdopodobnie nikim, jej urojeniem, zjawą, która podpowiada jej, co ma robić – stwierdziła Ylva.

Brzmiało to dość rozsądnie.

– Powinnam zadzwonić na policję – oświadczyłam. – Ale jak wytłumaczę im, że za wszystkim stoi Louise, bez przyznawania się, że tam byłam i wypytywałam pod fałszywym nazwiskiem?

Ylva nie odezwała się słowem, bo na to pytanie nie było dobrej odpowiedzi.

Musiałam na razie porzucić ten pomysł. Nie wiedziałam, co robić. Nie mogłam przecież zgłosić na policję faktu, że ktoś przysłał mi obraz. Pozostawało też pytanie, czy według prawa można oskarżyć kogoś o morderstwo i podpalenie, jeśli w ogóle nie stwierdzono, że zostało popełnione jakiegokolwiek przestępstwo. Po pożarze domu Olofssona dokładnie przejrzałam gazety i z wyjątkiem artykułu w „Bohusläningen” podającego, że dom w Lövaren spłonął doszczętnie (napisali, że pusty, może i lepiej...) oraz że przyczyna pożaru nie jest znana, w prasie nie pojawiło się nic więcej.

Nagle moje śledztwo wydało się śmieszne. Zupełnie bezsensowne. Czym ja się w ogóle zajmowałam? Ścigałam duchy? Może powinnam udać się do medium, poprosić o nawiązanie kontaktu z Olofssonem i zapytać go, o co w tym wszystkim chodzi. Uśmiechnęłam się sama do siebie. Duchy, medium, wkrótce sama wyląduję w Gretahemmet.

No nic, zarezerwowałam dostęp do czytnika mikrofilmów w archiwum i zamierzam się tam udać. Miałam nadzieję, że znajdę artykuł o wypadku Anity i będę mogła bez cienia wątpliwości stwierdzić, że to był nieszczęśliwy wypadek, a moje wcześniejsze podejrzenia, że wszystkie młode kobiety wokół jeziora cierpią na choroby psychiczne, są nieprawdziwe...

– Jeśli będzie napisane, że czternastoletnia Anita Hansson w chwili zdarzenia cierpiała na depresję i nie można wykluczyć, że sama spowodowała wypadek, ponownie to przemyślę – postanowiłam sobie. – A wtedy...

No właśnie, co? Co wtedy zrobię? Nie miałam zielonego pojęcia.

Zaczynało się ściemniać, kiedy otworzyłam jedno skrzydło niebieskich drzwi i weszłam do Muzeum Bohuslän. Bardzo mi się ono podoba. Jest jasne i przestronne, panuje tu przyjemna atmosfera, a poza tym ma niezwykle przytulną kawiarnię.

Kiedy przez chwilę rozglądałam się wkoło i upajałam się dobrą aurą wnętrza, dotarło do mnie, że nie mam pojęcia, gdzie znajduje się archiwum Towarzystwa. Po prawej minęłam toalety i szatnię, ale dotarłam jedynie do audytorium. Na lewo od wejścia znajdowała się kafeteria. Minęłam sklepik i przeszłam całe pierwsze piętro. Żadnego archiwum. Ciekawe. Czyżby mieściło się na drugim poziomie?

Omam nie utknęłam na niezwykle pobudzającej wyobraźnię wystawie o niejakim Jonie, chłopcu żyjącym we wczesnym średniowieczu, ale wymknęłam się stamtąd i znalazłam w końcu białe drzwi, na których widniał napis „Archiwum Towarzystwa Przyjaciół Bohuslän”.

Otworzyła je przemiła starsza pani i zaprosiła mnie do środka. Przeszliśmy przez długi ciasny korytarz wypełniony regałami z książkami, segregatorami i broszurami, aż w końcu dotarliśmy do pomieszczenia, w którym stał czytnik. Rozejrzałam się wkoło. Tuż obok znajdowała się półka z ogromną liczbą mikrofilmów. Skąd miałam wiedzieć, co powinnam przejrzeć?

– Czy pomóc pani przeszukać bazę? – zapytała.

– Poproszę – odparłam. – Hmm, interesuje mnie...

Co miałam powiedzieć? Wypadek autobusowy w Lövaren, który wydarzył się w latach osiemdziesiątych?

– Interesuje mnie Lövaren – wykrztusiłam w końcu. – Szukam materiałów o wiosce. Dlaczego ciągle kłamałam?

Usadowiłam się przed dużym ekranem i czekałam, aż wskaże filmy i dowiem się,



jak mam je przeglądać. Znowu pojawiło się napięcie. Co na nich znajdę?

\* \* \*

– Ylva? – zapytałam zdyszana.

– Co ty robisz?

– Idę. Jestem w drodze do domu. Wyszłam właśnie z archiwum.

– I co? Opowiadaj!

Tak też zrobiłam. Ylva dowiedziała się wszystkiego o wypadku Anity. Doszło do niego, ponieważ autobus ustąpił drogi kierowcy samochodu i uderzył tyłem Anitę, która akurat z niego wysiadła. Uderzyła głową o duży kamień na poboczu. To musiał być nieszczęśliwy wypadek. Wydarzył się w 1988 roku, kiedy Anita miała czternaście lat, obecnie ma trzydzieści siedem.

– Ale wiesz, co jest najdziwniejsze? – zastanawiałam się głośno i, nie czekając na odpowiedź Ylvy, dokończyłam: – To, że w Lövaren faktycznie doszło do wielu nieprzyjemnych zdarzeń, tak jak sobie pomyślałam wtedy, kiedy przeglądałam internet.

– To znaczy?

– Na przykład ta zamordowana rodzina. Odnotowano to, zanim zaczęto wydawać tu gazety. Zbrodnia miała miejsce w połowie osiemnastego wieku. Napisali, że wydarzyła się w zagrodzie chłopca Hansa Erssona nad Bäverdammen, gdzie diabeł zamordował całą rodzinę przy pomocy parobka Pettera Abrahamssona.

– Bäverdammen? Czy to nie twoje jezioro? – zapytała Ylva, jakby nie mogła uwierzyć w to, co słyszy. – Co się stało?

– To musi być zagroda Hanssonów lub Anderssonów – odparłam. – Wygląda na to, że parobek wszedł w nocy do domu i starą siekierą zabił całą rodzinę: Hansa, jego żonę Annę i ich trzech synów. Napisali, że wszędzie było pełno krwi, a parobek został znaleziony nad jeziorem, gdzie płakał i krzyczał. Był zupełnie chory na umyśle. Odwieziono go do twierdzy w Bohus i skazano na śmierć. Najwyraźniej sądzono, że opętał go diabeł lub coś podobnego.

– O, cholera! – skwitowała Ylva. – Znalazłaś coś jeszcze?

– Tak – odpowiedziałam mrocznym głosem. – Cygańskie dzieci, pamiętasz je?

– Te poćwiartowane w lesie?

– Tak. Znalezione je w Prässboskogen, w moim lesie! Troje rodzeństwa, zaginęli tydzień wcześniej. Należeli do taboru, który rozbił obóz w okolicy, to nie moje słowa, tak było napisane, i zapowiedzieli, że nie opuszczą tego miejsca, dopóki dzieci nie wrócą całe. Nikt im nie wierzył. Ludzie myśleli, że kłamią, by uniknąć dalszej wędrówki, niedługo później jednak ciała zostały znalezione przez kobietę, która mieszkała w chacie żołnierza. To była Anna Jonsdotter.

– Anna Jonsdotter?

– No, nie pamiętasz? Anna Jonsdotter, to przecież Szalona Anna, o której opowiadał Olofsson. Ta stara wdowa po żołnierzu, której wszyscy się bali, kiedy jego matka była mała.

– O, cholera! – powtórzyła Ylva.

– Zbierała jagody w lesie i potknęła się o ręce i nogi, które zostały porzucane i tworzyły krąg. Na głowy natrafiono później, jak unosiły się w Bäverdammen, natomiast korpusów nigdy nie znaleziono. – Przypomniałam sobie, żeby nigdy więcej nie kąpać się w jeziorze. – Sprawcy nie złapano – kontynuowałam. – Odnotowano jednak, że Anna Jonsdotter siedziała wcześniej w więzieniu, podejrzana o zabójstwo dziecka, tyle że ją uniewinniono. Znalazłam też artykuł z tysiąc osiemset siedemdziesiątego szóstego roku, w którym napisano, że obie córki Arvida Raska i Anny Jonsdotter zmarły w niewyjaśnionych okolicznościach, a o ich zamordowanie podejrzewano matkę. Wysłano ją do więzienia na przesłuchanie i spędziła tam sześć miesięcy, lecz nie mogli jej nic udowodnić, więc wróciła do domu.

– W takim razie jak umarły jej dzieci? – jednym tchem zapytała Ylva.

– Nikt nie potrafił stwierdzić, dlatego podejrzewali zabójstwo – odparłam. – Przypuszczam, że istnieje cała masa chorób, które potrafią zabić, nie dając konkretnych objawów, a wyjaśnić je może dopiero obdukcja. Może naprawdę spotkało ją ogromne nieszczęście, a może to ona je zabiła i udało jej się uniknąć kary.

– Morderczyni dzieci – wyszeptała Ylva.

– Nie da się tego udowodnić – powiedziałam. – Choć nie ma co się dziwić, że o Szalonej Annie krążyły historie i wszyscy jej się bali. Nie ma dymu bez ognia i takie tam. W każdym razie musiała żyć wśród podejrzeń o zabicie własnych dzieci.

– Smutne – podsumowała Ylva. – O ile to nie ona to zrobiła i to nie ona

zamordowała te biedne cygańskie dzieci.

– Zgadza się. Bo te dzieci faktycznie zamordowano – potwierdziłam, zamykając drzwi wejściowe. – Kto by to nie był, fakt jest taki, że w okolicy czaił się zabójca.

– A ten potwór z jeziora Lövaren? O co chodziło?

– Ach, to jakieś bujdy. Pradawny mit o monstrum w jeziorze.

Rzuciłam torbę na podłogę i odwiesiłam kurtkę.

– Ale znalazłam więcej strasznych historii. W późniejszych artykułach z dwudziestego wieku. – Usiadłam na sofie z kieliszkiem wina i swoimi notatkami z archiwum. – Okej – zaczęłam. – Tu mam coś z marca tysiąc dziewięćset trzynastego roku. W czasie kiedy w zachodnie wybrzeże uderzył orkan i w lesie Lövareskogen zawaliło się kilka drzew, w niewyjaśnionych okolicznościach zmarł mężczyzna. Rany na ciele wskazywały, że faktycznie przygniotło go drzewo, lecz w miejscu, gdzie go znaleziono, nie było żadnych powalonych drzew. Innymi słowy, albo ktoś go przeniósł, albo udało mu się przeczłagać ponad pięćset metrów, co wydawało się mało prawdopodobne.

– W takim razie co się stało?

– Nie wiadomo. Przesłuchali kilka osób, ale to nic nie dało. – Wzięłam łyk wina i przejrzałam swoje kartki. – W tysiąc dziewięćset dwudziestym pierwszym roku w Lövaren doszło do serii włamań. Oskarżono pewnego mężczyznę, lecz on wszystkiemu zaprzeczył. Łupów nigdy nie znaleziono. W roku tysiąc dziewięćset czterdziestym drugim, podczas tak zwanego kryzysu lutowego, Jens Bratt z Lövaren udał się do Norwegii i tam zaciągnął się na służbę u Hitlera.

– Bratt? Czy nad jeziorem mieszka ktoś o takim nazwisku?

– Nie – odpowiedziałam. – Nie napisali, gdzie wylądował ani co robił w czasie wojny. Ani czy wrócił do Lövaren.

Obie milczałyśmy. Patrzyłam przed siebie nic niewidzącymi oczami.

– Znalazłaś coś jeszcze? – zapytała w końcu Ylva. – Nie żeby mi było mało... Nasłuchałam się już aż nadto.

– Tak, w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym trzecim roku w lesie Prässboskogen zaginęły jakieś dzieci. Były na wycieczce z przedszkola. Nigdy ich nie odnaleziono. Chyba słyszałam coś na ten temat, kiedy byłam mała. Grupa przedszkolaków miała

oglądać ptaki, grzyby i tym podobne i wtedy dziewczynka i chłopiec, bliźnięta, czterolatki, zaginęli bez śladu. Najpierw szukały ich opiekunki, ale później zadzwoniły na policję. To była pełna mobilizacja. Do poszukiwań dołączyło wojsko oraz cała masa ochotników z wioski, lecz nic nie znaleźli. Nawet rękawiczki.

– Chryste Panie, Raili!

– Wiem – odparłam. – Olofsson mówił, że w lesie kryje się coś złego. Może powinnam była bardziej mu wierzyć?

Pomyślałam o zdjęciu tych małych dzieci i przeszył mnie dreszcz. Co, u licha, spotkało je w moim lesie? Wtem usłyszałam w głowie słowa Olofssona: „Nie wiem, kiedy się to zaczęło tym razem”.

– Że też odważyłaś się chodzić po tym lesie! – zdumiała się Ylva. – Ale mówiłaś, że się bałaś.

– Tylko gdy zażyłam treo comp – zapewniłam. – Normalnie nie odczuwałam strachu ani żadnych złych mocy. Nic z tych rzeczy. Myślałam, że źle znoszę ten lek, lecz teraz to już sama nie wiem. Olofsson twierdził, że stawałam się po nim niezwykle wyczulona. Że zauważałam rzeczy, które normalnie były ukryte.

– Może miał rację.

Zastanawiałam się, co udało mu się odkryć przed śmiercią. Zanim go zamordowano. Polowanie znowu się zaczęło.

## 41

Praca w bibliotece stała się dość uciążliwa ze względu na moje dochodzenie. Od tej chwili postanowiłam prowadzić je tylko wieczorami i maksymalnie się skupić, żeby nadgonić całą papierkową robotę.

Średnio mi to szło. Przez cały dzień spoglądałam na torbę, w której znajdowała się kartka z „faktami” i „podejrzeniami”. Wolałam zająć się nią, a nie nadchodzącym budżetem.

Westchnęłam i wyjrzałam zza komputera. Obraz wciąż gapił się na mnie, kiedy tak stał oparty o ścianę. Lodowatoniebieskie oczy zdawały się śledzić każdy mój ruch. Wstałam zza biurka i podeszłam do niego. Faktycznie był bardzo ładny. Poruszał. Gdyby nie te domalowane zimne oczy, chętnie powiesiłabym go na ścianie. Teraz przeszywał mnie dreszcz za każdym razem, gdy na niego spozjrzałam.

Przyniosłam ten obraz do pracy tylko z jednego powodu. Nie chciałam go trzymać w mieszkaniu. Odwróciłam go do ściany, żeby uciec przed tym wzrokiem, i wróciłam za biurko.

– A niech to! – rzuciłam i wyjęłam kartkę. Wzięłam koniec długopisu do buzi, zastanowiłam się, po czym dopisałam kilka faktów i podejrzeń.

| FAKTY   | PODEJRZENIA                            |
|---|--|
| pies Olofssona zaginął                        | najmłodsze dziecko Almkvistów zniknęło |
| Olofsson został zamordowany                   | Staffan bije żonę                      |
| dom Olofssona spłonął, bo ktoś podłożył ogień | Staffan jest agresywny                 |
| Anna-Maria jest psychicznym wrakiem           | w lesie kryje się coś złego            |

|   |  |
|---|--|
| wypadek Anity był nieszczęśliwym wypadkiem            | Anna-Maria zabiła swoje dziecko              |
| Louise wysłała mi obraz                               | Louise zabiła dziecko Anny-Marii             |
| Louise bywa w Lövaren nocą                            | Olofsson wiedział, co stało się z dzieckiem  |
| zamordowana rodzina 1750 r.                           | Anna Jonsdotter zabiła swoje córki           |
| Anna Jonsdotter podejrzana o zabójstwo dzieci 1876 r. | Anna Jonsdotter zamordowała cygańskie dzieci |
| poćwiartowane cygańskie dzieci 1889 r.                |  |
| tajemnicza śmierć podczas orkanu 1913 r.              |  |
| seria włamań 1921 r.                                  |  |
| mężczyzna w służbie Hitlera 1942 r.                   |  |
| dzieci z przedszkola giną bez śladu 1983 r.           |  |

Jaki będzie następny krok?

Wiedziałałam, że muszę sprawdzić Louise, ale nie miałam pojęcia, jak mam to zrobić, żeby się nie skompromitować. Wciąż intrygował mnie też przypadek Anity, jednak nie wydawał się tak nagły. Musiałam zdobyć dowody na to, że faktycznie doszło do zniknięcia dziecka. Rzekoma agresja Staffana była również dość interesująca, choć bardziej z osobistych względów.

Nie rozmawialiśmy od czasu tego nieszczęsnego pocałunku. Muszę jednak do niego zadzwonić.

## 42

Czy można wpłynąć na kogoś swoimi myślami? Czy energia, którą człowiek wytwarza, kiedy nieustannie myśli o tym, czego pragnie, może pokierować drugą osobą, by dokładnie to zrobiła? Tak się przynajmniej wydawało, ponieważ cały dzień myślałam o Staffanie, a kiedy miałam już iść do domu, zadzwonił.

Jak zwykle poczułam podekscytowanie i zanim odebrałam telefon, zamknęłam drzwi biura.

– Powiedz coś miłego, Staffan.

– Ciebie też miło słyszeć – odparł Staffan. – Stało się coś?

– Nie, jestem tylko przemęczona.

– Jestem w Göteborgu. Mam szkolenie, więc jutro też muszę przyjechać. Chłopcy są u dziadków. Pomyślałam...

– Bardzo dobrze zrobiłeś – przerwałam mu. – Przyjedź do mnie.

I nagle dzień stał się dużo lepszy. Odkryłam, że świeciło słońce, a na zewnątrz było naprawdę ładnie. Poszłam do sklepu i zrobiłam zakupy. Postanowiłam przygotować kolację. W domu miałam wino, ale kupiłam jeszcze kilka składników do sosu berneńskiego, ziemniaki i dwa soczyste kawałki mięsa.

Wykąpałam się, obrałam ziemniaki i rozłożyłam nowy obrus. Do nakrycia stołu użyłam najlepszej porcelanowej zastawy, ustawiłam kryształowe kieliszki i świece, wszystko jak należy.

Na zewnątrz zapadł zmrok, co sprawiło, że w mieszkaniu zrobiło się jeszcze przytulniej. Rozpaliłam ogień w piecu kaflowym i włożyłam białą bluzkę oraz czarne spodnie, które miałam na pogrzebie. Może nie był to najszcześniejszy wybór, ale świetnie leżały. Ulżyło mi, że nie zniszczyły się w pożarze.

Kiedy Staffan wszedł do mieszkania, aż zagwizdał z wrażenia. Widziałam, jak jego

wzrok wędrował od pieca kaflowego przez jasną sofę z ręcznie robionym patchworkowym pledem (co prawda kupionym, lecz wciąż było to rękodzieło) i dębowy stół aż po kolorową lampę podłogową, którą znalazłam w sklepie z używanymi rzeczami.

– Pięknie się urządziłaś – stwierdził, wręczył mi bukiet kwiatów, który trzymał w dłoni, i wszedł do pokoju.

To były róże.

– Chodź do kuchni i dotrzyмай mi towarzystwa, kiedy będę robiła sałatkę – powiedziałam. – Wino wietrzy się od jakiegoś czasu. Wydaje mi się, że możesz już rozlać je do kieliszków. Bo chyba zostaniesz? – zapytałam z niepokojem.

– Zostanę – odpowiedział Staffan.

\* \* \*

Następnego ranka wyjechał wcześniej. Szkolenie zaczynało się o ósmej. Przez okno widziałam, jak zapaliły się czerwone tylne światła jego samochodu, kiedy nieśpiesznie ruszył w drogę i zniknął mi z oczu. Co za cudowny facet. Był uosobieniem wszystkiego, czego pragnęłam.

– Staffan – wyszeptałam do siebie.

Miałam ochotę narysować na ścianie serce z naszymi imionami w środku, ale na szczęście tego nie zrobiłam. Zamiast tego poszłam się położyć. Zaczynałam dopiero o dziesiątej, więc mogłam poleżeć jeszcze kilka minut. Desperacko potrzebowałam snu, nie miałam go zbyt wiele tej nocy... Wydaje mi się, że zasypiałam z uśmiechem na ustach.

\* \* \*

Ylva miała katar, kaszlała i popijała gorącą herbatę z miodem. Siedziałyśmy w pokoju socjalnym, próbowałam opowiedzieć jej o wieczorze i nocy ze Staffanem, tyle że wciąż przerywało mi jej kichanie.

– Nie mogę oddychać – marudziła – i mam wrażenie, że cały mój mózg zamienił się w papkę z glutów.

– Jesteś obrzydliwa – stwierdziłam. – Jedź do domu i się połóż.



Carmen i Solveig z przedziałkiem myślały pewnie, że musiałam coś łyknąć tego dnia. O co by mnie nie poprosiły, uśmiechałam się i przytakiwałam. Ponieważ udało im się namówić mnie, żeby wcześniej skończyły, zostałam sama, kiedy zrobiło się ciemno. Nie przeszkadzało mi to. Wypożyczałam książki, pomagałam miłym ludziom odnaleźć właściwą półkę i przeglądałam listy ostatnich zamówień, a wszystko to z głupkowskim uśmiechem na twarzy.

Staffan zadzwonił w drodze do domu.

– Chciałbym do ciebie przyjechać – wyznał – ale muszę jechać do Lidköping i odebrać chłopaków.

– Kiedy znowu się zobaczymy? – zapytałam.

– W ten weekend mają zawody piłkarskie. W przyszły weekend też, jeśli dostaną się do finału – oznajmił. – Jestem nie tylko ojcem, ale również trenerem, jak to mówią.

– Nie szkodzi. Też mam swoje plany – powiedziałam. Chyba lepiej zbytnio nie naciskać. – Ale w weekend za trzy tygodnie jestem wolna, jeśli nie masz nic specjalnego do roboty.

– Mam nadzieję, że właśnie za trzy tygodnie będę miał coś specjalnego do roboty – zaśmiał się, a ja cieszyłam się jak idiotka, kiedy tak siedziałam pod patchworkowym pledem na sofie.

Wtedy dotarło do mnie, jak mogłabym zbliżyć się do Kenneta i Anny-Marii. Tym wspólnym mianownikiem był przecież Staffan. Nie chciałam wykorzystywać faktu, że między nami może coś być, lecz teraz nadarzała się okazja, by upiec dwie pieczenie na jednym ogniu. Miałam pretekst, żeby z nimi porozmawiać, a jednocześnie mogłam dowiedzieć się kilku rzeczy o Staffanie, zanim weźmiemy ślub i urodzę jego dziecko.

## 43

Okolica była przesiąknięta klimatem lat siedemdziesiątych. Szerokie ulice nazwane od kwiatów, chodniki po obu stronach i domy z wapiennej cegły schowane za gęstymi żywopłotami. Jednak nie miałam problemu ze znalezieniem adresu. Zaparkowałam na chodniku pod numerem sześć i wysiadłam z samochodu.

Pierwszym, co zobaczyłam, gdy zajrzałam do ogrodu, była Tova. Przechadzała się po trawniku w czerwonym płaszczku przeciwdeszczowym. Zastanawiałam się, dlaczego dziewczynka miała go na sobie, skoro wreszcie wyszło słońce.

Anna-Maria siedziała na drewnianej ławce przy ścianie domu. Wyglądała, jakby spała.

– Cześć, Tova – powiedziałam i lekko pomachałam dziewczynce.

– O, Raili! – wykrzyknęła Tova i ruszyła w moją stronę. – Przyjechałaś?!

– Tak, pomyślałam, że was dzisiaj odwiedzę. Mama śpi?

– Nie – odparła i pobiegła do Anny-Marii.

Zaczęła szarpać biedną kobietę, która teraz, gwałtownie zbudzona, rozglądała się wokół.

– Cześć – przywitałam się i usiadłam na ławce obok niej. – Tutaj sobie przesiadujesz?

Anna-Maria wyglądała na totalnie przerażoną. Zastanawiałam się, gdzie jest jej mąż.

– A gdzie masz Kenneta?

– Pomaga dzisiaj swojej mamie.

A niech to szlag!

– Pobaw się ze mną, Raili – prosiła Tova i niecierpliwie podskakiwała przede mną.

– Jest za zimno – odparłam. – Nie mam na sobie nic przeciwdeszczowego.

– Pewnie chciałabyś napić się kawy? – zaproponowała. – Mamo, idziemy do środka, żebym dała Raili trochę kawy. Pokażę jej swój pokój.

Dom wydawał się przyjemny. Jasny i przestronny, z otwartym układem pomieszczeń. Dominował w nim beż, a wszystko było sterylnie wysprzątane, z wyjątkiem pokoju Tovy, w którym leżało tyle zabawek, że nie dało się dostrzec podłogi.

– Nie myślałaś, żeby trochę tu sprzątnąć? – zapytałam.

– Ech – odpowiedziała Tova – mam tylko śtery lata.

Weszłam do kuchni i usiadłam przy stole. Anna-Maria stała i wpatrywała się w ekspres.

– Pomóc ci?

– Nie trzeba – odparła i zaczęła wsypywać kawę do filtra.

Wszystko działo się jak na zwolnionych obrotach, ale przynajmniej będzie kawa. No, może za jakiś czas.

– A gdzie Emil? – zapytałam Towę, która wgramoliła się na krzesło obok mnie.

– Jest z tatą u babci. Zostałam w domu, żeby opiekować się mamą.

Miałam nadzieję, że to żart.

– Ale wróci o dwunastej – ciągnęła Tova. – Z tatą. I wtedy zjemy obiad. Chcesz zjeść z nami?

Anna-Maria zmarszczyła czoło, wciąż stojąc przy ekspresie. Z całą pewnością nie chciała, żebym zostawała.

– Dziękuję, Tova – odparłam. – Muszę niedługo wracać do Valludden. Mam dużo pracy w domu.

Anna-Maria podała kubki do kawy, spodeczki i talerz z bułeczkami cynamonowymi.

– Po co przyjechałaś? – spytała.

– Właściwie to chciałam porozmawiać z Kennetem – oznajmiłam i nałożyłam sobie bułkę. – O Staffanie.

– O Staffanie? – spojrzała na mnie przestraszona. – Dlaczego chcesz rozmawiać o nim z Kennetem? Co chcesz...? – nagle przerwała.

– Znasz go? – zapytałam i poczułam nieprzyjemne mrowienie w żołądku.

Na zapadniętych policzkach Anny-Marii pojawiły się rumieńce.

– Nie. Oczywiście, że go nie znam. Chciałabym, żebyś już pojechała.

– Ale mammo! – protestowała Tova. – Raili nie może teraz jechać. Nie zdążyliśmy się jeszcze pobawić.

– Na pewno go znasz – wypaliłam. – Czego nie chcesz mi powiedzieć?

Anna-Maria stała w milczeniu i patrzyła raz na mnie, raz na Towę. Zrobiła się cała czerwona na twarzy.

– Czy ty i Staffan... – Słowa utknęły mi w gardle. Strasznie rozbolał mnie żołądek.

– To dawno skończone. Minął już ponad rok – wyszeptala. – Proszę cię, jedź już. Jedź, zanim Kennet wróci do domu.

– To nie o tym chciałam z nim porozmawiać – oznajmiłam i usłyszałam, jak pusty wydawał się mój głos. – Chciałam tylko zapytać o nastroje Staffana. Olofsson mówił, że był agresywny i bił swoją żonę. Louise. To o tym właśnie chciałam pomówić.

Patrzyłam na Annę-Marię, jak siedziała i wpatrywała się w swoją kawę. Wydawało się, że znów popadła w apatię. Rumieńce zniknęły, a jej skóra ponownie zrobiła się szara.

To było ponad rok temu. Nic nie znaczyło. Staffan musiał się czuć zraniony i samotny po rozwodzie z Louise i dlatego szukał pocieszenia u Anny-Marii. Nic nadzwyczajnego.

Ale dlaczego akurat Anna-Maria? Co on widział w tym bezbarwnym chudym kłębkę nerwów?

Wcześniej myślałam, że Kennet nie utrzymywał kontaktu ze Staffanem od dłuższego czasu, lecz widać musieli się spotykać. Jak inaczej Anna-Maria i Staffan by się poznali?

...Staffan i Anna-Maria spleceni nago w pomiętej pościeli...

Spróbowałam kawy. Przynajmniej była mocna, a na taką miałam ochotę. Anna-Maria wciąż siedziała w milczeniu i wpatrywała się w kubek.

Tova przysiadła obok mnie i jadła bułkę. Również się nie odzywała. Poczułam, że jeśli zaraz stamtąd nie wyjdę, to wybuchnę.

– Muszę wysłać list. Czy w okolicy jest gdzieś skrzynka? – wypaliłam ni stąd, ni zowąd.

Anna-Maria wreszcie na mnie spojrzała.

– Tak – odparła. – Jak dojdiesz do sklepu, to tam znajdziesz jedną. Musisz iść

wzdłuż tej ulicy, a później skręcić w prawo.

– Mogę też iść? – spytała żywo Tova.

– Nie – odpowiedziałam – ale niedługo wrócę i wtedy się pobawimy.

Odetchnęłam dopiero na chodniku przed domem.

Droga do sklepu prowadziła w dół i podążałam nią powoli. A może powinnam zabrać Tovę? Biedne dziecko, musiała zostać sama z tą kobietą.

Obok sklepu stała budka z jedzeniem. Usiadłam z hot dogiem przy obdrapanym brudnym stoliku i próbowałam jeść, ale nie dałam rady. Gula w żołądku wciąż rosła. Wyrzuciłam jedzenie do kosza i spojrzałam na zegar nad ladą. Było piętnaście po jedenastej. Jeśli będę wracała bardzo wolno, może nie naczekam się zbyt długo z Anną-Marią na powrót Kenneta. Zapytałabym go o Staffana i zawinęła się stamtąd. Nie miałam ochoty więcej ich widzieć.

Na ulicach było teraz więcej ludzi. Minęłam starszą parę i zaczęłam się zastanawiać, czy przypadkiem nie ma tu żadnych sąsiadów Almkvistów, których mogłabym spytać o zaginione dziecko. W końcu po to tu przyjechałam. Po drugiej stronie ulicy szły dwie kobiety z wózkami. Jeśli mieszkały w okolicy, może znały inne rodziny z dziećmi.

– Przepraszam – zagadnęłam, kiedy podeszłam bliżej – czy przypadkiem nie znają panie Kenneta i Anny-Marii Almkvistów, którzy mieszkają tutaj niedaleko?

– Tak – odparła jedna z nich, bujając swoim wózkiem w przód i w tył.

Druga przecząco pokręciła głową.

– Chodzi o to, że przyjechałam ich odwiedzić. Zdawało mi się, że tego lata urodziło im się dziecko, ale nie mają chyba teraz niemowlęcia? Nie bardzo chcą o tym mówić, a boję się, że mogłabym palnąć coś głupiego.

– Też rozmawiałam o tym z Ollem – wyznała kobieta, która potwierdziła, że ich zna, nachyliła się do mnie i wyszeptała: – Coś musiało się wydarzyć. Zna ich pani? Wie pani, co się stało?

– To tylko znajomi – odpowiedziałam równie cicho. Druga kobieta nachyliła się, żeby nas lepiej słyszeć. – Nie znam ich zbyt dobrze. Wydawało mi się, że była w ciąży, lecz dziecka nie ma. Myślałam, że doszło do nagłej śmierci łożeczkowej czy czegoś podobnego.

Zostawiłam tę kwestię otwartą, żeby sprawdzić, czy złapie przynętę. Udało się.

– Pomyśleliśmy dokładnie to samo – podchwyciła. – Zawsze byli dziwni, tyle że teraz zupełnie się odcięli, a ich dzieci prawie w ogóle nie opuszczają posesji. To dość podejrzane.

– Widziały panie dziecko?

– Nie – odparła z namysłem. – Ale na wiosnę Anna-Maria wyglądała, jakby była w zaawansowanej ciąży. Później pojechali do swojego domku letniskowego i kiedy wrócili we wrześniu, znów była chuda. Niemowlęcia nigdy nie widziałam.

– Faktycznie podejrzane – stwierdziła jej koleżanka.

Podziękowałam im za rozmowę i zawróciłam w stronę domu Almkvistów. Olofsson miał rację. Byłam pewna, że mieli jeszcze córeczkę, Almę.

– Teraz się pobawimy – oznajmiła Tova, kiedy ścigałam buty.

– Pewnie! – przytaknęłam. – W co chcesz się bawić?

– W chowanego! Ty będziesz liczyć, a ja się schowam.

Zajrzałam do salonu, w którym siedziała Anna-Maria. Znowu wydawała się apatyczna, więc tylko skinęłam głową w jej stronę i zaczęłam liczyć do stu.

Kiedy skończyłam, ruszyłam na poszukiwanie. Tyle że nie Tovy, a śladów po niemowlęciu. Żadnego smoczka, butelki ani kołyski. Żadnych pieluch ani przewijaka. Nie było nawet grzechotki. Tovy też nie znalazłam, więc może nie nadawałam się do szpiegowania.

Wróciłam do salonu i spojrzałam na Annę-Marię. Miała otwarte oczy, lecz wywrócone tak, że widać było same białka. Czyżby spała z otwartymi oczami? Aż przeszył mnie dreszcz niepokoju. Czy nie dochodziła już dwunasta? Odwróciłam się i zerknęłam na regał. Nie było na nim prawie żadnych książek, tylko zdjęcia Tovy i Emila, jedna fotografia ślubna w srebrnej ramce i mnóstwo porcelanowych figurek, jakby ktoś zbierał różne dzikie zwierzęta z porcelany. Wyglądały na drogie.

Wśród nielicznych rzędów z książkami dojrzałam wielotomową encyklopedię, kilka publikacji medycznych, Biblię oraz gruby czerwony poradnik zatytułowany *Przywrócić ochotę do życia. Lekcja dominacji*. Wydawało się, że nie pasował trochę do miejsca, w którym stał.

Usłyszałam za sobą długie głębokie westchnięcie. Odwróciłam się i zobaczyłam, że

Anna-Maria mnie obserwuje. Wyglądała równie nieobliczalnie jak Louise, zanim zaczęła krzyczeć, że spłonę na stosie.

– Czy nie zostałam już wystarczająco ukarana?

– Słucham? – zapytałam.

Nie odpowiedziała. Nie patrzyła już nawet w moją stronę.

– W jaki sposób zostałam ukarana? – Nie odpuszczałam.

Zbliżyłam się do sofy i zobaczyłam, jak jej źrenice się rozszerzają. Stawały się większe i mniejsze, a za chwilę znów większe. Wyglądała jak kiepska kopia Louise. Nie chciałam tam dłużej przebywać.

Kiedy właśnie miałam już włożyć buty i kurtkę i jechać do domu, usłyszałam klucz w zamku. Kennet i Emil weszli do środka, a Tova wyskoczyła zza wiszącego płaszcza i krzyknęła:

– Wygrałam! Nie znalazłaś mnie. Cześć, tato!

– Cześć, Kennet – powiedziałam.

Był niezwykle zdziwiony, ale przywitał mnie uprzejmie.

– Teraz ty się chowasz, Raili. Bawimy się, tato!

– Na dzisiaj wystarczy, Tova – odparłam i popatrzyłam na Kenneta. – Czy mogłabym porozmawiać z tobą chwilę?

Przytaknął, wszedł do salonu i pocałował Annę-Marię w policzek.

– Chodźmy do kuchni – zaproponował. – Muszę wstawić obiad. Później wracam do mamy. Pomagam jej oczyścić rynny.

– Jak długo Anna-Maria jest chora? – zapytałam i skinęłam w stronę salonu.

– Od jakiegoś czasu – uciął. – Mam wrażenie, że jej się poprawia. Przechodzi teraz nową terapię, która powinna przynieść dobre efekty. Jadłaś już?

– Tak – odpowiedziałam. – Niedługo wracam. Muszę zapytać cię o Staffana. To dlatego przyjechałam.

– Staffana?

Zdawało się, że cały mój plan wziął w łeb. Ale jak się powiedziało A, to trzeba powiedzieć B.

– Tak. Zaczęliśmy się spotykać. Bardzo go lubię, tyle że Olofsson przestrzegwał mnie przed nim. Nawet kilka razy. Mówił, że Staffan jest wybuchowy, bywa agresywny i że

bił Louise. To prawda?

– Nie chcę mówić o nim źle – odparł i nalał wody do garnka.

Dzieci wrzeszczały gdzieś w domu, a Anna-Maria sprawiała wrażenie, jakby nie miała ochoty opuszczać sofy.

– A ja nie chciałabym zrujnować sobie życia – oznajmiłam.

Wzięłam swój kubek, który wciąż stał na stole, i dolałam trochę kawy. Zdecydowanie za długo stała i smakowała teraz jak kocie siki, lecz kawa ze zwykłej budki z jedzeniem z pewnością nie byłaby lepsza.

– Staffan bardzo się zmienił, kiedy Anita ucierpiała w wypadku. Zaczynaliśmy wtedy dojrzewać, może to dlatego. Stał się bardzo agresywny. Zaczął się bić i demolował różne rzeczy, to dlatego nie chciałem z nim dłużej się zadawać. Raz omal mnie nie zabił. Gdyby Yngve tego wtedy nie zobaczył i nie wylał na nas wiadra z wodą, nie wiem, jak by to się skończyło.

– Dlaczego cię pobił?

– Pewnie powiedziałem coś głupiego. Nie pamiętam już. Stał się zupełnie inną osobą, od razu tracił cierpliwość.

– Całe szczęście, że Olofsson to zobaczył – skwitowałam i poczułam w sercu delikatne ukłucie.

– Tak, lecz Staffan go później znenawidził. Myślę, że to on przebił mu wtedy opony w samochodzie. Chociaż to wszystko wydarzyło się, kiedy byliśmy nastolatkami. Nie sądzę, żeby bił Louise czy coś podobnego. Wydaje mi się, że przeszła mu ta cała złość.

– Wylądowała w Greta hemmet, Kennet. Musiało do tego dojść z jakiegoś powodu.

– O ile mi wiadomo, Louise nie chorowała, kiedy byli jeszcze małżeństwem. Sprawiała raczej wrażenie imprezowej dziewczyny. Zawsze myślałem, że się rozwiedli, bo go zdradzała.

– Tak? – starałam się brzmieć, jakby mnie to nie poruszyło. – A nie dlatego, że Staffan poświęcał cały swój czas na odnalezienie Anity i umieszczenie jej na odwyku?

– Nic mi o tym nie wiadomo – odparł Kennet. – Staffan uwielbiał swoją siostrę, kiedy byliśmy mali, więc mogę sobie wyobrazić, że był w stanie zrobić dla niej wszystko. Bardzo się zmienił po jej wypadku. Ale żeby bił Louise?! Nie sądzę, chociaż co ja mogę o tym wiedzieć.



– Spotykacie się jeszcze?

– Nie, nie mamy kontaktu. Emil bawił się chyba kiedyś z synem Staffana, Viktorem, ale nie, nie spotykamy się.

Naprawdę nie macz o niczym pojęcia, pomyślałam.

– Kiedy zachorowała Louise?

– Nic mi na ten temat nie wiadomo – odpowiedział Kennet. – Kiedy byli jeszcze małżeństwem, spędzali w Lövaren każde lato. Nic wtedy nie zauważyłem. Wręcz przeciwnie, wydawała mi się bardzo pogodna. Po drugiej stronie jeziora zawsze słychać było więcej śmiechu, gdy przyjeżdżała.

– A kiedy się rozwiedli?

– Niech pomyślę... Ich młodszy syn był wtedy mały, miał może cztery lata. To musiało być trzy lata temu lub coś koło tego.

Rok przed tym, jak kupiłam działkę. To by się zgadzało.

Zastanawiałam się, dlaczego się rozwiedli. Jeśli nie dlatego, że Staffan ją bił albo ona miała już dość, że pomaga Anicie, to jaki był prawdziwy powód? Dlaczego zachorowała tak poważnie? Zwariowała?

Może to Staffan chciał rozwodu, nie Louise. Kochał Annę-Marię i pragnął z nią być? Chciał ją poślubić, a ona nie zgodziła się zostawić Kenneta i dzieci?

Może Staffan wciąż ją kochał? W takim razie byłam tylko substytutem. Czymś w zamian. Kimś, z kim się spotykał, ponieważ ta, której naprawdę pragnął, go nie chciała.

Podeszłam z powrotem do regału w salonie i przyglądałam się fotografii ślubnej w srebrnej ramce. Kennet wyglądał dokładnie tak jak teraz, trochę dziwnie, ale miał sympatyczną twarz. Anna-Maria była piękna. Jedwabiste włosy opadały wzdłuż jędrnych, zdrowo wyglądających policzków. Oczy błyszczały, a uśmiech odsłaniał perfekcyjne uzębienie. Nie dziwię się, dlaczego Staffan był (a może wciąż jest) nią oczarowany.

Pojechałam do domu.

Spędziłam w mieszkaniu wiele samotnych sobotnich wieczorów. Czasami oczywiście dopadała mnie melancholia, ale nigdy nie czułam się źle z tego powodu. Kiedy jeszcze mieszkałam w domu, weekendy były najgorsze. Tęskniłam za Leifem, brakowało mi naszych wspólnych chwil (które bierze się za pewnik, aż pewnego dnia znikają i człowiek zostaje sam z blachą domowej pizzy i butelką czerwonego wina i wtedy dociera do niego, że osoba, z którą planowało się spędzić resztę życia, odeszła do kogoś innego) i wtedy dosłownie oddawałam się przepelnionym tęsknotą fantazjom o tym, co Leif i jego nowa chuda dziewczyna robią razem wieczorami. Kiedy przeprowadziłam się do mieszkania, moje największe zmartwienia zniknęły i nie tęskniłam już konkretnie za Leifem, ale za kimś, z kim mogłabym dzielić życie.

Teraz czułam się źle, tyle że tym razem to nie melancholia czaiła się w różnych zakątkach pokoju, lecz zazdrość, smutek i nienawiść, które wręcz szalały między meblami.

Dialog, który prowadziłam w myślach, sprawiał, że dostawałam zawrotów głowy.

Minął ponad rok. To już dawno skończone. Spójrz na nią teraz, on już nie chce z nią być, przecież wiesz. Chce być z tobą. Nie zepsuj tego.

Przyłożyłam dłonie do skroni.

On mnie nie chce, to się rozumie samo przez się. Widziałam jej zdjęcie. Była przepiękna. I chuda. Dlaczego miałby mnie pragnąć? Dotarło do niego, że nie może z nią być, więc zadowolił się mną. Nigdy jej nie dorównam, ale powinnam mu wystarczyć.

Miałam dwie opcje do wyboru. Albo pozwolić, żeby zeżarła mnie zazdrość, albo wybić sobie z głowy Staffana i te całe miłostki i znowu być sobą. Zacisnęłam zęby i wyjęłam swoją listę, żeby dopisać nowe rzeczy oraz przenieść część ze strony

podejrzeń do faktów. Byłam przecież na tropie mordercy, co wydawało się dużo ważniejsze niż siedzenie na sofie i oplakiwanie faceta.

Moja lista może była bez znaczenia dla policji, lecz teraz miałam dowód, że najmłodsze dziecko Almkvistów faktycznie zniknęło, tak jak mówił Olofsson.

– Dwa niezależne źródła – powiedziałam na głos. – Olofsson i ta sąsiadka z Vänersborg. Mnie to wystarczy, zdecydowanie.

Później zastanawiałam się nad przeniesieniem zdania, że Staffan jest agresywny, ze strony podejrzeń do faktów. Bił się i przebił opony. To nie było normalne. Ale w sumie każdy mógłby wpaść w szal, gdyby jego siostra została tak ciężko ranna.

Musiałam też napisać, że Staffan i Anna-Maria mieli romans. Nie chciałam tego robić, byłam wręcz wściekła, ale w tamtej chwili i tak nie zamierzałam widzieć więcej Staffana.

Zadzwoił telefon. Wzdrygnęłam się i obleciał mnie zimny dreszcz. To nie był on. To tylko Ylva.

– Jak się czujesz? – zapytałam, kiedy odzyskałam mowę.

– Lepiej nie pytaj – wystękała. – Zapalenie ucha.

– Myślałam, że tylko dzieci na to chorują – skwitowałam. – Niezła z ciebie dzidzia-piernik, Ylva.

– Co nowego? Jak idzie ze Staffanem?

Westchnęłam.

– Obawiam się, że nic z tego nie będzie. Był kochankiem Anny-Marii. – I opowiedziałam o swojej wyprawie do Vänersborg i o tym, czego się dowiedziałam.

– Jak sądzisz? Naprawdę była w ciąży na wiosnę? – zapytała Ylva, która od razu przechodziła do najistotniejszych kwestii.

– Na to wygląda – odparłam i próbowałam zmienić tor rozumowania. – A to znaczy, że Olofsson miał rację. Widział małe dziecko na początku lata, a później ono zniknęło. Ktoś pozbył się tego maleństwa, tylko kto? Najpierw myślałam, że to Anna-Maria. Zdarza się przecież, że matki popadają w psychozę i mordują swoje dzieci, lecz teraz już sama nie wiem... To by oznaczało, że nie tylko Kennet ją chroni, ale również Tova i Emil. Nikt nic nie mówi o dziecku. Zachowują się jak gdyby nigdy nic.

– A twoim zdaniem kto to zrobił?

– Louise. Wygląda na to, że bardzo się zmieniła. Podobno wcześniej była wesołą imprezowiczką. Spójrz na nią teraz. Muszę porozmawiać z kimś, kto ją znał przed rozwodem, i usłyszeć, co się faktycznie wydarzyło między nią a Staffanem.

– Louise? Ale ten jej sąsiad powiedział przecież, że przebywa w Gretahemmet już pół roku.

– Najwyraźniej się z niego wydostała – odparłam. – Poza tym co, u licha, sprawiło, że tak bardzo się zmieniła?

– Nie odważę się wypowiedzieć tego na głos, ale wiesz, o czym myślę.

– Tak. Co mam teraz zrobić? Zastanawiam się, czy to nie jest właśnie ten moment, kiedy powinnam zadzwonić na policję. Dziecko musiało przecież urodzić się w szpitalu w Trollhättan. To chyba zostało gdzieś udokumentowane. Chryste Panie! Czy z niemowlęciem nie jeździ się ciągle na kontrole? Żeby je zmierzyć, zważyć i takie tam. Ktoś powinien się zainteresować, gdzie ono jest.

– O ile nie doszło do nagłej śmierci łóżeczkowej i dziecko nie jest dawno pochowane – skwitowała Ylva. – Wezmą cię za idiotkę, jeśli zgłosisz na policję zabójstwo, a w rzeczywistości stała się tragedia i zamknięto już dochodzenie w tej sprawie.

– Więc co, do cholery, mam robić, Ylva?

– Nie wiem.

– A jamnik Olofssona? Co się z nim stało?

– Dowiedziałaś się czegoś o Anicie?

– O masz! Zupełnie o niej zapomniałam.

Ylva pociągnęła tylko nosem i powiedziała:

– Przynajmniej masz Staffana. Kiedy się znowu zobaczycie?

– Nigdy, rzecz jasna! – wypaliłam. – On nie należy do mnie, tylko do Anny-Marii.

– Oj przestań już, Raili! Sama mówiłaś, że mieli romans rok temu. To stare dzieje. Nie masz się czym przejmować. Gdyby byli ze sobą tego lata, mogłoby cię to zrazić, ale rok temu... Nie bądź śmieszna!

– Tak sądzisz? – zapytałam i poczułam, jak nadzieja i wahanie przenikają mój umysł. To jednak nie koniec? Istniała więc szansa na to, że będziemy jeszcze parą?

Postanowiłam przez jakiś czas się nie wychylać i zobaczyć, co się stanie. Miałam

teraz ważniejsze sprawy na głowie. Musiałam się dowiedzieć, czy Louise była na wolności, kiedy zginął Olofsson i podpalono jego dom. Tylko jak? Rozważałam możliwości. Mogłam zadzwonić na policję i opowiedzieć o dziecku i swoich podejrzaniach, że Louise była w to wszystko zamieszana. Albo pojechać znowu do Gretaemmet i porozmawiać z Kristiną Bengtsson. Druga opcja wydawała się rozsądniejsza. Gdybym zadzwoniła na policję, anonimowo czy nie, odkryliby, że byłam w ośrodku i szpiegowałam, co do tego nie miałam wątpliwości. To prawdopodobnie odbiłoby się na mnie. I to dość mocno. Jeśli jednak najpierw porozmawiałabym z Kristiną, może byłaby do mnie nastawiona trochę przyjaźniej niż policja, która wparowałaby tu bez żadnego ostrzeżenia. Jeśli miałabym odrobinę szczęścia, może nie powiedziałyby policji, że byłam tam wcześniej.

## 45

Kristina Bengtsson siedziała z brodą opartą na zaciśniętych dłoniach i patrzyła na mnie wrogo. Nie wiedziałam, gdzie podziąć wzrok. Zaczęłam bębnić palcami o biurko, ale szybko przestałam.

– Ach tak – powiedziała. – Raili Rydell, zgadza się?

– Mhm – przytaknęłam.

– Więc za pierwszym razem przyjechała tu pani wypytać Louise o jej byłego męża, a nie dlatego, że pisała pani pracę o samobójstwach popełnianych przez pacjentów ośrodków psychiatrycznych w Szwecji? Dobrze rozumiem?

– Tak.

– Tylko dlatego, że jakiś znajomy powiedział, że jej były mąż jest agresywny i bije kobiety? – Głos Kristiny brzmiał lodowato.

– Ma na imię Staffan, ten jej eks – sprostowałam, ponieważ nie zniosłabym, gdyby Kristina Bengtsson po raz kolejny powtórzyła „jej były mąż”.

– A czy pani jest zainteresowana... Staffanem?

Czyżby drwiła?

– Nie o to tu chodzi – ucięłam, wydawało mi się bowiem, że Kristinie Bengtsson nic do tego, czy byłam zakochana w Staffanie, czy nie.

– Nie? – odparła i uniosła brew.

– Chodzi o coś poważniejszego. Nie opowiedziałam jeszcze wszystkiego.

– A zatem zamieniam się w słuch.

Kristina Bengtsson rozluźniła dłonie i zdjęła łokcie z biurka. Oparła się na krześle i patrzyła wyczekująco. Pomyślałam, że jeśli w ten sam sposób rozmawia ze swoimi pacjentami, to nie jest w stanie wyciągnąć z nich zbyt wiele.

– Mój przyjaciel, który przestrzegwał mnie przed Staffanem, powiedział sporo rzeczy.

Bardzo dziwnych rzeczy. Wkrótce później zmarł, a ja jestem przekonana, że to nie był nieszczęśliwy wypadek, jak wszystkim się wydaje. Sądzę, że został zamordowany, ponieważ coś podejrzewał.

Kristina Bengtsson poprawiła się na krześle. Nie zamierzałam zdradzać wszystkiego, co powiedział Olofsson, i miałam nadzieję, że nie zacznie wypytywać.

– Przekazał mi między innymi, że Staffan jest agresywny i że bił swoją żonę – ciągnęłam. – To dlatego zależało mi na rozmowie z Louise. Chciałam sprawdzić, czy Olofsson miał rację.

Kristina Bengtsson wciąż milczała i wpatrywała się we mnie.

– Dlatego na to wpadłam – zakończyłam, siedząc nieruchomo.

Nie powiedziała, że to najgłupsza rzecz, jaką w życiu słyszała, lecz jej wzrok mówił sam za siebie.

– Jak to? Nie rozmawiała przecież pani z Louise, kiedy tu była.

– Rozmawiałam – odrzekłam, zdenerwowana. – Zapytałam ją o Staffana, kiedy malowała. Zanim dostała ataku. Powiedziała, że Staffan jest dobry i opiekuje się chłopcami.

– To dlatego tak się uniosła? – zapytała Kristina surowo.

– Nie wiem – odparłam szczerze. – Nie była wzburzona, kiedy mówiła o Staffanie. To stało się jakby chwilę później. Rozpoznała mnie skądś i wtedy zaczęła krzyczeć o stosie i tym podobne rzeczy. – Pochyliłam się nad biurkiem i spojrzałam Kristinie Bengtsson prosto w oczy. – I teraz dochodzimy do powodu, dla którego faktycznie tu przyjechałam i opowiedziałam to wszystko – oznajmiłam i poczułam, jak przejmuję kontrolę. – Tydzień temu otrzymałam przesyłkę. Została nadana przez kogoś stąd.

– Słucham? – zapytała Kristina Bengtsson, zdumiona.

– Mam ją w samochodzie. Chce pani iść po nią ze mną?

Chciała. Opuściłyśmy jej gabinet i przeszłyśmy przez świetlicę, nie odzywając się do siebie ani słowem. Ogarnęło mnie lekkie uczucie triumfu, kiedy otworzyłam samochód i wyjęłam obraz, który podróżował ze mną na fotelu pasażera przez całą drogę z Valludden.

– Co u... – wykrztusiła Kristina Bengtsson zdumiona, gdy zobaczyła, o jakie malowidło chodzi.

– Zgadza się – odparłam. – To obraz, który ta artystka malowała w pracowni, kiedy byłam tutaj ostatnio.

Kristina Bengtsson wzięła go i trzymała przed sobą w wyprostowanych rękach.

– Ale dlaczego ktoś miałby wysłać go akurat pani? – zastanawiała się.

Po jej minie widziałam, że przyszło jej na myśl, iż ukradłam ten obraz, kiedy tam byłam, ale przypomniała sobie, że wtedy nie był jeszcze skończony. Artystka pracowała nad nim w chwili, gdy Louise dostała ataku.

– Widzi pani te niebieskie oczy u jednego z widzów? Nie było ich, kiedy ta pacjentka tworzyła obraz. To Louise domalowała je przed wysłaniem go do mnie.

– Wyciąga pani chyba zbyt pochopne wnioski – odparła i weszła z obrazem w rękach do budynku.

Dogoniłam ją i opowiedziałam o małej postaci na malowidle Louise. Kristina Bengtsson udała się prosto do pracowni malarskiej. Panował tam mrok i lekki chłód. W środku nikogo nie było. Pachniało farbą i terpentyną.

Przejechałam dłonią po ścianie w poszukiwaniu włącznika. Kiedy zapaliło się światło, Kristina Bengtsson była już w połowie drogi do sztalugi, przy której malowała Louise. Rozejrzała się wkoło. Obraz stał oparty o ścianę tuż za sztalugą. Mały człowieczek, który znajdował się na nim, miał już teraz dwoje lodowatoniebieskich oczu.

– O, cholera! – wymamrotała, a ja poczułam, jak ogarniało mnie uczucie ulgi.

– Dzwoniłam tu i rozmawiałam wczoraj z Louise – wyznałam.

– Ach tak. – Jej głos brzmiał teraz dość dziwnie.

Ostrożnie położyła obraz z klaunem na podłodze tuż obok obrazu Louise i przenosiła wzrok z jednej pracy na drugą.

– Zapytałam ją, czy to ona wysłała ten obraz. Potwierdziła.

Streściłam jej całą naszą rozmowę telefoniczną.

Skinęła głową, bym poszła za nią. Wróciłyśmy do gabinetu.

– Twierdzi pani, że Louise wymyka się nocą i jeździ samochodem? – zapytała.

– No, nie ja – odparłam, poirytowana. – Ona tak powiedziała. Mówiła, że jeździ do Lövaren albo do domu Staffana i patrzy na chłopców przez okno. Zdradziła, że widziała mnie w Lövaren, i to wydaje się dość logiczne. W przeciwnym razie skąd by



wiedziała, kim jestem i gdzie mieszkam?

– Pacjenci przebywają w ośrodku dobrowolnie – oznajmiła Kristina. – Nikt nie jest zmuszany, by tu być. Ale kiedy już się zgłaszają, muszą przestrzegać panujących tu zasad i absolutnie nie wolno im wyjeżdżać stąd bez zezwolenia.

– Nigdy wam nie zniknęła? – zapytałam. – Nigdy nie opuściła ośrodka w ciągu dnia?

– Oczywiście, że nie.

– Można to sprawdzić? – poprosiłam. – Wolałabym wiedzieć, że Louise nie śledziła mnie w nocy w Lövaren. – Poczulałam ukłucie wyrzutów sumienia. Akurat śledzeniem zajmowałam się sama.

– Louise nie opuszczała ośrodka w ciągu dnia, mogę o tym zapewnić. Słyszałabym coś na ten temat, byłoby jakieś dochodzenie.

– Niech pani posłucha – przerwałam jej szorstko. – Mówiłam przecież, że podejrzewam, iż Olofsson został zamordowany. Jego dom spłonął w dniu pogrzebu. Nie rozumie pani? Być może to Louise... – zamilkłam.

– Jest pani świadoma tego, co mówi? – zapytała Kristina.

– W pełni.

Wskazała drogę do innego pomieszczenia, wyjęła segregator i zaczęła go przeglądać.

– O jakie daty chodzi? – zapytała krótko.

– Yyy, pogrzeb był dwudziestego trzeciego września – zastanawiałam się głośno – więc znalazłam go w sobotę dziesiątego września, ale policja twierdziła, że nie żył od ósmego.

– Ósmy i dwudziesty trzeci września – wymamrotała Kristina, przeglądając papiery. – Ósmy to czwartek. Louise była obecna zarówno na śniadaniu, jak i na obiedzie. Tego dnia uczestniczyła w przygotowaniu posiłków. – Szukała dalej właściwych kartek. –

Dwudziestego trzeciego była u dentysty. Pamiętam to. – Wzrok Kristiny Bengtsson odpłynął gdzieś daleko. – Bardzo się bała. Miała leczenie kanałowe. Fredrika z nią pojechała. Musiała cały czas trzymać ją za rękę.

– O której godzinie?

– Wizyta była o pierwszej. Wyjechały stąd o dwunastej, a wróciły o czwartej po

południu. Proszę spojrzeć tutaj. – I podsunęła mi raport. – Pojechały saabem, jednym z naszych samochodów służbowych. Dwie osoby łącznie z kierowcą. Fredrika Andersén i Louise Hansson.

Tak było napisane. Czarno na białym. Louise nie mogła być w Lövaren ani tego dnia, kiedy zmarł Olofsson, ani wówczas, gdy spłonął jego dom. Ale to wciąż ona mogła zabrać dziecko. Może to zdarzyło się nocą. Jeśli faktycznie nie zmarło i nie zostało pochowane, jak mówiła Ylva.

– Dziękuję – powiedziałam. – Wierzę pani. A co zamierzacie poradzić na to, że się nocą wymyka i jeździ samochodem?

– Oczywiście zabierzemy jej kluczyki – oznajmiła. – I dopilnujemy, żeby kluczyki wszystkich innych pacjentów były zamknięte w schowku. Taka sytuacja nie może mieć miejsca.

Kristina Bengtsson popatrzyła na mnie. Wyglądała, jakby chciała coś jeszcze powiedzieć, tyle że się wahała. Zrozumiałam, co miała na myśli.

– Jeśli pani chce, możemy oddzielić to wszystko kreską – zaproponowałam. – Zapomnę, że Louise opuszczała ośrodek nocą, a pani wymaże z pamięci, że byłam tu pod fałszywym nazwiskiem i wymyśliłam powód tej wizyty. Chyba żadna z nas by na tym nie skorzystała, gdyby któraś z tych rzeczy wyszła na jaw.

Skinęła głową, jakby to ona wyświadczała mi przysługę. Postanowiłam nie zwracać na to uwagi. Nadeszła pora, by jechać do domu, wcześniej jednak chciałam porozmawiać z Louise.

– Czy mogłabym zamienić słowo z Louise, zanim pojedę do domu? – zapytałam.

– Tak – zgodziła się. – Ale w mojej obecności.

Poszłyśmy do Louise. Było po szóstej i dzisiejsze zajęcia się skończyły. Leżała w łóżku i patrzyła w sufit.

– Jak się czujesz, Louise? – zapytała Kristina Bengtsson. – Minął ci już ból głowy?

– Cześć, Louise – powiedziałam. – To ja, Raili, pamiętasz mnie?

Louise odwróciła głowę i spojrzała na mnie.

– Co ty tutaj robisz? – zapytała.

– Chciałam zwrócić obraz, który przysłałaś. Nie jest chyba twój? – odparłam.

Louise wzruszyła ramionami.

- Dlaczego wysłałaś ten obraz, Louise? – spytała Kristina Bengtsson.
- Uznałam, że powinna wiedzieć, co ją czeka – odpowiedziała Louise.
- Boisz się jej? Tej kobiety z lasu – zapytałam.
- To nie kobieta – odrzekła.
- W takim razie co? Kim jest ona?
- Nie wiem. Ma przerażające oczy... Boję się jej. – Skuliła się na łóżku.
- Dlaczego jeździsz tam w środku nocy, skoro się boisz?

Louise znowu wzruszyła ramionami i spojrzała na mnie.

- Jestem już martwa. To bez znaczenia.
- Co masz na myśli, Louise? – zapytała zaniepokojona Kristina Bengtsson. – O czym ty mówisz?

– Zabrała mi wszystko. Dosłownie wszystko. Moje dzieci, moją duszę... Równie dobrze może zabrać moje ciało.

Nagle dostała w łóżku drgawek. Jej stopy kopały pościel, ręce biły klatkę piersiową, a głowa chodziła z jednej strony na drugą. Mocno mrugała oczami i zaczęła drapać się po twarzy.

Kristina Bengtsson podbiegła do niej i złapała ją za ramiona. Jednocześnie krzyknęła do mnie, żebym wcisnęła czerwony przycisk obok łóżka. Pośpieszyłam, by zrobić, co kazała, a po chwili usłyszałam bieg na korytarzu. Dwie osoby przybyły z pomocą. Z nozdrzy i ust Louise zaczęła lecieć żółtobiała piana. Nie chciałam tego widzieć. Mój wzrok próbował odnaleźć Kristinę Bengtsson i kiedy nasze spojrzenia się spotkały, skinęłam w stronę drzwi.

Kolejny raz uciekłam z Gretahemmet.

## 46

Czy ta rzucająca się w łóżku kobieta mogła faktycznie być kiedyś beztruską imprezowiczką? Może Kennet kłamał? A może kłamała Sara, gdy mówiła, że Louise miała dość, kiedy Staffan cały swój czas spędzał, próbując pomóc swojej siostrze ćpuncie? Żałowałam, że nie zdążyłam zapytać o to Louise, zanim dostała ataku. Zastanawiałam się, co sprawiło, że zachorowała. Co było nie tak ze wszystkimi kobietami znad jeziora? A może nie ze wszystkimi... W końcu ja byłam normalna. Sara i Freda też, o ile mi wiadomo. Ale Louise, Anna-Maria, Berit i przypuszczalnie Anita... z nimi coś było nie tak.

Powinnam chyba jeszcze sprawdzić Anitę.

Pojechałam do Greta Hemmet zaraz po pracy i kiedy wróciłam do domu, burczało mi w brzuchu. Było po ósmej. Zajrzałam do lodówki, żeby przygotować coś na szybko, lecz nic nie znalazłam. Musiałam zadowolić się kanapkami i kubkiem herbaty. Na zewnątrz zrobiło się ciemno, a liście starych drzew wzdłuż rzeki zaczęły zmieniać kolor. Cieszyłam się, że pod moim oknem stoją latarnie. Dzięki nim nie czułam się już taka samotna.

W jaki sposób mogłam dotrzeć do Anity?

Wiedziałam, że ma teraz trzydzieści siedem lat. To oznaczało, że urodziła się w 1974 roku. Weszłam na stronę [birthday.se](http://birthday.se) (swoją drogą to niesamowite, że w ogóle istnieje coś takiego jak [birthday.se](http://birthday.se)) i wpisałam: „Anita, Göteborg, rok urodzenia 1974”. Wyskoczyło dziewięć trafień. Dziewięć Anit z Göteborga, które dzisiaj mają trzydzieści siedem lat. To było możliwe do sprawdzenia. Podano również adresy. Wystarczyło tylko tam jechać, podać się za jakiegoś przedstawiciela handlowego czy kogoś podobnego i zapukać do drzwi. Oczywiście jeśli nie było domofonu...

Postanowiłam odłożyć do przyszłego weekendu podróż do Göteborga, żeby sprawdzić, kim właściwie jest Anita. W międzyczasie planowałam przykładowo wypełniać swoje obowiązki służbowe i spróbować dowiedzieć się, co stało się z zaginionym dzieckiem. Ylva pewnie miała rację, twierdząc, że zmarło w wyniku nagłej śmierci łóżeczkowej. To dlatego Anna-Maria była w depresji. Kennet również zachowywał się dziwnie, a dzieci? Być może odczuwały tak mocne napięcie ze strony rodziców, że nie odważyły się nawet wspominać o niemowlęciu. Może całkowicie wyparły swoją młodszą siostrzyczkę.

Było jednak coś, co wciąż nie pasowało do tego równania. Jamnik Olofssona. Nie mogłam znaleźć żadnego wytłumaczenia dla jego zaginięcia.

Pamiętam wyraz twarzy Olofssona, gdy rozmawialiśmy o psie i zdawało się, że coś pamięta. Oraz twarz Tovy odzwierciedlającą tę samą niepewność, kiedy mówiła, że będzie miała małą córeczkę o imieniu Alma. Jeśli nie będę stuprocentowo pewna, że Anna-Maria urodziła dziecko, które zmarło śmiercią naturalną i zostało pochowane, będę musiała zadzwonić na policję. Tyle że wciąż nie miałam pojęcia, jak mogę to sprawdzić.

Pozostawała jeszcze kwestia złych mocy w lesie, o których wspominał Olofsson.

No i tych wszystkich osobliwych wydarzeń, które miały miejsce w ciągu ostatnich dwustu lat. Zamordowana rodzina, poćwiartowane cygańskie dzieci. Dziwna śmierć i zaginięcie bliźniąt z przedszkola.

O co w tym wszystkim chodziło?

Całe szczęście, że nie widzimy, co przyniesie nam przyszłość, nawet ta najbliższa. W niektóre wieczory zdawało mi się, że jeśli bym wcześniej wiedziała, co zgotuje mi dzień, w ogóle nie wstawałabym z łóżka.

Gdybym była świadoma tego, co przydarzy mi się w ciągu najbliższych dni, prawdopodobnie wyjechałabym za granicę. W tym przypadku faktycznie byłoby lepiej, gdyby dało się przewidzieć przyszłości. Może wszystkim wyszłoby to na dobre, gdybym po prostu odpuściła i zostawiła sprawy swojemu biegowi. Ale to nie byłoby sprawiedliwe. Nie byłoby słuszne.

## Październik 1670 roku

Zgromadzeni wyszli z kościoła zwartą grupą i dołączyli do tych, którzy wymknęli się wcześniej. Pastor widział, jak dyskutowali i wymachiwali rękami. Na kościelnym wzgórzu zapadały najważniejsze decyzje. Zwykle przysłuchiwał się i rozstrzygał spory, ale tym razem nie był w stanie. Wiedział, że Björn znajdował się pośród mężczyzn, to zaś oznaczało oczywiście, że Kirsti również tam była. Nie dałby rady przebywać w jej obecności. Sprawiało mu to fizyczny ból.

Ależ on pożądał tej kobiety! Każdej części jej ciała. Długich, kręconych, rudawych włosów, błyszczących oczu, małego nosa, piegów, szerokich ust, które zawsze układały się w delikatny uśmiech – uderzył się mocno w policzek. Dosyć!

Nagle pomyślał o swoim starym przyjacielu z dzieciństwa i studiów, Larsie. Wrócił do Härnösand i objął parafię po swoim ojcu. Lars Karlsson... Laurentius Caroli, tak brzmiało jego łacińskie imię. Ericus Hernodius posunął się dalej. Przyjął imię od nazwy rodzinnej wioski. Całej wioski. Zanim poświęcił swe życie Bogu, nazywał się Erik Svensson.

O Larsie krążyły plotki. Gadano o tym, że spraszał sobie na noc służącą. Czy nie mówili jednak, że była czarownicą, a Lars nie zawinił? Ericus zawsze śmiał się z tych zarzutów. Zwalanie winy za swoje pożądanie na czarownicę, czy to czasem nie było bluźnierstwo? Ale teraz zaczął sądzić, że może mimo wszystko to nie było takie oczywiste. Może Lars faktycznie był niewinny i wystawiono go na działanie szatana? Kim był, żeby podważać niewinność swojego brata z seminarium i przyjaciela? Pastora i sługi bożego jak on sam. Czy Lars mógłby się uciec do kłamstwa?

Uwieść duchownego, czy nie na tym najbardziej zależało szatanowi? Wysłał swoją dziewczynę, żeby rzuciła się na pastora, skusiła go pod osłoną nocy, kiedy siła Boga słabła, tak by uległ i zapadł się w ciemności aż do bram piekielnych.

Ale Kirsti go nie kusiła, musiał to przyznać. Zdawało się, że nawet go nie dostrzegła. Co w takim razie się z nim działo?

Marzył dalej. Nie mógł się temu oprzeć. Leżał nocą w swoim twardym łóżku z szeroko otwartymi oczami, odczuwając rozkoszny ból w kroczu. Gdyby tylko Björn

umarł. Wtedy mógłby zmiłować się nad biedną wdową. Otoczyć ją opieką. Poślubić w swojej dobroci i przyjąć z synem na plebanię... Ale dlaczego Björn miałby umrzeć? Był przecież okazem zdrowia.

W ich domu mógłby wybuchnąć pożar. Ericus Hernodius pogrążył się w swojej fantazji, jak to rzuca się w ogień i ryzykując życie, wnosi Kirsti na swoich silnych ramionach (chłopca także, bo inaczej byłaby zrozpaczona i nie dałaby się pocieszyć), ale nie udaje mu się wrócić do tego piekła, by ocalić Björna.

Dosyć!

Jak mógł żywić tak silne uczucia do kobiety innego mężczyzny? A przy tym dobrego człowieka. Porządnego i ciężko pracującego.

Miłość jest okrutna. Nieodwzajemnione uczucie wydaje się bezwzględne i nieustępliwe. Nikt nie czuje się bardziej samotny niż człowiek, który kocha i nie jest kochany.



Mój plan przedstawiał się bardzo dobrze, pomyślałam. Zrozumiałam, że jeśli mam dotrzeć do właściwej Anity, muszę oferować sprzedaż odpowiednich produktów. No cóż, na podstawie mojej ograniczonej wiedzy na temat rodziców wywnioskowałam, że musi to być coś dla dzieci. Ubezpieczenia, ubranka lub zabawki. A jeśli Anita nie była zbyt dobrze sytuowana, czego mogłabym się spodziewać po byłej narkomance, podarunki wydawały się najlepszym pomysłem, by zawitać pod jej drzwi.

Zadzwoiłam do Ylvy, żeby opowiedzieć o swoim planie i zapytać, jakie zabawki dla małych dzieci były teraz na czasie. Ponieważ jej siostra urodziła w zeszłym roku, uznałam, że w tej dziedzinie Ylva może uchodzić za eksperta. Nie myliłam się. Wiedziała wszystko i po długich dywagacjach oznajmiła, że najlepiej sprawdzą się klocki Duplo.

– Upewnij się, że na pudełku jest napisane poniżej pierwszego roku życia, żeby nadawały się dla małego dziecka – doradziła.

Mając na uwadze rady Ylvy, pomaszerowałam do sklepu z zabawkami i kupiłam różne zestawy klocków, które zdawały się wynagrodzeniem dla rodziców za czas spędzony w poszukiwaniu najlepszych pieluch i kaszek. Postanowiłam najpierw zaprezentować zabawki, a później opowiedzieć, jak łatwo może je zdobyć. W końcu łącznie kosztowały prawie pięćset koron i miałam nadzieję, że Anita będzie świadoma, jak drogie są Duplo.

Zadowolona z siebie, wróciłam do domu. Był piątek. Po drodze z pracy kupiłam sushi, które zjadłam przed telewizorem. Klocki leżały na stole kuchennym razem z notesem i długopisem, żeby wyglądać bardziej profesjonalnie. Miałam włożyć wygodne buty i ciepłe ubranie oraz spakować do plecaka solidny termos z kawą i kilka kanapek. Pójdzie jak z płotka, pomyślałam.

Może by tak było, gdybym zignorowała fakt, że nie mogłam znaleźć plecaka, i zamiast tego wcisnęłabym wszystko do torby. Niestety, ta miała dość wąskie paski, które wbijały się w ramiona, kiedy torba była zbyt ciężka. W sobotę rano stanęłam gotowa w kuchni z termosem z kawą, pojemnikiem wypełnionym kanapkami, z klockami Duplo, profesjonalnym notesem i długopisem. Rozejrzałam się wkoło. Plecaka nie było za drzwiami kuchennymi, gdzie zwykle leżał. Co, u licha, z nim zrobiłam?

Przeszukałam całe mieszkanie. Wszystkie szafy w sypialni i pod łóżkiem. Nic. Zajrzałam we wszystkie kąty i zakamarki w salonie i przedpokoju. Dalej nic. Sprawdziłam nawet w łazience. Nie wiem, dlaczego miałabym go tam kłaść, w każdym razie tam też go nie było.

W końcu usiadłam na sofie i zaczęłam się zastanawiać, gdzie miałam go ostatnio. To musiało być w domu Olofssona, kiedy poszłam po albumy i zdjęcia. Oczywiście, że tak. Przesiąkł dymem, więc wystawiłam go na balkon.

Otworzyłam drzwi i oto się znalazł. Cieszyłam się, że nad balkonem znajduje się daszek. W przeciwnym razie plecak już dawno by tam zapleśniał. Powąchałam go, zapach dymu uleciał już niemal całkowicie.

Kiedy otworzyłam zamek i zajrzałam do środka, znalazłam koszulę Olofssona. Zupełnie o niej zapomniałam.

Przyłożyłam nos do materiału i wąchałam, ale koszula nie pachniała już Olofssonem. Przeszła zapachem plecaka i delikatną wonią dymu. Rozpostarłam ją przed sobą i zauważyłam, że pasowałaby na mnie. Podobała mi się. Była w żółto-czerwono-pomarańczową kratkę z małymi zielonymi paskami tu i tam. Chciałam ją zatrzymać, nawet jeśli nie pachniała już Olofssonem. Weszłam do łazienki i kiedy wrzuciłam ją do kosza na pranie, bardziej poczułam, niż usłyszałam, jak coś zaszeleściło. Wyjęłam koszulę i przeszukałam kieszenie na piersi. W jednej z nich znalazłam pomięty kawałek papieru. Rozłożyłam go i dojrzałam rozstrzelone pismo Olofssona. Znajdował się na nim numer rejestracyjny, a pod spodem nazwisko: Sture Fritjofsson.

Miętosилаm koszulę w dłoniach i z namysłem wpatrywałam się w kabinę prysznicową. Sture Fritjofsson? Numer rejestracyjny? Nie można było tego sprawdzić

na stronie wydziału komunikacji? Podeszłam z koszulą i kartką do laptopa i odnalazłam rejestr samochodów. Na stronie znajdowała się wyszukiwarka, wpisałam numer z kartki i kliknęłam enter.

Na ekranie wyświetliło się: „Toyota corolla, rocznik 2008, kolor srebrny”. Nie podano właściciela, ale jeśli Olofsson napisał Sture Fritjofsson, założyłam, że to jego samochód. Czy przypadkiem nie to odkrył Olofsson i w tej sprawie do mnie dzwonił?

– Samochód w lesie – powiedziałam na głos. – To ten samochód w lesie?

Próbowałam sobie przypomnieć, jak wyglądał. Pamiętałam, że to była toyota, ale kolor? Może i srebrny. Wpisałam w Google’u „toyota corolla” i spojrzałam na zdjęcia. To mógł być ten samochód, lecz nie miałam pewności.

Chryste Panie! A jeśli ten samochód w lesie należał do Fritjofssonów, gdzie w takim razie byli oni? I dlaczego w ogóle zostawili samochód w lesie i opuścili Lövaren?

Coś tu się nie zgadzało. Olofsson pewnie też tak sądził. Czy dlatego zginął?

W tej sytuacji byłam zmuszona przełożyć swój wyjazd do Göteborga i spotkanie z Anitą. Musiałam dowiedzieć się, czy samochód faktycznie należał do Fritjofssonów.

Im bardziej zbliżałam się do Lövaren, tym ciemniejsze stawało się niebo. Odniosłam wrażenie, jakbym była w drodze do krainy cieni lub czegoś w tym stylu. Nie wierzę w intuicję, znaki ani żadne takie, ale to naprawdę nie wróżyło nic dobrego.

Kiedy zaparkowałam samochód i już miałam otwierać drzwi domku, ogarnęła mnie przemożna ochota, by porozmawiać z Sarą. Stałam nieruchomo przed zielonymi drzwiami z pękiem kluczy w jednej dłoni i plecakiem w drugiej. Z północnego zachodu wiał lekki, acz nieprzyjemny wiatr. Wrzuciłam plecak z powrotem do samochodu i ruszyłam ścieżką do Hanssonów. Jakies dźwięki sprawiły, że spojrzałam na jezioro i zobaczyłam (głowy cygańskich dzieci, które unosiły się w szuwarach, i mokrą, rozczochraną czuprynę Olofssona, która falowała jak algi pod powierzchnią wody) coś czerwonego, co biegało po plaży tam i z powrotem. Tova? Zbliżała się do pogorzelniska wśród krzaków, które wyglądało jak zepsuty ząb, ale nagle przystanęła i nie odważyła się do niego podejść.

– O, Raili, jak miło cię widzieć! – wykrzyknęła Sara, kiedy przekroczyłam próg kuchni. – Jednak przyjechałaś!

– Tak – odparłam i usiadłam przy stole.

Ogień skwierczał w kominku, a w powietrzu unosił się zapach palonej brzozy i kawy. Już nie uważałam, że odgłos palonego drzewa jest najprzyjemniejszy na świecie.

– Almkvistowie też przyjechali? Zdaje mi się, że widziałam małą Tovę po drugiej stronie jeziora.

– Tak, wczoraj wieczorem. Są również Karl i Freda. Pewnie chcą doprowadzić dom do ładu przed zimą – odpowiedziała Sara i naląła mi kawy.

Do kuchni wszedł Anders i przyjaźnie skinął głową w moją stronę. Wziął kubek

i usiadł przy stole obok mnie i Sary.

– Rozmawiałam trochę z Fredą jakiś czas temu – oznajmiłam. – Słyszałam, że działa w tutejszym Towarzystwie Historycznym.

– Zgadza się – odparł Anders i podmuchał na swoją kawę. – Interesuje cię historia wioski, Raili?

– Tak. Kiedy byłam w lesie latem, znalazłam działkę położoną nieco wyżej. Zaintrygowała mnie. Olofsson opowiadał, że mieszkała tam kobieta, o której mówiono Szalona Anna, a Freda znalazła w jakiejś książce, że była to wdowa po żołnierzu i w rzeczywistości nazywała się Anna Jonsdotter. Zmarła na początku lat trzydziestych ubiegłego wieku.

– Czy to nie jest tam w górze na polanie, Anders? – zapytała Sara. – Tam, gdzie czasem wypasaliśmy krowy?

– Tak – odpowiedział. – Słyszałem o Szalonej Annie. Może Yngve mi o niej opowiadał.

Policzyłam szybko w pamięci. Jeśli Anders urodziłby się w 1933 roku, kiedy zmarła Szalona Anna, miałby dzisiaj siedemdziesiąt osiem lat. Chyba nie był aż tak stary.

– A twoi rodzice nic nie mówili? – zapytałam.

– Nie. Nie pochodzę z tych stron. Dorastałem na wschód od Strömstad. Kupiłem tę ziemię na początku lat sześćdziesiątych.

– Aha. Myślałam, że twoja rodzina mieszka tu od pokoleń.

– Nie. Od pokoleń zajmowali się uprawą ziemi, ale nie tutaj. Bracia przejęli gospodarstwo w moich rodzinnych stronach, a ja chciałem mieć coś swojego.

Ach, tak. Wciąż tak niewiele wiedziałam...

– Staffan nie chciał przejmować ziemi – ciągnął Anders. – I słusznie. Nie da się już wyżyć z produkcji mleka. W każdym razie jeśli nie ma się dużego stada. My mieliśmy tylko piętnaście krów. Nie można było się na tym dorobić.

– A gdzie je trzymaliście? Obora co prawda została, ale nie ma tu chyba żadnych pastwisk?

Pomyślałam o ziemi Anderssonów po drugiej stronie jeziora, ze wszystkimi polami i łąkami, które otaczały gospodarstwo.

– Mieliśmy z tym prawdziwe utrapienie. Co prawda w pobliżu jest las, lecz pola

uprawne znajdują się kawałek dalej, więc musieliśmy przeprowadzać krowy przez las za każdym razem, kiedy była pora dojenia.

– Ale było wesoło. Nie sądzisz, Anders? – wtrąciła Sara. – Szliśmy przez las, Anders i ja, a między nami długi rząd krów. Każdego ranka i wieczoru.

– Mijaliście moją działkę? – zapytałam.

– Nie, szliśmy w górę lasu, za oborą. Nie widziałaś łąk, kiedy jechałaś na drugą stronę jeziora?

– Oczywiście, że widziałam. Nie wiedziałam tylko, że to ziemia Hanssonów.

– Czasami trzymaliśmy krowy na polanie niedaleko tej działki, ale miały tam tak mało do jedzenia, że nie opłacało się tego grodzić.

– Kto mieszkał tutaj przed wami, Anders? – zastanawiałam się.

– Nazywał się Karlsson. Biedak nie był taki stary. Dopiero co wybudował oborę, kiedy w lesie przygniotło go drzewo i został kaleką. Kręgosłup i nogi nie wytrzymały. Zmarł kilka lat później.

Znowu ten las. Wypiłam trochę kawy i wyjrzałam przez okno. Sara podążyła za moim wzrokiem.

– Ależ jest ciemno! – skwitowała. – Trudno uwierzyć, że to dopiero jedenasta rano.

– Udało się znaleźć jakichś spadkobierców Olofssona? – zapytałam. – Nie pamiętam nikogo z pogrzebu.

– Nie – odparła Sara. – Nie miał żadnych.

A zatem Olofsson był całkiem sam.

– Co stanie się teraz z jego działką? – zastanawiałam się.

– Państwowy Fundusz Spadkowy ją przejął. Uporządkują pewnie teren po pożarze i sprzedadzą ziemię. Jest przecież pięknie położona. Miejmy nadzieję, że kupi ją jakaś rodzina z dziećmi i postawią nowy dom. Dzieci Kenneta miałyby wesoło.

– Mhm. Wiadomo już, dlaczego dom spłonął? Mam na myśli, czy odkryto już przyczynę pożaru?

– Nie – odpowiedział Anders. – Nie udało im się ustalić. Dziwne, zwykle wiedzą, gdzie zaczęło się palić. Kiedy czyta się w gazetach o różnych pożarach, piszą...

– Ależ Anders – przerwała mu Sara – skąd mieliby to wiedzieć. Sam widziałeś, jak to wygląda. Przecież nic nie zostało.

– Twierdzą, że doszło do zwarcia elektrycznego – oznajmił Anders. – Telewizor lub jakieś inne urządzenie. Najwyraźniej jest to dość powszechne. Może powinniśmy wieczorami wyjmować z gniazdka kabel od telewizora, żebyśmy nie spłonęli w łóżku.

– Co ty wygadujesz? – odparła Sara, choć wyglądała na lekko wystraszoną.

– Będę się zbierać – powiedziałam. – Powinnam chyba włączyć już ogrzewanie, żeby nie zamarznąć w nocy. Po tych wszystkich rozmowach o pożarach... – dodałam i uśmiechnęłam się.

– Masz drewno? – zapytał Anders – Mogę przywieźć ci taczka.

– Mam pełno drewna, ale bardzo dziękuję, Anders. I dzięki za kawę. Pewnie wkrótce się zobaczymy.

Kiedy wyszłam, zaczęło padać. Powietrze było ciężkie i czym prędzej pobiegłam do domku. Tym razem udało mi się wcześniej zrobić zakupy, więc miałam ze sobą zarówno kawę, jak i jedzenie. Przyrządziłam pyttipannę z jajkiem, cały czas obserwując ogień w kominku. I pomyśleć, że wcześniej uważałam, że to wspaniale mieć w domu kominek...

Skończyłam jeść i patrzyłam na siąpiący deszcz za oknem. Co prawda wzięłam ze sobą kalosze, ale nie miałam ochoty iść do lasu w taką pogodę.

Moje myśli znowu zaczęły krążyć wokół Staffana i Anny-Marii. Musieli mieć romans w wakacje, zanim zniknęło dziecko i jamnik Olofssona. Moje pierwsze lato na działce. Zastanawiałam się, czy Staffan bywał wtedy częściej w Lövaren, i faktycznie tak było. To wtedy poznałam Sarę i Andersa. Pamiętam, jak próbowała dyskretnie mnie z nim zeswatać, niestety, bezskutecznie. Nic dziwnego, że nie był zainteresowany, kiedy w tym samym czasie zabawiał się po drugiej stronie jeziora. Nie pamiętam, czy w ogóle widziałam Annę-Marię, ale też nie przebywałam wtedy po tamtej stronie. Nie zaprzętałam sobie głowy Staffanem. Postanowiłam przecież do końca życia być sama. Poza tym sądziłam, że tak atrakcyjny mężczyzna nigdy by się mną nie zainteresował.

Ale stało się inaczej. To on do mnie zadzwonił, nie odwrotnie. Zabiegał o spotkanie, nie latałam za nim. A może Ylva mimo wszystko miała rację. Może nie kochał już Anny-Marii? Może wylądowali w łóżku przez przypadek? Na miłość boską! To mógł być przecież jednorazowy wyskok.

Pomyślałam o rzekomej ciąży Anny-Marii i dziecku. Olofsson twierdził, że widział

wózek na początku lata, a później już nie. Zastanawiałam się, czy ktoś stąd wiedział, co się stało. Czy była to nagła śmierć łóżeczkowa, czy inny „naturalny” powód zgonu. Ale czy wtedy nie wspomnieliby o tym? Ludzie gadają przecież o takich rzeczach. Powinnam była zapytać Sarę i Andersa, kiedy ich odwiedziłam.

Pochodziłam trochę po pokoju w moich wełnianych skarpetach, dołożyłam kilka kawałków drewna do kominka i otuliłam się grubym swetrem. W domku nie miałam nic do roboty. Zawsze mogłam pojechać na drugą stronę jeziora i porozmawiać z Fredą o tych strasznych wydarzeniach, o których przeczytałam w archiwum. Wspólna filiżanka herbaty z pewnością była przyjemniejsza niż wyprawa do lasu w taką pogodę. Zapytałabym przy okazji o Fritjofssonów.

Miałam nadzieję usłyszeć, że pojechali do Tajlandii, a przed wyjazdem zgłosili kradzież samochodu.



Kiedy wysiadłam z samochodu, wciąż czułam lekki zapach dymu. Założyłam kaptur, zapięłam swój płaszcz przeciwdeszczowy i ruszyłam w stronę domu Olofssona. Mój wzrok zatrzymał się na żywopłocie, w którym zaliczyłam bolesne lądowanie po tym, jak wyskoczyłam z okna sypialni Yngvego. Z tej perspektywy wydawał się dość miękki. Obeszłam działkę i zobaczyłam odłamki szkła oraz zwęglone, wygięte kawałki drewna porozrzucone po całej posesji. Samochodu już nie było. Pewnie go gdzieś odholowali, a resztą śmieci zajmą się później.

Karl stał w błocie po łydki i przekopywał ogród. Skończył, kiedy mnie zobaczył, i skinął przyjaźnie.

– A więc jednak przyjechałaś – powiedział. – Freda jest w środku, jeśli chcesz z nią porozmawiać.

Zapukałam do drzwi. Wyjrzała zza nich Freda.

– Witaj, Raili – rzuciła na mój widok. – Wchodź, wchodź. Karl mówił, że dzwoniłaś, gdy byłam chora.

– I jak? – zapytałam. – Udało im się ustalić, co ci dolegało?

– Nie, nie pojechałam w końcu do szpitala. To był pewnie tylko napad migreny. Słyszałam, że człowiek fatalnie się wtedy czuje. Tak, to musiało być to.

Freda wyszła do białej kuchni i po chwili zaczął stamtąd dobiegać brzdęk porcelany i odgłos lejącej się wody. Spojrzałam na ściany. Nie znam się na sztuce, ale mieli niesamowite obrazy. Były bardzo abstrakcyjne, różne kolory nanoszone przez zamaszyste pociągnięcia pędzlem, które się przecinały. Czasem zdaje mi się, że mogłabym stworzyć coś takiego, ale pewnie by mi się nie udało.

Freda podała filiżanki i scones<sup>9</sup> z serem i marmoladą. Panowały tu raczej angielskie, nie niemieckie zwyczaje, choć nie mnie to oceniać. Sama przecież piekę

takie bułeczki.

– Akurat wyjęłam je z pieca, kiedy przyszedł – powiedziała i uśmiechnęła się.

– Nie zawołałamy Karla? – zapytałam, ale Freda pokręciła głową.

– Nie, dopiero co wyszedł. Niech lepiej trochę popracuje, zanim zrobi sobie przerwę na herbatę.

Ostrożnie ugryzłam gorącą bułeczkę, a roztopione masło i marmolada spłynęły po mojej brodzie. Freda podała mi serwetkę.

– Czytałam trochę o Lövaren – zaczęłam, kiedy już przełknęłam pierwszy kęs. –

Byłam w Archiwum Towarzystwa Przyjaciół Bohuslän, to archiwum prasowe, i znalazłam trochę starych artykułów z „Bohusläningen”.

– Ciekawe.

– O, tak. – Przez chwilę zastanawiałam się, jak mam pociągnąć ten wątek. – Wydarzyło się tu sporo dziwnych rzeczy.

– Masz na myśli tę zamordowaną rodzinę?

– Słyszałaś o tym?

– Tak. Wiesz, istnieje stary dokument...

Przypomniało mi się, jak rozmawiała o tym z Berit na przyjęciu u Sary.

– Dokument, który mają Berit i Helge? To tam doszło do morderstwa? W ich zagrodzie?

– W ich domu, Raili. Dokładnie w ich domu.

– Ale ten dom chyba nie jest aż tak stary?

– Został zbudowany pod koniec dziewiętnastego wieku w formie, w jakiej stoi dzisiaj, ale niektóre jego części są naprawdę stare. Kiedy Helge zerwał podłogę w latach osiemdziesiątych, pod jej deskami znalazł jakiś dokument. Nie widziałam go na własne oczy, tylko słyszałam o nim. Berit nie chce, żeby to wyszło na jaw, *nein*, lecz to bardzo ciekawe.

– Co to takiego? Przyznanie się do winy spisane przez zabójcę? Parobka?

– *Nein*, wiesz, w tamtych czasach służba nie potrafiła czytać ani pisać. Mówimy o połowie osiemnastego wieku... *Nein*, myślę, że napisał go pastor, ale nie wiem, czy jest to sprawozdanie z przebiegu morderstwa, czy wyznanie parobka. I dlaczego wylądowało pod podłogą? To bardzo ciekawe.

– A skąd wiesz, że dokument istnieje naprawdę? – zastanawiałam się. – Czy ktoś inny go widział?

– Tak, Helge pokazał go Karstenowi Johanssonowi z Towarzystwa Historycznego wiele lat po tym, jak go znalazł. Nie mógł odczytać, co było tam napisane, i pomyślał, że ktoś mógłby mu pomóc to rozszyfrować. Ale kiedy dowiedział się, co to było, zabrał dokument do domu i nie chciał pokazywać go nikomu. Karsten próbował namówić Helgego, by przekazał go do ośrodka, ale *nein*, nie zgodził się.

Freda była zabawna. Kiedy przyszłam, mówiła czystym szwedzkim z lekkim akcentem, lecz im dłużej rozmawialiśmy o dokumencie, tym częściej wtrącała niemieckie wyrazy.

– Zdarzyło się tutaj więcej dziwnych rzeczy – powiedziałam. – Pod koniec dziewiętnastego wieku w lesie znaleziono pocięte dzieci.

– W lesie znaleziono po ciemku dzieci? – zapytała Freda.

– Nie, pocięte, poćwiartowane – wyjaśniłam. – Sprawcy nigdy nie złapano, ale najwyraźniej podejrzewano Annę Jonsdotter. Pamiętasz ją? Znalazłaś jej zdjęcie w jakiejś książce o starych domach i zagrodach w Lövaren. Wdowa po żołnierzu, która mieszkała w leśnej chacie niedaleko mnie.

– Tak? Nie słyszałam o tym. Poćwiartowane dzieci? To jakaś makabra.

– À propos dzieci – ciągnęłam. – Olofsson opowiedział mi przed śmiercią kilka historii. Bardzo dziwnych historii. Mówił między innymi, że u Almkvistów pojawiło się małe dziecko. Noworodek, tak mi się zdaje. Wiesz, co się z nim stało?

– *Nein*, musiał sobie z ciebie żartować.

– Nie, mówił poważnie. Nie widziałaś przypadkiem małego dziecka? Albo wózka? Na początku lata. Byliście tu wtedy?

– Przyjechaliśmy w połowie czerwca. Całą wiosnę pracowałam z doktorantem – odparła Freda, marszcząc czoło. – Ale jestem pewna, że Yngve się mylił. Gdzie byłoby teraz niemowlę?

– No właśnie się zastanawiam – rzekłam, spoglądając jej prosto w oczy. – Anna-Maria cierpi na zaburzenia na tle nerwowym, co nie byłoby dziwne, gdyby okazało się, że latem straciła dziecko.

– Ale przecież słyszeliśmy coś na ten temat.

– Pojechałam do Vänersborg i rozmawiałam z jej sąsiadami. Pamiętali, że była w zaawansowanej ciąży, tyle że nigdy nie widzieli maleństwa. Myśleli, że może zmarło w wyniku nagłej śmierci łożeczkowej – oznajmiłam.

– Prawdziwy z ciebie detektyw – odparła Freda bardzo oschłym tonem.

Wtem przypomniałam sobie o negatywie.

– Byliście tu chyba w noc Walpurgii, prawda? – zapytałam. – Znalazłam negatyw ze zdjęciami z zeszłej wiosny, z serią przy ognisku. Byliście tutaj, Almkvistowie też. Głaskałaś jamnika Olofssona.

Freda odwróciła głowę i spojrzała na mnie wzrokiem, którego nie mogłam rozgryźć. Czyżbym posunęła się za daleko?

– Zastanawiam się tylko nad tym dzieckiem – wymamrotałam i postanowiłam nie brnąć dalej. Nie wspomniałam słówkiem o Louise i jej nocnych wyprawach do Lövaren. Nie chciałam, żeby Freda pomyślała, że jestem totalnie pokręcona.

– A co, twoim zdaniem, mogło się stać? – zapytała.

– Zakładam, że zmarło przy porodzie albo zaraz po. Albo że ktoś je zabił. I jest tu gdzieś pochowane. – Wyobraziłam sobie, jak Karl kopie głęboki dół w swoim ogrodzie.

– Dzieci, które zabijają dzieci, to masz na myśli?

Chryste Panie! Nie pomyślałam o tym, że rodzeństwo mogło zabić niemowlę. Emil? A może mała Tova?

– To tłumaczyłoby fakt, dlaczego nie słyszeliśmy nic na ten temat – podsumowała Freda.

– Ale to byłoby straszne – wykrzyknęłam. – Emil albo Tova? Jak mogło ci to przyjść do głowy?

– Naprawdę wydaje ci się to gorsze niż twoje podejrzenia? To chyba jedyny powód, dla którego mieliby pochować dziecko tutaj. Tłumaczyłoby też tę ich zrujnowaną psychikę.

– Ale przecież czegoś takiego nie można ukryć. Po prostu się nie da. Prędzej czy później ktoś zorientuje się, że niemowlęcia nie ma.

– Oczywiście, to się wyda. Chyba że urodziło się w domu i nie zostało nigdzie zarejestrowane. Choć to mało prawdopodobne. Najpewniej Yngve wymyślił sobie to

wszystko. Myślę, że powinnaś zapomnieć o tym dziecku, Raili.

Zapomnieć? Jak miałabym zapomnieć? A jeśli to była mała Tova? Może nie powinnam tego dłużej drążyć?

– Masz jakieś wieści od Fritjofssonów? – zapytałam, żeby zmienić temat.

– Od Fritjofssonów? – zdziwiła się Freda. – Dlaczego miałabym mieć? Myślisz, że to oni zabili dziecko?

– Nie, nie – odpowiedziałam. – Absolutnie. Ale nigdy nie miałam okazji ich poznać. Nie przyszli na przyjęcie u Sary. Mówiła, że dużo podróżowali. Zastanawiałam się tylko...

– *Nein*, nie było ich w te wakacje. Często jeżdżą za granicę. To bardzo mili ludzie. Interesują się Azją, przez wiele lat pomieszkiwali w Chinach. Sture był dyplomatą. Tak, bardzo mili, czytani. Tylko powinni zrobić coś ze swoją kanalizacją...

– Mhm – odparłam i pomyślałam, co też Freda mówiła o mnie. „Dziwna osoba z tej Raili, interesuje się starymi działkami w lesie, tak, i poćwiartowanymi dziećmi”.

Wypiłam odrobinę herbaty i zaczęłam się zastanawiać, co powinnam teraz zrobić. Chciałam zapytać Fredę, czy pamięta jamnika Olofssona, lecz bałam się, że mnie wyrzuci, jeśli dalej będę zadawać te dziwne pytania.

– Nie miałabyś ochoty wybrać się do Helgego i Berit? Zapytać o ten dokument? – zaproponowałam w końcu.

– Wiesz co, Raili, dlaczego nie? – odparła i wstała.

## 51

Ogarnęło mnie niesamowite uczucie *déjà vu*, kiedy tak siedziałam w samochodzie i podskakiwałam na wyboistej drodze prowadzącej do zagrody Helgego i Berit. Jediną różnicą było to, że teraz to ja kierowałam, nie Olofsson, a obok siedziała Freda, która zastanawiała się, dokąd, u licha, zmierzamy.

– To właściwa droga – wyjaśniłam. – Jechałam nią latem z Olofssonem.

Freda parsknęła jedynie w odpowiedzi i trzymała się kurczowo klamki. Miałam nadzieję, że drzwi są zamknięte.

Przed nami wyłoniło się gospodarstwo, ale nie wyglądało już tak urokliwie jak wówczas, gdy byłam tu z Olofssonem. Podwórko było błotniste, a niekształtne stado krów podskubywało duży snop siana, rozbryzgując błoto kopytami.

Helge otworzył drzwi, zanim zdążyliśmy wyjść z samochodu. Pomachał ręką, żebyśmy weszły do środka.

– Berit teraz odpoczywa – oznajmił cicho i zamknął za nami drzwi. – Wejdźcie do kuchni na kawę.

Wydawał się bardzo zadowolony, że go odwiedziłyśmy. W kuchni było ciepło i przyjemnie. Kawa już perkotała w ekspresie, a na kuchennej ławie niemal równie głośno mruczał kot. Czarne labradory leżały przy piecu, który stanowił główne źródło ciepła w pomieszczeniu. Psy zamerdały, lekko uderzając ogonami o podłogę, i podniosły głowy, ale już po chwili znowu je położyły i zasnęły.

Pomyślałam o Olofssonie i zrobiło mi się smutno.

– Freda, nie było cię u nas kopę lat – powiedział Helge.

– Ale za to jaką trasę teraz przeżyłam! – odparła. – Myślałam, że samochód zaraz się przewróci.

– A gdzie masz Karla?

Kopie doły w ogrodzie – przyszło mi do głowy. Ciekawe, co też on chce tam zakopać? Albo kogo?

– Pracuje w ogrodzie – odpowiedziała.

Helge podał nam kawę i wyjął z zamrażarki torebkę z bułeczkami cynamonowymi. Przez chwilę nucił pod nosem, kiedy wykładał je na talerz i wstawiał do mikrofalówki. Po kilku minutach rozległ się piszczący dźwięk, a kuchnia wypełniła się zapachem świeżo upieczonych bułeczek. Zastanawiałam się, czy upiekł je Helge. Z jakiegoś powodu nie mogłam sobie wyobrazić Berit, która stoi i wałkuje ciasto, wkładając w to serce.

– Pyszne bułeczki, Helge – pochwaliłam, bo faktycznie były pyszne. – Nie wiedziałam, że umiesz piec.

– Hmm, umiem wszystko, ale akurat tych nie piekłem ja, tylko Sara – odparł i się uśmiechnął. – Wpada do nas czasem z torbą bułeczek.

Gdyby kiedykolwiek zdarzyło mi się je upiec, w życiu bym ich nie rozdała.

– Helge, rozmawiałam z Raili o historii Lövaren i nie uwierzysz, o czym ostatnio przeczytała. O tej rodzinie zamordowanej w twoim domu – zagadnęła Freda.

Twarz Helgego pociemniała.

– I dlatego przyjechałyście? – zapytał.

– Wspaniale byłoby móc zobaczyć ten dokument, Helge – powiedziałam. – Rozumiem, że nie chcesz go nikomu pokazywać, tylko dlaczego? To przecież nie ma nic wspólnego z tobą. Tylko tyle, że żyjesz w tej samej zagrodzie.

– Nie masz o niczym pojęcia.

Co miał na myśli? To przecież wydarzyło się setki lat temu.

– Wstydzisz się tego? – zapytałam.

Helge westchnął, spojrział na sufit i w dół na psy, a później znów na sufit. Freda i ja popatrzyłyśmy, zdziwione, na siebie.

– Nie wszyscy zginęli. Najstarsza córka pracowała jako służąca w innej zagrodzie, kiedy to się stało.

Czekałyśmy na dalszy ciąg.

– Najwyraźniej spotykała się po kryjomu z parobkiem – kontynuował. – Tym mordercą. I była w ciąży. Zbadałem swoje drzewo genealogiczne. Parobek, który

wymordował całą rodzinę, był moim, nie pamiętam już dokładnie, ale chyba prapradziadkiem. W każdym razie moim przodkiem.

– O, cholera! – skwitowałam.

– Mój dziadek odkupił zagrodę. Wiedział, że należała do rodziny od dawna. Ale to mój ojciec zażyczył sobie, by zbadać historię rodu. Na swoje osiemdziesiąte urodziny... Wynikało z niej, że najstarsza córka miała dziecko, syna, z Petterem Abrahamssonem, parobkiem skazanym na śmierć, i ośmioro dzieci z innym mężczyzną. Moja rodzina wywodziła się od tego pierwszego dziecka.

– O rany! – westchnęłam.

– Nie zastanawialiśmy się nad tym zbytnio. To znaczy, w przeszłości było przecież dużo bijatyk, sporów i nie było w tym nic dziwnego, że ludzie nagle umierali.

– I wtedy znaleźliście ten dokument? – wtrąciła Freda.

– Tak. Wtedy znaleźliśmy dokument – potwierdził Helge. – Z początku nie przejmowałam się nim, ale Berit powiedziała, że nie możemy go wyrzucić, bo może jest coś wart. W każdym razie przeleżał długo w starym sekretarzyku. Lecz kilka lat temu w wiejskim ośrodku kultury w Lövaren zorganizowali taką akcję i spotkałem się z mężczyzną, który zajmował się historiami rodów i starymi spisami parafialnymi, bo pomyślałem, że mógłby to rozszyfrować.

– I to był Karsten Johansson – dodała Freda.

– Tak, miał na imię Karsten. Przetłumaczył dokument, a tam podano imię Pettera Abrahamssona, kim był oraz kogo zabił. To była rodzina. Dziadek, babcia i mali wujkowie mającego się dopiero urodzić dziecka. On również był moim przodkiem. Petter Abrahamsson. Morderca dzieci.

– Ale to przecież nie ma z tobą nic wspólnego, Helge... – próbowałam mu to wytłumaczyć, lecz od razu mi przerwał.

– To jest w genach – twierdził. – Berit mówi, że to absolutnie nie może się wydać. Całe szczęście, że nie mamy dzieci.

– Nikt nie może obarczać cię winą za coś, co zrobił twój przodek setki lat temu – przekonywałam. – W przeciwnym razie pewnie każdy z nas miałby coś na sumieniu, uwierz mi.

– Twoja żona jest przewrażliwiona – dodała Freda. – Nie powinieneś jej słuchać,



Helge.

Pokręciła głową i spojrzała na niego ze współczuciem. Wydawało się, że mu ulżyło. Świadomość tego, co się wydarzyło, przygniatała go chyba bardziej, niż można się było spodziewać.

– Przyniosę dokument – oznajmił. – Pokażę go wam.

Freda uśmiechnęła się i ukłuła mnie łokciem w bok, aż prawie krzyknęłam. Ta kobieta miała naprawdę ostre łokcie.

– Miałem ocieplać podłogę w starej części domu... – z pokoju obok dobiegał głos Helgego – ...i właśnie tam leżał. Pośrodku igieł i gałęzi, którymi ocieplano domy w przeszłości.

Kiedy usłyszałyśmy zbliżające się do kuchni kroki Helgego, drzwi za nami się otworzyły. Odwróciłam się i zobaczyłam w nich Berit, w turkusowym kombinezonie z wciąż jeszcze zaspanymi oczami. Nawet na mnie nie spojrzała, a jej wzrok podążył od razu w kierunku, z którego dobiegały kroki Helgego. Chwilę później on sam znalazł się w kuchni z dokumentem w dłoni.

– Co tam masz? – zapytała ostro.

– Raili i Freda chciały zobaczyć plany zagospodarowania lasu, droga Berit.

Ale Berit nie była głupia. Parsknęła i ruszyła w jego stronę, by zabrać mu dokument. Nie wzięła jednak pod uwagę, że Freda nie odpuści okazji, by zobaczyć dokument na własne oczy, kiedy była już tak blisko. Wskoczyła jak gad i wyrwała kopertę z dłoni Helgego, zanim Berit zdążyła przekroczyć połowę kuchni.

– Kobieto! – krzyknęła Berit i zwróciła się do Fredy. – Co ty wyprawiasz?

– To nie dotyczy twojego przodka, więc co cię to obchodzi? – zapytała Freda i otworzyła kopertę pod stołem. Popatrzyłam na nią z podziwem. Twarda babka!

– Co mnie to obchodzi? Jestem żoną mordercy dzieci, na miłość boską! Myślisz, że chcę, żeby wszyscy o tym wiedzieli? Żeby mną gardzili? – Berit złapała się za głowę, co wyglądało dość dramatycznie, przynajmniej jak dla mnie.

– Helge przecież nikogo nie zamordował, ty histeryczko! – zganiła ją Freda i delikatnie wyjęła poźółką, postrzępioną kartkę papieru zapisaną nieczytelnym charakterem pisma.

– Mówiłam, żeby to spalić, Helge. Mówiłam! Dlaczego nigdy nie możesz mnie

posłuchać? – krzyczała Berit cienkim głosem.

– Możecie przestać się kłócić, bo i tak nie da się tego odczytać – stwierdziłam i, zawiedziona, spojrzałam na kartkę.

– Oczywiście, że się da – odparła Freda i przeleciała tekst wzrokiem.

Berit rzuciła jej złowrogie spojrzenie i usiadła przy stole obok mnie. Helge przylgnął do ściany i wyglądał, jakby chciał zapaść się pod podłogę, którą kiedyś zerwał.

– I co tam jest napisane? – zapytałam. – Kto to napisał i dlaczego leżało pod podłogą?

– Wygląda na protokół z pierwszego przesłuchania prowadzonego przez urzędnika państwowego Nilsa Thor... Thorsona, tak jest chyba napisane – odparła Freda, trzymając kartkę w odległości kilku centymetrów od nosa. – Przesłuchanie podejrzanego o morderstwo parobka Pettera Abrahamssona, który przyznaje, że zabił siekierą swojego pana i jego żonę oraz trzech chłopców w wieku czterech, ośmiu i trzynastu lat. Podają tu, że diabeł przyszedł do niego w nocy i kazał mu wziąć siekierę. Chciał widzieć krew w każdym łóżku, a żadna z głów nie miała prawa zostać przy ciele.

Berit i ja siedziałyśmy w milczeniu i patrzyłyśmy na Fredę. Helge stał z zamkniętymi oczami.

– Trudno rozszyfrować końcówkę – oznajmiła Freda i przekreśliła trochę dokument. – Chyba napisali, że Petter Abrahamsson utrzymywał, że jest niewinny, że to diabeł rzucił na niego urok i poparzył go swoimi lodowatymi oczami, a on sam nie miał złych zamiarów. – Freda popatrzyła na nas poważnym wzrokiem. – Na koniec napisali, że wszystkie głowy, które udało im się znaleźć, miały wydłubane oczy. Głów dwóch najmłodszych chłopców nie udało się odnaleźć w chwili spisywania tego dokumentu.

Spojrzałam na podłogę i dostrzegłam, że Berit i Helge zrobili to samo.

– Niestety, w prawym górnym rogu znajduje się duża plama, więc nie można odczytać daty – powiedziała Freda. – Ciekawa jestem, czy można znaleźć więcej informacji na temat tego morderstwa. Wiele dokumentów z tego okresu przepadło...

– Mam nadzieję – przerwała jej Berit – bo nie mam ochoty słuchać już dłużej tych bredni.

Zastanawiałam się, czy Louise potrafiła odczytać charakter pisma z osiemnastego wieku i czy Helge pokazywał jej kiedyś ten dokument.

– Ktoś miałby ochotę na więcej kawy? – zapytał.

Stara kamienista droga przeszła w żwirową pięćdziesiąt metrów od miejsca, w którym dom Kullmanów wyłonił się z mżawki. Zatrzymałam się i wypuściłam Fredę, która przez całą drogę powrotną narzekała na obite nerki, choć mimo to podziękowała mi, że zaproponowałam jej wizytę u Anderssonów. Słyszałam jej „to doprawdy fantastyczne, nie mogę się doczekać, aż Karl to usłyszy” do momentu, kiedy zamknęła za sobą drzwi wejściowe.

W lusterku wstecznym dojrzałam nagle dom Fritjofssonów. Przypominał starą matronę, która upajała się widokiem lasu i jeziora. Wydawał się zupełnie cichy i pusty.

Mogłam przecież jutro wyruszyć do lasu i poszukać tego samochodu, prawda? Nie musiałam robić wszystkiego dzisiaj, zwłaszcza że znalazłam się tutaj...

A zatem znowu włamanie? Ukryłam samochód kawałek dalej na wyjeżdżonej leśnej drodze i ostrożnie zmierzałam w stronę domów. Kiedy zbliżyłam się do wypalonej działki Olofssona, znowu weszłam w las i skradałam się za drzewami, aż znalazłam się pod drzwiami Fritjofssonów. Czy powinnam zbić szybę? Po wszystkich tych opowieściach, na które natknęłam się ostatnio, o poćwiartowanych i pozbawionych głów dzieciach, wybicie okna nie wydawało mi się już tak straszne.

Próbowałam zrozumieć swoją gorliwość, by dostać się do środka, lecz nie potrafiłam wskazać, skąd się brała. Co miałam nadzieję tam znaleźć? Dowody, że zabili niemowlę Anny-Marii? Dlaczego mieliby to zrobić? Chyba że przejechali je swoim samochodem. To dlatego zostawili go w lesie, zanim opuścili Lövaren? Czy wszystko było tylko nieszczęśliwym wypadkiem, który starali się ukryć? Ale gdzie w ogóle było to dziecko? Pochowane w ogrodzie? To nie byłoby zbyt rozsądne. W głównym wydaniu wiadomości na pewno pojawiłaby się informacja, że zaginęło dziecko. Tak jak w przypadku tych dzieci z lat osiemdziesiątych. Ciekawe, czy

Fritjofssonowie mieszkali wtedy w Szwecji?

Nad lasem się zachmurzyło. Poczułam na głowie krople spadające z ciężkich od deszczu gałęzi. Nie mogłam tam stać, przynajmniej tego byłam pewna. Musiałam albo przejść do konkretów i spróbować dostać się do środka, albo wrócić do siebie. Przez chwilę przestępowałam w miejscu z nogi na nogę, aż w końcu podjęłam decyzję. Stanęło na domu Fritjofssonów.

Rozejrzałam się wkoło i przebiegłam przez drogę, a następnie po schodach do przedsionka. Były zabudowane, więc, jak sądziłam, nikt nie mógł mnie zobaczyć. Obok drzwi stał duży kamienny kot, a na krawędzi dachu wisały latarenki i wietrzne dzwonki w różnych rozmiarach i kształtach.

Najpierw przesunęłam kota, lecz pod nim nie leżał żaden klucz. Pod wycieraczką też nie. Wstałam i sprawdziłam latarenki, jedną za drugą. Nie mogłam wprost uwierzyć, kiedy moje palce natrafiły na metalowy przedmiot.

Moja dłoń drżała z podniecenia, kiedy wyjmowałam klucz. Udało mi się uniknąć wybijania okna. Świetnie.

Rzuciłam okiem na domy Almkvistów i Kullmanów, żeby upewnić się, iż teren jest czysty, a następnie wsunęłam klucz i przekręciłam. Rozległ się odgłos otwieranych drzwi. Weszłam do środka.

Puste domy wyglądają tak przygnębiająco. Nie mają duszy. Są wręcz upiorne.

Znalazłam się w dużym holu. Nie docierało tu światło dzienne, ale udało mi się dostrzec meble w salonie przede mną i piękną oszkloną werandę. W oknach nie było żadnych kwiatów, na parapetach widziałam tylko kamienie oraz przedmioty, których nie mogłam rozróżnić z miejsca, w których stałam.

Na podłodze leżały rozrzucone drewniaki, a na wieszakach wisały letnie kurtki. Zrobiłam krok i omal nie dostałam zawału, kiedy nagle zobaczyłam jakąś twarz. To tylko moje odbicie. Lustro w złotej ramie zasłaniało całą ścianę.

– Cholera! – wybąkałam i posuwałam się naprzód.

W środku unosił się zapach stęchlizny. Nie przypominam sobie, żeby mój domek tak pachniał, nawet kiedy nie przyjeżdżałam do niego prawie rok, a przecież izolacja nie była znów tak dobra. Rozejrzałam się i weszłam do kuchni. Wnętrze przypominało dom Olofssona, kiedy się tam włamałam. Żadnych brudnych naczyń, żadnych okruchów,

żadnych zagnieceń na obrusie. Lodówka była wyłączona i opróżniona, miała uchylone drzwiczki. Na blacie stała mikrofalówka i mała ceramiczna misa. Zajrzałam do środka i zobaczyłam w niej dziwnego słonia wyrzeźbionego z ciemnego drewna. Do szyi miał przytwierdzone metalowe kółeczko. Podniosłam go, a wraz z nim pęk kluczy przyczepionych do breloczka.

To były kluczyki od samochodu... Jeden z nich miał nawet plastikową końcówkę z napisem „Toyota”.

– A niech mnie! – wyszeptałam, choć pewnie nikt w sąsiednich domach by mnie nie usłyszał, nawet gdybym krzyknęła. – Pożyczę sobie.

Wsunęłam klucze do kieszeni džinsów. Teraz wystarczyło tylko odnaleźć samochód i sprawdzić, czy pasują. Wtedy miałabym pewność, że należał do Fritjofssonów. Ale po co mieliby wywozić samochód do lasu, a później zostawiać kluczyki tutaj? Czy nie lepiej byłoby zabrać je ze sobą? Wtedy nie musieliby wracać po nie do domu, by przestawić samochód. To wszystko wydawało się coraz bardziej intrygujące...

Pociągnęłam nosem. Zapach był jeszcze gorszy niż w holu. Moje kalosze zostawiały mokre ślady na parkiecie, kiedy szłam przez salon, a następnie schodami na górę. Widać było, że państwo Fritjofssonowie dużo podróżowali. Dziwne przedmioty były porozstawiane tu i tam. Wypchana antylopa stała w holu na piętrze i patrzyła na mnie szklanymi oczami.

Otworzyłam drzwi toalety, żeby sprawdzić, czy zapach dochodził stamtąd, ale nie. Zdawało się, że dobiega z kuchni. Gdyby mieli problem z kanalizacją, śmierdziałoby chyba z łazienki.

Wróciłam do kuchni, gdzie znajdował się rząd szafek, a przy oknie blat z mikrofalówką. Na kuchennej wyspie nie było nic oprócz bambusowej miski, a za nią stał sosnowy stół z czterema krzesłami. Na podłodze leżał chodniczek. To wszystko. Okno wychodziło na jezioro, wyjrzałam przez nie i zorientowałam się, że mój domek jest położony praktycznie w linii prostej od ich domu.

A może w którejś z szafek leży martwa mysz (albo dziecko)? Zastanawiałam się, czy przypadkiem nie dostaję już paranoi, jednak otworzyłam wszystkie górne drzwiczki i zajrzałam do środka. Żadnych myszy, żadnego zapachu.

Kiedy schyliłam się, żeby sprawdzić szafkę pod zlewem, poczułam mocniejszą woń.

Dochodziła od strony stołu. Wyprostowałam się i spojrzałam na niego. Nic. Pod stołem leżał chodniczek. Odsunęłam wszystkie krzesła i podniosłam dywanik. Pod nim znajdował się właz...

Zejdźcie do piwnicy.

Złapałam palcami wyżłobienie w drewnie i podniosłam właz. Dobiegający z tego ciemnego otworu smród sprawił, że upuściłam pokrywę, a ta uderzyła z hukiem o podłogę. Gdyby właz się zatrzasnął, po prostu podniosłabym się i sobie poszła, ale pokrywa spadła obok, tak, że mogłam dostrzec pierwsze stopnie drabiny.

Zrobiło się dość nieprzyjemnie. Czy naprawdę powinnam schodzić do piwnicy? Drzwi, za którymi czaiłyby się schody, byłyby wystarczająco straszne, a co dopiero właz z drabiną. Uklękałam przy otworze i starałam się wyczuć palcami włącznik światła, bez skutku. A zatem właz z drabiną prowadzącą w egipskie ciemności? Kto by pomyślał!

Usiadłam na piętach i zastanowiłam się, jakie mam teraz możliwości. Zadzwoić na policję? I co im powiem? Że włamałam się do domu, a z piwnicy dochodzi brzydki zapach? Może to tylko martwy szczur (w takim razie bardzo duży, odezwał się głos w mojej głowie). A gdzie ludzie mają zwykle szamba? Może przeciekło? Albo faktycznie śmierdziało z kanalizacji?

Mogłam wrócić do domku i ruszyć do lasu, żeby sprawdzić samochód. Albo po prostu położyć się spać. Tyle że było chyba dość wcześnie. Wyjęłam iPhone'a i sprawdziłam godzinę. Była dopiero trzecia po południu. Ile czasu zajęłoby mi przeszukanie piwnicy? Pięć minut? Czy nie żałowałabym później, gdybym tego nie zrobiła? Choć z drugiej strony zawsze mogłam tu wrócić i sprawdzić innego dnia. Kiedy świeciłoby słońce. Wiedziałam przecież, gdzie leży klucz.

– A niech to! – rzuciłam pod nosem i zeszłam szybko po drabinie.

Zaledwie po kilku stopniach poczułam grunt pod nogami. Właz, przez który wpadało światło, znajdował się tylko pół metra nad moją głową. Zapaliłam latarkę w komórce, po raz ostatni rzuciłam okiem na spód stołu i ruszyłam w głąb piwnicy.

Zamglony snop światła, który mnie otaczał, nie działał kojąco. Wręcz przeciwnie. Mój wzrok błędził nerwowo tam i z powrotem. Poczułam, jak strużka potu spływa mi pod pachami. Prawdopodobnie wciąż znajdowałam się pod kuchnią. Ściany zbudowane były z kamiennych bloków grubych na metr, a pod stopami miałam ubitą ziemię. Kiedy skierowałam komórkę na sufit, ukazało się surowe drewniane sklepienie. Pajęczne nici, którymi było spowite, powiewały w świetle latarki.

Zimny dreszcz przeszedł mi po plecach i poczułam napięcie w udach. Nie wiedziałam, czego w ogóle mam szukać. Czyżbym zeszła po drabinie i znalazła się w tej czarnej dziurze, żeby odnaleźć ciało dziecka? Oczywiście, że nie. Jedna część mojej najwyraźniej rozszczepionej osobowości wciąż nie wierzyła w zniknięcie dziecka. Druga zaś była o tym przekonana, ale sądziła, że pochowano je w lesie lub ogrodzie Karla Kullmana. Przecież nie zakopuje się dzieci w piwnicy. Prawda? Chociaż tutaj była ziemia, więc pewnie by się dało.

Zatrzymałam się nagle i zaczęłam świecić latarką pod nogi. Nigdzie nie było śladu po kopaniu, żadnej zmiany koloru ani luźnej ziemi. Ale zapach, ten duszący smród, wciąż się utrzymywał. Unosił się w powietrzu i czułam go po prostu wszędzie. A może to lis wdarł się tutaj, a potem zdechł? Zrobiłam kilka kroków dalej i w świetle latarki dojrzałam krzywe odrapane drzwi. Wygięta klamka była cienka i poczerniała od wilgoci. Chwyciłam ją i delikatnie nacisnęłam. Poddała się chętnie, lecz potem natrafiłam na opór. Próbowałam pociągnąć drzwi, ale ani drgnęły. Wsunęłam iPhone'a do tylnej kieszeni i złapałam za klamkę obiema dłońmi, drzwi jednak nie posunęły się nawet o milimetr.

Zaparłam się stopą o ścianę i spróbowałam po raz ostatni. Nagle drzwi poleciały z taką siłą (zupełnie jakby ktoś trzymał je wcześniej z drugiej strony i puścił), że omal



nie upadłam na plecy. Smród, jaki we mnie uderzył, był tak nieznosny, że aż rzucił mnie na kolana. Chciałam wyjąć iPhone'a z kieszeni, ale nim zdążyłam podnieść rękę, poczułam, jak przewraca mi się w żołądku. Zwymiotowałam. Bułeczki cynamonowe i pyttipanna opuściły moje ciało w tej samej chwili, gdy wciągnęłam nosem ten obrzydliwy odór, który wdarł się ze środka pomieszczenia.

Pragnęłam się stamtąd wydostać. Dobry Boże! Chciałam czym prędzej znaleźć się na zewnątrz.

Moje nogi trzęsły się tak bardzo, że ledwie mogłam utrzymać się na kłęczkach, wiedziałam jednak, że muszę się podnieść, inaczej zostanę tu, na dole, w piwnicy, razem z tym, co znajdowało się w pomieszczeniu obok.

Jeśli to trup dziecka, to oszaleję, pomyślałam. Nie wytrzymam tego.

Drżącą ręką udało mi się w końcu wydostać latarkę i poświeciłam do środka. Jednocześnie zamknęłam oczy i zrobiłam krok w tył, prosto w swoje wymiociny. Zapachy, jakie mieszały się w moich nozdrzach, sprawiły, że znowu chciało mi się rzygać, lecz zagryzłam zęby i zrobiłam krok w przód. Wtedy otworzyłam oczy.

Jedyne, co byłam w stanie dostrzec na podłodze, to nieforemny toból. Czyżby dostał się tu łoś i padł? Nie zdziwiłoby mnie to przy tym zapachu. W każdym razie to nie mogło być dziecko, było zdecydowanie za duże. Z lekką ulgą zrobiłam kolejny krok w przód i skierowałam światło latarki bezpośrednio na toból.

To był brezent. Duży, zielony, pomięty materiał z białymi pasami w rogach, które leżały zwinięte na ziemi. Wszystkie krawędzie były przywalone starymi cegłówkami, jakby ktoś sądził, że płachta odleci, jeśli nie zostanie dobrze zabezpieczona.

Brezent wybrzuszał się, jakby coś znajdowało się pod spodem. Kiedy poświeciłam na niego latarką, dostrzegłam, że delikatnie się rusza.

Zimny pot oblał moje ciało. Nie odważyłam się spojrzeć, ale nie mogłam też zamknąć oczu. Pod spodem coś leżało i oddychało.

\* \* \*

Ogarnęło mnie uczucie, jakbym opuściła swoje ciało. Uniosłam się pod sufit i spoglądałam na siebie z góry.

– Odwróć się i odejdz – próbowałam krzyknąć do tej Raili, tam, na dole, ale nie

słysząc było żadnego dźwięku. Stała tam zupełnie nieruchoma i patrzyła, jak brezent unosi się i zapada tuż przed nią.

Nie rób tego!

Raili zrobiła krok w przód i zatrzymała się.

Zawróć!

Pochyliła się powoli i chwyciła róg brezentu. Pociągnęła go. Myślałam, że oszaleję, tam, na górze. Czyżby odeszła od zmysłów?

Co z tobą? Przestań! Odejdź stąd! Nie rób tego!

Ale zrobiła to. Mocne szarpnięcie spowodowało, że cegłówki odleciały na bok, a brezent zsunął się. Coś wciąż się poruszało.

Coś pełzało, wiło się, żyło. Kiedy pośród tego wyłoniło się oko, wróciłam (o nie! o nie! o nie!) do swojego ciała, jakby ktoś wystrzelił mnie z napiętej gumy.

To była śmierć, ale wciąż żyła. Dostrzegłam, jak bardzo intensywnie. Przy moich stopach leżały cztery buty, a w nich prawdopodobnie znajdowały się cztery stopy połączone kośćmi z ciałami. Coś, co kiedyś służyło za ubranie, było teraz strzępkami materiału, który unosił się w górę i w dół. Larwy pełzały po całym ciele i żarły, żarły, żarły. Były wszędzie. W nozdrzach, ustach, oczach, uszach, pępkach, kroczu... Jadły i wiły się, a ciała pod nimi wykrzywiały się i wzdychały.

Stałam jak sparaliżowana i patrzyłam na tę obrzydliwą masę na podłodze. Dostrzegłam kępki siwych włosów i żółte zęby, które świeciły w rozdziawionych szczękach. Wargi zostały całkowicie zjedzone, lecz to, co początkowo wzięłam za oko, było tylko oczodołem wypełnionym wijącymi się białymi robakami. Jedno z ciał miało lekko uniesioną rękę, jakby człowiek próbował się bronić aż do samej śmierci. Białe kości błysnęły na palcach, gdzie skóra została całkowicie zjedzona.

Ściany pochyliły się w moją stronę. Sufit zaczął się zbliżać. Wydawało się, że całe pomieszczenie chce mnie przygnieść, sprawić, że sama stanę się tą rozkładającą się masą na podłodze. Głośne skrzywienie ocuciło mnie i odwróciłam się, gotowa zobaczyć za sobą zabójcę z siekierą w dłoni.

Ale to tylko drzwi się poruszyły. Powoli zamknęły się ze zgrzytem, oddzielając mnie od części piwnicy, w której znajdowała się drabina i jedyna droga ucieczki.

Rzuciłam się przez drzwi, a moja stopa poślizgnęła się w wymiocinach. Upadłam.

Przenikliwy krzyk odbił się echem w podziemiu. Dotarło do mnie, że to ja go wydobyłam, że to ja wraz z wydechem próbowałam wyrzucić z siebie całą trwogę, razem z dwutlenkiem węgla. Doczołgałam się do drabiny. Słaby, wyblakły czworokąt świecił w miejscu, w którym znajdował się właz. A co, jeśli ktoś był w domu? Jeśli zamknąłby pokrywę i postawił na niej coś ciężkiego? Zostałabym uwięziona z trupami, śmiercią i robakami, a moje umieranie trwałoby przerażająco długo.

Złapałam za szczeble drabiny i podniosłam się. Nie odwróciłam się, by raz jeszcze spojrzeć w to piekło, wdrapałam się tylko na górę do kuchni i zasunęłam za sobą pokrywę. Dżinsy i kalosze śmierdziały rzygami i zostawiały lepkie ślady aż do przedpokoju. Otworzyłam drzwi wejściowe i ostrożnie wyjrzałam na zewnątrz, po czym zamknęłam je za sobą i pobiegłam do lasu. Musiałam zadzwonić na policję. Chciałam porozmawiać z nimi już, teraz.

Przez chwilę zastanawiałam się, czy przypadkiem nie zgubiłam komórki w piwnicy, lecz okazało się, że wciąż trzymam ją kurczowo w dłoni. Wyłączyłam latarkę i spojrzałam na nią. Oczywiście nie było zasięgu. Popatrzyłam na domy Kullmanów i Almkvistów, mieli tam przecież telefony stacjonarne. A jednak nie odważyłam się. Nie odważyłam się tam pójść i zapukać do drzwi, bo nie wiedziałam już, komu nad jeziorem mogę ufać. Sara, Anders, Freda lub Karl, Anna-Maria, Kennet, Helge lub Berit – to któreś z nich. To nie mógł być ktoś obcy. Zabójca musiał być stąd.

Albo Louise.

Fritjofssonowie mogli zostać zamordowani w nocy, kiedy wymknęła się do Lövaren.

Czy poczta jest otwarta nocą?

Całą drogę do samochodu szłam przez las. Kilka razy wpadłam do rowu i zmoczyłam się po kolana, ale nie obchodziło mnie to. Musiałam jak najszybciej stamtąd uciec i zadzwonić na policję, zanim przyjdzie moja kolej, by umrzeć.

Cały czas zdawało mi się, że ktoś mnie obserwuje. Odwróciłam się, lecz niczego nie dostrzegłam. Ktoś mnie śledził? Spojrzałam w lewo i zobaczyłam domy i jezioro, które połyskiwało w deszczu. Nikogo nie było. Kiedy odwróciłam głowę, widziałam gęsty las, gdzie mogło czaić się dosłownie wszystko.

Nagle spostrzegłam samochód ukryty między krzakami. Wskoczyłam na fotel kierowcy i mimo że stał zamknięty, rozejrzałam się dokładnie po tylnym siedzeniu. Dopiero wtedy ruszyłam i wyjechałam z lasu.

\* \* \*

– W piwnicy leżą dwa trupy! – wykrzyczałam, gdy operatorka podniosła słuchawkę. – W Lövaren, nie znam adresu, ale znam numer skrzynki pocztowej.

Kobieta po drugiej stronie była prawdopodobnie przyzwyczajona do rozhisteryzowanych ludzi i rozmawiała ze mną, zachowując pełny spokój. Zapytała, jak się nazywam, i poprosiła, żebym opowiedziała, co się stało. Wzięłam się w garść i starałam się wszystko opisać, zachowując zimną krew. Na szczęście potraktowała mnie poważnie i obiecała wysłać patrol.

Rozłączyłam się i spojrzałam na stację Shella. Czy zdążę kupić kawę, zanim przyjedzie policja?

Chciałam zadzwonić do Ylvy, bałam się jednak, że policjanci będą do mnie oddzwaniać. Byli już w drodze i może chcieliby, żebym pojechała przodem i pokazała im, gdzie w Lövaren znajdują się trupy.

Kiedy zjawili się na miejscu, zdążyłam wypić już dwa kubki kawy i wysłać szybką wiadomość do Ylvy, w której informowałam, że znalazłam martwe ciała Fritjofssonów i czekam na policję.

Wjechaliśmy znowu na drogę 165, najpierw ja, a za mną radiowóz. Czuję się bezpiecznie, mając ich za sobą, przyśpieszyłam więc i z ulgą zmierzałam w stronę drogi prowadzącej do mojego jeziora. Liczyłam, że całe to zamieszanie wreszcie się wyjaśni. W końcu mogłam to wszystko rzucić, policja wkroczy i zajmie się całą sprawą.

W powietrzu unosił się dziwny zapach. Znałam go bardzo dobrze. Zaniepokojona, spojrzałam w górę na korony drzew i kiedy skręciłam, moje podejrzania się potwierdziły. Nad jeziorem znowu się paliło.

Dym buchał szaroczarnymi kłęбами. To nie może być dom Fritjofssonów, pomyślałam, choć w głębi duszy wiedziałam, że to właśnie on. Nie mogło być inaczej.

Zwolniłam, zjechałam w dół obok działki Olofssona i zaparkowałam. Ogniste języki tańczyły w oknach pięknego drewnianego domu Fritjofssonów. Radiowóz stanął obok mnie, a dwaj policjanci, kobieta i mężczyzna, wysiedli z samochodu i spojrzeli na mnie.

– Czy to...?

– Tak – przerwałam, zanim skończyli pytanie. – W piwnicy tego domu znalazłam ciała.

– Zawiadomiliśmy już straż pożarną – oznajmiła policjantka. – Nie jesteśmy w stanie nic zrobić, dopóki nie dotrą na miejsce. Do tego czasu możemy jedynie przypilnować mieszkańców okolicznych domów.

– Widzę, że paliło się tu już wcześniej – powiedział policjant i wskazał na wypaloną ziemię na działce Olofssona.

Wsiadłam z powrotem do samochodu. Miałam słusne przeczucie, że ktoś był w lesie, kiedy biegłam do samochodu. Morderca czaił się tam i obserwował, ale zamiast mnie zabić, postanowił (a może postanowiła?) podłożyć ogień pod dom. Kto mógł to zrobić?

Czy poczta jest otwarta nocą?

Wyprostowałam się w samochodzie. Czy poczta jest otwarta nocą? Louise wysłała

mi obraz i, rzecz jasna, nie zrobiła tego nocą. Pojechała na pocztę z dużym obrazem, zapakowała go i nadała, a to wszystko zrobiła za dnia. Tak właśnie pilnują tego ośrodka. Zamknęłam szybko wszystkie drzwi samochodu, mimo że policjanci kręcili się zaledwie kawałek dalej. Louise. Dałabym sobie rękę uciąć, że to ona.

W oddali rozległa się syrena. Odgłos stawał się coraz mocniejszy i spojrzałam we wsteczne lusterko. Dwa duże wozy strażackie z włączonymi niebieskimi światłami pędziły zwirową drogą w stronę domu Fritjofssonów.

Mężczyźni w żółto-czarnych kombinezonach wybiegli z samochodów i wkrótce gaszenie pożaru rozpoczęło się na całego. Zastanawiałam się, czy uda im się go ugasić, zanim dom spłonie całkowicie. W zasadzie było to bez znaczenia. Mogli przecież znaleźć ludzi w płonącym domu, byłam o tym przekonana. Byłam ciekawa, jak zginęli Fritjofssonowie. Gdyby ich otruto, pewnie nie byłiby w stanie odnaleźć przyczyny śmierci na podstawie samego szkieletu czy też tego, co tam z niego zostało. A co, jeśli nie uwierzą mi i tym razem? Jeśli znowu stwierdzą, że to tylko nieszczęśliwy wypadek.

Otworzyłam drzwi i zawołałam jednego z policjantów, lecz panowało takie zamieszanie, że nikt mnie nie słyszał. Ogień buchał, woda tryskała z węży, a ludzie krzyczeli do siebie. Widziałam, jak Freda i Karl stoją w swoim ogrodzie i patrzą na ogień, trzymając się mocno za ręce. Kennet pakował do samochodu walizki, swoją żonę i dzieci. Najwyraźniej nie chciał ryzykować, co właściwie było zrozumiałe.

Po drugiej stronie jeziora dojrzałam jakichś ludzi stojących na plaży i patrzących w tym kierunku. Czy były tam trzy osoby? Starłam się rozpoznać je przez dym, tyle że trudno było cokolwiek dostrzec. Faktycznie wyglądało, jakby trzy osoby stały po drugiej stronie. Ale Staffan miał przecież turniej piłkarski.

Jeśli dojdą do finału, odezwał się głos w mojej głowie.

Nagle ogarnęła mnie ochota, żeby wskoczyć w samochód i ruszyć na drugą stronę jeziora do Sary, Andersa i Staffana, gdzie zdawało się tak bezpiecznie. Zamknęłam drzwi i zaczęłam bawić się kluczykami do samochodu, kiedy usłyszałam pukanie w szybę. Jeden z policjantów stał przy samochodzie.

– Udało się zapanować nad ogniem, więc wracamy na komisariat. Musimy spisać pani zeznanie. Pojedzie pani z nami, a później panią odwieziemy. I tak musimy tu wrócić.

– Wiem, kto to zrobił – powiedziałam. – To Louise. Louise Hansson.

Policjant otworzył drzwi i skinął w stronę radiowozu. Zawahałam się. Dlaczego nie mogłam jechać swoim samochodem?

– Idzie pani?

Westchnęłam i podążyłam za nim do radiowozu. Usiadłam na wskazanym miejscu z tyłu. Poczułam się jak przestępca.

Kiedy wyjechaliśmy na E6, nie udaliśmy się na południe, w stronę Valludden, tak jak sądziłam, tylko na północ.

– Dokąd jedziemy? – zapytałam.

– Do Strömstad – odpowiedziała policjantka.

Oparłam się i zamknęłam oczy. Znowu pachniałam dymem i czymś obrzydliwym, co zidentyfikowałam jako własne rzygi. Spojrzałam na dzinsy. Tak, wciąż były na nich resztki moich wymiocin z piwnicy. Radiowóz nie będzie pachniał zbyt dobrze, gdy z niego wyjdę.

Kiedy ponownie zamknęłam oczy, zobaczyłam przed sobą na wpół zjedzone ciała Fritjofssonów. Wydarzenia z piwnicy już teraz zaczęły przypominać straszny sen. Prawdziwy koszmar. Chciałam być już na miejscu, żeby jak najszybciej wszystko opowiedzieć i wrócić do domu. Do Valludden. Tak naprawdę jedyne, czego pragnęłam, to znaleźć się z powrotem w Valludden. Ale jeśli Staffan był w Lövaren, to tam wolałam jechać. Poczulałabym się bezpiecznie, wtulając się w jego ramiona u Sary i Andersa, podczas gdy oni zaoferowaliby mi domowe jedzenie, ciepło i miłość.

Chyba musiałam zasnąć, bo nagle policjantka szturchnęła mnie lekko w ramię i poprosiła, żebym poszła za nią na komisariat. Gdy spojrzałam w górę, zobaczyłam tylko rząd oświetlonych okien w budynku, który wyrósł przede mną z ciemności, oraz ogromny szyld z napisem „Policja”.

Zaprowadzili mnie do pokoju ze stołem i czterema krzesłami i poprosili, bym czekała. Było mi strasznie zimno. Z kieszeni dobiegł piszczący dźwięk. To esemes od Ylvy. Pytała, co, do cholery, się stało, ale zanim zdążyłam odpowiedzieć, do pokoju wszedł mężczyzna. Przedstawił się jako komisarz Andersson i usiadł przy stole naprzeciwko mnie.

– A więc – zaczął – zgłosiła pani znalezienie dwóch ciał, a dom, w którym się znajdowały, spłonął, czy tak?

– Tak – odpowiedziałam. – I wiem, kto to zrobił. Nazywa się Louise Hansson i przebywa w Gretahemmet w Lilla Edet.

Policjant, mężczyzna w moim wieku, z lekką nadwagą, w okularach, z gęstymi rudymi włosami, podrapał się po głowie długopisem i spojrzał na mnie.

– Co zrobiła? – zapytał.

– Zabiła Fritjofssonów i podpaliła dom.

– Chyba musimy przejść przez to od początku – zaproponował.

– Zaczęło się od Olofssona – oznajmiłam i zastanawiałam się, co powiedzieć dalej.

Bez sensu było chyba opowiadać wszystkie dziwaczne historie po drodze, bo policjant pewnie pomyślałby, że jestem znerwicowaną kobietą w średnim wieku, która wszędzie tylko wietrzy teorie spiskowe. Postanowiłam opowiedzieć o zaginionym dziecku i o tym, że Olofsson chciał powiedzieć mi coś ważnego, ale zginął, zanim zdążyliśmy porozmawiać.

– Mówiłam już policji, że to było morderstwo, lecz nie uwierzyli mi. Wy mi nie uwierzyliście – stwierdziłam.

Zawahałam się, czy powinnam wyznać, że włamałam się do domu Olofssona i byłam tam, kiedy zaczęło się palić. Włamanie jest przecież niezgodne z prawem.



– Dlaczego chciała pani sprawdzić tę parę, małżeństwo Fritjofssonów? – zapytał policjant, a ja uznałam, że próbuje w bardzo uprzejmy sposób zapytać, dlaczego włamałam się do ich domu.

– Śmierdziało tam tak potwornie... Myślałam, że znajduje się tam martwe dziecko, które zaginęło – odparłam. – I o ile mi wiadomo, mogło tam leżeć. Z rozkładających się ciał nie dało się odróżnić zbyt wiele. Były jakby zlane ze sobą... – Przełknęłam głośno ślinę, kiedy przypomniałam sobie obraz tego obślizgłego materiału, który się ruszał, i wystających kości paliczków.

– Czekamy na potwierdzenie informacji z działu technicznego – oznajmił policjant.

– Strażacy twierdzą, że uda im się uratować większość domu. Jest pani głodna?

– Niespecjalnie. Wysłaliście kogoś do Gretahemmet?

– Gretahemmet?

– Tak. Przebywa tam Louise Hansson. To ona to zrobiła.

– Dlaczego? Mam na myśli, jaki mogłaby mieć motyw?

– Motyw? – zdziwiłam się. Nie miałam pojęcia. Czy trzeba mieć jakiś motyw, kiedy jest się szalonym? – To wariatka. Nie wystarczy?

– Co ją łączyło z Fritjofssonami?

– Nic, z tego, co wiem.

– Więc dlaczego twierdzi pani, że to ona ich zabiła?

– Wymyka się nocą z ośrodka terapeutycznego i grasuje po Lövaren.

– A co w takim razie łączy ją z tym miejscem?

– To była żona Staffana. Jego rodzice mają tu gospodarstwo – zagryzłam zęby i ciągnęłam dalej. – Poza tym Staffan miał romans z Anną-Marią, która jest matką tego zaginionego dziecka.

Policjant wyglądał na zmęczonego. Zdałam sobie sprawę, że moja historia chyba nie do końca trzyma się kupy i że będę musiała opowiedzieć wszystko, dosłownie wszystko, od początku.

\* \* \*

Kiedy skończyłam opowiadać ze szczegółami, a ten biedny otyły policjant nagrał moje zeznanie, poczułam, że zaraz pęknie mi pęcherz. Poza tym miałam ogromną ochotę na

kawę.

– Czy mogę skorzystać z toalety? – zapytałam. – I prosić o kubek kawy?

Ktoś zapukał do drzwi i do pokoju zajrzał jakiś policjant.

– Mogę zamienić z tobą parę słów, Sigge? – powiedział, a wtedy komisarz wstał i poprosił, żebym poczekała.

Ścisnęłam kolana i przytaknęłam. Mogłam przecież poczekać. Chwilę.

Ale to nie była chwila. Patrzyłam nieprzerwanie na zegar. Minęło pięć minut, później dziesięć i piętnaście. To przestawało być śmieszne. Może mogłam po prostu wyjść na korytarz i poszukać toalety. Nie byłam przecież zamknięta.

Nagle drzwi się otworzyły i komisarz wrócił do pokoju. Miał ze sobą kilka toreb, jedna była naprawdę duża. Położył je na stole przed nami. Zajrzałam do największej z nich.

– Moje kalosze?

Później dostrzegłam, co znajduje się w pozostałych torbach. Plastikowa butelka z rozpałką, pudełko zapalek i masa białego puszk.

– A więc – zaczął Sigge – to pani kalosze?

Nie dało się już temu zaprzeczyć.

– Tak – odpowiedziałam. – Zginęły jakiś czas temu. Musiałam przywieźć drugą parę z domu. – Wystawiłam nogę, żeby mógł zobaczyć mój jasnoniebieski kalosz w różowe motylki. – Gdzie je znaleźliście?

– W lesie. Przy ścieżce wyjeżdżonej przez traktor. Stał tam samochód. Nie mówiła pani przypadkiem, że przejechała tamtą drogą i zaparkowała w okolicy?

– Tak, ale nie było tam moich kaloszy. Wtedy włożyłabym je przecież. – Robiłam się niespokojna.

Dokąd to wszystko zmierzało?

– Znaleźliśmy też to, wrzucone za krzak – oznajmił i wskazał drugą torbę.

Nie miałam w tej sprawie nic do powiedzenia, więc milczałam.

– Ponadto dostaliśmy już odpowiedź z działu technicznego – kontynuował. – W domu nie znaleziono żadnych ciał.

– Oczywiście, że tam są! – krzyknęłam. – Sprawdziliście w piwnicy? W tym dalszym pomieszczeniu? To tam leżą.

– Czy to pani podpałała dom?

– Oczywiście, że nie.

– Czy nie uważa pani tego za dziwne, że dwa domy, w których pani przebywała, spłonęły?

– Co pan sugeruje?

Siedział w milczeniu i patrzył na mnie.

– Mówię prawdę – oświadczyłam i poczułam, jak ogarnia mnie strach.

Bałam się, że nie wezmą mnie na poważnie, ale nie sądziłam, że zostanę podejrzana o spowodowanie pożaru ze skutkiem śmiertelnym. To zdecydowanie nie brzmi zbyt dobrze. Poza tym zaraz się zleję, jeśli nie pozwolą mi pójść do toalety.

– Muszę skorzystać z łazienki. Teraz.

Wspaniale było móc w końcu się wysikać. Wyjęłam iPhone'a i spojrzałam na niego. Czy przypadkiem człowiek nie ma prawa do jednej rozmowy telefonicznej? Chcę zadzwonić do adwokata, tak mówili zawsze w filmach. Ale ja nie miałam żadnego adwokata. Czy mogłam zadzwonić do Ylvy? Tyle że jeśli nie odbierze, wtedy zmarnuję swoją jedyną szansę. A może powinnam zatelefonować do kogoś innego?

Najlepiej będzie nie prosić o pozwolenie. Wykręciłam numer Ylvy. Na szczęście od razu odebrała.

– Raili, co się, do cholery, dzieje?

– Ylva, słuchaj, nie mogę zbyt długo rozmawiać, siedzę w kiblu na komisariacie – wyszeptalam. – Chyba mnie podejrzewają.

– Co? Ale co się w ogóle stało? O co cię podejrzewają?

– Przyjechałam do Lövaren i włamałam się do domu Fritjofssonów. I znalazłam ich, leżeli zamordowani w piwnicy. Ale kiedy przyjechała policja, ich dom płonął. A teraz znaleźli moje kalosze w lesie przy domu Fritjofssonów, tyle że te cholerne kalosze zginęły mi kilka tygodni temu. No i zdaje się, że sądzą, że to ja podpałałam ten dom. I dom Olofssona też. Poza tym nie znaleźli żadnych ciał. Zawsze muszę wszystko spieprzyć!

– Chryste, Raili!

– No – wykrztusiłam zmęczona. – Myślę, że to Louise, choć chyba mi nie wierzą.

– Sprawdziłaś Anitę?

– Nie, zamiast tego pojechałam do Lövaren. Niestety.

– Pierwsze, co jutro zrobię, to telefon do adwokata – obiecała Ylva. – Jesteś tu, w Valludden?

– Nie, jestem w Strömstad. Policjant, który mnie przesłuchuje, jest dość tępy, ale wydaje mu się, że twardy. Postaram się zadzwonić później, jeśli nie zabiorą mi telefonu.

– Chcesz, żebym zajęła się Anitą?

Anitą? Czy mogła się jeszcze na coś przydać? W sumie dlaczego nie? Dobrze by było raz na zawsze połączyć ze sobą wszystkie wątki. Natomiast definitywnie nie chciałam, żeby Ylva jechała do Greta hemmet i spotykała się z Louise. To było zbyt niebezpieczne.

– Wiesz co – stwierdziłam – to dobry pomysł. Klocki Duplo leżą na stole w kuchni...

– Kupię nowe, spoko.

– Mówiłam ci, jak chciałam to zrobić...

– Tak, tak – przerwała. – Wpisuję Anita, Göteborg i tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty drugi na stronie birthday.se i...

– Tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty czwarty, Ylva, siedemdziesiąty czwarty – syknęłam. Czułam, jak znowu ogarnia mnie histeria.

– Załatwię to i zadzwonię jutro do adwokata. To łatwizna!

Naprawdę? Dlaczego Ylva zawsze brzmiała tak entuzjastycznie? Jakaś część mnie zastanawiała się, czy nie traktowała tego bardziej jak przygodę, zamiast dostrzec powagę sytuacji.

Rozłączyłam się i wyszłam z toalety. Sigge stał kawałek dalej i czekał na mnie. Trzymał dwa papierowe kubki z kawą.

– Nie wiedziałem, czy pije pani z cukrem i mlekiem – powiedział i podał mi kubek.

– Czarna jest okej – odparłam krótko.

Wróciliśmy do pokoju przesłuchań i usiedliśmy przy stole.

– Sądzi pan – zaczęłam i pochyliłam się nad stołem – sądzi pan, że jestem na tyle stuknięta, żeby podpalić dom, rozrzucić swoje kalosze i te inne pierdoły w miejscu, w którym zaparkowałam, a później zadzwonić po was?

– Część osób chce być złapana. Lub powstrzymana.

– Ta, jasne! – skwitowałam tylko.

– Poza tym słyszałam, że zasnęła pani w radiowozie. Często zdarza się...

– Ha! – przerwałam mu. – Też widziałam ten film. Zасыpiają, bo ulżyło im, że przyznali się do popełnienia przestępstwa. Ale ja nie przyznałam się do niczego, no patrz! Zasnęłam, bo byłam totalnie wykończona. I chciałam, żebyście znaleźli te ciała i zaginione dziecko oraz przyskrzynili Louise. Tam jest jej miejsce, tego pieprzonego potwora! – Popatrzyliśmy na siebie. – A wy tu mnie dręczycie – zakończyłam.

– Patrol z Göteborga przyjedzie tu w poniedziałek – oznajmił. – Będę mieli ze sobą psy tropiące. Jeśli w domu były jakieś trupy, dowiemy się tego.

– Jeśli były? Przecież na pewno spłonęły. Oczywiście, że wciąż tam są, nawet jeśli to tylko ich prochy. Czy psy wyczują je, nawet jeśli ciała są spalone?

– Nie ma tam żadnych ciał – stwierdził Sigge z anielską cierpliwością. – Udało się ugasić pożar w porę. Ciała nie zdążyłyby zostać zwęglone. Ale tak, oczywiście, w odpowiedzi na pani pytanie, pies jest w stanie znaleźć ślad zmarłych nawet z prochów. Albo kiedy ciało zostało przeniesione, jeśli faktycznie tak się stało.

– Więc co teraz będzie? – zapytałam.

– Odwieziemy panią do Lövaren. Ale będziemy jeszcze chcieli z panią porozmawiać, więc proszę stąd nie wyjeżdżać.

– Nie mogę wrócić do domu? Do Valludden?

– Oczywiście, że pani może. Tyle że proszę zostać tam, dopóki nie zakończymy dochodzenia.

Obiecałam, że nie będę opuszczać kraju, i w końcu podwieziono mnie do Lövaren. Tym razem wiozła mnie jakaś inna para policjantów i gdy tłumaczyłam im, jak dojechać do mojego domku, zupełnie zapomniałam, że zostawiłam przecież samochód po drugiej stronie jeziora. Dopiero gdy zobaczyłam, jak znikają tylne światła radiowozu, dostrzegłam, że mój samochód wciąż stoi na wypalonej działce Olofssona.

Łup, łup, łup!

Siedziałam na kanapie i po raz kolejny ogarnęło mnie to potworne uczucie déjà vu.

Łup, łup, ŁUP!

Ktoś walił w drzwi wejściowe.

Zrzuciłam kołdrę i na bosaka poszłam sprawdzić, kto to. Na zewnątrz unosiła się mgła, ale słońce zdążyło już wzejść. Prawdopodobnie było dość późno. Przetarłam oczy i otworzyłam drzwi.

– Ylva? – zapytałam. – Co ty tu robisz?

– Cholera, Raili! Wszędzie cię szukałam. Na szczęścia adwokat nie mógł przyjechać dziś rano na komisariat, w przeciwnym razie ciągnęłabym go na darmo aż do Strömstad.

– Byłaś w Strömstad? – poczułam się zdezorientowana, co faktycznie często mi się zdarzało, kiedy przebywałam z Ylvą.

– Oczywiście, że byłam w Strömstad. Rozmawiałam z grubym, rudym policjantem, który powiedział, że wczoraj wieczorem wróciłaś do domu.

– To mój policjant, Sigge – potwierdziłam.

– Ale nie wiedziałam, że nie ma cię w mieszkaniu, więc musiałam szukać tego cholernego domku. Zajęło mi to trochę czasu.

– Jak udało ci się tu trafić? – zastanawiałam się. Nie jest łatwo znaleźć moją działkę.

– Policjant poinstruował mnie, jak mam dotrzeć na miejsce zbrodni, właśnie tak powiedział, miejsce zbrodni. I wiesz co, Raili, wygląda na to, że sądzi, że to ty ją popełniłaś.

– Tak – przyznałam – wydaje się o tym przekonany.

– W każdym razie spotkałam po drodze jakąś wściekłą kobietę, która wskazała mi twój dom i kazała wjechać z powrotem na drogę, a później skręcić w tę małą uliczkę, żeby tu dotrzeć.

– Berit? – spytałam, zdziwiona.

– Nie wiem, jak się nazywała. Wyglądała jak nauczycielka.

– Freda? Była wściekła?

– Tak, chyba strasznie bolała ją głowa i powiedziała, że oskarżałaś ludzi o różne rzeczy, a później zaczęło się palić i nikt już tutaj nie czuje się bezpiecznie. Odparłam, żeby nie była śmieszna – oznajmiła Ylva, weszła do mojej małej kuchni i rozejrzała się wkoło.

Podążyłam za nią.

– Naprawdę powiedziałaś jej, żeby nie była śmieszna? – spytałam. Ylva naprawdę miała jaja! – Co tu właściwie robisz?

Stała pośrodku sypialni i zaglądała za drzwi.

– Szukam łazienki, bo zaraz się posikam.

– Wychodek – odparłam i wskazałam przez okno. – Tam.

– Wychodek? Chyba sobie żartujesz?

Uniosłam znacząco brew, więc westchnęła i ponownie włożyła buty.

– Byłaś w Göteborgu? – rzuciłam, kiedy wychodziła.

Odwróciła się i spojrzała na mnie.

– Czy byłam? Raili, to właśnie jeden z powodów, dla których postanowiłam cię odnaleźć. Nie wiem, czy to istotne, ale tak mi się wydaje. Tylko najpierw się wysikam. – Zamknęła za sobą drzwi i pobięła do wychodka.

Poszłam do kuchni, żeby nastawić kawę. Kiedy woda leciała strumieniem z kranu, poczułam, że zaraz sama będę musiała skorzystać z wychodka. Zniosłam kołdrę do sypialni i podałam małe śniadanie, czyli to, co miałam w lodówce. Ylwie musiało chcieć się coś więcej niż tylko siku, bo dość długo jej nie było.

Nie mogłam już dłużej wytrzymać. Włożyłam crocasy i poczłapałam za nią. Zapukałam do drzwi.

– Ylva, tu jest więcej potrzebujących! – krzyknęłam.

W tym momencie drzwi się uchyliły, ale nie było jej w środku. Rozejrzałam się,

zdziwiona, i weszłam się załatwić. Gdzie ona poszła? Zeszła niżej podziwiać jezioro?

Wołałam, ale nikt nie odpowiadał. Nie widziałam jej nigdzie. Czyżby poszła ścieżką w stronę domu Hanssonów? Ruszyłam w drogę, lecz nagle zatrzymałam się, widząc, jak coś porusza się w oddali przy czerwonym domu. Synowie Staffana biegali wkoło po trawniku, a on stał przy schodach do kuchni i rozmawiał z Andersem. Wyglądało, jakby się z czegoś śmiali.

Nie wiem, co sprawiło, że weszłam między brzozy, ale tak właśnie zrobiłam. Stałam tam w milczeniu i patrzyłam na nich przez gałęzie drzew.

Staffan miał romans z Anną-Marią. Czy zdecydowałby się na związek z nią, gdyby była w takim stanie jak obecnie? Mówił, że cierpiała na depresję poporodową, ale minęły już trzy lata od narodzin Tovy, więc byłaby to bardzo długa depresja.

Ale jeśli zeszłego lata była zdrowa... Czyżby zachorowała przez Staffana? Czy tak samo było z Louise? Może to Staffan wpędzał je w chorobę?

Nagle dotarło do mnie coś, co mnie gryzło od dłuższego czasu. Jeśli Staffan i Anna-Maria mieli romans zeszłego lata, może to on był ojcem tego zaginionego dziecka.

Słyszałam, jak w mojej głowie rozbrzmiewa tajemniczy głos Olofssona: „Nie wiesz wielu rzeczy” i „Uważaj na tego Staffana”. Zawróciłam do domu.

Gdzie w ogóle podziewała się Ylva?



– Ylva!

Żadnej odpowiedzi.

Wróciłam do domku i rozejrzałam się po salonie, aneksie i sypialni. Nie było jej tam. Z kubkiem kawy w dłoni ponownie wyszłam na zewnątrz i spojrzałam na las. Czyżby tam poszła? Po co miałyby iść do lasu po tym wszystkim, co jej o nim opowiedziałam? Poza tym chciała przecież zdradzić mi coś ważnego na temat Anity.

Westchnęłam, wróciłam do środka i zmieniłam buty na kalosze. Pewnie chciała obejrzeć działkę. Jest niemożliwa! A co, jeśli zabłądziła?

Dla pewności przeszłam obok czerwonego samochodu Ylvy, lecz tam też jej nie było. A zatem las.

Zauważyłam, że kusiło mnie, by tam wejść. Balansowałam na krawędzi między trawnikiem a skrajem lasu i wypatrywałam jej między drzewami. Panowała zupełna cisza.

– Ylva! – krzyknęłam niepewnie, ale nikt nie odpowiedział.

Stałam na mchu i gałązkach borówki i rozejrzałam się wkoło, ale widziałam tylko chropowate pnie jodły i pojedyncze brzozy. Droga wyjeżdżona przez traktor rozpościerała się przede mną i w chwili kiedy na nią weszłam, dostrzegłam niebieski beret Ylvy. Leżał na środku.

– Do cholery... Ylva, gdzie jesteś? – krzyknęłam w głąb lasu, ale jedyne, co usłyszałam, to szumiące nade mną korony drzew. Podniosłam beret i ścisnęłam go w dłoni, po czym ruszyłam biegiem przed siebie.

Z palącym uczuciem w płucach dotarłam do polany. Przez chwilę, pewnie z braku tlenu spowodowanego marszobiegami, widziałam tam szarą chatkę z małymi szczeblinowymi oknami, które błyszczały w słońcu, i dymem snującym się

z nadgryzionego zębem czasu komina. Mrugnęłam kilka razy i ujrzałam przed sobą ziemię, ze starymi schodami i murami porośniętymi krzakami i pokrzywami.

Nie było słycać nic poza kilkoma świergoczącymi ptakami.

– Ylva! – krzyknęłam ponownie i rozejrzałam się.

Zdawało mi się, że coś poruszyło się między drzewami. A co, jeśli to Louise? Szaleńcy mogą być bardzo silni. Stałam, zaniepokojona, i nasłuchiwałam. Nagle usłyszałam, jak ktoś kaszlnął za moimi plecami. Podskoczyłam i odwróciłam się.

– Ylva – odezwałam się niepewnie.

– Raili?

– Ylva! – wbiegłam na schody i spojrzałam w dół. Siedziała w krzakach z rozczochranymi włosami, a z nosa leciała jej krew.

– Ylva! – krzyknęłam, przestraszona. – Co się stało? Jak się tu znalazłaś?

– Ona urodziła w domu – powiedziała Ylva i zaczęła czołgać się w moją stronę.

Przeszłam ostrożnie przez mur i uklękłam przed nią.

– Co się stało, Ylva? Skąd się tu wzięłaś? Zabłądziłaś?

– Urodziła to dziecko w domu – powtórzyła Ylva. – Gdzie ja jestem?

– Jesteś w tej ruinie. Po co tu przyszaś?

– Nie przyszałam... Nie wiem... Nic nie pamiętam.

Wezbrało we mnie nieprzyjemne uczucie.

Tylko nie Ylva, pomyślałam. Nie ona.

– Jak to nie pamiętasz?

– Nie wiem...

– A jaka jest ostatnia rzecz, jaką zapamiętałaś?

Ylva spojrzała na mnie niepewnie. Przyłożyła palce do nosa i zobaczyła krew.

– Co się stało? – zapytała. – Upadłam?

– Byłaś w wychodku. Na mojej działce. A później zniknęłaś.

Wymamrotała coś, ale nie byłam w stanie tego zrozumieć. Podniosłam się i chwyciłam ją za dłonie, a następnie pociągnęłam w stronę schodów.

– Musisz się tu wdrapać, po drugiej stronie będą schody – powiedziała, starając się dodać jej trochę otuchy. – Dasz radę?

– ...te oczy... – rzuciła Ylva.

– Co mówisz?

– Lodowate spojrzenie... Urodziła dziecko w domu... – bredziła Ylva i wspięła się na krawędź muru.

Pochyliłam się nad ziemią i zamknęłam oczy. Co się stało? Czy Ylva już przepadła? Będzie teraz jak Louise? Jak Anna-Maria? Moja wspaniała, bystra i dociekliwa Ylva? Poczułam ukłucie w sercu i ogarnęło mnie tak przeszywające zimno, że nie mogłam się ruszyć.

– Zaraz będziemy w domu – wykrztusiłam, kiedy najgorszy paraliż odpuścił. – Zejdź schodami i poczekaj tam na mnie. Tylko nigdzie nie odchodź.

Próbowałam wdrapać się na krawędź. Udało mi się oprzeć jedno kolano i przetoczyć się na drugą stronę. Chwyciłam dłoń Ylvy i wpatrywałam się w drzewa, w których wcześniej coś się poruszało. Było całkiem spokojnie.

– I jak? Możesz iść? Jesteś ranna?

Ylva odwróciła się i popatrzyła na mnie. Nasze spojrzenia się spotkały. Wciąż bałam się, że jej źrenice zaczną zaraz się rozszerzać i zwężać, ale na szczęście wyglądała normalnie, pomijając oczywiście krew, która leciała jej z nosa na wargi i kapała z brody na klatkę piersiową.

– Chyba mogę iść – powiedziała i zrobiła krok do przodu, później następny. – Daję radę.

– Nie puszczę cię – oznajmiłam. – Wrócimy sobie spokojnie do domu. Nastawiłam kawę. Napijesz się?

Ylva nie odpowiedziała. Stawiała kolejne kroki, powoli, lecz dość pewnie. Przez cały czas trzymała mnie mocno za rękę. Od czasu do czasu spoglądałam na nią, żeby sprawdzić, czy krew przestała się lać, ale wciąż tryskała z nosa, a jej koszula była z przodu cała zakrwawiona.

– Zaraz będziemy na miejscu – starałam się dodać jej otuchy. – Jeszcze trochę, Ylva, już niedaleko.

Zastanawiałam się, jak dużo krwi straciła. Ile w ogóle można stracić, zanim stanie się to naprawdę niebezpieczne? Jak mam zatrzymać to krwawienie?

\* \* \*

– Spływa mi do gardła. Zaraz się porzygam! To obrzydliwe! – krzyczała, kiedy kazałam jej stać z odchyłoną głową.

Co za ulga! Wyglądało na to, że stara Ylva wróciła.

Pochyliła się i wypłuła do zlewu skrzepniętą krew.

– Nie rób tak – przestrzegłam – bo teraz to ja się porzygam.

Zdawało się, że krwawienie powoli ustawało. Mokrym ręcznikiem delikatnie starłam krew z jej twarzy.

– Jak się czujesz?

– Boli mnie głowa – odparła. – Strasznie.

– Chcesz coś przeciwbólowego?

– Tak. I kawę.

– Zdejmij koszulę. Dam ci jakąś czystą bluzę – powiedziałam i poszłam do sypialni.

Wszystkie moje ubrania były oczywiście za duże na Ylvę, ale przynajmniej nie były zakrwawione.

– Masz. – I podałam jej bluzę, kubek z kawą i tabletkę przeciwbólową. – Usiądziemy na sofie.

Okryłam jej ramiona kocem i patrzyłam, jak siedzi z kubkiem w dłoniach i sączy kawę. Jej jasne, mokre od potu włosy zwisały kosmykami na czoło. Miała ziemistą twarz.

– Pamiętasz, co się stało? Wyszłaś do wychodka i zniknęłaś.

– Nie, mam zupełną pustkę w głowie. Nie pamiętam nawet, jak tu przyjechałam.

– Mówiłaś coś dziwnego w lesie. „Urodziła w domu”. Powtórzyłaś to kilka razy.

O co ci chodziło?

– Nie mam pojęcia.

– Miałaś powiedzieć mi coś ważnego o Anicie. Co?

– Nie pamiętam! – krzyknęła Ylva. – Przestań mnie wypytywać! Nic nie pamiętam!

– Rzuciła kubkiem o ścianę, a odłamki porcelany rozsypały się po pokoju. Widziałam, jak kawa powoli spływa po tapecie i zbiera się w gęstej, brunatnej kałuży nad listwą podłogową.

– Okej, okej – odpowiedziałam. – Zawiozę cię teraz na ostry dyżur. Nie wiem, co się stało, ale coś jest na rzeczy... Ylva?

Opadła na sofę. Szturchnęłam ją delikatnie, lecz nie reagowała. Czy powinnam ułożyć ją w pozycji bocznej ustalonej? Próbowałam sobie przypomnieć, jak to się robiło. Powinno się chyba złapać za któreś ramię albo jakoś tak, żeby obrócić ciało i ułożyć je jak należy.

– Ylva – powtórzyłam i poklepałam ją delikatnie w policzek.

– Mmm... – mruknęła.

– Podjadę tu twoim samochodem. Zaraz wrócę. Kluczyki są w środku?

– Mmm...

Wybiegłam z domku i popędziłam do samochodu. Ale w stacyjce nie było kluczyków. Wróciłam do domu i zaczęłam się rozglądać za torebką Ylvy, tyle że jej też nie mogłam znaleźć. Miała na sobie kurtkę?

– Gdzie są kluczyki? – krzyknęłam w stronę sofy, lecz Ylva znowu odpłynęła.

Przejechałam dłonią po zakrwawionej koszuli, ale nie miała nawet kieszeni. A niech to szlag! Wróciłam do Ylvy i zdjęłam z niej koc. Spódnica. Z przodu nie było kieszeni. Pochyliłam się i wsunęłam pod nią dłoń, lecz z tyłu też nic nie znalazłam. Czy przypadkiem nie położyła gdzieś kluczyków, jak tylko przyjechała?

Wszystko przeszukałam. I nic. Żadnych kluczyków, kurtki, swetra ani torebki. Prawie przeczłogałam się po trawniku, najpierw między domem a samochodem, później między domem a wychodkiem, ale nigdzie ich nie zgubiła. O ile nie wypadły jej w lesie. Wtedy nie byłoby szans na ich znalezienie. Spojrzałam w stronę jeziora. Mój samochód stał po drugiej stronie. Musiałam po prostu pójść do Hanssonów i poprosić, żeby mnie tam zawieźli.

– Ylva – powiedziałam i usiadłam obok niej na sofie – nie mogę znaleźć twoich kluczyków. Muszę sprowadzić mój samochód. Słyszysz mnie?

Milczała. Leżała z zamkniętymi oczami. Słyszałam tylko jej oddech. Jedna z żył na jej szyi pulsowała szybko. Odniosłam wrażenie, że zdecydowanie za szybko. Było coraz mniej czasu.

– Położę cię na brzuchu – oznajmiłam i zaczęłam ją ciągnąć.

Jej ciało przypominało wór z mąką. Jak to wyglądało na tym obrazku przy wejściu do biblioteki? Jedna ręka pod policzkiem i przeciwległa noga ugięta w kolanie, tak? Ułożyłam ciało Ylvy najlepiej, jak potrafiłam, mając nadzieję, że wszystko będzie

w porządku. W każdym razie oddychała miarowo, mimo że puls skakał pod jej cienką skórą. Włożyłam kurtkę i upewniłam się, że moje kluczyki znajdują się w kieszeni, po czym wyszłam.

Staralam się podbiegać przez całą drogę do Hanssonów i obiecałam sobie, że kiedy będzie po wszystkim, zapiszę się na kurs pierwszej pomocy i zacznę pracować nad kondycją. I pomyśleć, że coś mogłoby się stać Ylvie tylko dlatego, że jestem taką pierdołą i nic mi nie wychodzi.

Nie czekając, aż złapię oddech, wbiegłam po schodach i chwyciłam za klamkę drzwi kuchennych u Hanssonów. Były zamknięte. Zapukałam kilka razy, ale wiedziałam, że na nic się to zda. Nigdy nie zamykali tych drzwi, kiedy ktoś był w domu. Pobiegłam na drugą stronę domu, lecz nie było ani ich samochodu, ani auta Staffana.

Cholera, cholera, jasna cholera! Co mam teraz zrobić? Może komórka Ylvy ma tu zasięg? Odwróciłam się, żeby pobiec do domku, przypomniałam sobie jednak, że kiedy szukałam kluczyków, nie widziałam żadnego telefonu. Dziwne. Czyżby zgubiła też komórkę? Może miała wszystko w torebce i to ją zgubiła, blakając się po lesie.

Próbowałam się uspokoić. Jakie miałam możliwości? Mogłam poczekać, aż wrócą Hanssonowie, i poprosić ich, żeby zawieźli mnie na drugą stronę jeziora, sama spróbować się tam dostać albo rozpalić ogień na działce i liczyć, że ktoś wezwie straż pożarną, a przy odrobinie szczęścia może też karetkę.

Karetka! Hanssonowie mieli przecież telefon stacjonarny. Mogłam wezwać z niego karetkę, jeśli tylko udałoby mi się dostać do środka. Znalazłam się przecież w sytuacji kryzysowej. Drzwi kuchenne nie miały okna, które mogłabym zbić. Nie miały go też główne drzwi wejściowe, wiedziałam o tym i nie musiałam nawet obchodzić domu, żeby to sprawdzić. Zeszłam po schodkach i spojrzałam na okna. Znajdowały się za wysoko, żebym mogła ich dosięgnąć.

– Niech szlag trafi te przeklęte stare domy i działki – wykrztusiłam, kiedy rozglądałam się wkoło za drabiną. Byłam pewna, że Sara i Anders nie mieliby mi za złe, gdybym zbiła okno, żeby dostać się do ich telefonu.

Weszłam do szopy, z której wieki temu przynosiłam krzesła na przyjęcie Sary, lecz nie było tam drabiny (tylko te wymyte krzesła i jakieś inne graty). W starej oborze też

nie, tylko boksy, w których kiedyś stały krowy, i taczka bez kół. Przy ścianie szczytowej stał duży pusty schowek i w końcu to tam znalazłam drabinę. Leżała na kilku belkach pod dachem i nie dało się po nią sięgnąć bez drugiej drabiny. Nie wiem, jak przemyślał to Anders. Chyba że coś przegapiłam? Spojrzałam zrezygnowana na drabinę i głośno westchnęłam. To było zupełnie bez sensu.

Czy mogłam przejść naokoło jeziora na drugą stronę? Olofsson zawsze przyjeżdżał do Hanssonów samochodem, Almkvistowie także, kiedy byli tu nazrywać bzu i czego tam jeszcze. Prześledziłam wzrokiem linię brzegową od domu Hanssonów do działki Olofssona. Las ciągnął się do samego jeziora niemal przez całą trasę, a góra, na której Hanssonowie mieli swoją antenę, wystawała w jednym miejscu niezbyt zachęcająco. Ale jeśli poszłabym lasem i pokonała tę górę, powinno jakoś się udać. Gdyby tak spojrzeć na nią z lotu ptaka, wydawała się oddalona może o dwa kilometry.

Poszłam za oborę i wypatrywałam. Sara mówiła przecież, że prowadzili stąd krowy aż na łąki tam, na górze, przy szosie. Gdzieś powinna się znajdować ta ścieżka. Pokręciłam się chwilę w wysokiej, pożółkłej trawie, aż ku mojej uciechu dostrzegłam wąską dróżkę, która prowadziła do lasu. Niewielki strumień szumiał wesoło tuż obok, prawdopodobnie wpadał do jeziora.

Po pięćdziesięciu metrach musiałam przestać biec. W mięśniach nóg zgromadziło się tyle kwasu mlekowego, że omal nie wyciekł na zewnątrz. Trasa prowadziła pod górę. Zakładałam, że znajdowałam się na właściwej drodze, ale jedyne, co widziałam, to drzewa i mech. Kiedy powinnam skrócić w prawo, żeby przedostać się na drugą stronę?

Musiałam zaryzykować.

Gałęzie i zarośla smagały mnie po twarzy. Potykałam się o wystające korzenie i kamienie oraz ześlizgiwałam się w dół urwiska. Kiedy dotarło do mnie, że zbaczając z dróżki, popełniłam błąd, było już za późno. Nie byłabym w stanie na nią wrócić. Zapewne istniał jakiś dobry powód, dla którego ścieżka prowadziła naokoło góry, zamiast ją przecinać.

Chociaż Anders jakoś zamieścił tu przecież antenę satelitarną.

– Pewnie szedł inną drogą – wymamrotałam i kontynuowałam wspinaczkę.

Kilka dużych głazów blokowało mi drogę i kiedy je obeszłam, zobaczyłam nieduży wąwóz. Miał tylko kilka metrów głębokości, ale był tak długi, że nie sposób było dojrzeć jego koniec. Jak miałabym go pokonać? Przeskoczyć?

Kawałek dalej nie był już tak szeroki, miał może ze dwa metry. Wspięłam się na głaz i spojrzałam na drugą stronę. Było dość stromo, lecz dało się tam wylądować. Młoda brzoza wyrosła strategicznie na jego skraju. Gdyby udało mi się jej złapać, mogłabym podciągnąć się na bardziej równy teren.

Wzięłam rozbieg, ale nie odważyłam się skoczyć. To było bardzo niebezpieczne. A co, jeśli się poślizgnę i spadnę w dół? Może i bym się nie zabiła, lecz czy udałoby mi się stamtąd wydostać? A co, jeśli nie?

Co mam robić? Próbować odnaleźć ścieżkę i podążyć nią jeszcze kawałek? Iść w górę lub w dół wąwozu w nadziei, że znajdę miejsce, w którym będę mogła go przeskoczyć bez żadnego ryzyka? Wydawało mi się, że wąwóz zwężał się trochę niżej, tyle że droga tam wydawała się dość stroma. Czy dam radę dotrzeć do tego miejsca? Obraz nieprzytomnej Ylvy leżącej na mojej sofie przemknął mi teraz przed oczami i poczułam, jak zaczyna zżerać mnie trwoga. Nie miałam czasu na wątpliwości.

Skoczyłam.



Kolana uderzyły o coś twardego, zanim brzuchem i brodą zdołałam wylądować na mchu po drugiej stronie. Błądziłam dłońmi, by móc się czegoś chwycić, czegokolwiek, byle tylko się złapać. Stopy zwisały nad przepaścią i czułam, jak nogawki powoli podciągają się w górę, kiedy ja zsuwałam się w dół. Gdzie była ta przeklęta brzoza? Wyciągnęłam się i złapałam jakiejś gałęzi. Przynajmniej przestałam się już zsuwać, choć nie było niczego, na czym mogłabym się wesprzeć, żeby się podciągnąć. Nie wyglądało to dobrze. Zamknęłam oczy i zacisnęłam zęby. Opuściłam jeden łokieć i wbiłam go w ziemię, żeby się na nim podeprzeć, jednocześnie próbując podciągnąć się na brzozowej gałęzi.

Wtem gałąź pękła, a ja poleciałam w tył z taką prędkością, że aż zakręciło mi się w głowie. Próbowałam odruchowo czegoś się chwycić, tyle że niczego takiego nie było, tylko mech i gałązki jagód, które puszczały, w chwili gdy tylko wczepiałam się w nie palcami.

Wylądowałam w wąwozie z wielkim hukiem. Spojrzałam w górę na niebieskie niebo i wciągnęłam nosem stęchły zapach ziemi i mokrych kamieni. Bolała mnie stopa. Nie mogłam nią ruszyć. Próbowałam się podnieść. Na szczęście byłam w stanie. W każdym razie kręgosłup nie był złamany. Podniosłam nogę i wysunęłam ją z kalosza, który zaklinował się między dwoma kamieniami. Stopa pulsowała. Zdążyła już nieźle spuchnąć w skarpecie.

– Ożeż kurwa – przeklełam, wyciągając kalosz spomiędzy kamieni.

Trudno było go włożyć ponownie, ale jakoś poszło. Stopa bolała teraz potwornie.

Oparłam się o zimną, mokrą skałę i wstałam. Noga się trzęsła. Przyłgnęłam do ściany i zamknęłam oczy.

– Dobra robota, Raili – powiedziałam do siebie. – Znajdź teraz jakieś rozwiązanie. Pomyśl o Ylvie.

Spojrzałam przed siebie, potem do tyłu. Przede mną leżały luźne kamienie tworzące duży niestabilny kopiec, lecz za moimi plecami wyglądało to trochę lepiej. Ominęłam głazy, między którymi utknęła moja stopa, i ruszyłam w tamtą stronę. Było dość stromo, z czego z początku się cieszyłam, jednak już po chwili zdałam sobie sprawę, że skalne ściany wokół mnie stają się coraz wyższe, a to oznacza, że wąwóz się pogłębia.

Stawiałam stopę za stopą, a obiema rękami wspierałam się o ściany. Przez ostatnie

dziesięć metrów wąwóz dramatycznie się zwęził i wyglądało na to, że wkrótce zabraknie miejsca, by stawiać kroki. Jedyнным pozytywnym aspektem był fakt, że mogłam podparć się obiema rękami i w ten sposób odciążyć uszkodzoną stopę. Nie chciałam zawracać. Czułam, że jeśli zawrócę, wydarzy się coś strasznego.

Było bardzo ciasno, coraz ciaśniej. Robiło się też coraz ciemniej, jakbym znajdowała się na drodze do jakiejś grotty. Uniosłam wzrok i popatrzyłam w niebo. Nie widziałam słońca. Jedyne pas niebieskiego nieba i ciemne chmury, które się na nim kłębiły. Deszcz? Jeszcze tego brakowało. Ale co to? Co tam jest?

Korzeń starego powalonego drzewa zwisał z krawędzi skały. Co więcej, z dobrej strony. Wyciągnęłam się, chwyciłam korzeń i pociągnęłam. Opuścił się trochę, ale poza tym mocno się trzymał, niczym lina przywiązana do pnia. Złapałam go obiema rękami i przylgnęłam plecami do skały. Powoli oparłam zdrową stopę o ścianę i zaczęłam się podciągać. Stopa, podciągnięcie, tyłek, podciągnięcie, stopa, podciągnięcie, tyłek, podciągnięcie. Wychyliłam głowę i ramiona nad krawędź skały. Wokół znajdowało się więcej korzeni, których mogłam się złapać. Ponieważ wąwóz był tak wąski, mogłam odepchnąć się stopą od krawędzi i wdrapać na górę. Nareszcie. Byłam cała w ziemi i igłach, ale udało mi się wydostać na górę. Na dodatek po dobrej stronie.

Ciemne chmury niemal w całości przysłoniły już niebo. Słońce przebijało się jeszcze niemrawo, lecz już po chwili znów zakryły je chmury. W dole znajdowało się jezioro. Byłam już niedaleko.

Bez ścian, o które mogłam się oprzeć, trudno było mi posuwać się naprzód. Stopa cały czas bolała, wyginała się. Kiedy w końcu pokonałam grzbiet góry, usiadłam na tyłku i zaczęłam zsuwać się w dół. Ziemia była podmokła i wszędzie rosła trzcina, w końcu byłam dość blisko jeziora. Woda rozbryzgiwała się pod moimi kaloszami. Co drugi metr przystawałam pod drzewem i odpoczywałam.

Muszę tylko dojść do samochodu i wszystko będzie dobrze. To brzmiało jak mantra, którą powtarzałam sobie w kółko. Muszę tylko dojść do samochodu i wszystko będzie dobrze, muszę tylko dojść do samochodu i wszystko będzie dobrze...

Wtem poczułam czyjąś obecność. Coś, co posiadało świadomość, było ze mną w lesie. Znowu. Louise? Ten cholerny policjant Sigge nie pojechał chyba do Gretaemmet. Stałam w całkowitej ciszy i trzymałam się olchy. Nie odważyłam się

nawet oddychać. Gdzie się ukryła? Rozejrzałam się wkoło. Widziałam tylko szare pnie oraz zielony mech i trzcinę. Nie było widać żadnych cieni, niebo było całkiem szare. Ciemnoszare. Fioletowe. Wręcz nienaturalne. Zrobiłam kilka kroków naprzód. Woda chlupała pod nogami. Stopa znowu się wykręciła, oparłam kolano o ziemię i jęknęłam. Na szczęście teren nie był bagnisty jak w lesie za moją działką. Pod mokrym mchem kryła się ubita ziemia. Woda spływała mi po nodze i wlewała się do kalosza, ale szłam naprzód. Jeszcze parę kroków. Jeszcze kilka. Ta obecność zdawała się bardzo wyczuwalna. Nie przebywałam w lesie sama, lecz czy zostałam już namierzona? Nie wiedziałam.

Jak długo jeszcze?

Zaczęło padać. Ciężkie krople spadały dookoła na podmokłą już ziemię. Las stanowił wprawdzie pewnego rodzaju schronienie i wydawało się, że bezpieczniej jest się przemieszczać. Teraz przynajmniej nie było słychać moich kroków.

Drzewa rosły tak gęsto, że mogłam łapać się pni i posuwać naprzód, nie używając uszkodzonej nogi, którą ciągnęłam tylko za sobą. Choć w zasadzie bolała tak bardzo, że było bez znaczenia, czy stawałam na niej, czy nie. Po prostu nie chciałam znowu upaść. Zacisnęłam zęby i kontynuowałam swoje kuśtykanie. Wkrótce pojawił się rów. Przedarłam się przez zarośla i w końcu stanęłam na żwirowej drodze, która prowadziła do domów.

Byłam widoczna na drodze. Każdy mógł mnie dostrzec. Być może ktoś stał teraz między drzewami i mnie obserwował. Czy powinnam znowu wejść do lasu? Nie dałam już rady. Dokuśtykałam do domu Olofssona. Co ma być, to będzie.

Dojrzałam swój samochód. Stał przy małej pętli do zawracania obok terenu, który w przeszłości był ogrodem Olofssona. Łzy ciekły mi po policzkach, kiedy położyłam ręce na dachu i przyłożyłam czoło do drzwi. Mój samochód. Mój bezpieczny, kochany samochód.

Wygrzebałam kluczyki z kieszeni kurtki i otworzyłam go. W środku pachniało normalnie. Wszystko, czego mi teraz było trzeba, to normalność. Usiadłam za kierownicą, zamknęłam drzwi i zablokowałam je.

Jeśli tylko pokażesz się na drodze, Louise, przejadę cię, pomyślałam i przekręciłam kluczyk.

Kiedy próbowałam cofnąć na żwirowej drodze, samochód zniosło na bok. Dodałam gazu, zarzuciło nim i rozległ się pisk, ale auto ani drgnęło. Zagryzając zęby, znowu wyszłam na deszcz i spojrzałam na opony. Wszystkie były przebite. Ktoś spuścił z nich powietrze.

Co miałam teraz zrobić?

Błysnęło, a nad moją głową rozległ się huk pioruna. Pioruny w październiku? Pośpieszyłam do samochodu, ale jeszcze zanim zdążyłam wsiąść, dostrzegłam w oddali, że ktoś idzie drogą w moją stronę. Padało tak mocno, że nie byłam w stanie zobaczyć, kto albo co to było, lecz przemieszczało się szybko i bez wątplenia zmierzało prosto w moim kierunku.

Nie zamykając nawet drzwi, pokuśtykałam przez działkę Olofssona. Przecisnęłam się przez stare graty i żywopłot. Skulona, przemierzyłam żwirową drogę i weszłam do lasu. Schowałam się za krzakami i wyglądałam na drogę, ale teraz nikogo nie było. Czyżby to coś również ukryło się w lesie? Czy może wciąż przebywało przy moim samochodzie? Szukało mnie w ogrodzie Olofssona?

Wyglądało na to, że nie było ani Almkvistów, ani Kullmanów. Mogłam spróbować włamać się do któregoś z domów i zadzwonić pod numer alarmowy, ale nie miałam odwagi. Gdybym tylko opuściła las, na pewno by mnie namierzono.

Wycofałam się w głąb i stanęłam za sosną. Słyszałam, jak zatrzasnęły się drzwi mojego samochodu. Ale mnie już tam nie było, pomyślałam i spróbowałam wypatrywać spomiędzy gałęzi. Coś chyba poruszało się na działce Olofssona.

Weszłam jeszcze głębiej. Uznałam, że przy tak mocnym deszczu nie powinno być mnie widać, chyba że morderca po prostu się na mnie natknie. Byłam pewna, że mnie szuka.

Louise.

Szałeńcy są silni, lecz ta kobieta była dość wątpa. Rozejrzałam się za kamieniem, którym mogłabym ewentualnie się obronić, gdyby się zbliżyła, ale nie znalazłam żadnego. Wszędzie za to leżały gałęzie. Czyż nie były lepszą bronią niż kamień? Można było trafić kogoś z pewnej odległości bez konieczności podchodzenia za blisko. Wybrałam gruby konar, który mogłam dodatkowo wykorzystać jako laskę, kiedy szłam w głąb lasu. Chciałam zwiększyć dystans między mną a Louise na tyle, na ile tylko się

dało.

Deszcz prawie przestał padać, kiedy błotnistą drogą, którą znalazłam w lesie, doszłam do gospodarstwa Anderssonów. Ślady wielkich kół i przygniecione gałęzie wskazywały, że to tędy jeździł Helge, zwożąc drzewo z lasu.

Pomodliłam się szybko, żeby tylko Helge i Berit byli w domu. Przez ostatnią godzinę nie miałam wrażenia, że ktoś mnie śledzi, więc Louise pewnie zawróciła albo poszła w inną stronę, a ja musiałam przecież wezwać karetkę do Ylvy – i do siebie – tak szybko, jak to możliwe. Ylva... Nie było mnie już kilka godzin, a co, jeśli jej się pogorszyło? Albo się obudziła i gdzieś poszła? Próbowałam odgonić od siebie te nieprzyjemne myśli, kuśtykając w stronę podwórka. Moje serce zabiło podwójnie, kiedy zobaczyłam stare volvo Andersa i Sary zaparkowane pod domem obok golfa.

Zapukałam gałęzią w drzwi i po chwili otworzyła mi Berit. Tuż za nią stał machający ogonem labrador.

– To ty? – rzuciła i spojrzała na mnie sceptycznie. – Coś ty wyprawiała? Poczekaj z tymi kaloszami na zewnątrz. Powiem im tylko, że przyszłaś.

Popatrzyłam na swoje stopy. Kalosze były pokryte warstwą błota, grubą na kilka centymetrów, a ja zostawiłam brudne ślady na każdym stopniu aż po same drzwi wejściowe.

– Czy mogę porozmawiać z Andersem i Sarą? – zapytałam, a wtedy dotarło do mnie, jak bardzo zmęczony mam głos.

Oparłam się na gałęzi i nasłuchiwałam, jak Berit wchodzi do kuchni i coś mamrocze. Anders stanął w drzwiach i krzyknął, kiedy mnie zobaczył.

– Ależ, Raili, moja droga, co ci się stało? Jesteś ranna?

– Tak – odparłam. – Chciałam odebrać samochód, ale nie mogłam ruszyć. Później upadłam w lesie i uszkodziłam sobie stopę. Ledwo chodzę.

– Samochód nie chciał ruszyć? Chcesz, żebym rzucił na niego okiem? Ale może najpierw zajmiemy się tobą. Wejdz, zdejniemy kalosze i zaraz zobaczymy, czy to coś poważnego.

– Nie, Anders – przerwałam mu i porzuciłam myśl, by zadzwonić od Anderssonów po karetkę. Ważniejsze było, żeby dotrzeć jak najszybciej do Ylvy. – W domku odwiedziła mnie koleżanka. Źle z nią. I dlatego musiałam pójść po samochód, trzeba zawieźć ją do szpitala. Musimy czym prędzej do niej pojechać.

– Koleżanka w domku? – zapytał, zdziwiony. – Oczywiście, w takim razie już tam jedziemy.

Krzyknął jeszcze do Helgego, że musi już lecieć, i pomógł mi załadować się do samochodu.

Szybciej, szybciej, pomyślałam, kiedy szedł na miejsce kierowcy. A co, jeśli Louise zaparkowała swój samochód na starej drodze wyjeżdżonej przez traktor, wtedy zdążyłaby podjechać do domku i Ylvy, i...

– Musimy się śpieszyć, Anders – powiedziałam, kiedy poprawiłam się w fotelu i zapięłam pas. Dodaj gazu, do cholery! – Jedź, proszę, najszybciej, jak się da.

– Co tak dziwnie pachnie? To ty, Raili? – zapytał Anders i wyjechał spokojnie z podwórka.

– Słucham? – Spojrzałam na swoje ubranie. Miałam na sobie to, w czym spałam i co nosiłam dzień wcześniej. Dżinsy z plamami po rzygach. Piwnica Fritjofssonów z trupami i robakami. Niemal już o tym zapomniałam. Jak mogłam wymazać to z pamięci? – Obawiam się, że to ja – uciełam.

Zbliżaliśmy się do mojej drogi i z nerwów prawie podskakiwałam na siedzeniu. A co, jeśli Ylwie coś się stało? Albo jeśli jej już nie ma? Albo jeśli leży martwa na mojej sofie? Odwróciłam się do Andersa, żeby poprosić go, by przyśpieszył, kiedy zobaczyłam, jak kilka zielonych igieł błysnęło w jego włosach. Dlaczego miał igły we włosach? Nic dziwnego, że ja je miałam po swoich przeprawach w lesie, ale on? Czyżby też był w lesie? Zerknęłam na jego ubranie. Rękawy kurtki były mokre. Musiał być na zewnątrz, kiedy tak mocno padało.

Anders?

Czyli to nie Louise mnie śledziła, tylko Anders?

To nie mógł być on.

Na pewno?

– Gdzie jest Sara? – zapytałam, kiedy zbliżaliśmy się do działki. – Pobiełam do was wcześniej, tyle że nikogo nie zastałam.

– Nie było jej? Dziwne – odparł.

A ja zaczęłam się zastanawiać, czy mi się tylko wydaje, czy jego głos faktycznie zabrzmiał inaczej. Czy zabił też Sarę?

Zaczynałam chyba wariować...

– Pewnie poszła do lasu na grzyby – odrzekł po chwili. – Wspominała coś. Ale zrobiła się paskudna pogoda. Mam nadzieję, że zdążyła wrócić do domu, zanim zaczęły walić pioruny.

Nie, to nie mógł być Anders. A może jednak? Czy to on utopił Olofssona? Był przecież dużo silniejszy niż Louise. Gdybym tylko miała samochód, mogłabym sama zawieźć Ylvę do szpitala.

Wyprostowałam się na siedzeniu. Przecież miałam samochód.

Anders zjechał i zaparkował przy domku.

– Idź po swoją koleżankę – powiedział – a ja tylko sprawdzę, czy Sara jest w domu i czy wszystko w porządku.

Przytaknęłam i wygramoliłam się jakoś z auta. Miałam przy sobie ten gruby konar i z jego pomocą doczłapałam się do domu.

– Ylva – krzyknęłam, gdy tylko weszłam do środka.

– Raili, gdzie byłaś?

Dzięki Bogu! Dokuśtykałam do sofy.

– Jak się czujesz? – zapytałam i spojrzałam na nią.

Wciąż miała ziemistą twarz, ale oczy wydawały się żywsze.

– Fatalnie. Łykam już nawet penicylinę i takie tam – odparła. – Myślałam, że najgorsze już za mną.

– O czym ty mówisz? – zastanawiałam się, czy nie majaczy.

– O zapaleniu ucha, rzecz jasna. A ty o czym?

– Krwawiłaś z nosa, a później zemdliałaś. Nie pamiętasz już?

Ylva spojrzała na mnie pytająco.



– Dobra, zapomnij! – powiedziałam. – Wstawaj, musimy stąd iść. – Podniosłam ją gwałtownie z sofy.

– Uspokój się – westchnęła. – Jesteś cała mokra. Gdzie jest moja torebka?

– Chyba zgubiłaś ją w lesie, nie ma jej tu – odparłam i pociągnęłam ją w stronę drzwi. – Chodź, szybko.

– Dlaczego kulejesz, Raili? Coś ci się stało?

– Tak, olej to! – Przepchnęłam ją przez drzwi i pokuśtykałam do volvo Andersa. Drzwi były otwarte, lecz w stacyjce nie było kluczyków. Szkoda, choć nie za bardzo mnie to zaskoczyło. Miałam jeszcze jeden samochód w zanadrzu. Dla pewności sprawdziłam kieszeń dzinsów. Tak, kluczyki do auta Fritjofssonów wciąż tam były.

– Ylva, musimy wejść do lasu, bo tam stoi samochód, który pożyczymy.

– Moje auto stoi przecież tutaj. Co ty w ogóle wyprawiasz?

– Ale nie masz kluczyków – oznajmiłam i pociągnęłam ją w stronę lasu.

Nie chciałam iść ani drogą wyjeżdżoną przez traktor, ani przez polanę. Wtedy musiałybyśmy przeprowiać się przez bagno. Zdawałam sobie sprawę, że ostatnim razem to musiał być czysty przypadek, że akurat udało mi się przebiec przez nie we właściwym miejscu, a nie tam, gdzie ziemia się zapada.

Ylva opierała się.

– Nie chcę wchodzić do lasu – marudziła. – Puść mnie!

– Wiem, ale nie mamy wyboru – odparłam i ciągnęłam ją za sobą. – Zaufaj mi! Musimy tam wejść. Wydaje mi się, że w okolicy czai się morderca.

Ktokolwiek to był, znajdował się blisko. Tego byłam pewna.

– Czyś ty już zupełnie zwariowała? – krzyknęła Ylva i zatrzymała mnie. – Kurde, Raili, posłuchaj, co ty wygadujesz?

– Nie mogę tak iść, Ylva – powiedziałam stanowczo. – Musisz iść sama, żebym mogła podierać się laską. Musimy wejść w głąb lasu. Proszę cię, uwierz mi! Musimy tam wejść, żeby dostać się do tamtego samochodu.

– Halo! Raili, gdzie jesteś? – usłyszałam głos Andersa dobiegający z domku.

– Pośpiesz się! – syknęłam i zaczęłam kuśtykać między drzewami.

Ylva podążyła za mną.

– Kto to? – wyszeptała przerażona. – Morderca?

– Tak – odpowiedziałam. – Albo nie, nie wiem. Przez jakiś czas byłam śledzona. Myślałam, że przez Louise, ale teraz sama już nie wiem.

Próbowałam sobie przypomnieć, któredy biegłam tego dnia, kiedy zaczęło się błyskać. Podążałam jakąś dróżką i nagle znalazłam się w miejscu, gdzie zbierałam grzyby, kawałek za moją działką.

– Muszę chwilę odpocząć, Ylva – powiedziałam i oparłam się o drzewo. – Cholernie boli mnie stopa.

– Co ci się w ogóle stało? – zapytała i spojrzała na mnie. – Obudziłam się na twojej sofie, a ciebie nie było.

– Pamiętasz coś jeszcze? Jak do mnie przyjechałaś?

Stała przede mną w milczeniu. Skorzystałam z okazji i nasłuchiwałam, czy przypadkiem nie podąża za nami Anders, ale było cicho.

– Tak – odezwała się w końcu. – Przypominam sobie trochę. Wstałam wcześniej i ruszyłam do Göteborga... Zadzwoiłam chyba do adwokata, znajomego Conny'ego. Pojechałam do ciebie, ale nie było cię w mieszkaniu. Wtedy postanowiłam... – Znowu zamilkła. – Wszystko jest jakby za mgłą. Pamiętam, że byłam w Strömstad na komisariacie, ale powiedzieli, że jesteś tutaj. Szukałam twojej działki i jakaś wściekła kobieta tłumaczyła mi, jak mam dojechać. Ładowała torby do samochodu.

– To była Freda. Jest Niemką – odparłam. – Pamiętasz, jak dotarłaś do domku?

– Tak – powiedziała niepewnie.

– Później poszłaś do wychodka i zniknęłaś. Pamiętasz to?

Ylva zamknęła oczy i pokręciła głową.

– Czy ktoś przyszedł, kiedy byłaś w wychodku? – zapytałam. – Pamiętasz, kto to był? Kobieta? Czy mężczyzna?

– Nie pamiętam – odpowiedziała cicho. – Ale pamiętam oczy... Takie lodowatoniebieskie... Powiedziały, że urodziła w domu...

Nikt z osób mieszkających nad jeziorem nie miał lodowatoniebieskich oczu. Mieli takie, jakie najczęściej się spotyka: niebieskie, szare i brązowe, ale nie lodowate czy wyróżniające się w jakiś inny sposób.

– Musimy iść dalej – powiedziałam. – Możesz mi pomóc?

Ylva chwyciła mnie za rękę i podtrzymywała z jednej strony, z drugiej podpierałam

się konarem. W końcu natknęliśmy się na ścieżkę.

– Miałaś powiedzieć mi coś o Anicie – wydyszałam. – Co to było?

– Anicie?

– Tak, pojechałaś chyba do Göteborga?

Chryste Panie! To wszystko wydarzyło się zaledwie jednego dnia.

– Przykro mi, Raili, nie pamiętam... Co to?

Spojrzałam w stronę, w którą wolną ręką wskazywała Ylva.

– To przecież mój kosz na grzyby – powiedziałam. – Jesteśmy więc na właściwej drodze. Zgubiłam go, kiedy biegłam tego dnia do domu. Wtedy, kiedy znalazłam samochód i się błyskało.

– Aha. I do tego właśnie samochodu staramy się dotrzeć? – zapytała. – Ale nie masz przecież kluczyków.

– Mam. Znalazłam je u Fritjofssonów, zanim... – zamilkłam.

A co, jeśli samochód w lesie nie należał do nich? Albo kluczyki nie pasowały? Nieee, było przecież na nich napisane „Toyota”. To muszą być te kluczyki.

– Kto urodził w domu? – zapytałam Ylvę, żeby zmienić temat. – Chodziło o Annę-Marię? Masz na myśli, że jej dziecko nie zostało nigdzie zarejestrowane? – Być może nigdy nie będę w stanie udowodnić, że ono naprawdę zaginęło. Nikt mi nigdy nie uwierzy. Jeśli oczywiście w ogóle uda mi się wyjść z tego cało.

– Naprawdę nie wiem, Raili. Przykro mi – wyznała Ylva i stanęła obok mnie.

– Jesteś podenerwowana? – zapytałam i zaczęłam sobie przypominać, jak zachowywały się Anna-Maria i Louise.

– Oczywiście, że jestem. Sama mówiłaś, że podąża za nami morderca – syknęła Ylva i spojrzała na mnie. – Albo masz rację i zginiemy w tym pieprzonym lesie, albo kompletnie ci odbiło, i sama nie wiem, czy to jest jakieś pocieszenie.

I tak źle, i tak niedobrze. W tym powiedzeniu zawsze najbardziej lubiłam i tak.

Kiedy szliśmy ścieżką, nadszedł zmierzch. Ciemne, prawie purpurowe niebo przybrało jeszcze intensywniejszą barwę i wkrótce ledwo widziałyśmy, gdzie stawiamy kroki.

Żadna z nas nie odezwała się od dłuższego czasu. Co tu gadać? Wiedziałam, że jesteśmy w tarapatach. Ylva sądziła, że zwariowałam, ale na szczęście była przestraszona, inaczej nie udałoby mi się jej tu zaciągnąć.

Jak daleko jeszcze do samochodu? Nie pamiętałam, żebym tak długo biegła, zanim dotarłam do domku. Ale w porównaniu z prędkością, z jaką poruszałyśmy się teraz, tamtego dnia musiałam przypominać pędzącą ścieżką gazelę. Wtem chmury na niebie przejaśniły się nieco i pojawił się księżyc w pełni, który oświetlił drogę przed nami.

– Raili – wyszeptała Ylva i szarpnęła mnie za ramię. – Co tak świeci? To samochód?

Dzięki Bogu! To był samochód! Zatrzymałam się i zaczęłam szukać w kieszeni kluczyków. Muszą pasować. Po prostu muszą.

Ylva puściła moje ramię i omal nie runęłam, kiedy tak stałam z konarem opartym o drzewo. Gdy udało mi się w końcu wydostać kluczyki z wyrzeźbionym w drewnie słonikiem, była już przy samochodzie. Chwyciłam swoją laskę i zaczęłam kuśtykać w jej stronę.

– Możesz prowadzić, jeśli czujesz, że dasz radę – oznajmiłam – bo nie sądzę, żebym... Ylva?

Widziałam, jak osuwa się przy drzwiach pasażera. Nie, nie teraz. Dосkoczyłam do niej tak szybko, jak się dało.

– Ylva! Oprzytomnij, kochana...

Spojrzałam na nią przerażona, że znowu zacznie krwawić, ale, dzięki Bogu, nie miała krwi na twarzy. Wręcz przeciwnie. Była biała jak ściana.

– Och... – wykrztusiła i złapała mnie za rękę. – Chryste! Raili... Musimy stąd uciekać!

– Tak – odparłam z ulgą. – Wstawaj i ruszamy.

– Do samochodu...

– Tak, wsiadamy do samochodu.

– Nie, zajrzyj do samochodu! – krzyknęła przeraźliwie.

– Ciii – syknęłam i rozejrzałam się wkoło, choć zdawało się, że jesteśmy same.

Wyprostowałam się i zajrzałam do środka. Wtedy poczułam, dosłownie poczułam, jak cała krew spływa ze mnie z szaleńczą prędkością od mózgu do stóp.

W środku siedzieli Fritjofssonowie.

Puste oczodoły gapiły się przed siebie. Rozczochrane, siwe włosy sterczały, jakby były naelektryzowane, a nieosłonięte wargami zęby szczyrzyły się w przerażającym uśmiechu. Spod brudnego materiału wystawały białe kości palców, które skierowane były w stronę kierownicy, ale jej nie dosięgały.

Jakieś długie białe stworzenie wypęzało powoli z miejsca, w którym kiedyś znajdowało się ucho. Wbrew swojej woli śledziłam jego nagły upadek na napuchniętą, obślizgłą i połyskującą breję, która wylewała się z brzucha. Robaki odskoczyły szybko, żeby nie zostać trafione.

Moja noga wygięła się i wylądowałam obok Ylvy.

\* \* \*

Wciągnęłam nosem zapach mokrego mchu i poczułam, jak igły kłują mnie w policzek. Nie byłam w stanie więcej znieść. Nic nam nie zostało, nie miałyśmy gdzie uciekać. Usłyszałam obok ciche łkanie Ylvy. Bolała mnie stopa, tępy ból rozchodził się aż do kolana, a momentami przeszywało mnie ostre kłucie, które odbierało mi oddech.

– Raili...?

Nie odpowiedziałam. Co mogłam powiedzieć?

– Raili, musimy stąd iść. Wstań.

Jakby chciała mnie podnieść, ale wciąż leżałam obok.

– To nie ma sensu, Ylva – wymamrotałam i uniosłam głowę, żeby na nią spojrzeć. – Już po nas. Lepiej mieć to za sobą.

– Przerażasz mnie, Raili. Przestań tak mówić i się podnieś. – Ylva oparła się o pagórek i powoli wstała. Rozejrzała się wkoło. – Chyba nikogo tu nie ma. Chodź. Musimy jakoś dostać się do tej dużej drogi.

– Ale tak strasznie mnie boli. Nie dam rady dłużej iść.

Chwyła mnie za dłonie i ciągnęła, jak mocno ciągnęła...

– Przestań, Ylva!

– To się rusz!

Jakimś cudem udało mi się wstać, lecz musiałam oprzeć się o ten potworny samochód, żeby znowu nie upaść. Ylva podniosła konar i podała mi go.

– Po której stronie leży droga? – zapytała. – Którędy mamy iść?

– Chyba tamtędy – odparłam i wskazałam laską w głąb lasu. – Ale w okolicy znajdują się bagna, więc jak w nie wpadniemy, nigdy nas nie znajdą.

Jak dzieci z przedszkola?

– Raili – odezwała się Ylva przestraszonym głosem – chyba coś słyszałam.

Kawałek dalej dał się słyszeć odgłos łamanych gałęzi.

Prawie się ucieszyłam. W końcu dowiem się, kto jest zabójcą. Być może umrę, ale wreszcie poznam odpowiedź. Jedną z dwóch. Kto? Bo pewnie nie otrzymam odpowiedzi na drugie pytanie. Dlaczego?

Ciemna postać wyszła zza drzew. Ylva chwyciła mnie za rękę i ścisnęła tak mocno, aż poczułam ból. Nieprzerwanie wpatrywałam się w drzewa.

– Raili – odezwała się postać – tak mi przykro. Z powodu tego wszystkiego. Ale to musiało się tak skończyć.

To był Anders. W dłoni trzymał swoją broń myśliwską. To pewnie po nią pobiegł do domu. Ale czy najpierw zastrzelił Sarę?

– Biegnij, Ylva – rzuciłam, nie spuszczać go z oczu.

– A co z tobą? – zapytała.

– To bez znaczenia. Po prostu biegnij.

– Nie mogę... się ruszyć... On ma broń...

Samochód oddzielał nas od Andersa, który uniósł strzelbę, ale po chwili ją opuścił i zaczął okręzać auto, żeby mieć czyste pole do strzału. Zamiast się wycofać, ruszyłam na niego, kuśtykając, i kiedy ponownie uniósł broń i wycelował we mnie, przywaliłam

w nią laską, tak że wypadła mu z rąk. Rąbnęłam go raz jeszcze, bach, prosto w policzek. Poleciał wzdłuż samochodu i uderzył głową w boczne lustro. Rozejrzałam się za bronią, ale leżała tuż za nim. Próbował się do niej doczołgać.

– Biegnij, Ylva! – krzyknęłam i dzięki lasce ruszyłam tak szybko jak nigdy. Ylva biegła obok mnie. Żadnych pytań, żadnych spojrzeń w tył, tylko cały czas przed siebie.

Gdyby jeszcze tylko ten cholerny księżyc zaszedł znowu za chmurę.

Za nami rozległ się strzał i zaszeleściło w krzakach. Zaczęłyśmy biec zygzakiem. Nastąpiłam na coś mokrego i od razu rozpoznałam ten zapach. Bagno.

– Cholera, Ylva! – krzyknęłam. – Uważaj!

Zatrzymała się gwałtownie obok mnie.

Wiedziałam, że gdzieś tutaj można przejść. Wcisnęłam konar w mokry szlam, a ten zatopił się bez żadnych przeszkód. Wyciągnęłam go, próbując zebrać myśli.

– Musimy biec w górę, Ylva – oznajmiłam. – To trochę wyżej. Może rozpoznam to miejsce, kiedy tam dojdziemy.

– Co?

– Można przejść bezpiecznie bagno kawałek dalej. Dawaj, jest tuż za nami!

Jakby na potwierdzenie moich słów padł kolejny strzał, tym razem niebezpiecznie blisko.

Cały czas biegłyśmy w głąb lasu. Opary z bagna unosiły się obok, nie było szans, żebyśmy się od niego uwolniły. Wtem księżyc zaszedł za chmury i, dzięki Bogu, zrobiło się ciemno. Tyle że teraz nie byłam w stanie znaleźć w lesie tego miejsca z kurkami, w którym można by przekroczyć bagno.

Jeśli udałoby się nam zwabić Andersa w tę część bez dna, może byłybyśmy uratowane.

– Ylva – wyszeptałam. – Musisz iść za mną. Przejdziemy przez bagno, a potem narobimy trochę hałasu na górze, żeby ruszył za nami. Utopi się.

Tak cicho, jak tylko potrafiłam, zabrałam się do przemierzania bagna, co drugi metr sprawdzając laską, ale konar zatapiał się cały czas pod moją dłoń, jakby coś go zasysało. Chyba nie poszłam za daleko? A co, jeśli minęłyśmy już to miejsce z kurkami?

– Pośpiesz się, Raili – wyszeptała Ylva. – Słyszę go tuż za nami.

– To tu – odpowiedziałam szeptem, gdy poczułam, jak moja laska zatrzymała się głucho jakieś dziesięć centymetrów pod ziemią. – Chodź za mną. Tylko ostrożnie.

Postawiłam jeden kalosz w bagnie. Błoto rozbryzgało się, lecz but nie zatopił się w całości. Z laską przed sobą, niczym z piką do robienia dziur w lodzie, przedostałyśmy się na drugą stronę bagna. Miałam wrażenie, że nigdy tam nie dojdziemy. I jeszcze ten księżyc... Jeśli teraz by się pokazał, stałybyśmy się dla Andersa łatwą zdobyczą. Załadować i strzelić, załadować i strzelić, a następnie przeturlać nasze ciała kilka metrów w bok, tak żeby nigdy ich nie odnaleziono.

Laska znowu natrafiła na twardy grunt.

– Udało się, Ylva – wyszeptałam. – Teraz podejźmy kawałek w górę, do miejsca bez dna.

Zacisnęłam zęby, chwyciłam mocno laskę i pokuśtykałam wzdłuż bagna. Ylva wzięła mnie pod ramię i pomogła iść. Jak daleko było do miejsca, gdzie bagno nieco się rozciągało? Nie miałam pojęcia. Za nami zaszumiało. Chciałam, żeby znalazł się kawałek wyżej, kiedy będzie nadbiegał.

– Ylva – wyszeptałam – podejź do tych krzaków, czy co to tam jest, i poruszaj nimi trochę, a później połów się płasko na brzuchu.

Widziałam, jak Ylva przytakuje w ciemności. Zbliżyła się cicho do zarośli. Słyszałam, jak zaszumiały, a potem dobiegł odgłos, jak rzuca się na ziemię. W tym momencie rozległ się też strzał, który prawdopodobnie by ją trafił, gdyby nie padła.

Przylgnęłam do pnia i spoglądałam na bagno. Nagle pojawił się mroczny cień, który pędził w stronę zarośli.

Krzyk.

Próbowałam domyślić się, co się działo. Cień wytracił prędkość i poruszał się już powoli, nierówno.

– Aaa... – dobiegło z bagna.

Dokuśtykałam do zarośli i szturchnęłam Ylvę laską.

– Żyjesz?

– Cholera, Raili!

– Chodź, szybko!

Oddaliłyśmy się już od bagna i teraz marzyłam, żeby znowu wyszedł księżyc. Nie



miałam pojęcia, gdzie się znajdowałyśmy.

– Gdzie jesteśmy? – szepnęła Ylva.

– Nie wiem – odpowiedziałam. – Nie powinnyśmy się ruszać, zanim nie zacznie świtać. Nie jestem pewna, czy nie ma tu więcej bagien...

A co, jeśli chodziłybyśmy w kółko i znowu doszły do tego samego bagna? Słyszałam, że ludzie chodzą w kółko, kiedy się zgubią.

– Byłam tu wcześniej – wyszeptała Ylva. – Ona mnie tu zabrała.

– Kto?

– No ona.

Ta ona od Louise? Kobieta z lasu, która tak naprawdę nie była kobietą? To stworzenie z lodowatoniebieskimi oczami?

– Kto, Ylva?

– Nie wiem... Ale powiedziała, że Anita urodziła w domu.

– Anita?

– Tak sędzę... Jak miała na imię ta druga kobieta?

– Anna-Maria.

– Może to o niej mówiła... Nie pamiętam...

Znowu wyszedł księżyc. Słaba niebieska poświata oświetlała działkę przed nami. Wbita w ziemię żerdź chwiała się zaledwie kilka metrów dalej. A co, jeśli wpadłybyśmy w ciemnościach do studni?

Odwróciłam się i spojrzałam na bagno. Poczułam, jak moje serce staje w trakcie uderzenia. Moje ciało zamilkło, a pole widzenia zawężyło się do cienkiej strużki na wprost.

Pośrodku niej stał Anders, który zmierzał prosto na nas.

Był pokryty szlamem i nie miał przy sobie broni. W blasku księżyca w jego dłoni błysnął nóż. Nóż myśliwski.

Pokuśtykałam do studni i wyjęłam żerdź z ziemi. Z bronią w obu dłoniach stanęłam przed studnią i uniosłam je ku niemu.

Zaśmiał się.

Duży nóż był zagięty i ostry. Ylva krzyknęła i pobiegła w głąb działki. Nie patrzyłam za nią, nie odwracałam wzroku od potężnej, ociekającej błotem postaci,

która z każdym krokiem rosła. Była olbrzymia. Nie pamiętałam, żeby wcześniej Anders wydawał mi się tak wielki.

– Nie wiesz, z kim masz do czynienia, Raili – powiedział. – Już po tobie.

Zdawało mi się, że dostrzegłam coś kątem oka. Coś lodowatoniebieskiego. Odwróciłam głowę, żeby spojrzeć, ale już tego nie było. Anders znowu się zaśmiał.

– Zaczynasz rozumieć? – zapytał.

Zamachnęłam się żerdzią w jego stronę.

Z łatwością wytrącił mi ją z ręki i zrobił krok w moim kierunku. Uniosłam laskę i zaczęłam się cofać, krok po kroku.

Anders uśmiechał się i przywoływał mnie dłonią. Chciał, żebym znowu ruszyła do ataku, cyniczny drań. Rzuciłam w niego moim konarem, odwróciłam się i oparłam zdrową stopę o pagórek, następnie odbiłam się i skoczyłam.

Był tuż za mną. Moja uszkodzona stopa wylądowała jako pierwsza i runęłam na ziemię niczym domek z kart. Odwróciłam się. Srebrny nóż błysnął w powietrzu, gdy Anders szykował się do ataku. Jego triumfalny pierwotny okrzyk został nagle przerwany, kiedy jedna z jego stóp natrafiła na dziurę.

Zafascynowana patrzyłam, jak jedna noga wpada do studni, a druga, która stała na ziemi, ugina się ku górze. Niemal natychmiast dał się słyszeć przeraźliwy odgłos roztrzaskującej się rzepki. Ryknął z bólu, aż zadzwoniło mi w uszach. Ramiona, głowa i jedna noga wciąż wystawały z otworu. Pokuśtykałam po swoją laskę i przywaliłam mu w dłoń tak, że nóż odleciał po łuku na trawę. Złapał się krawędzi studni obiema rękami i próbował się podciągnąć. Uderzyłam go w głowę, potem jeszcze raz i kolejny. Krew zalała mu twarz, a głowa opadła bezwładnie na ramię, kiedy wreszcie mogłam przestać bić bez opamiętania.

– Dobra robota – powiedziała Ylva. Podeszła do ciała i spojrzała na nie. – Myślisz, że nie żyje?

– Nie wiem – odparłam i próbowałam sprawdzić, czy oddycha, ale jego głowa była tak zakrwawiona, że nie dało się na niej wyróżnić żadnych rysów twarzy, a kości ułożone były pod nienaturalnym kątem, jakby rzepka była całkowicie zmiażdżona.

Wyglądał jak marionetka, którą ktoś wyrzucił.

Ylva położyła dłonie na jego głowie i zaczęła pchać.

– Pomóż mi – powiedziała.

Wspólnymi siłami wepchnęliśmy go w głąb studni, żeby nie był w stanie sam się wydostać, nawet jeśli udałoby mu się przeżyć. Spojrzałyśmy na siebie.

– A więc – stwierdziłam – idziemy dalej.

## 61

Biały róg domu mignął między drzewami. Lampa na zewnątrz oświetlała wejście do kuchni, a w środku paliło się światło.

Panowała zupełna cisza. Spojrzałam do kojca dla psów i zobaczyłam dwie pary oczu wpatrujące się we mnie, tyle że zwierzęta nie czekały.

A co, jeśli Anders zabił też Staffana? I chłopców? Choć przecież nie było już ich samochodu.

Dobry Boże, mam nadzieję, że pozwoliłeś Staffanowi odjechać, zanim Anders zwariował i wszystko szlag trafił, pomyślałam nielogicznie. Anders musiał chyba być chory od dłuższego czasu. A przynajmniej przez całe lato. Nie, może jeszcze dłużej, jeśli to on sprawił, że Louise oszalała. Ale on nie miał lodowatoniebieskich oczu. To musiało być coś w lesie („w lesie kryje się coś złego, Raili”), coś, co dotknęło Louise.

– Jesteśmy teraz w domu Andersa? – zapytała Ylva.

– W domu Sary i Andersa. Mają telefon.

Dokucyłam do schodów i stanęłam. Drzwi wciąż były zamknięte. A co, jeśli Sara leżała tam martwa? Zastrzelona z myśliwskiej broni? Nie miałam odwagi wejść.

– O co chodzi? – wyszeptała Ylva. – Myślisz, że wrócił?

– Nie – odparłam, a przed oczami stanął mi obraz jego poobijanego i wykrzywionego ciała. – Nikomu nie udało się wydostać w takim stanie. To niemożliwe.

Czy faktycznie było to niemożliwe? Nie wiedziałam, w co jeszcze mogę wierzyć.

– Jeśli Sara jest w domu – odezwałam się szeptem – nie wspominamy nic o Andersie. Powiemy tylko, że się zraniłyśmy i musimy zadzwonić po karetkę. Porozmawiamy z policją w szpitalu. Nie chcę jej tego mówić wprost. To tchórzliwe z mojej strony, przyznaję, lecz nie chcę być osobą, która zgasi blask w spojrzeniu Sary.

Oczywiście jeśli wciąż żyje.

– Okej – przytaknęła Ylva. – Pukamy do drzwi?

Weszła po schodach i zapukała. Wstrzymałam oddech, następnie dołączyłam do Ylvy i stanęłam obok niej.

Sara otworzyła drzwi. Miała na sobie fartuch i trzymała w dłoni mały nóż ze szczoteczką na drugim końcu.

– Raili! – krzyknęła. – Jak ty wyglądasz? Co się stało?

Weszłam do środka, kuśtykając. Ylva podążała tuż za mną. Paliło się w kuchennym piecu i w jednej chwili cudowne ciepło rozprzestrzeniło się po moim ciele. Na stole leżał stos grzybów na rozłożonych gazetach. Na krześle obok stał żeliwny garnek wypełniony oczyszczonymi grzybami.

– Jesteśmy ranne. Upadłam – wymamrotałam, wykończona, i usiadłam na kuchennej ławie. – Czy mogłabyś wezwać karetkę?

– Ależ drogie dziecko – odparła Sara niespokojnie i spojrzała na mnie. – Gdzie się zraniłaś? W nogę?

– W stopę – sprecyzowałam. – Boję się zdjąć kalosz. Moja koleżanka uderzyła się w głowę. – Ylva zmarszczyła czoło, ale to chyba najbardziej oddawało stan, w jakim się znalazła.

– Boże, dopomóż! – rzuciła Sara i wyszła do salonu, w którym stał telefon. Słyszałam, jak z kimś rozmawia, po czym wróciła do kuchni.

– Przyjadą najszybciej, jak to możliwe, lecz obawiam się, że to im i tak chwilę zajmie – oznajmiła. – Macie na coś ochotę? Coś do jedzenia? Kawy? A może coś przeciwbólowego? Może ty niekoniecznie – zwróciła się do Ylvy. – Jak człowiek uderzy się w głowę, nie powinien nic jeść, pić ani łykać żadnych tabletek. To może być niebezpieczne.

Ylva spojrzała na mnie z wyrzutem, kiedy dostałam od Sary kubek gorącej kawy. Wzruszyłam ramionami i rzuciłam „sorry”.

– A Andersa wciąż nie ma w domu – powiedziała Sara i spojrzała na nas, zaniepokojona. – Miał zrobić z Helgem rundkę po lesie... No a nie mamy, niestety, tych komórek... W przeciwnym razie moglibyśmy zawieźć was do szpitala. Ale zabrał samochód.

– Możemy poczekać na karetkę – stwierdziłam i wzięłam łyk kawy. Miała zbawienny wpływ na moje zmęczone ciało.

– Są w lesie po ciemku? – zapytała Ylva, a ja chciałam ją kopnąć pod stołem.

Sara wyjrzała zatroskana przez okno.

– Masz rację. Zadzwoń do Helgego i zapytam...

– Nie ma takiej potrzeby, Sara – przerwałam jej. – Dopiero co się ściemniło, na pewno są już w drodze powrotnej. Anders zaraz wróci do domu. Może będzie tu przed karetką. – Nie chciałam, żeby Helge powiedział jej, że Anders przecież zawiózł mnie nie domu. Nie chciałam też, żeby zaczęła się o niego martwić, zanim my nie będziemy już daleko stąd.

– Jakie grzyby pani zebrała? – zapytała Ylva i spojrzała na jeszcze nieoczyszczony stos.

Podążyłam za jej wzrokiem. Kurki, pieprzniki, borowik i czerwony muchomor leżały porozrzucone na gazetach razem z innymi białymi grzybkami, które wyglądały na trujące.

– Słucham? – zapytała Sara, chwyciła garnek z oczyszczonymi grzybami i uderzyła nim Ylvę w głowę.

Ylva osunęła się na ziemię z cichym jękiem. Poczułam, jak opada mi szczęka, ale z moich ust nie wydobył się żaden dźwięk.

– To takie przykre – powiedziała Sara i usiadła na krześle. – Naprawdę nie chciałam...

Przejechałam dłonią po twarzy. Chyba oszalałam. Czy Sara powaliła właśnie Ylvę żeliwnym garnkiem? Zawodzący odgłos dobiegał z podłogi i nagle otrzeźwiałam.

– Sara! – krzyknęłam. – Co ty wyprawiasz?

Rozejrzałam się za swoją laską. Niestety, została za drzwiami. Sara wstała i podeszła do nich. Przekręciła klucz i schowała go do fartucha.

– Zaczekamy na Andersa – odparła. – Później zobaczymy, jak rozwiążemy tę kwestię. Nie chcę, żeby kolejna osoba musiała zginąć. – Spojrzała na Ylvę, a jej oczy błysnęły lodowatym błękitem.

– Ty? – wykrztusiłam.

– Rozmawiałam już z twoją koleżanką – oznajmiła. – Nie sądziłam, że będę jeszcze musiała to robić. Najwyraźniej nie poskutkowało. – Skierowała wzrok w moją stronę, lecz jej oczy znowu były szare.

– Kompletnie postradałaś zmysły – rzuciłam i usłyszałam swój głos jakby daleko stąd. To było zupełnie nierzeczywiste, gorsze niż te trupy, gorsze niż cała reszta.

– Nie – odparła Sara cicho. – Ja nie chciałam...

– Cicho? I ty jesteś tak cicho? – Wydawało się, że rozmawia sama z sobą.

I tak oto rozpoczął się ten makabryczny dialog między jedną a drugą Sarą. Dialog, który sprawił, że pojawiające się czasem w mojej głowie głosy wydawały się całkiem normalne.

– Nigdy nie chciałam nikogo skrzywdzić.

– Nie marudź. Dobrze wiesz, czego chciałaś, a ja tylko dopilnowałam, żeby tak się stało. Gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą.

– Yngve...

– Zauważył, że coś było nie tak. Nie mieliśmy wyboru.

– Ale nie chciałam tego.

– Masz, czego chciałaś, suko!

– Sara – zaczęłam niepewnie. – Z kim rozmawiasz?

Odwróciła głowę i spojrzała na mnie.

– To ona rozmawia ze mną – odparła, a jej oczy znowu zaświeciły lodowatym błękitem. Coś podpowiadało mi, że nie wolno w nie patrzeć.

Ylva znowu jęknęła. Spojrzałam na Sarę, potem wstałam i przykucnęłam na podłodze, gdzie leżała. Miała na głowie dużego guza.

– Co z nią? – zapytała Sara, zaniepokojona.

Chciałam na nią wrzasnąć, oskarżyć ją, rzucić się na nią z pięściami, lecz zrozumiałam, że jedyne, co miało sens, to działać ostrożnie.

– Nie jest zbyt dobrze – odparłam. – Myślisz, że możemy ją gdzieś położyć?

– Na sofie w salonie? – zastanawiała się Sara, a ja przytaknęłam.

Delikatnie szturchnęłam Ylvę.

– Dasz radę się podnieść?

Otworzyła oczy i spojrzała na mnie.

– Trochę źle się czuję – wyznała. – Oj, ależ boli mnie głowa...

– Wiem. Spróbuj usiąść – zachęcałam i spróbowałam jej pomóc.

Na szczęście Sara nie oferowała pomocy. Ylva powoli stanęła na nogach. Chwiejnym krokiem przeszłyśmy do salonu i doprowadziłam ją do sofy.

– Połóż się – poprosiłam.

– To straszne, jak kulejesz – stwierdziła Sara i weszła za nami do pokoju, trzymając duży nóż.

– Nie zadzwoniłaś po karetkę, prawda? – zapytałam i opadłam na sofę przy nogach Ylvy.

– Oczywiście, że nie – odparła Sara i usiadła w fotelu.

Popatrzyła tępym wzrokiem na nóż, po czym powoli przecięła wewnętrzną część



swojej dłoni. Krew zaczęła sączyć się z rany, tworząc niewielkie czerwone strużki.

– Z kim rozmawiam? – zapytałam.

– Ze mną – odpowiedziała i podniosła na mnie wzrok.

– Jak masz na imię? Sara?

– Nie. Nie mam imienia.

– Czy mogę zatem porozmawiać z Sarą? – zapytałam, cała spięta.

Sara spojrzała na mnie z przebiegłą miną, po czym zamknęła oczy i przytaknęła.

– Raili – przemówiła, kiedy otworzyła oczy. – Tak strasznie mi przykro...

– Ale dlaczego? – zapytałam. – Sara, dlaczego?

– Chciała zabrać dzieci. Chłopców. Po rozwodzie. Nie mogłam na to pozwolić...

– Louise?

– Powiedziała, że Staffan ją bił. To nieprawda! Z pewnością był zły, kiedy jej ciągle nie było, kiedy... ciągle balowała, ale nigdy jej nie uderzył. Jestem tego pewna.

– Co jej zrobiłaś?

– Byłam taka zrozpaczona. Nie chciała, żeby mógł widywać chłopców. Poszłam do lasu i płakałam. Nie wiedziałam, co mam robić.

– I?

Sara spojrzała na mnie.

– Nie wiem, co się stało... – powiedziała po chwili. – Ziemia rozstąpiła się tuż przy moich stopach... niedaleko bagna... przy tej działce. Coś wydostało się stamtąd, opętało mnie... Od tamtej pory nie jestem już sama. – Wskazała na klatkę piersiową.

– Co zrobiłaś z Louise? – wyszeptałam.

– Porozmawiałam z nią. Powiedziała jej, że Staffan jest dobrym ojcem. Że opiekuje się chłopcami i że ona już nigdy więcej... – Sara wzdrygnęła się i zamknęła oczy. Następnie otworzyła je na wpół i znowu tępo popatrzyła na nóż w swojej dłoni.

– Już nigdy więcej co? – zapytałam, zdenerwowana.

– Wystarczy. – Sara uniosła zakrwawiony nóż i oblizwała ostrze. Uśmiechnęła się, kiedy zobaczyła moją przerażoną i zniesmaczoną minę. – Wiesz, co jest zabawne? – spytała i powoli przecięła swój język. – Jak daleko człowiek jest w stanie się posunąć, by osiągnąć swój cel. – Jej usta wypełniły się krwią, a kiedy mówiła, krew wypływała z kącików. – Wiesz, jaka jest odpowiedź? Tak daleko, jak to możliwe.

I siedząc w fotelu, zaniosła się śmiechem.

– Chociaż ona nie chciała zabijać – stwierdziła po namyśle. – Chciała tylko z nimi porozmawiać... Gadać i gadać... A ja akurat potrafię rozmawiać.

Jej spojrzenie znowu stało się lodowate. Zamknęłam oczy.

– Anita urodziła swoje dziecko w domu – oznajmiła. – Nie ma w tym chyba nic dziwnego.

– A Anna-Maria? – zapytałam. – Też rodziła w domu?

– Oczywiście – odpowiedziała Sara. – Rodziła tu, nad jeziorem. Pomagałam jej.

– I wtedy zabrałaś dziecko? – ciągnęłam i ostrożnie otworzyłam oczy.

Jej spojrzenie wróciło do normalności.

– Nie mogłam – odparła zniecierpliwionym głosem. – Musiało być karmione piersią. Mleko matki jest niezwykle ważne dla noworodka. Ale nie przewidywałam żadnych problemów, nawet jeśli miałam trochę poczekać. Zwykle wystarczy tylko porozmawiać z nimi przez chwilę, a potem zapominają o wszystkim.

– A jamnik Olofssona? – wyszeptałam. – To również twoja sprawa?

– Tak. Sara nie wierzyła, że to się uda. Nie chciała nikogo zabijać, żeby porwać to dziecko. Musiałam jej pokazać, że można coś komuś odebrać, a później wystarczy z nim chwilę porozmawiać, tak żeby o wszystkim zapomniał.

– Ale przecież on pamiętał – upierałam się. – Zarówno o psie, jak i o dziecku.

– Widocznie zbyt mało z nim rozmawiałam. Albo, sama nie wiem... nie był zbyt podatny. Rodzice nie stanowili żadnego problemu, dzieci także. Chociaż, faktycznie, dość wcześnie z nimi zaczęłam. Gdy tylko dowiedziałam się, że Anna-Maria jest w ciąży. Nie chciałam, żeby trafiła na oddział położniczy. Dziecko nie było jej. Należało do mnie. Musiałam porozmawiać również z Fredą i Karlem. Ale okazali się wyjątkowo podatni na moje słowa. – Sara znowu parsknęła śmiechem.

– Ale dlaczego? – zapytałam. – Dlaczego zabrałaś to dziecko?

– To było przecież dziecko Staffana. Jego córeczka. Musiała zostać w rodzinie. – Coś lodowatego mignęło w jej spojrzeniu, więc szybko odwróciłam głowę.

– A Anita? – wypowiedziałam to pytanie i w tej samej chwili zdawało mi się, że w końcu zrozumiałam.

– Anita potrzebowała kogoś, żeby znowu nie wpaść w narkotyki. Dziecko było

dokładnie tym, czego potrzebowała. Dałam jej córeczkę Staffana. Taki prezent od matki dla ukochanej córki. Czy można uczynić coś bardziej szlachetnego?

Zaczęła warczeć w fotelu. Przełknęłam głośno ślinę i przybliżyłam się do Ylvy.

– Próbuje mnie zwalczyć! – krzyknęła Sara zajadle.

– Anita? – zapytałam i zastanawiałam się, czy lepiej było siedzieć cicho, czy kontynuować rozmowę. Zdawało się, że na coś czekamy. Tylko na co?

– Nie. Sara. Powiedziała Yngvem, że ona i Anders są w Göteborgu, bo ich córka rodzi dziecko. To przecież idiotyczne. Anita miała już wtedy dziecko od ponad miesiąca. Nie chciała tej dziewczynki... Mówiła, żebyśmy ją oddali. Z nią też musiałam trochę porozmawiać.

Siedziała w milczeniu i jakby zaglądała w głąb siebie.

– Sara marzyła, żeby wszystko było normalnie – przemówiła w końcu. – W pewnym sensie chciała to wszystko odwrócić i po prostu wmówić sobie, że Anita naprawdę urodziła to dziecko. Jest bardzo słabą osobą.

Sara jest dobrą kobietą, ale ma w sobie wiele bólu, pomyślałam.

– Co takiego odkryła Ylva? – zapytałam, mimo że znałam już odpowiedź.

– Że dziecko było starsze niż trzy miesiące, to chyba oczywiste – rzuciła Sara bez większego zainteresowania. – Rozmawiałam z nią trochę. Z tą twoją koleżanką. – Wskazała nożem na Ylvę. – Zabrałam ją do domu i porozmawiałam z nią. Nie trwało to długo, ona również okazała się wyjątkowo podatna na moje słowa.

Do domu? Ta stara działka to był jej dom?

– To ty jesteś Szalona Anna? – zapytałam, natchniona tą myślą.

– Nawiedzałam ją, zgadza się. Nieprzyjemna kobieta. Nie wiem, dlaczego przyjmują mnie sami nieprzyjemni ludzie.

– To kim ty jesteś?

– JESTEM NIKIM.

Przełknęłam ślinę, przerażona. Nie mogłam zapomnieć, z kim miałam do czynienia. Sara może była starsza i zmęczona, lecz to, co w niej siedziało, było śmiertelnie niebezpieczne.

– Sara chce, żebyś stworzyła ze Staffanem rodzinę – powiedziała po chwili.

– Wiem – wyznałam. – I prawie do tego doszło.

– Jak to, prawie? Staffan przecież jeszcze nic nie zrobił. O niczym nie wie.

– Planujesz mnie zabić? – zapytałam.

– Nie. Zamierzam z tobą porozmawiać.

Chciała, żebym oszalała jak Louise.

– Anders próbował mnie zabić – oznajmiłam.

– Anders stara się tylko uchronić Sarę. To wszystko. Robi, co musi, żeby ją obronić  
– uśmiechnęła się.

– To on utopił Olofssona?

– Oczywiście.

– I podpalił dom?

– Usłyszeliśmy, co mówiłaś w kościele. Przy trumnie. Obiecałaś, że wyjaśnisz, co się stało. Wiedziałaś o czymś... A my nie mogliśmy zrozumieć, co to było, więc dla pewności podpaliśmy dom.

– Byłam w tym cholernym domu, kiedy zaczęło się palić! – krzyknęłam. – Dzięki, że nie udało się wam mnie zabić!

– Anders mi mówił. Widział cię w tej szafie. Sara bardzo się zdenerwowała, kiedy to usłyszała, ale on zdawał sobie sprawę, jak wielkim zagrożeniem byłaś. Jesteś. – Przechylała głowę w przód i w tył, lecz nie spuszczała ze mnie wzroku. Jej oczy zwężyły się. – Dlaczego tym razem udało ci się mnie odkryć?

– Co masz na myśli?

– Zauważyłaś mnie niemal od razu, kiedy przyjechałaś w lipcu. W zeszłym roku w ogóle nie odnotowałaś mojej obecności. Sara była taka niespokojna. Zanim się zjawiała, potrafiła zapomnieć o moim istnieniu. Dobrze nam się żyło. Działy się różne rzeczy, ale Sara nigdy do końca ich nie rozumiała... A wtedy zjawiałaś się ty i zaczęła być bardziej świadoma. Wszystko zepsułaś. Chcę, żebyś zginęła, zginęła, zginęła.

Jak miałam się stąd wydostać? Jak wydostać stąd siebie i Ylvę? Skuliłam się na sofie i mimo że nie chciałam patrzeć, nie mogłam oderwać wzroku od tego dużego zakrwawionego noża w dłoni Sary. Byłam w tak silnym stresie, że wszystko mogło się zdarzyć. Czułam, że zaraz zacznę krzyczeć, choć gdyby tak się stało, pewnie nie byłabym w stanie już przestać.

Instynkt podpowiadał mi, że nie mogę krzyczeć.

– A ten parobek? Petter Abrahamsson. To też byłaś ty? – zapytałam, chociaż brzmiało to zupełnie niedorzecznie. Ale jeśli i tak miałam umrzeć, przynajmniej chciałam otrzymać odpowiedzi na kilka pytań.

– Parobek – powtórzyła Sara niepewnie. – To było dawno temu... Był wściekły na swojego pana. Faktycznie, źle go traktowano, chciał przejąć ziemię. To byli nieprzyjemni ludzie. Mieli przenikliwe spojrzenia. A ja nie lubię takich oczu – Sara popatrzyła na mnie surowo, a ja miałam nadzieję, że moje oczy nie były przenikliwe, cokolwiek to miało znaczyć. – Chcę swoją zapłatę – wyrzuciła z siebie.

– Co? Zapłatę? Ode mnie?

– Od Sary. W końcu to jej pomagam.

– Jakiej zapłaty? – zapytałam, podenerwowana.

– Żeby mogła żyć. Czerpać energię. Móc zostać tu jeszcze trochę. Nie chcę umierać.

– A co zrobisz z nami? – zapytałam, obawiając się odpowiedzi.

– Porozmawiam z tobą. Z tobą i ze Staffanem... Nie jest jeszcze za późno. Ale nie wiem, co mam zrobić z nią. – I skinęła w stronę Ylvy. – Może będzie musiała po prostu zniknąć. Ale nie obawiaj się. – Uśmiechnęła się do mnie. – Zupełnie o niej zapomnisz...

Sara zaczęła bawić się nożem, potem wstała i zgasła światło. Wpadający przez okno blask księżyca przeszkodził, by w pokoju zapanowały egipskie ciemności.

– Po co to robisz? – zapytałam nerwowo.

Sara wyszła do kuchni i tam też zgasła światło. Podniosłam się szybko, choć sama nie wiedziałam, po co. Sara wróciła i usiadła w fotelu.

– Żeby Anders wiedział, jak wróci, że coś się szykuje – oznajmiła, a jej oczy zamigotały w ciemności niebieską poświatą, której nie widziałam przy zapalonym świetle. Postanowiłam nie patrzeć w nie więcej.

– Czekamy na Andersa? – zapytałam i wróciłam na sofę.

– Tak, a co myślałaś? Że czekamy na lepsze czasy? – parsknęła.

– A co robi, jak wróci? – zapytałam.

– Przyjedzie tu samochodem. Jej samochodem – powiedziała i machnęła nożem w stronę Ylvy. – Zaaranżujemy mały wypadek. Niestety, ona w nim zginie. Tobie uda

się przeżyć, tyle że stracisz pamięć. A Staffan pomoże ci wrócić do całkiem znośnego życia.

– To się nie uda. Zgubiła swoje kluczyki – stwierdziłam, zdenerwowana.

Co za szczęście, że zdążyliśmy pozbawić życia Andersa. Przynajmniej miałam nadzieję, że faktycznie nam się to udało.

– Nie, niczego nie zgubiła – odparła Sara ze spokojem.

– Pozbyliście się Fritjofssonów – wtrąciłam. – Znalazłam ich. Oraz ich samochód.

– Znalazłaś samochód? – zdziwiła się Sara. A zatem nie wiedziała o wszystkim, co się wydarzyło. – Słyszałam o ciałach, Anders widział cię, jak wyjeżdżałaś, i pojechał za tobą. Powiedział, że byłaś z Fredą u Helgego, a później włamałaś się do Fritjofssonów. Nie wiedział, co miał zrobić. Sara zdenerwowała się na niego ostatnim razem, kiedy omal cię nie zabił, więc nie odważył się spróbować ponownie. Głupi chłop, za bardzo liczy się ze zdaniem tej kobiety.

– Chyba już przestał się liczyć – wymamrotałam.

– Musiałam z nim trochę porozmawiać. – Uśmiechnęła się. – Ale oczywiście najlepiej byłoby, gdybyś związała się ze Staffanem, tak jak chciała Sara. Dużo lepiej mi się tu żyje, jeśli ona jest w dobrym humorze.

Chryste Panie!

– Gdzie on się podziewa?

– Anders? – zapytałam.

– Pojechał jakiś czas temu na drugą stronę jeziora. Chciał chyba dowiedzieć się od Fredy, co wczoraj robiłyście. Później pojechał do Helgego, żeby zapytać o to samo.

– A ty?

– Byłam w lesie i zbierałam grzyby. Słyszałam, jak rozmawiałyście. – Skinęła na Ylvę. – Musiałam zabrać ją do domu i porozmawiać z nią trochę. Zamiast tego powinnam była ją zabić. – Sara spojrzała, zamyślona, na sufit i pokiwała głową. Objęłam nogi Ylvy pod kocem. – Zrobiło się późno, zanim zdążyłam zebrać wszystkie grzyby – ciągnęła. – Lubisz chyba mój gulasz mięsno-grzybowy, prawda?

Owszem, gulasz smakował świetnie, ale to wtedy Staffan i Olofsson nazwali mnie dziwką. To te grzyby? Ty pieprzona psychopatko, pomyślałam, choć nie odważyłam się tego powiedzieć na głos.

Sara uśmiechnęła się, jakby czytała w moich myślach.

– Dlaczego zabiliście Fritjofssonów? – zapytałam.

– Widzieli, jak wywoziliśmy dziecko, i rozmawiali z jego rodzicami. Anders dopadł ich, kiedy byli w drodze na policję. Jestem pewna, że udałoby mi się porozmawiać również z nimi, tyle że Anders jest nieco nadgorliwy. Doszło tam do dość nieprzyjemnej sytuacji. Później przyjechali Kullmanowie i nie zdążyliśmy ich przenieść. Zrobiło się ciepło i ciała zaczęły śmierdzieć. Chcieliśmy poczekać do zimy, wtedy dużo łatwiej jest je przenieść, kiedy są zamrożone. O, tak, sama wiesz. W każdym razie przestawił samochód, wspaniały człowiek. Nigdy nie powiedział, gdzie zaparkował. Czasami jest taki samodzielny.

– Mogę ci w takim razie zdradzić, że wjechał nim do lasu. Za moją działkę. Później przeniósł tam również trupy – powiedziałam ponuro.

– Naprawdę to zrobił? – zdziwiła się Sara. – Ach tak, pewnie miał plan. Może chciał, żeby to wyglądało na samobójstwo. Kiedy zatka się otwór rury wydechowej i odpali się samochód, wewnątrz wypełnia się dwutlenkiem węgla i człowiek się dusi, prawda?

– Oni już byli martwi! – krzyknęłam, nie mogąc opanować frustracji i zupełnie zapominając, że postanowiłam zachować spokój. – Są w stanie odkryć takie rzeczy, chyba rozumiesz? W płucach nie było dwutlenku węgla, kiedy zmarli. – Jak można być tak szaloną, złą i bezmyślną istotą?

– Tak sądzisz? – powiedziała po namyśle. – W takim razie nie pozostaje nam nic innego, jak podpalić samochód i trzymać kciuki. Do tej pory nikt nas o nic nie podejrzewał. Nigdy.

Wstała i wyjrzała przez okno. Anders wciąż nie nadchodził. Czy powinnam wyznać jej, że nie żyje? Co się wtedy stanie?

Sara podeszła do telefonu i wyglądało, jakby się zastanawiała. Potem spojrzała na mnie, chwyciła kabel i jednym ruchem przecięła go nożem.

– Tak na wszelki wypadek – oznajmiła i znowu usiadła.

Ylva poruszyła się na sofie.

– Źle się czuję.

– Pewnie masz wstrząs mózgu – powiedziałam. – Postaraj się leżeć nieruchomo.

– Karetka nie przyjedzie?

– Nie będzie żadnej karetki – odparła Sara z fotela.

– Zaraz się porzygam – wykrztusiła Ylva i zwymiotowała na zielony dywan.

Sara wstała i spojrzała na nią z obrzydzeniem.

– Dosyć tego. Nie będziemy dłużej czekać na Andersa – stwierdziła i zrobiła kilka dużych kroków. Znalazła się przy sofie i podniosła nóż na Ylvę.

– Nie! – krzyknęłam i chwyciłam ją za ramię. – Co ty wyprawiasz?

– Puść mnie, Raili, załatwię to szybko. Nie będzie musiała cierpieć. Potrafię okazać łaskę. – Wbiła łokieć w moją skroń, aż zadzwoniło mi w głowie. Puściłam ją.

Jednym zwinnym ruchem złapała Ylvę za włosy i odchyliła jej głowę. Ostrze noża zbliżyło się do odsłoniętej szyi.

– Sara, chciałaś przecież upozorować wypadek, nie rób tego! – krzyknęłam.

Wstrzymała nóż i spojrzała na mnie niepewnie. Ylva uwolniła się i osunęła się na ziemię.

– Co się, do cholery, dzieje? – jęknęła.

Rzuciłam się na nogę Sary.

– Uciekaj stąd, Ylva – wykrztusiłam, a ona podniosła się tylko na czworakach i znów zwymiotowała. – Do cholery, szybko!

Sara wyslizgnęła się i próbowała uwolnić nogę z mojego uścisku. Ale ja przysłałam się do niej. Kątem oka zauważyłam, jak Ylva czołga się w stronę ciemnych drzwi. Dobrze, Ylva, dalej, dalej, pomyślałam.



Sara ryknęła i oswobodziła się w końcu z mojego uścisku. Wcisnęła mnie w podłogę. Była niesłychanie silna. Próbowałam strącić jej dłonie ze swoich ramion, ale wbiła mi kolano w brzuch i pochyliła twarz kilka centymetrów nad moją. Poczułam jej ciepły oddech oraz zakrwawioną ślinę, która spływała mi do oczu i ust, kiedy wysyczała:

– Chcesz umrzeć, Raili? Naprawdę tego chcesz?

Odwrociłam głowę i próbowałam się uwolnić. Sara zaczęła nucić. To brzmiało jak kołysanka. Powoli przystawiła nóż do mojego oka. Zaczęłam krzyczeć z przerażenia.

– Do diabła z Sarą! – zdecydowała. – Załatwię to po swoim.

Już po mnie. Zaraz zginę. Próbowałam zamknąć oczy, ale nie mogłam. Sparaliżowana strachem, spojrzałam tylko na wykrzywioną w grymasie twarz Sary. Bez przerwy poruszała ustami, a krew kapiała z przeciętego języka. Jej oczy lśniły jak dwa księżycy. Zaglądałam prosto w oblicze zła i nienawiści.

Wtem lodowaty błękit zniknął na chwilę i pomimo panujących w pokoju ciemności dostrzegłam, że coś zamigotało w jej oczach. Sara? Prawdziwa Sara? Nóż trząsnął się w jej dłoni, jakby toczyła walkę z samą sobą, z własnym ciałem. Kto ją wygra?

– Pomóż mi, Sara – wyszeptałam i poczułam, jak łzy spływają mi po policzkach. – Pomóż mi, proszę.

Nóż omal nie wysunął się z jej uścisku i przez chwilę wydawało się, że moja Sara zwyciężyła.

– Pewnego dnia również zginiesz – powiedziała do siebie, po czym uśmiechnęła się, a dołeczki w jej policzkach wyglądały jak ciemne dziury. – Zniknęła. Jesteś moja.

Podniosła nóż i mimo że w końcu udało mi się zamknąć oczy, widziałam, jak ostrze powoli zbliża się do mojego oka niczym końcówka wiertarki.

Coś huknęło.

Otworzyłam oczy. Sara leżała na podłodze, a Ylva stała za nią z ciężkim żeliwnym garnkiem.

– Wstrętna baba – stwierdziła. – Doigrała się.

Odsunęłam się i spojrzałam na nią.

– Jezu, Ylva!

Ylva zapaliła światło. Wyglądała fatalnie. Jej włosy były poprzyklejane do

poszarzałej i zakrwawionej twarzy, a przekrwione oczy patrzyły na wpeł oszalałe. Zdałam sobie sprawę, że pewnie nie wyglądałam lepiej.

Odwróciłam się i spojrzałam na Sarę. Leżała na podłodze i pojękiwała.

– Mam jej jeszcze przywalić? – zapytała Ylva.

– Nie – odparłam powoli. – Sara jest tam, gdzieś w środku. Może uda się ją uratować... – Rozejrzałam się po pokoju. – Powinniśmy chyba ją związać.

Ylva podeszła chwiejnym krokiem do okna i porwała zasłonę na pasy. Rzuciła je w moją stronę, a ja związałam Sarze ręce z tyłu.

– Znikamy stąd – zwróciłam się do Ylvy i przeszukałam fartuch Sary, żeby znaleźć klucz do kuchennych drzwi. – Rozejrzyj się za swoją torebką. Chcieli upozorować wypadek, tak wcześniej mówiła. Kluczyki muszą być gdzieś tutaj.

Po chwili Ylva wróciła z torebką. Wymachiwała kluczykami.

– Masz tam komórkę? – zapytałam.

– Nie ma zasięgu, już sprawdziłam – odparła. – Chodź już.

Patrzyłam smutno na zagipsowaną nogę. Leżała na stołku przed sofą, na której siedziałam. Biorąc pod uwagę fakt, że była złamana, oraz to, ile w tym stanie przebiegłam, pewnie trochę zajmie, nim się zrośnie.

Policjantka spojrzała na mnie. Jej mina była równie ponura jak moja.

– Pani historia nie trzyma się kupy – oznajmiła. – Sama pani rozumie. Czego nie chce pani nam wyznać?

– Powiedziałam wszystko – odparłam zmęczona. – Nic na to nie poradzę, że to jest... – zawahałam się. Jak miałam to nazwać? Nadprzyrodzone? – Chciałabym porozmawiać z Siggem – powiedziała za to. – Tym policjantem ze Strömstad.

To właśnie Sigge wyjechał nam naprzeciw, kiedy uciekłyśmy z Lövaren. Ylva siedziała na fotelu kierowcy i obsługiwała gaz i hamulec, ale ponieważ zaczęła widzieć podwójnie, ja miałam zmieniać biegi i kierować. Gdy tylko złapałyśmy zasięg, zjechałyśmy na pobocze i zadzwoniłyśmy na policję. To cud, że nie zabiłyśmy się w tym samochodzie. Gdybyśmy zginęły w ten sposób, byłaby to doprawdy ironia losu po tym wszystkim, co przeżyłyśmy.

Sigge zadzwonił po karetkę i posiłki, a później przyjechał do szpitala, żeby poinformować nas, że odnaleziono poważnie rannego Andersa w starej studni oraz dwa ciała w samochodzie kawałek dalej.

– Teraz mi pan wierzy? – wymamrotałam po przyjęciu dużej dawki środków przeciwbólowych i antybiotyków.

Pogładził mnie po głowie i opuścił szpital.

Przyszedł też Staffan, lecz ta wizyta nie była już tak miła. Spałam i obudziła mnie czyjaś dłoń na ramieniu. Kiedy spojrzałam w górę, zobaczyłam długie rzęsy i piękne niebieskoszare oczy, które patrzyły na mnie z nienawiścią.

– Coś ty zrobiła?

– Staffan...

– Mój ojciec omal nie zginął, a matkę znaleziono pobitą. Pozwę cię za to, możesz być tego pewna.

– Twoi rodzice próbowali mnie zabić.

– Jesteś nienormalna. Zajmę się tą sprawą – powiedział i rzucił mi ostatnie, pełne pogardy spojrzenie, a potem odwrócił się na pięcie i wyszedł z pokoju.

– Zastanów się, dlaczego Louise tak się zachowuje! – krzyknęłam za nim. – To twoja matka doprowadziła ją do tego stanu, bo chciała mieć chłopców dla siebie. Sam wiesz, że to nie ja jestem chora. – Miałam nadzieję, że już nigdy go nie zobaczę.

Ylva została wypisana kilka dni przede mną. Wstrząśnienie mózgu było dość silne, ale nie wydawało się na tyle poważne, żeby trzymać ją w szpitalu. Zanim pojechała do domu, powiedziała mi, że Anders został przewieziony do szpitala uniwersyteckiego w Göteborgu, a Sara leżała najwyraźniej w Trollhättan. Przeszył mnie nieprzyjemny dreszcz.

– Myślisz, że to coś też tutaj jest? – wyszeptałam.

– To ona, Raili – poprawiła mnie Ylva. – Tego przynajmniej jestem pewna. Ale nie mam pojęcia, czy tu jest. Mam nadzieję, że nie.

Zastanawiałam się, dlaczego Ylva wyszła z tego w tak dobrej formie i nie stała się psychicznym wrakiem, jak Anna-Maria czy Louise.

Olofssonowi również się to udało, ale mężczyźni nie są chyba aż tak podatni jak kobiety. Może to ta penicylina, którą Ylva zażywała. Muszę się postarać, żeby mnie również przepisali taką długą kurację.

Policjantka szturchnęła mnie. Wzdrygnęłam się i spojrzałam na nią.

– Przepraszam, że odpłynęłam – powiedziałam. – Przyjdzie Sigge?

## 65

Terapeutka nie chciała mnie puścić. Leżałam na oddziale psychiatrycznym, do tego zabrano mi moje kule, żebym nie mogła uciec.

– Cierpi pani na zespół stresu pourazowego – oznajmiła. – Musi pani przepracować swoje przeżycia. Pomożemy pani uporać się z tym, co się stało. Chciałabym, żeby spisała pani wszystko, a później przejdziemy przez to wspólnie. Sama pani zobaczy, w którym momencie przerwie się pani opowieść. To najlepsza forma terapii, jaką można zastosować.

– Chyba nie ma w tym nic dziwnego, że jestem zestresowana – krzyknęłam – skoro okazało się, że śledzili mnie ludzie, których darzyłam zaufaniem i sympatią. Pani chyba też by była.

– Widzi pani, jak pani reaguje. To z całą pewnością potwierdza moje przypuszczenia – powiedziała terapeutka.

A ja tylko pożałowałam, że nie mam tu swojej laski, bo wtedy mogłabym ją rąbnąć.

– Gdzie moja laska? – upomniałam się.

– Co takiego? Musimy chyba zwiększyć dawkę.

Obiecałam, że zacznę spisywać swoje przeżycia, jeśli pozwolą mi wrócić do domu i odpuszczą psychotropowy.

Więc siedzę teraz pod kocem na sofie. Dotarłam już prawie do końca opowieści. Ylva potwierdziła oczywiście wszystko, co udało jej się zapamiętać, a ten cudowny policjant Sigge dopilnował, żeby dziecko Anity przeszło testy DNA. Szybko okazało się, że nie była jego matką oraz, co zaskakujące, że ojcem nie był Staffan, tylko Kennet. Sigge powiedział, że dziewczynka trafiła już do swoich biologicznych rodziców, a teraz cała rodzina przebywa w ośrodku terapeutycznym, żeby dojść do siebie po tym, co się stało.

Odciski palców Andersa znaleziono zarówno w samochodzie, jak i na ciałach Fritjofssonów, więc może być oskarżony o zabójstwo. Podejrzewają, że to on porwał dziecko i pobił Sarę, zanim rzucił się w pościg za mną i Ylvą. Niestety, nie mają nic na Sarę, bo nasze zeznania okazały się zbyt mało wiarygodne, wobec czego nie wykorzystają ich przeciwko niej. Puszczą ją wolno. Ich zdaniem jest ofiarą, tak jak my. I w pewnym sensie tak jest, jeśli tylko opuści ją jej nieproszony gość.

Biedna Louise wciąż przebywa w ośrodku, a chłopcy są ze Staffanem. Nikt nie jest w stanie udowodnić, że Sara z nią rozmawiała i to dlatego Louise zwariowała. Szkoda mi jej.

Zastanawiam się jednak, kim jest ona. Istnieje od dawna, żyła już w połowie osiemnastego wieku. Pojawiła się na starej działce i prawdopodobnie wciąż się tam znajduje. Wygląda na to, że nawiedza nieszczęśliwych ludzi, którzy czują, że tracą kontrolę nad swoim życiem. Ale kim ona jest? Skąd pochodzi? Jaka jest jej historia, jej opowieść? Tego nigdy się nie dowiem.

\* \* \*

Jeszcze jedno, moja działka została wystawiona na sprzedaż. Ofertę można znaleźć w internecie. Wystarczy tylko wpisać „Lövaren”, jeśli ktoś byłby zainteresowany zakupem.

## Sierpień 1670 roku

To był dobry rok. Zwierzęta się odpasły i dawały dużo mleka, nie brakowało więc masła na sprzedaż. Mały Oluf rósł wolny od chorób. Wyprowadziła krowy na pastwisko i przysiadła pod niewielką brzozą, wygrzewając twarz w słońcu. Jej myśli wędrowały między zagrodą, w której jej matka, Marta, doglądała chłopca, a lasem, w którym Björn pracował przy karczunku. Odłożyła robótkę na trawę i opłótła rękami brzuch. Rozpacz po śmierci drugiego synka, który zmarł zaraz po porodzie, zaczynała ustępować. Wkrótce wyrośnie w niej nowe życie. Miała nadzieję, że tym razem urodzi im się dziewczynka.

Była, kim była. Kirsti. Nieślubnym dzieckiem Marty. Owocem gwałtu z lat wojny, kiedy to Duńczycy i Szwedzi walczyli o Bohuslän. Powiodło się jej jednak. Wyszła za Björna, kochającego i pracowitego człowieka, mieli dość ziemi, by uprawiać zboże i hodować krowy. Żyło się jej tak dobrze, że czasami zaczynała się bać. Bóg daje i odbiera. Zabrał jej jednak synka, czy to nie wystarczy?

Przeciągnęła się, zwinnie niczym leśny kot, i sięgnęła po robótkę. Jutro niedziela. Mieli iść do kościoła przywitać nowego pastora. Pochodził gdzieś z północy Szwecji. Była go bardzo ciekawa.

Czasami życie jest dobre.

# Podziękowania

Wielu osobom należą się podziękowania za pomoc w tworzeniu tej książki. Przede wszystkim chciałabym podziękować mojemu mężowi, Tommy'emu, który cały czas we mnie wierzył i zachęcał do pisania. Moje dzieci – Evelina, Johannes, Per i William – również były dla mnie ogromnym wsparciem.

Muszę podziękować też moim przyjaciółkom – Birgit Hognert, Johannie Rosén, Kristin Nilsson i Helenie Lindhe – które śledziły tę historię w trakcie pisania oraz służyły wskazówkami, radami i dobrym słowem. Helena, już nigdy nie postawię w rozdziale więcej niż dwa wykrzykniki.

Mamo i tato, dziękuję!

Na końcu chciałabym podziękować wszystkim, którzy towarzyszyli mi w tej podróży: studentom, rodzinie i przyjaciołom.

*Lisa Hågensen*



# Przypisy końcowe

1. Trzy galony szaleństwa w dwugalonowym wiadrze (wszystkiego przypisy pochodzą od tłumacza). [\[wróć\]](#)
2. Blåkulla – według szwedzkich wierzeń ludowych miejsce zlotu czarownic. [\[wróć\]](#)
3. Teren, na którym zakopuje się prochy po kremacji, przy czym bliscy zmarłego nie uczestniczą w pochówku, jego miejsce nie jest więc znane. [\[wróć\]](#)
4. Noc Walpurgii – noc z 30 kwietnia na 1 maja, podczas której, według tradycji, odbywał się sabat czarownic. By je odstraszyć, rozpalano wielkie ogniska. Obecnie święto to obchodzi się hucznie w Szwecji jako symbol wiosny i światła. [\[wróć\]](#)
5. Według szwedzkiej tradycji wielkanocnej dzieci przebierają się za czarownice. [\[wróć\]](#)
6. Lepiej się poślizgnąć niż przejeździć. [\[wróć\]](#)
7. *Präst* – pastor, *bo* – siedlisko. [\[wróć\]](#)
8. Staw bobrów. [\[wróć\]](#)
9. Scones – okrągłe kruche bułeczki, zwykle podawane w Wielkiej Brytanii do herbaty. [\[wróć\]](#)